

5 (56)
LATO 2012

CENA 15 Zł
(W TYM 5% VAT)

NOWY OBYWATEL



Europa 5,5 EUR
USA 7 USD
ISSN 2082-7644
INDEX 361569





KLUB OBYWATELA

www.nowyobywatel.pl/klub

okazja!

ZAPŁAĆ WIĘCEJ

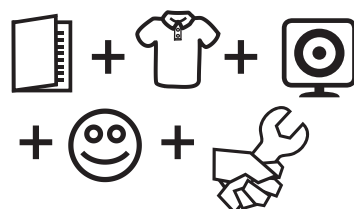
ale tak, by miało to sens

opcja 1
4x15 PLN
salon prasowy



opcja 2
50 PLN
prenumerata

opcja 3
120 PLN
klub obywatela



Dla dobra własnego



Fot. Katarzyna Reszka

Gdy elity nawołują do troski o dobro wspólne, najwyższy czas stanąć po stronie „roszczeniowego tłumu”.

Idea dobra wspólnego, stanowiąca przez lata horyzont naszych działań, jest coraz częściej przywoływana przez obóz rządowy, liderów biznesu oraz media. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy jakaś grupa społeczna wyjątkowo stanowczo broni swoich interesów, np. w obliczu planowanych reform. Nie można myśleć wyłącznie o sobie, zamiast o budżecie państwa (innych grupach zawodowych, własnych wnukach itd.) – napominany jest wówczas naród za pośrednictwem telewizyjnych kursów dobra wspólnego.

Postulat samoograniczania się na rzecz wspólnoty jest szlachetny, jednak kiedy do zaciskania pasa grubi nawołują chudych, jest zwykłą hipokryzją, skrywającą dążenie do zachowania *status quo*. Przy tak silnym zaburzeniu równowagi między kapitałem a pracą oraz władzą a obywatelami, każda walka zwykłych ludzi o „przywileje” pracownicze czy socjalne jest jednocześnie walką o większą sprawę. Wszystko to banały, warto jednak o nich przypominać. W przeciwnym wypadku część społeczeństwa może dać sobie wmówić, że upominanie się o sprawiedliwość społeczną jest czymś wstydliwym.

Z kolei elitom warto prowokacyjnie przypominać, że jednoznaczne artykułowanie partykularnych interesów, które następnie „ucierają się” w ramach nieustającego renegotjowania umowy społecznej, jest jednym z fundamentalnych założeń liberalnej demokracji. A skoro tak, to walka „o swoje” – dobro własnej

rodziny, grupy zawodowej czy regionu – nie powinna być piętnowana, lecz stawiana za wzór.

Nie chodzi rzecz jasna o to, by ograniczyć się do listy żądań, upodabniając się do karykatur kreślonych przez *establishment*. Obywatelska dojrzałość, bez której nie może istnieć sprawiedliwy model społeczno-gospodarczy, obejmuje nie tylko umiejętność formułowania swoich oczekiwań oraz obrony słusznych praw, ale także aktywne współtworzenie życia zbiorowego, w tym dbałość o dobro wspólne. W czasach, kiedy wróg co i rusz podbiera nam i przeinacza to ostatnie hasło, lepiej jednak maszerować pod bardziej bojowym sztandarem.

MICHAŁ SOBCZYK

PS W imieniu wydawcy pragnę serdecznie przeprosić wszystkich Czytelników i Czytelniczki, a także Autorki i Autorów, że na niniejszy numer „Nowego Obywatela” przyszło im czekać tak długo. Kryzys finansowy i kadrowy, który w zeszłym roku dotknął Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”, okazał się niestety mieć kilka długofalowych skutków.

Dziś mogę już powiedzieć, że zbiorowym wysiłkiem udało się ustabilizować sytuację organizacji, w związku z czym nasze kolejne spotkania będą mogły odbywać się regularnie. Wszystkim, którzy nie przestali w nas wierzyć – dziękuję.

6 Skazani na śmierć*Justyna Iwańczuk, Bogusław Spodzieja***16 Czego nauczyło nas Occupy Wall Street?***Natalia Ćwik***22 Lokalna demokracja finansowa***Marcin Rzepa*

Od 1990 r. zaczął funkcjonować nowy mechanizm, zawierający elementy demokracji bezpośredniej, z których najważniejszym był budżet partycypacyjny. Odtąd decydujący głos miał należeć do mieszkańców, a władze miejskie miały jedynie zatwierdzać przyjęte przez nich ustalenia.

30 Grać i walczyć*Marta Gardolińska, Jarosław Praszczalek*

Od momentu powstania organizacja stworzyła ponad 60 orkiestr dziecięcych, prawie 200 młodzieżowych, dziesiątki chórów oraz około 180 ognisk muzycznych, w których kształci się niemal 350 tys. młodych Wenezuelczyków.

34 Przeciwno wykluczeniu*Rafał Bakalarczyk***44 Aktywna dezaktywacja polskiej wsi***Wiesława Kowalska*

Na polskiej wsi nie można kupić kurczaka, kaczki, twarogu, masła, mleka, kiełbasy, dżemu, wina itd. Nie pozwalają na to karkołomne przepisy sanitarne, które właścicielowi jednej krowy, chcącemu sprzedawać masło, stawiają wymogi podobne jak przemysłowej mleczarni.

50 Cud Botswany*Janina Petelczyc*

Wykorzystujemy nasze diamenty do edukowania naszych ludzi, dostarczania im opieki medycznej, czystej wody pitnej, dróg i mieszkań. Botswańskie diamenty nie powodują konfliktów zbrojnych, które zabijają kobiety i dzieci.

**6**

Strajk zakończył się połowicznym sukcesem. Odzyskano pieniądze, lecz stracono pracę. Problem nie wyszedł poza partykularne opłatki firm uwikłanych w sprawę. System skażony genetycznie zakorzenionym w nim złem nie drgnął o jotę, co przejawia się w tym, że strajkujący pracownicy znaleźli się na indeksie osób, którym zabroniony jest wstęp na te budowy w Polsce, gdzie działa i będzie działała firma.

16

Główne założenia ruchu, jego estetyka życia i organizacji, stoją w wyraźnej opozycji do struktur organizacyjnych, które przywykliśmy uznawać za niezbędne. Spójrzcie na małe namioty stojące naprzeciw szklanych i stalowych drapaczy chmur; na zgromadzenia przeciwstawione korporacyjnej hierarchii i waszyngtońskiemu lobbingskiemu.

**34**

Warto rozprawić się z mitem o nadmiernych wydatkach socjalnych w Polsce. W naszym kraju udział w PKB wydatków na zabezpieczenie społeczne jest jednym z najniższych w Unii Europejskiej. Mniejszy udział wydatków socjalnych w ogólnym podziale dobrobytu jest niższy jedynie na Litwie, w Rumunii, Bułgarii, na Słowacji i w Estonii.

57 Więcej pracy, mniej kołaczy. Polski naukowiec na rynku nauki i dydaktyki

dr Kazimierz Mrówka

Można żywić żal wobec samego środowiska nauki, które „głosem” milczenia zaakceptowało nowelizację w takiej formie, w jakiej została przegłosowana. Zadziwia ono swoją fatalistyczną biernością, chociaż powinno kreować awangardę buntu.

GOSPODARKA SPOŁECZNA

62 Pracownicy wszystkich narodowości, łączcie się

WYWIAD

rozmowa z Adamem Rogalewskim

Bywały sytuacje, gdzie Polacy zgodzili się na rozwiązanie autorstwa pracodawcy, a nie na pomysł, który chciał przeforsować związek. Związek zawodowy był wtedy bardzo zdegrustowany uległością polskich pracowników. Ale trzeba zauważyć, że to nie wynika ze złej woli Polaków - byli zastraszeni i chcieli utrzymać stanowiska za wszelką cenę, bo trudniej im znaleźć tutaj pracę niż Brytyjczykom.



68 Zamówienia publiczne i... prospołeczne?

Cezary Miżejewski

Metoda obniżania ceny jest prosta - główny wykonawca wymusza oszczędności na podwykonawcach. A na czym można najlepiej zarobić? Obcinając koszty pracy. W mediach pojawiały się łzawe reportaże o złych firmach, które nie zapłaciły pracownikom. A był to przecież prosty łańcuszek zależności: wybór najtańszej oferty, której koszty ostatecznie zapłacili pracownicy.

75 Elastyczność czy śmieciowość?

Maciej Pańków

W Polsce młodzi pracownicy wpadają w pułapkę tymczasowych form zatrudnienia, stając się ofiarami segmentacji rynku pracy - wskaźniki przechodzenia do trwałych form należą w naszym kraju do najniższych w Europie. Trwanie w prowizorycznym czy też dorywczym zatrudnieniu ogranicza możliwości rozwoju zawodowego, dostęp do szkoleń oraz obniża motywację.

82 Stany Zjednoczone(j) własności

Gar Alperovitz

130 mln Amerykanów należy do miejskich spółdzielni spożywczych i mieszkaniowych, tradycyjnych spółdzielni rolniczych i co szczególnie ważne - do szeroko rozpowszechnionych spółdzielczych kas oszczędnościowo-kredytowych. Około 1,5 mln przedsiębiorstw nie nastawionych na zysk zapewnia 10% miejsc pracy w kraju. Należy też pamiętać o 11 tys. innych przedsiębiorstw, znajdujących się w całości lub częściowo w rękach pracowników.

87 Ani „wolny”, ani „sprawiedliwy” handel: lokalne rolnictwo w Meksyku

Mike Wold

Tak właśnie tworzy się ruch „lokalistów”, który można określić również jako ruch dążący do suwerenności żywnościowej. Według jego filozofii, społeczność może decydować o swoim losie tylko wówczas, gdy w znaczącym stopniu potrafi zapewnić sobie kontrolę nad produkcją żywności, którą spożywa.

92 Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj

ks. Edward Brzostowski

Jeżeli religijny mężczyzna lub kobieta, w szczególności wyznania chrześcijańskiego, zajmuje się tylko dyskusją o duchowych schorzeniach i zapomina o zwalczaniu przyczyn dehumanizujących nasze społeczeństwo, religii będzie można zarzucić to, co twierdził o niej Marks i jego uczniowie, że jest jedynie „opium dla ludu”.

98 O rząd światowy? Benedykt XVI o współczesnym kryzysie społeczno-gospodarczym

dr hab. Rafał Łętocha

Paradoksem naszych czasów jest to, że wraz z dynamicznie rosnącym bogactwem światowym, wzrasta też obszar biedy i rodzą się nowe formy ubóstwa. Zachwiana została równowaga między produkcją dóbr a ich redystrybucją, co stanowi problem nie tylko z moralnego, ale i ekonomicznego punktu widzenia.



PROJEKT OKŁADKI
Magda Warszawa / Kooperatywa.org

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Konrad Malec, Remigiusz Okraska (redaktor naczelny),
Michał Sobczyk, Szymon Surmacz, Krzysztof Wołodźko

„NOWY OBYWATEL”

ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź

tel./fax 42 630 22 18

propozycje tekstów: redakcja@nowyobywatel.pl

reklama, kolportaż: biuro@nowyobywatel.pl

skład, opracowanie graficzne: kooperatywa.org

nowyobywatel.pl

ISSN 2082-7644

NAKŁAD 1500 szt.

WYDAWCA

Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”

ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Rafał Bakalarczyk, Mateusz Batelt, Joanna Duda-Gwiazda,
Bartłomiej Grubich, Maciej Krzysztofczyk, dr hab. Rafał Łętocha,
dr hab. Sebastian Maćkowski, Krzysztof Mroczkowski,
dr Joanna Szalacha, dr Jarosław Tomaszewicz,
Karol Trammer, Bartosz Wieczorek

RADA HONOROWA

Jadwiga Chmielowska, prof. Mieczysław Choraży, Piotr Ciompa,
prof. Leszek Gilejko, Andrzej Gwiazda, dr Zbigniew Hałat,
Grzegorz Ilka, Bogusław Kaczmarek, Marek Kryda, Jan Koziań,
Bernard Margueritte, Mariusz Muskat, dr hab. Włodzimierz Pańków,
Janina Petelczyc, dr Adam Piechowski, Zofia Romaszewska,
dr Zbigniew Romaszewski, dr Adam Sandauer, dr hab. Paweł Soroka,
prof. Jacek Tittenbrun, Krzysztof Wyszowski,
Marian Zagórny, Jerzy Zalewski, dr Andrzej Zybała

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, zmian stylistycznych i opatrywania nowymi tytułami materiałów nadesłanych do druku. Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Nie wszystkie publikowane teksty odzwierciedlają poglądy redakcji i stałych współpracowników. Przedruk materiałów z „Nowego Obywatela” dozwolony wyłącznie po uzyskaniu pisemnej zgody redakcji, a także pod warunkiem umieszczenia pod danym artykułem informacji, że jest on przedrukiem z kwartalnika „Nowy Obywatel” (z podaniem konkretnego numeru pisma), zamieszczenia adresu naszej strony internetowej (nowyobywatel.pl) oraz przesłania na adres redakcji 2 egz. gazety z przedrukowanym tekstem.

SPRZEDAŻ

W całej Polsce „Nowego Obywatela” można kupić w sieciach salonów prasowych Empik, Ruch, Inmedio, Relay. Wybrane teksty z „Nowego Obywatela” są dostępne na stronach OnetKiosku (kiosk.onet.pl)

SPIS TREŚCI

104 **Papierek lakmusowy. Przyczynek do obchodów 35. rocznicy powstania KOR-u**

Jan Krzysztof Kelus

No więc po co to napisałem? Odpowiem tak: śmieszny z pozoru pomysł z umieszczeniem w umowie klauzuli o ekwiwalencie esbeckiej emerytury, służył w zasadzie temu samemu, czemu w dawnych - choć nie zamierzonych - czasach PRL-u służyły moje piosenki, wraz ze sposobem ich rozpowszechniania. Test służył wówczas ustaleniu, jakie są granice represyjności komunistycznego systemu, który niby już słabował, ale jeszcze kasał.

NASZE TRADYCJE



109 **Idea i cel samorządności szkolnej**

Józef Wójcik

Nie nauczymy się żyć w duchu zasad demokratycznych, jeżeli będziemy biernymi obserwatorami, jeżeli będziemy tylko patrzyli, jak inni żyją, lub jeżeli będziemy wysłuchiwać całej masy pogadanek, jak się żyć powinno.

111 **Skąd się biorą obywatele?**

Jeśli mamy wyrobić nawyki i postawy obywatelskie, to należy zacząć możliwie wcześniej oraz na takim gruncie, gdzie każdy, nawet pozbawiony szerszych horyzontów czy zainteresowań, może poznać i zrozumieć ich znaczenie dla samego siebie i wspólnoty, z którą jest związany.

114 **Jak robią to inni?**

prof. Adolphe Ferrière

Powodzenie systemu było tak wielkie, że austriackie ministerstwo oświaty publicznej, na podstawie rozważań X Kongresu nauczycieli szkół średnich, który odbył się w 1910 r. w Wiedniu, poleciło go wszystkim gimnazjom austriackim. Wiele z nich przyjęło go i było z niego zadowolonych.

121 Efekty samorządu uczniowskiego w Polsce

dr Adam Zieleńczyk

Rzecz godna podkreślenia, że praca organizacyjno-społeczna i wprawa w niej nabyta odzywają się w dalszym życiu. Informacje o pracy byłych wychowanków na stanowiskach nauczycielskich, ich zainteresowania społeczne, udział w samorządach, spółdzielniach, strażach ogniowych zachęcają do dalszej pracy nad samorządem szkolnym.

Z POLSKI RODEM

127 Socjalista niepokorny (rzecz o Adamie Próchniku)

Kamil Piskała

Trzeba raz wreszcie wyrzec się naiwnej wiary w cudowne skutki uderzenia szabli czy stuknięcia buta. Że się go przerażają ludzie małego ducha, że się korzą przed nim ludzie słabego charakteru, nie znaczy to bynajmniej, aby to samo uczynić miały spory narodowościowe, aby się ulęknąć miał kryzys gospodarczy. Zagadnień tych nie można przerażać, trzeba je rozwiązać.

134 Zapomniany demokrat

Piotr Kuligowski

Czymś niezwykłym - w obliczu poczucia niższości wobec Zachodu, towarzyszącego większości dzisiejszych komentatorów i publicystów - może wydać się przekonanie Podoleckiego, iż Polska ma prawo podążać własną drogą.

140 Pokaż, lekarzu...

RECENZJA

Joanna Jurkiewicz

Korupcja w sektorze farmaceutycznym nie jest wyjątkiem czy rzadko występującą patologią. To powszechnie stosowana metoda działania. Kto na tym traci? Pacjenci, którzy nie otrzymują leku najlepszego, lecz najsilniej promowany. Budżet państwa - największe boje toczą się o leki refundowane, za które płaci Narodowy Fundusz Zdrowia. Przegrywają również polskie firmy farmaceutyczne, produkujące tańsze zamienniki drogich specyfików.

144 Po pierwsze równość, głupcze!

RECENZJA

Krzysztof Wołodźko

O ile „równość możliwości” jest czynnikiem wzrostu, wpływającym aktywizująco na życie jednostek i rozwój społeczny, o tyle głęboka „nierówność możliwości” staje się przyczyną apatii i patologii życia społecznego.

149 Socjaldemokracja albo barbarzyństwo

RECENZJA

Remigiusz Okraska

Model socjaldemokratyczny, państwo opiekuńcze, nie są może szczytem intelektualnej podniety, nie zaspokoją też tego specyficznego lewicowego nienasycenia, które każe projektować ziemski raj. Stanowią natomiast najbardziej udany w dziejach eksperyment społeczny, który wielu milionom ludzi z dwóch czy trzech pokoleń zapewnił życie znacznie bardziej godne niż może to uczynić dziki kapitalizm - i znacznie bardziej „pożywne” niż radykalne czytanki i obietanki.

NIC ŚMIESZNEGO

© PIOTR ŚWIDEREK
BARDZOFAJNY.NET



Skazani na

JUSTYNA IWAŃCZUK, BOGUSŁAW SPODZIEJA

Poniższy tekst to relacja z serii przegranych strajków pracowników firmy Investpro, które miały miejsce na budowie Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni Redłowie od stycznia do kwietnia 2012 r. oraz strajku głodowego tychże pracowników, przeprowadzonego w Urzędzie Miasta Gdynia od 23 do 26 kwietnia br. Autorzy tego dokumentu uczestniczyli w strajku; Bogusława Spodzieję wybrano jego przedstawicielem.

Istnienie jest darem. Fundamentalnym obowiązkiem człowieka jest zachowanie tego daru i obrona przed unicestwieniem. Nie sprzyjać życiu jest złem, zaniechać obrony jest winą. Historia ludzkości rozgrywająca się w przestrzeni *być* albo *nie być* jest pamięcią doświadczenia organizowania się wspólnot w systemy zapewniające przetrwanie lub zgubę. To, co przetrwało jako moralna powinność, jest pamięcią duchowych przewyżczeń wyrytych na kamiennych tablicach czczonych w świątyniach, wokół których zorganizowały się i ukonstytuowały wspólnoty.

Pokłosiem tych przewyżczeń są trzy systemy, które w różnym stopniu pozwalają zapewnić przetrwanie wspólnocie lub tylko poszczególnym jednostkom:

1. solidarny - realizowany przez dopełnianie się członków wspólnoty pod jakimś ważnym dla nich względem przy wytwarzaniu wspólnego dobra, obowiązuje w nim wymiana dóbr i ochrona najsłabszych jednostek w ramach wspólnoty oraz wyjście do innych wspólnot z własnymi dobrami jako ofertą współpracy (przykładem takiego systemu w czystej postaci jest „Solidarność” lat 1980-1981),
2. łupieżczy - realizowany przez zbrojne napaści na inne wspólnoty (m.in. Hunowie, Wandalowie),

3. liberalny - realizowany jako skrajny indywidualizm promujący ograbianie słabszych przez silniejszych w ramach tej samej wspólnoty (np. wszystkie formy liberalizmu w wersji *laissez faire*, neoliberalizmu, globalnego neokolonializmu).

Neofeudalizm jako patologia

Neoliberalny system wolnorynkowy III RP jest realizacją trzeciego z wymienionych systemów. To, co nazwano pierestrojką lub transformacją, było przejściem od gospodarki opartej na ogólnospołecznej własności najważniejszych środków produkcji do gospodarki, której właścicielami stały się nieliczne jednostki. Władza pod pozorem bycia właścicielem całej gospodarki stała się seniorem nadającym (po „rynkowych” cenach) beneficja „możnym i zasłużonym”. Kryterium przyznawania statusu beneficjenta przekształceń własnościowych jest nieznane. Społeczeństwo pozbawione zasobów, zostało **sprywatyzowane** jako tania siła robocza, podlegająca bezwzględnej eksploatacji, pracy na poły niewolniczej, bez prawa głosu we własnej sprawie, zastraszone wizją masowego bezrobocia. Państwo zrzekło się funkcji gwaranta rzetelności i dotrzymywania umów, zwłaszcza umów o pracę. Ustrój Polski

śmierć



Wszystkie zdjęcia w artykule: fot. Jacek Urban, Stowarzyszenie „Nasza Gdynia”

od tego czasu jest zmodyfikowaną kopią średniowiecznego feudalizmu.

Rozliczne przykłady patologicznego neofeudalizmu można znaleźć w budownictwie, gdzie zazwyczaj inwestorem jest państwo, samorząd lokalny lub jakaś korporacja. W Gdyni Redłowie miasto zainwestowało w przedsięwzięcie o nazwie Pomorski Park Naukowo-Technologiczny (PPNT). Część środków pochodziło z budżetu miasta, część z funduszy europejskich. Przetarg wygrała firma Warbud, która stała się generalnym

wykonawcą. Z kolei Warbud ogłosił przetarg na wykonanie części przedsięwzięcia przez inny podmiot gospodarczy.

Zwycięsko z tej licytacji wyszła Abantia Polska. Jest to firma hiszpańska, z delegaturą na Polskę. W naszym kraju zatrudnia 50 pracowników, a jej głównym trzonem jest kadra inżynierska i pion obsługi prawnej. Abantia nie dysponuje żadnymi mocami wykonawczymi, za to znacznym kapitałem, który zapewnia wysoką pozycję w strukturze systemu, udział w dużych przetargach



i wygrywanie ich przez obniżkę cen. Wykonawstwem prac zajmuje się podmiot prawno-gospodarczy, który z racji najniższej pozycji w strukturze podwykonawców, jest całkowicie zależny od Abantii. Ta ostatnia swoim lennikom jest w stanie narzucić dowolne ceny. W rezultacie najsłabsze podmioty gospodarcze w strukturze podwykonawców stoją też najniżej w strukturze płatności, za to są pierwsze rozliczane z wykonanej pracy, do czego zobowiązuje umowa i groźba kar umownych. Kary te są łakomym kąskiem i źródłem dochodów walsi wyżej stojących w hierarchii.

Oszustwo jako wymuszona obrona?

W Polsce zdaje się dominować powszechna akceptacja oszustwa jako zasady działania chroniącej przed skutkami opresyjności systemu, jako wymuszony sposób obejścia jego barier. Dotyczy to firm, czyli organizatorów pracy zatrudnianych ludzi, których wysiłek nakierowany jest na realizację wyznaczonego celu, a także realizujących ten cel, czyli pracowników najemnych.

Firma Investpro Sp. z o.o. (ul. Wały Piastowskie 1, Gdańsk) jest małym podmiotem gospodarczym walczącym o przetrwanie, polskim, dlatego bez zdolności kredytowych. Zatrudniała ok. 120 pracowników, rozproszonych na kilku budowach w Polsce. Niemal na każdej z tych budów Investpro jest lennikiem Abantii. Najczęstszą formą umowy praktykowaną w Investpro między firmą a pracownikami są umowy o dzieło, umowy „na twarz”, że się dogadamy, że jakoś to będzie. Niejasne powiązania Investpro z Abantią nie interesowały pracowników.

W Gdyni Redłowie na budowie PPNT pracowało 30-40 pracowników. Pracownicy wykonywali pracę,

jednak pieniądze otrzymywali z wciąż wzrastającym poślizgiem. Wyjaśnień tej sytuacji za każdym razem słuchali z ust tego samego człowieka - rachmistrza Investpro, osoby o niejasnej funkcji w tej firmie - ni to szefa prezesa, ni gońca zarządu, ni menedżera. Powoływał się on na kłopoty z płatnościami, których przyczynę wskazywał we wrogich działaniach Abantii, dążącej - jego zdaniem - do zniszczenia Investpro. Przekonywał, że zarząd jego firmy całkowicie solidaryzuje się z interesami pracowników, że staje na głowie, aby wyłuskać te pieniądze, tylko płatnik jest trudny we współpracy. Przytaczał różne argumenty, które miały dowodzić tego stanowiska; opowiadał o sytuacji na innych budowach w kraju (na których również firma była lennikiem Abantii), gdzie - np. w Warszawie - pracownicy podjęli strajk w porozumieniu z prezesem Investpro, aby wydrzeć zaległe pieniądze opornemu płatnikowi. Mówiąc krótko, za winowajcę podawał Abantię, a siebie i zarząd za przyjaciół, stojących po tej samej stronie barykady.

Ekipa z Gdyni nie wiedziała o czymś, co przeczyło troskliwości zarządu o swoich pracowników. Otóż od października 2011 r. na budowie kompleksu hotelowego w Serocku firma przestała wypłacać pracownikom diety należne z tytułu pracy w delegacji, a w delegacji było ponad 20 osób. Podnieśli bunt, który ze swadą rozbił delegowany logistyk Investpro, oświadczając, że teraz jest demokracja i każdy może robić, co chce.

Pracownicy słuchali takich wyjaśnień od połowy stycznia, kiedy wypłaty zaczęły przychodzić już ze znacznym opóźnieniem i tylko w niewielkiej części, aż do połowy kwietnia, gdy sytuacja bytowa nieopłacanych ludzi zaczęła zagrażać ich życiu. Przez cały



ten czas słyszeli zapewnienia, że pieniądze już zaraz się pojawią - jutro, za trzy dni, za tydzień, przed świętami itd. Ich zaufanie do rachmistrza malało z dnia na dzień, wiedzieli, że są to tylko słowa, których prawdziwości nie mogą sprawdzić. Zresztą treść tych wyjaśnień była z ich punktu widzenia mało istotna. Czynnikiem decydującym o dalszych posunięciach pracowników była ich sytuacja materialna - ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, odeszli szukać innej pracy, mimo świadomości, że rezygnując z pracy w Investpro, niemal na pewno rezygnują z pieniędzy, jakie im firma zalega. Zostali ludzie, którym warunki bytowe nie pozwalały na rzeczenie się tych pieniędzy, a im dłużej tam pracowali, tym bardziej stawali się uzależnieni od firmy.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Kogoś wyrzucono z mieszkania z powodu braku pieniędzy na opłaty i teraz mieszka w samochodzie z żoną, która spodziewa się dziecka (ósmego miesiąc). Ktoś inny przestał posyłać dzieci do szkoły, gdyż nie miał na jedzenie dla nich, matki i siebie. Komuś grozi eksmisja z własnego mieszkania, które obciążone jest kredytem wziętym pod zastaw lokalu. Słowem, większość jest zdesperowana sytuacją i czuje, że do stracenia nie ma już nic, a do zyskania wiele.

Przez te trzy miesiące ludzie zdążyli się przekonać, że dwu-, trzydniowe strajki na terenie budowy są bezskuteczne (podobnie jak permanentny strajk włoski), że od rachmistrza niczego się nie dowiedzą, że zarząd gra w jakąś grę, której zasad nie chce zdradzić, a praca bez płacy jest korzystna dla wszystkich z wyjątkiem tych, którzy ją wykonują. Już wystarczająco przekonali się, że mogą liczyć tylko na siebie i że jeśli czegoś

z tym nie zrobią, to skończą pod mostem. Było to tym bardziej prawdopodobne, że między wierszami dało się wyczytać, iż w najbliższym czasie firma Investpro może zniknąć z rejestru działających firm - i pojawić się pod innym szyldem. Jasne było, że jako nowo powstały twór prawny nie przejmie zobowiązań upadłej, prawnie nieistniejącej firmy. Pieniądze przepadną. Sytuacja była groźna.

Sygnal o możliwości zniknięcia Investpro z rejestru działających podmiotów gospodarczych spowodował kilku pracowników do zorganizowania spotkania w niedzielę 22 kwietnia. W rezultacie doszli do wniosku, że ich położenie jest następstwem zła generowanego przez system, a obowiązkiem - obrona przed unicestwieniem. Było jasne, iż działają w warunkach wyższej konieczności, dlatego uznali, że wyjście poza mury, płoty i kontenery budowy PPNT jest warunkiem koniecznym skuteczności walki. Stwierdzili, że sytuacja w jakiej się znaleźli nie jest izolowanym przypadkiem, lecz problemem ogólnospołecznym, dotyczącym coraz większą liczbę ludzi. Dlatego muszą wejść w przestrzeń publiczną i tam podjąć walkę ze strukturalnym złem systemu. Za pośrednictwem mediów powiadomią społeczeństwo o swojej walce i jej zasadach, że nie ma uczciwego życia bez uczciwej walki, wolności bez prawdy, pracy bez płacy.

Uznano, że o sytuacji nade wszystko należy powiadomić inwestora, czyli miasto. Powinno ono być zainteresowane sprawnym i terminowym wykonaniem inwestycji, co w tych okolicznościach było zagrożone. Niedopłacanie pracowników na budowie PPNT w Redłowie nie dotyczyło wyłącznie zatrudnionych w Investpro; wiadano, że problem dotyczy także



pracowników innych firm, tych z dołów w strukturze podwykonawców. Postanowiono, że od poniedziałku 23 kwietnia podjęty zostanie strajk, który obejmie wszystkich pracowników Investpro oraz że kilku ludzi podejmie protest głodowy w Urzędzie Miasta w Gdyni.

Telefonicznie powiadomiono pozostałych pracowników o pomysle strajku i ustalono, iż następnego dnia wszyscy przyjdą do pracy o 6:10, czyli 50 minut przed planowanym przybyciem rachmistrza, którego wizyta miała na celu niedopuszczenie do strajku. Ekipa zjawiała się niemal w komplecie, aby wspólnie przeanalizować własne stanowisko, zanim rachmistrz postawi sprawę na głowie.

Groźba wariantu kryminalnego

Poniedziałek, 23.04.2012, godz. 6:10. Frekwencja bliska 100%. Jeden z pracowników relacjonuje treść niedzielnej narady o zagrożeniu i co w związku z tym zagrożeniu powinni zrobić, i to natychmiast. Wybucho gwałtowna dyskusja, nikogo nie trzeba przekonywać o zagrożeniu, wszyscy czują się oszukani. Sytuacja niektórych jest rozpaczliwa.

Początkowe napięcie przekształca się w niszczycielską furję. Padają pomysły wymierzenia sprawiedliwości na własną rękę, włącznie z rozbijaniem głów, łamaniem kości, wyważaniem drzwi, niszczeniem samochodów i wyposażenia biur zarządów firm. Których? Tych, które postrzegane są jako winne zaistniałej sytuacji. Reszta przestaje mieć znaczenie. To nic, że ten i ów pójdzie do więzienia - teraz ważny jest dach nad głową, choćby w więziennej celi z pryczą i miską ciepłego jedzenia.

Na poparcie tego rozwiązania pada argument o sytuacji z połowy 2011 r. na budowie Czterech Wież (*Quattro Towers*) w Gdańsku Wrzeszczu, gdzie Investpro także miało swoje interesy i swoich pracowników. Kilku ze strajkujących pracowało w minionym roku na tamtej budowie i było nieomal świadkami dramatycznego zdarzenia. Przypomnieli w czym rzecz. Otóż jedna z firm-podwykonawców od kilku miesięcy nie płaćła pracownikom. Ci pytali o pieniądze i na tym sprawa się kończyła. Do czasu.

Ktoregoś dnia jeden z poszkodowanych pracowników nieuczciwej firmy, w towarzystwie kilku ogromnych i potężnie zbudowanych mężczyzn, na siódmym piętrze jednej z wież odnalazł prezesa. Pracownik grzecznie zapytał prezesa: są pieniądze? Nie ma - usłyszał w odpowiedzi. Więcej pytań nie było. Prezes nie wyszedł z wieży o własnych siłach, co tylko częściowo było zgodne z intencjami tych, którzy rozmawiać już nie chcieli. Prezes miał wypaść z siódmego piętra przez otwór wykonany jego głową w potrójnie oszklonym oknie feralnego apartamentu, ale się nie zmieścił, natomiast czas naglił wszystkich bez wyjątku. W ciężkim stanie zabrała go karetka, na odchodnym pośpiesznie uszkodzono jego samochód, później zjawiała się policja i słuch o sprawie zaginął. W każdym razie tyle o sprawie wiedzieli strajkujący w Redłowie.

Pomysł upadł. Uznano, że rabunek i rozbój na masową skalę, dokonywany w aurze prawa uzasadniającego takie postępowanie, cechuje III RP, że ta bandycka metoda działania przejęta przez strajkujących sprawi, iż będą mieli przeciw sobie aparat propagandowy

państwa i komercyjnych mediów, czyli to, co zwie się opinią publiczną, policje jawne i tajne, różnego rodzaju intrygi ze strony układu biznesowo-politycznego.

Podobnie kryminalnej proveniencji był pomysł sparaliżowania budowy przez strajkujących poprzez ustawiczne odłączanie zasilania i tłumaczenie innym, dlaczego to robią. Jasne było, że mogli liczyć na milczące poparcie pracowników innych firm, zwłaszcza tych z dołu drabiny feudalnych zależności, którzy także cierpieli na permanentne zaleganie z należnościami za pracę. To skromne poparcie w sytuacji działania na zamkniętej budowie nie zneutralizowałoby siły aparatu państwa, który ma wyłączność na używanie przemocy wobec tych, którzy w jakiś sposób zagrażają czyjejś własności, interesom lub wolności. Opinia publiczna może i by poparła takie działania, ale nie będzie o nich poinformowana, a jeśli już, to nie przez strajkujących, tylko w formie zniekształconej przez tuby propagandowe władzy.

Ta argumentacja wystarczyła do odrzucenia i tej metody walki, oraz powrotu do dyskusji o metodach, które nie podważają wartości celu.

Wędrowny strajk

Jedna z osób stwierdziła, że skoro strajk został postanowiony, to podejmie głodówkę i skoro jest powszechne zrozumienie dla tej formy walki, oczekuje przyłączenia się kilku osób. Zgłaszają się cztery, czyli głodówkę rozpocznie pięć osób. Strajkujący postanawiają, że każdego następnego dnia do głodówki przystąpi jedna osoba. Pozostali mieli strajkować w miejscu protestu głodowego, czyli w Urzędzie Miasta Gdyni. Oczywistość zasady solidarności jako metody wspólnego działania sprawiła, że - bez patosu wzniosłych deklaracji - wszyscy stanęli murem w obronie każdego, co oznaczało, że strajk, w tym protest głodowy, będzie trwał do chwili, gdy do ostatniego grosza zostaną zwrócone pieniądze ostatniemu z poszkodowanych.

Pracownicy o swojej decyzji postanowili powiadomić zarząd Investpro, co też się stało. Prezes pojawił się w ciągu godziny. Większość ze strajkujących widziała go po raz pierwszy. Nie przywiózł pieniędzy, lecz deklaracje współczucia, zrozumienia i poparcia, choć uważał, że na tak radykalne kroki jest za wcześnie. Jasne, że pracownicy mogą czynić co chcą, ale nie wszystko, czego chcą, jest dobre i mądre. Zaproponował skoordynowanie działań zarządu z działaniami pracowników. On będzie rozmawiał z mediami, co pozwoli mu na naświetlenie sprawy we właściwej perspektywie. Najlepiej - zdaniem prezesa - będzie poczekać do maja, niech tylko minie długi weekend, ale dziś to o wiele za wcześnie. Jeden z pracowników, którego strajkujący uznali za reprezentanta, oznajmił, że rozwiązanie proponowane przez prezesa nie jest zadawalające. Co więcej, pracownicy podjęli decyzję o takiej, a nie innej formie strajku i sposobie jego przeprowadzenia, dlatego też nie będą pytali prezesa ani

nikogo z wyżej stojących na drabinie płatników, czy, kiedy i jak mają się bronić. Kto jest winny zaistniałej sytuacji, to rzecz dla policji, prokuratury i sądu. Pewne, że nie płaci Investpro, co wystarczy, by zdania prezesa jako doradcy strajku nie brać pod uwagę.

Prezesowi zdawało się, że sprawa rozejdzie się po kościach, że jakoś sama się rozmyje. Wydaje się, że nie wierzył, iż robotnicy odważą się wyjść poza zasięki budowy i wkroczyć w przestrzeń publiczną, że pójdą do prezydenta miasta, ale zgodził się z tym, że faktycznie nie ma prawa ingerować w ich postanowienie i sposób jego realizacji. Przestrzegł tylko przed szkodliwością strajku przeniesionego w przestrzeń publiczną.

Wizytę prezesa uznano za nie wnoszącą nic do sprawy i przystąpiono do realizacji ustaleń. Najpierw piechotą do Urzędu Miasta Gdyni, wizyta u Prezydenta Wojciecha Szczurka, prezentacja problemu i metod jego rozstrzygnięcia. Co postanowiono, to zrobiono. Wcześniej o zaistniałej sytuacji zakomunikowano telewizji Trwam i Radiu Maryja. Prezydent Szczurek przyjął strajkujących. Poinformowano go też, że media zostały powiadomione o wizycie i zamierzeniach strajkujących. Prezydent natychmiast podjął działania przynależne inwestorowi, tj. przekazał problem pełnomocnikowi do spraw m.in. tej inwestycji.

Niebawem okazało się, że firma Investpro nie widnieje w wykazie podmiotów gospodarczych działających na terenie budowy Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego. Prezydent Szczurek stwierdził, że strajkujący są wolnymi ludźmi i jako tacy mogą czynić wszystko, co każe bronić im godności swojego istnienia.

W związku z wiadomością o prawnie niejasnej relacji między firmą Abantia Polska a Investpro, strajkujący postanowili udać się do Gdańska, gdzie znajduje się siedziba Abantii. Po dotarciu na miejsce natknęli się na rachmistrza Investpro, który stał się Rejtanem Abantii i bronił dostępu do jej drzwi. Rozmawiać nie było z kim, komentować nie było czego, więc strajkownicy opuścili siedzibę Abantii i Investpro ze stanowczym przyrzeczeniem rozpoczęcia właściwych działań od 7:00 rano następnego dnia. Otuchy strajkującym dodał fakt, że pierwsze kontakty z mediami, konkretnie z telewizją Trwam i Radiem Maryja rokowały, iż nie przepadną w powszechnej zмовie milczenia wiodących mediów. Umówiono się na spotkanie o 7:00 rano następnego dnia na terenie budowy PPNT w celu pełnego porozumienia się z tymi z hydraulików, którzy co prawda byli przekonani o celowości strajku, ale obawiali się wyjścia z nim poza teren budowy. Część hydraulicznej braci oraz monterzy wentylacji w tej sprawie stanowili monolit.

Strajk stacjonarny i głodówka

Czy jest prawdą, że okazja każdego, zawsze i wszędzie czyni złodziejem, łamie międzyludzką solidarność i ducha? Czy świętość jest wyłącznie następstwem sprzyjających okoliczności? Na te pytania przyszło

odpowiedzieć niektórym ze strajkujących niedługo po rozstaniu się ze wspomnianym rachmistrzem Investpro. A było to tak:

Nie minęło pół godziny od spotkania pod siedzibą Abantii, gdy rachmistrz zadzwonił do osoby, co do której miał podejrzenie, iż jest jedną ze sprężyn strajku i zaproponował spotkanie w cztery oczy. Do spotkania doszło w Sopocie, ale nie w cztery oczy. Gdy rachmistrz nie wskórał nic, nie ustawał w dalszych próbach niedopuszczenia do przedostania się strajku na forum publiczne. Telefon do innego z wiodących sprawców strajku (jak przypuszczał rachmistrz), miał tegoż przekonać, że sprawa należnych mu pieniędzy zaczyna być finalizowana, że rano je dostanie co do grosza i już teraz nie musi się bać, że straci mieszkanie. Skoro dostanie pieniądze, to w tych okolicznościach jego udział w strajku jak bezzasadny.

Strajkujący rozmówca wściekł się nie na żarty: uznał, że rachmistrz usiłuje go przekupić, że jeśli nawet dostanie te pieniądze, to i tak solidaryzuje się z pozostałymi strajkującymi i razem z innymi będzie walczył do ostatniej należnej złotówki każdego z oszukanych. Tym rozmowa się skończyła. Okazja była wciąż aktualna, ale nie skusiła, nie złamała. Tu ujawnia się prawdziwość ludowego porzekadła, głoszącego, że nie ci święci, co zawsze zgięci. Wieczorem większość ze strajkujących wiedziała o tej rozmowie.

Wtorek 24.04.2012, godz. 7:00, budowa PPNT w Gdyni Redłowie. Wszyscy obecni. Rozmowy z hydraulikami nie przynoszą skutku. Część z nich postanawia kontynuować strajk na budowie, część przyłącza się do strajku w Urzędzie Miejskim w Gdyni. Już wcześniej ustalono, że lepsza grupa mniejsza, lecz zwarta i dobrze zorganizowana wokół celu i metod jego osiągnięcia, od dużej bez tej świadomości. W rezultacie wyszło na to, że mała grupa stanowi zdecydowaną większość strajkujących. Na budowie zostało kilku hydraulików. Pozostali przyłączyli się do marszu w stronę Urzędu Miasta Gdyni w celu powiadomienia prezydenta Szczurka o rozpoczęciu strajku i głodówki na terenie urzędu.

Urząd Miasta Gdyni, 8:00. Strajkujący powiadamiają sekretariat prezydenta o rozpoczęciu bezterminowego strajku, którego cele i metody od wczoraj znane są prezydentowi. Niedowierzanie urzędników, przemieszane ze zdumieniem i kto wie czym jeszcze, nie robiły wrażenia na strajkujących. Byli przygotowani na wrogie przyjęcie, na rozwiązania siłowe, na starcie ze służbami mundurowymi. Mieli ze sobą łańcuchy i kłódki, którymi zamierzali się przykuć do poręczy schodów i filarów wewnątrz budynku urzędu. Zdecydowali, że jeśli służby mundurowe poprzecinają łańcuchy, z samych siebie zrobią łańcuch i będzie trzeba ich rozrywać i wynosić jak kawałki wciąż żywego ciała. Gdy zostaną wyrzuceni, będą koczować na ulicy przed urzędem. Było bardzo ciężko, ale wiara w sens i słuszność tej walki dodawała im sił i na początek musiała

wystarczyć. Nie było wesoło. Tymczasem spokojnie wyszli przed urząd, gdzie na białym prześcieradle czarną farbą wykonali szyld strajkujących: **SKAZANI NA ŚMIERĆ**, z dopiskiem u dołu wykonanym mniejszymi literami - **Protest głodowy**. Powiadomiono też telewizję Trwam i Radio Maryja o drugim dniu strajku i pierwszym dniu w Urzędzie Miasta i głodówce. Około 10:00 rano zjawiała się telewizja Trwam. Strajkujący opowiedzieli przed kamerami o strajku, jego celach i dlaczego za miejsce jego przeprowadzenia obrali Urząd Miasta. Powiedziano, że:

- Pracodawca zalega z wypłatami za wykonaną pracę, w związku z czym zagrożone są podstawy egzystencji pracowników: wielu znalazło się w sytuacji zagrożenia bezdomnością, wielu stanęło wobec widma głodu, oddania dzieci do domów dziecka.
- Problem, który stał się ich udziałem, nie jest izolowanym przypadkiem, lecz problemem systemu z genetycznie zakorzenioną w nim wrogością wobec człowieka, rodziny, społeczeństwa, kultury.
- Urząd Miasta należy do wciąż jeszcze niesprywatyzowanej przestrzeni publicznej, stąd jest najwłaściwszym miejscem, gdzie powinno mówić się i rozstrzygać o ważkich problemach dotyczących każdego człowieka i wspólnoty, w której żyje. Stąd też łatwiej o kontakt z mediami, gdyż:
- Media z definicji powinny pełnić społecznie ważną funkcję nośnika informacji o tym, co istotne z punktu widzenia tegoż społeczeństwa. Ten strajk i jego przyczyna są ważne społecznie. Strajk w zakamarkach budowy otoczonej nieprzebytymi płotami, otoczonej paramilitarnymi jednostkami ochrony wynajętej przez przedsiębiorców, ma nikłe szanse powodzenia.
- Adresatem strajku jest społeczeństwo, w którego mocy jest zmiana wrogiego mu systemu.
- Rząd RP nie jest adresatem ani żądań, ani prośb o wsparcie czy mediację, z racji na to, że jest racją tego systemu.

Około godz. 9:00 prezydent Szczurek zaproponował strajkującym zajęcie jednego z pomieszczeń na terenie Urzędu Miasta, w którym ponad 20-osobowa grupa była w stanie bez problemu się pomieścić. Pracownicy urzędu przyniosły kanapki dla niegłodujących i wodę mineralną dla wszystkich. Na ścianie umieszczono transparent informujący o strajku. Zaczynało się nieźle. Niebawem pewne zainteresowanie strajkiem zaczynały wykazywać różne osoby i instytucje. Wyraźnego i jednoznacznego poparcia strajkowi udzieliło Stowarzyszenie „Nasza Gdynia” i jej prezes Jacek Urban, który wspierał strajk do końca.

O godz. 12:00 w wiadomościach Radio Maryja poinformowało o strajku, czego następstwem były liczne wizyty ekip różnych stacji telewizyjnych, rozgłośni radiowych i codziennych gazet. Informacja o rozpoczętej walce poszła w świat zgodnie z intencjami strajkujących. Pojawiły się też akcje polegające na próbach

skłonienia niektórych ze strajkujących do zawieszenia strajku, na przejęciu go przez jakiś związek zawodowy, najlepiej przez NSZZ „Solidarność”. Riposta strajkujących nie pozostawiała złudzeń. Odpowiedzieli, że nie interesuje ich oddanie się w opiekę tworowi, który jest częścią systemu generującemu biedę w Polsce. Wszak niektórzy z nich pamiętali, jak Lech Wałęsa, który był twarzą tego systemu, podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych (zanim został prezydentem) nawoływał wielki kapitał amerykański i zachodni do inwestowania w Polsce, gdyż „na biedzie i głupocie robi się najlepsze interesy”. Efekty realizacji tej zasady są dotkliwie odczuwane przez większość polskiego społeczeństwa. Podziękowali za takie wsparcie i więcej do sprawy nie wracali.

Problem jednak wrócił. Otóż jeden z prominentnych działaczy nowej „Solidarności” z Gdyni zadzwonił do reprezentanta strajkujących z informacją, że strajk jest nielegalny, że ta droga prowadzi strajkujących wprost do więzienia, ale jako że rozumie sytuację, to na wszelki wypadek proponuje wsparcie na polu prawnym. Reprezentant strajkujących stwierdził, że nie jest władny przyjąć ani odrzucić tej oferty, ale przekaze informację stosownemu gremium, które zastanowi się i da odpowiedź, jeśli uzna to za konieczne. Niebawem kilka osób zatrudnionych przez „Solidarność” skontaktowało się z przedstawicielem strajkujących i przekazało mu skargę na „Solidarność”, że jako jej pracownicy znajdują się w trudnej sytuacji i pracują pod ustawiczną presją redukcji etatów, a związek jako pracodawca pozostawia wiele do życzenia. Wniosek narzuca się sam: wsparcie strajku przez złego pracodawcę, zwłaszcza jeśli jest nim związek zawodowy, jest czymś absurdalnym.

Strajkujący jednak potrzebowali wsparcia ze strony prawnika, który dysponuje nie tylko stosownymi kwalifikacjami, ale i jest moralnie zaangażowany w problem. Pani Anna Kurska, emerytowana sędzia, była senator RP, była kimś takim. Bez wahania zgodziła się wesprzeć strajkujących.

W międzyczasie strajk nawiedziły ważne osoby z Warbudu, generalnego wykonawcy PPNT w Redłowie. Wspierał ich pełnomocnik miasta ds. m.in. rzeczonyj inwestycji. Wspólnie proponowali zawieszenie strajku w celu powołania wielostronnej międzyfirmowej komisji, która miałaby zbadać treść umów i obiegu pieczędza w ramach realizacji tych umów w zakresie dotyczącym roszczeń strajkujących. Pewni siebie panowie z Warbudu uważali, że wartość argumentów mierzy się siłą głosu, szybkością mówienia i apodyktycznym tonem. Błąd. Zapytano ich, czy są stroną strajku. Nie – odpowiedzieli – ale są przyjaciółmi strajkujących i chcą im pomóc w szybkim i skutecznym załatwieniu sprawy. „Strzeż nas Boże od przyjaciół; z wrogami sami sobie poradzimy” – odrzekł któryś ze strajkujących. Panowie z Warbudu i cichy pełnomocnik miasta zrezygnowali z dalszych przyjacielskich prób i przystali na

Problem, który stał się ich udziałem, nie jest izolowanym przypadkiem, lecz problemem systemu z genetycznie zakorzenioną w nim wrogością wobec człowieka, rodziny, społeczeństwa, kultury.

propozycję strajkujących, że ci spośród siebie wybiorą trzech przedstawicieli i delegują do owej komisji.

Strajk trwał. Delegaci pojechali na budowę i wspólnie z inwestorem, Warbudem, Abantią i Investpro, zajęli się sprawdzaniem dokumentów. Wynik badań pierwszego dnia był następujący: inwestor i Warbud realizują umowy i płacą należności. Na niższym poziomie podwykonawców sprawa była daleka od wyjaśnienia. Gdy zmęczenie dało o sobie znać, przerwano badanie dokumentów i umówiono się na następny dzień, na godzinę 14:00. Delegaci wrócili do strajkujących z przesłaniem Warbudu, skierowanym do strajkujących, które zawierało deklarację przyjaznego pośredniczenia w pozytywnym załatwieniu sprawy na poziomie zainteresowanych firm, że gdy tylko nastąpi przełom, a ten już się wyraźnie rysuje, to Warbud natychmiast podzieli się tą dobrą wiadomością ze strajkującymi, co strajk uczyni bezprzedmiotowym i szczęśliwie go zakończy. Wszyscy zdali sobie sprawę, że to przesłanie jest kolejnym manewrem, który ma na celu co najmniej osłabienie strajku. Potwierdzono jeszcze raz, że strajk, w tym głódówka, zakończy się dopiero, gdy każdemu z poszkodowanych zostanie zwrócona jego należność. Wszelkie obietnice i deklaracje o bliskim finale uznano za pozbawione wartości.

Po godz. 18:00 Urząd Miasta w Gdyni przypomniał obłożoną twierdzą: wszędzie widoczni byli potężnie zbudowani strażnicy miejscy. Strajkujący zgodnie z umową zawartą między nimi a prezydentem mieli prawo poruszać się w ściśle określonych rejonach urzędu, tj. w obrębie przydzielonej sali i toalety. Zapewniono im bezpieczeństwo i niemal komfort.

Środa 25.04.2012. Po niełatwej nocy na krzesłach i bez jedzenia, strajk ożył. Do głódówki przyłączyła się kolejna osoba, o czym poinformowano media. Od rana wszyscy czekali na dokumenty z Investpro, jakoby



pozwalające na uruchomienie procedury wypłacania należności. Gruchnęła wieść, że strajk można albo zawiesić, albo zakończyć, gdyż dziś o 14:00 rachmistrz Investpro rozpocznie wypłacanie części należności, tj. 800 złotych każdemu. Reszta, czyli zaległe od kilku do kilkunastu tysięcy złotych, jest kwestią najbliższej przyszłości. Zdaniem rachmistrza, sprawy idą dobrze. Zdaniem strajkujących, rzecz idzie we właściwym kierunku, ale w niewystarczającym stopniu: strajk będzie trwał mimo częściowego zwrócenia należności.

We wczesnych godzinach popołudniowych na strajku pojawiła się Anna Kurska. Jakies dwie godziny później pojawił się rachmistrz Investpro z zadeklarowaną częścią gotówki. W świetle kamer zaczął płacić. Zażądano od niego umów, które powinna ocenić Anna Kurska. Niechętnie pokazano jej projekt dokumentu o nazwie „Umowa o dzieło”. Anna Kurska stwierdziła, że takie umowy można wydrukować sobie z Internetu, że to umowy śmieciowe, które nie pozostają w żadnym związku między stanem prawnym a faktycznym. Rachmistrz się spocił. Strajkujący postanowili nie podpisywać żadnych umów, zwłaszcza że ogromna większość z nich pracowała w Investpro w oparciu o umowę „na słowo”. Zadawali sobie pytanie, czy w kwietniu godzi się podpisywać umowy ze stycznia.

O 14:00 miała się rozpocząć kolejna tura badań dokumentów z udziałem delegatów strajkujących. W tej sprawie zaległa martwa cisza. Poza delegatami inni uczestnicy komisji nabrali wody w usta; nikt nic nie wiedział. Delegaci nie czekając na zaproszenie udali się na budowę PPNT. Tam okazało się, że żadnych komisji

już nie będzie, że sprawa jest finalizowana na poziomie zarządów zainteresowanych firm. Które to „zarządy zainteresowanych firm” – tego nie udało się ustalić delegatom. Wrócili do urzędu z niczym. Sprawa była niejasna. Czyżby chciano coś ukryć?

W ciągu dnia strajkujący zorientowali się, że nawet jeśli strajk skończy się sukcesem, będzie to sukces połowiczny, gdyż albo Investpro wyrzuci ich z pracy, albo Investpro zostanie wyrzucone z budowy PPNT. Niezależnie od tego – odzyskają pieniądze czy nie – pracę tracą w każdym przypadku. Ta refleksja pozwoliła na uszczegółowienie żądania o te dni kwietnia, które przepracowano na budowie. Powiadomiono o tym rachmistrza Investpro. Ten, zgodnie ze swoim stylem, zaczął perorować, że w ten sposób strajk nigdy się nie skończy, że stracą na tym wszyscy, że już teraz powinien być zawieszony, że, że... „Spokojna głowa, wielu z różnych stron naciskało na nas, abyśmy strajk zawiesili, bo jeśli wszystko wskazuje na pozytywne rozwiązanie problemu, to po co strajkować. Ale nie zawiesimy strajku ani nie przeniesiemy go na budowę czy do jakiejś piwnicy z dala od mediów, gdyż to oznacza kapitulację. Nie ma wątpliwości co do tego, że się skończy. A skończy się albo z chwilą wypłacenia każdemu całej należności od stycznia do kwietnia, albo gdy zaczniemy umierać bez wiary w zwycięstwo. W odróżnieniu od pana stawiam sprawę jasno i uczciwie” – twardo odrzekł jeden ze strajkujących.

Rachmistrz i głodujący doskonale zdawali sobie sprawę, że gdy strajkujący ograniczą swe żądania do zwrotu zaległości w zakresie od stycznia do marca, to

po ewentualnym sukcesie rozproszą się po domach, urzędach pracy czy po innych firmach i o pieniądze za kwiecień już nie zawalczą w zorganizowany sposób. Odzyskanie ich w pojedynkę będzie trudniejsze od znalezienia igły w stogu siana. Kalkulacja była prosta dla wszystkich. O uszczegółowieniu żądań powiadomiono media.

Czwartek 26.04.2012. Kolejna noc była łatwiejsza, głodujący przywykli do drzemek na niewygodnych krzesłach, głód przestał wybijać się na plan pierwszy, wiara w sensowność walki utrzymywała się na niezmiennie wysokim poziomie. Nagłośnienie w mediach wszczętej sprawy pozwalało stwierdzić, że metoda jest dobra. Do głodówki przyłączyła się siódma osoba. Jeśli nie liczyć kolejnych wizyt ekip telewizyjnych i reporterów (m.in. Polsatu, TVN, TVN24, Superstacji, Telewizji Gdańsk, Radia Gdańsk, „Dziennika Bałtyckiego”, „Gazety Wyborczej”, „Faktu” itp.), to strajk znalazł się w niejkiej próżni: w sprawie nie działało się nic. Delegaci nie byli w stanie od nikogo dowiedzieć się o losach dalszych badań nad prawnymi przyczynami zaistnienia faktycznego stanu rzeczy.

Pozostało czekać i głodować. Z punktu widzenia celu strajku, różne inicjatywy przybyłych dziennikarzy jawiły się jako szkodliwa gra pozorów, choć współczucie i szczerłość niektórych z nich wobec dramatu, który przeżywali strajkujący, nie budziły wątpliwości – jak choćby ta reporterów Polsatu. Otóż chcieli oni zrealizować dokumentalny film o rodzinie mieszkającej w samochodzie i innych, co bardziej drastycznych przypadkach, o których wspomniano wcześniej. Taki pomysł nie rozwiązywał sprawy, gdyż naświetlał ją w perspektywie pojedynczych i przypadkowo poszkodowanych pracowników przez nie mniej pojedynczych i przypadkowo nieuczciwych przedsiębiorców. Tu chodziło o rozwiązanie systemowe, o solidarną wspólnotę strajkujących, która powinna się rozrastać, a nie o izolowany przypadek. Człowiek rozpatrywany w oderwaniu od zbiorowości, wyłącznie jako podmiot konkurujący z wszystkimi i pod każdym względem, jest teoretyczną fikcją, bezwolną marionetką ślepych sił narzuconego systemu, niebezpiecznym urojeniem zagrażającym wolności jednostki i suwerenności wspólnoty. Dopóki taka sytuacja trwa, dopóty żaden ze strajkujących nie może bezpiecznie wrócić do podjętego mieszkania, do zapłakanej żony, głodnych dzieci i oświadczyć: oto pieniądze na chleb, na komorne, na bilety do szkoły i zeszyty. Resztę odłożymy na wakacje.

W godzinach południowych ważny człowiek z Warbudu w towarzystwie ważnego człowieka miasta obwieścił strajkującym, że pora kończyć głodówkę, że trzeba zwinąć transparent z tym drastycznym napisem i rozejść się do domów, jako że sprawa została pozytywnie rozstrzygnięta przez zarządy zainteresowanych firm. Pieniądze będą wypłacane w Banku PKO w Gdańsku. Strajkujący nie dali wiary tym zapewnieniom.

Wiedzieli, że bieg jeszcze nieskończony, a przed metą nie biegnie się na oślep, gdyż pułapka może być tuż przed nią. Oświadczyli, że strajk skończy się po wypłaceniu każdemu wszystkiego od stycznia do kwietnia. Postanowiono sprawdzić prawdziwość oświadczeń o pieniądzach: czy są, czy dla każdego i czy wszystkie. Do banku wysłano kilka pierwszych osób, które miały poruszać się w zwartej i zorganizowanej grupie. Pozostali czekali w Urzędzie Miasta, stanowiąc widomy znak, że strajk trwa. Pieniądzy jednak wciąż nie było. Jak zwykle były jakieś problemy formalne, jakaś zła pieczęć, nie taki formularz, nie ten adres, nie to konto itd. Jednak około 15:00 ruszyło wypłacanie. Strajkujący wymieniali się i na zmianę jeździli do Gdańska; zawsze ktoś czuwał pod szyldem *SKAZANI NA ŚMIERĆ*.

Kto wypłacił zaległe należności? Abantia Polska – która na czas strajku odizolowała się od prasy, radia i telewizji i do swojej siedziby nie wpuszczała żadnych dziennikarzy, która za jedyny kontakt z mediami uznała listy pisane na papierze i wysłane pocztą (żadnych e-maili, faksów, dyktafonów, kamer, notatników) – wypłacała pracownikom Investpro należne im pieniądze za potwierdzeniem na piśmie, że pobierający nie rości żadnych pretensji wobec firmy Investpro. Dlaczego tak? Nie wiadomo. Pieniądze się zgadzały.

Strajk zakończono o 18:30. Wcześniej zrzucono się na bukiet wdzięczności dla Prezydenta Wojciecha Szczurka. Było to 21 czerwonych róż. Prezydent wyraził uznanie dla determinacji strajkujących, podziękował za wysoką kulturę uczestników strajku i życzył powodzenia.

Na koniec stwierdzono, że strajk zakończył się połowicznym sukcesem. Po pierwsze: odzyskano pieniądze, lecz stracono pracę – firma Investpro została wyrzucona z budowy. Po drugie: problem nie wyszedł poza partykularne opłotki firm uwikłanych w sprawę. Po trzecie: system skażony genetycznie zakorzenionym w nim złem nie drgnął o jotę, co przejawia się, po czwarte, w tym, że strajkujący pracownicy Investpro znaleźli się na indeksie osób, którym zabroniony jest wstęp na te budowy w Polsce, gdzie działa i będzie działała firma Warbud. Na wszystkich bramach budowy PPNT w Gdyni Redłowie umieszczono stosowną listę. Liczy ona ponad 60 osób. W stanie wojennym między innymi tak represjonowano ludzi niewygodnych dla systemu, który w zmodyfikowanej formie istnieje nadal.

Zwinięto transparent i opuszczono Urząd Miasta Gdyni. Głodujący coś zjedli. Od następnego dnia rozpoczęło się poszukiwanie pracy. Po kilku dniach poszukiwań stwierdzono, że każdy z potencjalnych pracodawców proponował takie same warunki, jak Investpro...

JUSTYNA IWAŃCZUK
BOGUSŁAW SPODZIEJA

Czego nauczyło nas Occupy Wall Street?

NATALIA ĆWIK

Najprościej na tytułowe pytanie można odpowiedzieć: wszystkiego. Occupy Wall Street (OWS) w ciągu zaledwie kilku miesięcy, z inicjatywy skupionej wokół amerykańskiego centrum rynku kapitałowego przekształciło się w globalny ruch, zbiorczo określany jako Occupy Movement (OM). Jest to przykład dobrze zorganizowanego aktywizmu, który dla nas – pomimo różnic społecznych i kulturowych – może być ciekawą lekcją technik społecznej mobilizacji.

Na początku 2012 r. popularny amerykański magazyn biznesowy „Fast Company” opublikował listę 50 najbardziej innowacyjnych firm na świecie. Na miejscu 7. listy znalazł się... Occupy Movement. W uzasadnieniu czytamy, że zaszczytne miejsce w pierwszej dziesiątce przypadło ruchowi, ponieważ uosabia wszystkie cechy charakteryzujące „szybką” firmę, a dokładniej – ponieważ jest przełomowy, przejrzysty, zaawansowany w dziedzinie technologii i designu, zarazem lokalny i globalny, zwinny i napędzany wartościami.

Jakkolwiek dla ruchu walczącego z dominacją wielkiego biznesu wyróżnienie w gronie przedsiębiorstw może wydawać się kuriozalne, o tyle samo uzasadnienie doskonale charakteryzuje fenomen OM. Publicyści z całego świata zachwycają się jego estetyką i kulturotwórczym potencjałem – do tego stopnia, że jeden z profesorów prestiżowej uczelni biznesowej INSEAD nazwał ruch „dziełem sztuki”, uznając, iż OM jest dla

społecznych aktywistów tym, czym Steve Jobs i produkty Apple dla fanów technologii. *Zadaniem dzieła sztuki [...] jest podważyć to, co uznajemy za pewnik. To właśnie robią okupujący. Główne założenia ruchu, jego estetyka życia i organizacji, stoją w wyraźnej opozycji do struktur organizacyjnych, które przywykliśmy uznawać za niezbędne. Spójrzcie na małe namioty stojące naprzeciw szklanych i stalowych drapaczy chmur; na zgromadzenia przeciwstawione korporacyjnej hierarchii i waszyngtońskiemu lobbingsowi. Podobnie jak sztuka, ruch Occupy zrodził się z [...] mieszanki cierpienia i pasji. Cierpienia z powodu nierówności i pasji dla [...] takiej demokracji, w której liczą się głosy poszczególnych jednostek, a nie ich portfele¹.*

Rolę OM docenił również magazyn „Time”, uznając Człowiekiem Roku... Protestującego, nawiązując tym jednocześnie do aktywistów tzw. Arabskiej Wiosny, protestujących z Grecji, Rosji i Hiszpanii, jak

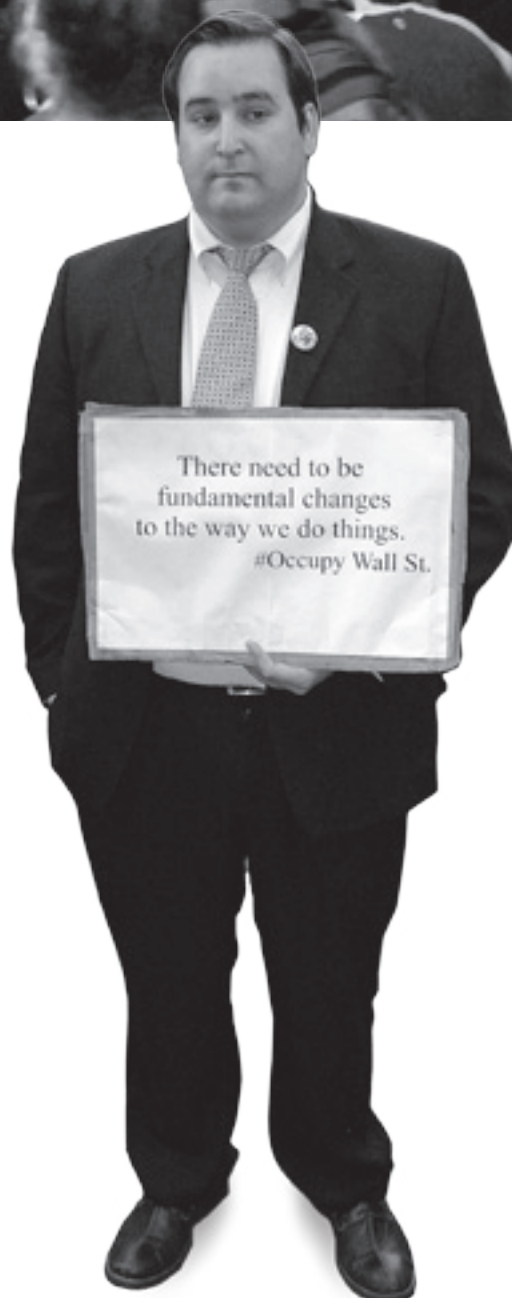


© blulaces, <http://www.flickr.com/photos/blulaces/6216497700/>

i zwolenników ruchu Occupy Wall Street. Za motyw przewodni wszystkich wymienionych ruchów magazyn uznał, podobnie jak wiele innych mediów, wykorzystanie nowoczesnych technologii, w tym mediów społecznościowych, jako narzędzia ułatwiającego i przyspieszającego społeczną mobilizację: *największą zasługą Ameryki w rozszerzaniu wolności za granicą w XXI wieku jest nie narzucanie jej militarnie, ale wspieranie jej za pomocą technologii [...]. Globalizacja zaś zrewanżowała się, przekształcając demokratyczne powstania w krajach rozwijających się w eksport inspiracji do bogatszej części świata* - napisał Kurt Andersen w artykule uzasadniającym wybór Człowieka Roku².

Stymulowanie dyskusji ważnej z gospodarczego i społecznego punktu widzenia to chyba największa zasługa Occupy Wall Street. Choć nieprawdą jest, że ruch nie posiadał sprecyzowanego programu czy postulatów (taką wizję zjawiska propagowały w USA głównie media konserwatywne), to nie poświęcono im tyle uwagi, co samej formule protestu. Wywołało szoku, jakim było masowe i dosłowne „wyjście na ulice” tysięcy niezadowolonych ludzi, jawnie przeciwstawiających się największym instytucjom Ameryki - centrum finansjery i centrum władzy, uruchomiło przełomową debatę na temat nierówności społecznych oraz konsekwencji obecnego modelu kapitalizmu. Zwłaszcza że protestujących szybko poparły liczne autorytety ze świata polityki i ekonomii, a nawet celebryci.

Jakie mechanizmy ułatwiły popularyzację OM? W jaki sposób ruch ten, wywodzący się z problemów specyficznych głównie dla USA, zyskał międzynarodowy zasięg i poparcie?



© david.shankbone, <http://www.flickr.com/photos/shankbone/6307955581/>

Odpowiedni moment

Sukces OM nie byłby możliwy bez odpowiedniego gruntu. Krytyka kapitalizmu i wielkich instytucji finansowych narastała stopniowo od początku obecnego kryzysu ekonomicznego. Coś, co dotychczas było udziałem grupy alterglobalistów – krytyka międzynarodowych korporacji i podważanie słuszności zasad współczesnego kapitalizmu – stało się chlebem powszednim wielu ekonomistów, polityków i samych biznesmenów. Zanim OM skryształizowało się w postaci ruchu o konkretnej nazwie i idei, głos w dyskusji zabierać zaczęli... sami twórcy krytykowanego systemu – pojawiła się zatem rysa, której, ze względu na prestiż wypowiadających się osób, nie dało się zignorować.

W 2009 r. John C. Bogle, założyciel „The Vanguard Group” – jednego z pierwszych funduszy inwestycyjnych w Stanach Zjednoczonych, także twórca pierwszego funduszu indeksowego, a więc współtwórca współczesnego rynku kapitałowego – napisał w książce o znaczącym tytule „Dość. Prawdziwe miary bogactwa, biznesu i życia”: *W naszym systemie finansowym skupiamy uwagę wyłącznie na zyskach, które mogą nam przynieść rynki finansowe, nie dostrzegając niebotycznych kosztów generowanych przez ten system [...]. Za bardzo liczymy na to, co można porachować, a za mało na zaufanie – ufność pokładaną w innych i poczucie, że i my jesteśmy godni ich zaufania. [...] Mamy za dużo „złota głupców” w postaci marketingu i sztuki sprzedaży, a nie dość prawdziwego złota w postaci idei odpowiedzialności i zasad troski o dobro klienta*³.

Bogle, w niezwykle szczery i otwarty sposób, precyzyjnie opisuje w książce wszystkie „grzechy” amerykańskiego rynku kapitałowego, wskazując na odejście od etycznych standardów w sferze zarządzania złożonymi instrumentami finansowymi. Piętnuje krótkowzroczność i nieodpowiedzialność zarządzających aktywami, nawołując do zwrócenia większej uwagi na wartości niż na zyski. Niewiele jest głosów tak poruszających, jak głos Johna Bogle’a – kogoś, kto nie tylko współtworzył podwaliny systemu, ale też jest doceniany w środowisku za swoje wybitne osiągnięcia w rozwijaniu instrumentów rynku kapitałowego.

To nie jedyny autorytet z „wewnątrz” środowiska biznesu, który odważył się na konstruktywną samokrytykę. *Kapitalizm znalazł się w potrzasku* – napisali w marcu 2011 r. dwaj czołowi światowi eksperci ds. zarządzania, doradczący największym i najbardziej dochodowym korporacjom na świecie, Michael E. Porter oraz Robert M. Kramer. Porter, który jest m.in. profesorem Harvard Business School, to twórca jednych z najistotniejszych teorii w naukach o zarządzaniu – z jego koncepcji, dotyczących zasad budowania konkurencyjności i strategii, korzystają przedsiębiorstwa i rządy na całym świecie. W artykule zatytułowanym „Tworzenie wartości dla biznesu i społeczeństwa”⁴, który ukazał się na łamach prestiżowego „Harvard



Business Review”, Porter i Kramer przekonywali korporacje, iż nadszedł czas, aby zmienić zasady tworzenia wartości tak, aby celem był już nie tyle sam zysk, lecz tzw. wartość ekonomiczno-społeczna, w skrócie określana jako CSV (Creating Shared Value).

Jak to się stało, że nobliwi specjaliści od „maksymalizacji zysków” i magazyn czytany przez top menedżerów poświęcili tyle miejsca krytyce systemu, dzięki któremu się utrzymują? Wyjaśnienia dostarczyli sami autorzy: *Od paru lat biznes coraz częściej jest postrzegany jako główna przyczyna problemów społecznych, ekologicznych i gospodarczych. Istnieje powszechne przekonanie, że firmy prosperują kosztem większych społeczności. Co gorsza, im więcej firm zaczyna przyswajając sobie ideę społecznej odpowiedzialności, tym bardziej obwinia się je o społeczne zaniedbania. Poparcie społeczeństw dla biznesu spadło do poziomów nienotowanych w najnowszej historii. Nadszarpnięte zaufanie do korporacji skłania przywódców politycznych do wprowadzania rozwiązań osłabiających konkurencyjność i hamujących wzrost gospodarczy*.

Strach przed interwencją państwa i nadmierną – zdaniem przedsiębiorców – regulacją od dawna był motorem dla tworzenia koncepcji z obszaru tzw. społecznej odpowiedzialności biznesu. Faktem jest, że wiele państw istotnie zaostrzyło kontrolę rynku w ramach pokryzysowych środków naprawczych. W sytuacji, gdy krytyka kapitalizmu stała się powszechna, a dotychczasowe metody nadawania korporacjom „ludzkiej twarzy” okazały się niewystarczające i nieadekwatne, ekspertom od zarządzania nie pozostało



@david_shankbone, <http://www.flickr.com/photos/shankbone/6199719210/in/set-7215762792055872>

nic innego, jak wyjść z propozycją nowej teorii – uratować w ten sposób swoje poprzednie tezy i... tym samym także swoje posady.

Równie istotne, co głosy autorytetów od zarządzania, było aktywistyczne „przygotowanie”, jakie zagwarantowała fundacja Adbusters (Adbusters Media Foundation, wydająca magazyn o tej samej nazwie). Organizacja działająca od 1989 r., przy pomocy wyrazistych, chwytliwych haseł i współpracy z zaangażowanymi artystami, naukowcami i przedsiębiorcami od lat promuje działania na rzecz odejścia od nadmiernego konsumpcjonizmu i krytykuje amerykański kapitalizm, jak również podstawy neoklasycznej ekonomii. Przykładem ciekawej akcji w tej ostatniej sferze może być zainicjowany kilka lat temu program „Kick It Over”. Skierowany jest on do studentów ekonomii i ich nauczycieli, a polega na propagowaniu weryfikacji modelu nauczania przyjętego na uczelniach ekonomicznych, opartego na paradygmacie neoklasycznej szkoły chicagowskiej. W ramach projektu powstał manifest („Kick It Over Manifesto”), który studenci mogą wywieszać na swoich uczelniach, a także traktować jako punkt wyjścia do dyskusji na zajęciach. W manifestie czytamy: *My, niżej podpisani, czynimy taki oto zarzut: wy, nauczyciele neoklasycznej ekonomii i absolwenci, dokonaliście gigantycznego oszustwa wobec świata. Twierdzicie, że zajmujecie się czystą nauką opartą na wzorach i regułach, podczas gdy wasza nauka jest nauką społeczną, z całą wrażliwością i niepewnością dla niej charakterystyczną. Oskarżamy was o udawanie kogoś, kim nie jesteście*⁵.



@david_shankbone, <http://www.flickr.com/photos/shankbone/6179612076/>

To właśnie od akcji Adbusters rozpoczęła się oficjalna działalność ruchu Occupy Wall Street – po tekście zamieszczonym na stronie organizacji 13 lipca 2011 r. protestujący zaczęli gromadzić się w Nowym Jorku we wskazanym czasie. *Czas na demokrację zamiast korporacji [...]. Zbierzmy w sobie odwagę, spakujmy nasze namioty i udajmy się na Wall Street 17 września w ramach zemsty.*

Fundamenty buntu

Wszystkie wspomniane czynniki to jednak zjawiska wtórne. Ich istnienie ułatwiło przygotowanie gruntu pod ruch OM, jednak pierwotne przyczyny są inne. Za to, że tak wiele osób odnalazło się w hasłach głoszonych przez aktywistów koczujących w nowojorskim parku Zuccotti uważa się rosnące dysproporcje w dochodach zamożnych i ubogich, czyli pogłębiające się nierówności społeczne, które w USA są wyjątkowo duże – i niemal dwukrotnie większe niż w czołowych krajach Europy. Również trudny dostęp do systemów opieki zdrowotnej i edukacji – pozostających głównie w rękach prywatnego biznesu – stanowi gigantyczną barierę w podnoszeniu standardów życia. Ponadto w kraju, gdzie panuje mit, wedle którego dorobić może się każdy, jeśli odpowiednio ciężko na to pracuje i wykorzysta nadarżające się szanse, niezrozumiałe jest, dlaczego dochody pewnych grup – szefów dużych firm i banków – wzrastają nierównomiernie do zarobków innych⁶.

I choć nierówności w innych krajach, w których „odtworzono” Occupy Movement w lokalnych wersjach, nie są tak znaczne jak w Stanach Zjednoczonych,

uniwersalność haseł OM wystarczyła, aby uruchomić mechanizmy protestu. Chwytliwe okazało się hasło „We are the 99%” – To my jesteśmy 99 procentami – odzwierciedlające statystyki nierówności w USA (1% Amerykanów ma dochody równe osiąganym przez pozostałe 99% obywateli), a zarazem bardzo uniwersalne.

Choć te hasła Occupy Movement, które zostały nagłośnione w mediach, mogą wydawać się bardzo ogólnikowe, to ruch posiada również bardziej sprecyzowane postulaty programowe. Pierwsze reakcje mediów, głównie konserwatywnych, w USA na pojawienie się namiotów w okolicy Wall Street były powierzchowne – koncentrowano się głównie na wyglądzie i zachowaniu co bardziej spektakularnych protestujących, ruch określano jako chaotyczny i nieskoordynowany, a także pozbawiony wyraźnej warstwy ideologicznej. Postulaty manifestantów ginęły w sztucznie kreowanym obrazie „zgromadzenia niedojrzałych awanturników”. W rzeczywistości ruch nie miał formuły anarchistycznej. Ciałem „zarządzającym” było Ogólne Zgromadzenie Miasta Nowy Jork – z jego inicjatywy ruch przyjął deklarację, zawierającą klarowne wyjaśnienie przyczyn protestu i bazowe postulaty (Deklaracja Okupacji Miasta Nowy Jork z dnia 29 września 2011 r.).

Deklaracja krytykuje m.in. takie praktyki, jak: dokonywanie eksmisji w wyniku braku spłaty kredytu i nielegalne przejmowanie hipotek, wspieranie przez rząd USA instytucji finansowych, wypłacanie niebotycznych premii szefom korporacji, nieprzestrzeganie praw pracowniczych i praw człowieka przez korporacje zatrudniające ludzi w krajach rozwijających się, sponsorowanie polityków przez lobbystów korporacji, patentowanie ważnych ze społecznego punktu widzenia osiągnięć naukowych (np. leków), prowadzenie działań wojennych w imię „demokracji” w innych krajach itd. Deklaracja jest zatem wyrazem ostatecznego protestu, bez wskazania konkretnych rozwiązań zasygnalizowanych w niej problemów.

Brak uszczegółowionych postulatów był w tym przypadku zamierzony. Część osób związanych z ruchem uważała, że podstawowa deklaracja wystarczy, argumentując, iż „postulaty zakładają stawianie jakichś warunków [w domyśle: których spełnienie odbędzie się w określonym czasie], a my nigdy nie ustaniemy”. Ta strategia tylko z pozoru może wydawać się nieprzemyślana. Jeśli jednak spojrzymy na efekty działania OWS – rozpoczęcie ogólnonarodowej debaty dotyczącej najważniejszych problemów społecznych i gospodarczych w USA oraz uruchomienie szeregu ważnych dyskusji w Europie i na świecie – widać, że już samo wskazanie konkretnych problemów, być może wcześniej nieakcentowanych tak silnie i niedostrzeganych przez opinię publiczną, doprowadziło do ważnej zmiany.

To właśnie te – uniwersalne, a przez niektórych określane jako „ogólnikowe” – hasła zaskarbiły OWS tytuł zwolenników. W komentarzach pod jednym

z artykułów opisujących wydarzenia na Wall Street, anonimowy internauta napisał coś, pod czym podpisać mógłby się prawie każdy: *Nie jestem aktywistą i nie koczuję wraz z protestującymi na Wall Street, ale czuję, że są mi bliscy, bo podobnie jak ja i wielu Amerykanów wyczuwają, że coś jest nie tak z naszym systemem.*

Pojawianie się ruchu Occupy Wall Street i jego szybko, międzynarodowa ekspansja zmusiły praktycznie wszystkich liczących się liderów politycznych i gospodarczych do ustosunkowania się wobec problemów sygnalizowanych przez OWS. Opinie, jak zwykle w takich sytuacjach, były podzielone, przy czym zdecydowana większość głosów (nie licząc Republikanów i konserwatystów, tradycyjnie nastawionych negatywnie do tego rodzaju ruchów) wyrażała jeśli nie poparcie, to choćby zrozumienie dla haseł protestujących. Nawet Barack Obama w oficjalnym przemówieniu wyraził szacunek dla protestujących i uznał, że przedstawiciele ruchu wyrażają frustrację znacznej części narodu. Jest ona naturalną konsekwencją kryzysu oraz poczucia, że państwo nie zapewnia dostatecznej ochrony swoim obywatelom.

Sami przedstawiciele finansjery z Wall Street okazywali mieszane reakcje – od entuzjazmu wobec ruchu i chęci dialogu, wyrażonej przez CEO Citigroup, Vikrama Pandita, do konwencjonalnych, neoliberalnych poglądów, wyrażanych m.in. przez burmistrza Nowego Jorku, Michaela Bloomberg. Ten ostatni straszył, że *jeśli ludzie, którzy zatrudnieni są w sektorze finansów, który stanowi ogromną część naszej gospodarki, odejdą, nie będziemy mieli z czego płacić pracownikom zatrudnianym przez miasto ani za co sprzątać parków.* Sceptycyzm wobec Occupy Movement zachował również Tony Blair (*Ci, którzy krzyczą najgłośniejszy to niekoniecznie zawsze ci, którzy najbardziej zasługują na wysłuchanie*), choć już John Vincent Cable, minister biznesu Wielkiej Brytanii, wyraził się o ruchu w sposób bardziej pozytywny: *Mam sympatię dla odczuć, które za nimi stoją. Niektóre z ich postulatów nie są beznadziejne, ale nie o to chodzi. Sądzę, że [ruch] odzwierciedla poczucie, że niewielka grupa ludzi doskonale sobie radziła w czasie kryzysu, często niezastępowanie, podczas gdy spora grupa tych, którzy w żaden sposób się do kryzysu nie przyczynili, w tym samym czasie straciła.*

Debata zapoczątkowana przez OWS toczy się do dzisiaj – w mediach, w wypowiedziach polityków, w analizach socjologów. Ruch nadal działa, choć już w mniej radykalnej formie. Nie okupuje ulic, ale w coraz większym stopniu okupuje umysły.

Technologie i ludzie

Rola nowych mediów, szczególnie portali społecznościowych w popularyzacji haseł ruchu Occupy Wall Street jest nie do przecenienia, choć należy z dystansem podchodzić do opinii uznających jedynie to narzędzie za klucz do sukcesu aktywistów. Jak zauważył wspomniany Kurt Andersen: *Media społecznościowe*



© david.shankbone, <http://www.flickr.com/photos/shankbone/6220421272/>

i smartfony nie zastąpiły więzi społecznych i bezpośrednich kontaktów, ale ułatwiły je i pomogły je w szybkim tempie zmienić, umożliwiając protestującym bardziej zwinną mobilizację oraz efektywne komunikowanie się między sobą i ze światem.

W przypadku Occupy Wall Street dostępna technologia została zastosowana z pewnością w sposób maksymalnie efektywny. Pierwszy sygnał pochodzący ze strony Adbusters, dający znak do rozpoczęcia okupacji w ustalonym terminie, rozprzestrzenił się błyskawicznie za pomocą Twittera. Occupy Wall Street zaistniało wkrótce w serwisie Facebook, aby ze swojego fanpage'u prowadzić dalsze działania nawołujące do przyłączenia się do protestu. Niedługo potem z tych samych narzędzi skorzystały pojawiające się lokalne odłamy w innych miastach Ameryki, a za nimi także w innych krajach. Ruch stworzył również własną stronę, filmowe relacje z okupowanych terenów można było oglądać na żywo w streamingu, dzięki czemu informacje o tym, co dzieje się na miejscu, docierały w czasie rzeczywistym, a sieci społecznościowe umożliwiły kontaktowanie się członków ruchu w każdym miejscu i czasie.

Sama technologia nie byłaby niczym szczególnym, gdyby nie ludzie, którzy ją zastosowali i skorzystali z niej w odpowiednim czasie. Szczególnie ważne w przypadku OWS jest nazwisko Tima Poola – młodego aktywisty i reportera, który przy pomocy kamery i serwisu umożliwiającego streaming (Ustream) relacjonował wydarzenia na Wall Street od początku

akcji. Pool z zaangażowaniem filmował okupację, niekiedy nawet przez 20 godzin dziennie. Sfilmowane przez niego pierwsze godziny funkcjonowania okupacji obejrzało na bieżąco ponad 20 tys. osób i 250 tys. indywidualnych użytkowników w ciągu pierwszego dnia, a jego materiał retransmitowały liczne serwisy informacyjne.

Dziś, po upływie pewnego czasu, przedstawiciele ruchu myślą już o bardziej zaawansowanej technologii – ogłosili nawet plany stworzenia alternatywnego serwisu społecznościowego, takiego, który umożliwiłby kontakt jedynie między zaufanymi użytkownikami i zmniejszył niebezpieczeństwo demaskowania planowanych działań przez media i osoby działające przeciwko ruchowi. Postulowana w deklaracji niechęć wobec kontroli i nieszanowania prywatności jednostek znajduje zatem odzwierciedlenie w planowanych modyfikacjach narzędzi.

Iść za ciosem

Każdy ruch społeczny po fazie wzmożonej aktywności, która w przypadku OM przypadła na końcówkę 2011 r., staje przed pytaniem o przyszłość – czy i jak kontynuować działania? Jak wykorzystać potencjał i zmobilizowane społeczeństwo? W przypadku Occupy Wall Street sprawa wygląda całkiem nieźle. Jak zauważył jeden z amerykańskich publicystów, nie ma nic złego w tym, jeśli dany ruch chce zmieniać system i robi to wszystkimi sposobami – także „od wewnątrz”. Tak też zaczyna działać OWS. Kilka tygodni temu część OM o nazwie Occupy The SEC (U.S. Securities and Exchange Commission) przedstawiła 325-stronicowy dokument: list zawierający konkretne, merytorycznie klarowne i doskonale opracowane propozycje reform, które mogą usprawnić działania systemu finansowego w Stanach. Tak wysublimowanego i zaawansowanego działania nikt się po OWS nie spodziewał, jednak propozycje przedstawione przez ten szczególnie odłam ruchu zostały uznane za całkowicie zgodne z „zasadami sztuki”. O poparcie ruchu walczą demokratyczne frakcje polityczne, zwłaszcza środowisko związane z Obamą, póki co jednak OWS konsekwentnie trzyma się z dala od polityki.

NATALIA ĆWIK

Przypisy:

1. G. Petriglieri, *Occupy Wall Street is not a machine. It's a work of art*, INSEAD Knowledge 2012, <http://knowledge.insead.edu/INSEAD-knowledge-occupy-wall-street-111216.cfm>
2. K. Andersen, *The Protester*, „Time”, 14.12.2011 r.
3. J.C. Bogle, *Dość. Prawdziwe miary bogactwa, biznesu i życia*, PTE 2009, ss. 24-25.
4. M.E. Porter, R.M. Kramer, *Tworzenie wartości dla biznesu i społeczeństwa*, „Harvard Business Review Polska”, maj 2011 (tekst oryginalny ukazał się w anglojęzycznej wersji magazynu w marcu 2011).
5. <http://kickitover.org/download/23/kick-it-over-manifesto>
6. Zob. T. Zalewski, *Koniec mitu pucybuta*, „Polityka”, nr 8, 2012.

Lokalna demokracja finansowa

Budżet partycypacyjny
i demokracja bezpośrednia
na przykładzie Porto Alegre
w latach 1990-2005

MARCIN RZEPA

Porto Alegre, stolica regionu Rio Grande do Sul, zmagająca się z problemami występującymi we wszystkich miastach Brazylii. Mimo że jest to miasto relatywnie bogate i uprzemysłowione, cechuje je duże rozwarstwienie społeczne. Rządy oligarchiczne spowodowały z jednej strony wszechwładzę elit i wykluczenie biedniejszych warstw ludności, z drugiej – populizm, który pozwalał na zapewnienie społecznego poparcia. W latach 80. miały miejsce liczne afery korupcyjne i malwersacje finansowe. Rok 1989 był szczególnie uciążliwy: szalała hiperinflacja, niemal wstrzymano inwestycje, sytuacja mieszkaniowa była bardzo trudna. Większość budżetu miasta przeznaczano na wynagrodzenia dla pracowników samorządowych.

Problemy finansowe władz miejskich oraz nieustępliwość mieszkańców doprowadziły do gwałtownych przemian. W 1989 r. rządy w Porto Alegre objęła Partia Pracujących (Partido dos Trabalhadores). Początkowo jej celem było stworzenie rad pracowniczych oraz umożliwienie mieszkańcom wpływu na podejmowanie decyzji przez organy municypalne, jednak aby pozyskać szerokie poparcie społeczne zdecydowano się na bardziej radykalne zmiany. **Od 1990 r. zaczął funkcjonować nowy mechanizm, zawierający elementy**

demokracji bezpośredniej, z których najważniejszym był budżet partycypacyjny, określany jako obywatelska, niepaństwowa forma zarządzania (*civil, not state, form of governance*). Odtąd decydujący głos miał należeć do mieszkańców, a władze miejskie miały jedynie zatwierdzać przyjęte przez nich ustalenia.

Najważniejszym elementem systemu są regularne zgromadzenia mieszkańców miasta. Ich podstawowym zadaniem jest sporządzanie listy priorytetów budżetowych oraz pilnowanie realizacji postulatów społecznych. Mają one miejsce przez cały rok, jednak spełniają różne funkcje. Najważniejsze są zgromadzenia regionalne (Assembléias Regionais), odbywające się w poszczególnych regionach (jednostkach administracyjnych, składających się z kilkunastu lub kilkunastu dzielnic) w dwóch rundach. Najpierw mają miejsce zgromadzenia przygotowawcze (Reuniões Preparatórias), a następnie spotkania właściwe (Rodada Única). Ich organizacją zajmują się wspólnoty wraz z władzami miejskimi. W okresie pomiędzy tymi spotkaniami odbywają się zgromadzenia lokalne (na szczeblu dzielnic). Ich zadaniem jest debatowanie nad sprawami ważnymi z punktu widzenia lokalnej społeczności oraz demokratyczne głosowanie nad



priorytetami inwestycyjnymi. Wybierają one także delegatów do innych organów, czyli do Rady Budżetu Partycypacyjnego oraz Forum Delegatów.

Mieszkańcy spotykają się także w ramach zgromadzeń tematycznych (Assembléias Temáticas), które służą prowadzeniu debat dotyczących ogólnych spraw, ważnych z punktu widzenia miasta jako całości. Zgłaszane są tam pomysły związane z funkcjonowaniem systemu. Co jakiś czas organizowane są także kongresy programowe, na których dyskutuje się na temat kierunków rozwoju, a także takich kwestii, jak prawa człowieka, edukacja czy polityka mieszkaniowa. Kolejne kongresy gromadzą nie tylko mieszkańców, ale także delegatów różnych organizacji.

Decydującym organem (z punktu widzenia wdrażania przyjętych założeń), jest wspomniana Rada Budżetu Partycypacyjnego (Conselho do Orçamento Participativo), która składa się z 48 wybranych przedstawicieli, w tym także członków Rady Miasta, którzy nie mają jednak prawa głosu. Przedstawiciele wybierani są na rok, z możliwością reelekcji. Istotny jest fakt, że mieszkańcy mogą odwołać swoich delegatów. Mamy więc do czynienia z mandatem imperatywnym, który należy uznać za niezwykle istotny

z punktu widzenia ochrony interesów obywateli miasta. Rada, na podstawie celów wyznaczonych przez zgromadzenia regionalne oraz sugestii zgromadzeń tematycznych, wybiera na kolejny rok trzy zagadnienia najważniejsze z punktu widzenia miasta jako całości. Władze miejskie wspierają ten proces, określają także wysokość budżetu przeznaczonego na inwestycje. Wyłonieni przedstawiciele współpracują z mieszkańcami oraz agencjami samorządowymi, tworząc projekt budżetu, który następnie zostaje przedstawiony władzom miasta. Najczęściej budżet taki aprobowany jest w całości, a jeśli Rada Miasta chce zgłosić poprawki, zawsze włącza w to mieszkańców oraz informuje opinię publiczną. Mieszkańcy mają możliwość zgłaszania poprawek, a zgromadzenia Rady mają charakter otwarty. Wybrani przedstawiciele mogą zaznajomić się ze szczegółami dotyczącymi finansów. Bronią także przyjętych wcześniej planów. Jest to krytyczny obszar starcia interesów obywateli z władzą. W przeciwieństwie do klasycznej demokracji przedstawicielskiej nie mamy tutaj przeciwstawienia władza - obywatele (odbywającego się z pozycji siły), ale władza - demokratycznie wybrani przedstawiciele mieszkańców.

Ostatecznym wynikiem burzliwych dyskusji jest finałowa wersja planu inwestycyjnego, ze szczegółową listą inwestycji. Po jej uchwaleniu burmistrz przedstawia ów dokument Radzie Miasta, która może odrzucić go w głosowaniu. **Istnieje więc możliwość zablokowania decyzji podjętych przez mieszkańców, jednak taka sytuacja w omawianym okresie nie miała miejsca.** Poza wymienionymi instytucjami utworzono także kilka organów pomocniczych. Forum Delegatów (Fórum de Delegados) ma za zadanie kontrolować podejmowane działania, informować obywateli o ich przebiegu oraz zbierać pomysły na nowe projekty. Biuro Planowania (Gabinete de Planejamento) oraz Biuro Koordynacji Relacji ze Wspólnotami (Coordenação de Relações com as Comunidades) są organami władz miejskich, pośredniczącymi między władzą wykonawczą a mieszkańcami. Gabinet Planowania Miasta (Gabinete de Planejamento) zapewnia wsparcie techniczne i ekonomiczne. Komisja Trójstronna (Tripartite Comissão), w skład której wchodzi reprezentanci pracowników administracji, zarządu miasta oraz Rady Budżetu Partycypacyjnego, zajmuje się sprawami związanymi z zatrudnieniem urzędników.

Decydujące znaczenie mają następujące po sobie cykle spotkań, organizowane na poziomie lokalnym, regionalnym oraz całego miasta. We wstępnej fazie, zgromadzenia odbywają się bez udziału czy ingerencji władz. Jest to bardzo ważny etap, w czasie którego mieszkańcy składają propozycje dotyczące priorytetów inwestycyjnych. Mogą zgłaszać swoje projekty i inicjatywy dotyczące różnych kwestii. Takie podejście wzmacnia w ludziach poczucie samodzielności i odpowiedzialności za podejmowane decyzje. Potwierdza także, iż to sami obywatele decydują o podziale środków, a nie są jedynie swoistą fasadą, która ma legitymizować system. Pojawiały się projekty przekazania zgromadzeń organizacjom i stowarzyszeniom społecznym, jednak wymóg ten nie został wprowadzony w życie. W zgromadzeniach mogą więc uczestniczyć wszyscy mieszkańcy, a organizacje nie posiadają żadnych specjalnych przywilejów.

Partycypacja nie kończy się na samym podejmowaniu decyzji. Zgromadzenia na bieżąco monitorują wprowadzanie ustaleń w życie. Mamy więc do czynienia z różnymi rodzajami uczestnictwa ludności w tworzeniu budżetu: debatowanie, negocjacje oraz kontrola. Spotkania dają możliwość dyskusji o bieżących wydarzeniach, czy organizację protestów. Dotyczy to nie tylko kwestii finansowych, ale wszystkich spraw ważnych dla wspólnoty. Uzgadnia się potrzeby mieszkańców, proponuje inwestycje oraz podejmuje decyzje dotyczące hierarchii celów. Nowe inwestycje ustalane są według kryteriów związanych z brakiem infrastruktury lub usług publicznych, ogólną liczbą mieszkańców danej jednostki administracyjnej i priorytetami wybranymi przez jej mieszkańców oraz przez całe miasto. Porto Alegre podzielone

http://pt.wikipedia.org/wiki/Ficheiro:Mercado_p%C3%BAblico_de_porto_alegre.jpg



©©© Hélio Sassen Paz, <http://www.flickr.com/photos/heliopaz/3028298288/in/photostream>



zostało na szesnaście regionów według kryterium społeczno-ekonomicznego (na miejsce dawnych czterech według kryterium technicznego). Wybrano sześć zakresów tematycznych: transport; kultura; rozwój ekonomiczny i podatki; edukacja, sport i rozrywka; rozwój miejski i ochrona środowiska; ochrona zdrowia i pomoc społeczna. Pokazują one, które obszary są najważniejsze z punktu widzenia ludności miasta.

Istotnym elementem całego procesu jest dokładne informowanie mieszkańców. Mają oni pełny dostęp do informacji administracyjnej, co pozwala im podejmować decyzje oparte na dokładnej analizie sytuacji. Każdy obywatel posiada także bierne prawo wyborcze do zgromadzeń oraz Rady Budżetu Partycypacyjnego. System niejako wymusza zainteresowanie się sprawami, które są ważne nie tylko dla najbliższego sąsiedztwa, ale dla całego miasta. Obywatele nie tylko zgłaszają swoje postulaty, ale ustalają priorytety działań w relacji (a niekiedy nawet konfrontacji) do sąsiadów z innych ulic, dzielnic i rejonów miasta. Ludzie przychodzą na spotkania w celu rozwiązania problemów, które są najważniejsze z ich własnej perspektywy. Toczą się tam ostre dyskusje, powstają porozumienia, budowane są koalicje. Niekiedy rywalizacja i nieustępliwość biorą górę nad solidarnością i pragmatyzmem.



Nie są to jednak jałowe dyskusje, jakie znamy ze świata zawodowych polityków.

Mieszkańcy wiedzą, że podejmowane decyzje będą miały wymierny wpływ na rzeczywistość wokół nich i mają nadzieję na poprawę sytuacji. Jednocześnie zdają sobie sprawę z interesów innych dzielnic, a ich świadomość wychodzi poza najbliższe sąsiedztwo. Toczono dyskusje zwiększając zrozumienie potrzeb innych. Z wypowiedzi mieszkańców wynika, że przynajmniej niektórzy zaczęli zdawać sobie sprawę, że ich problemy są niekiedy nieporównywalne z tymi, które dotyczą żyjących w sąsiedniej dzielnicy. Wpływa to na ustalanie listy priorytetów zgodnie z faktycznymi potrzebami. Tak więc z jednej strony pozbyto się bezcelowych dyskusji na abstrakcyjne tematy i przełożono je na konkretne postanowienia. Z drugiej zaś, mieszkańcy mogą podejmować decyzje dotyczące nie tylko kanalizacji czy budowy dróg w najbliższym sąsiedztwie, ale także brać udział w konstruowaniu planów rozwoju miasta jako całości.

Wszystkie zgromadzenia są jawne i otwarte, każdy ma prawo do wyrażenia swojego zdania oraz głosowania (to ostatnie dotyczy oczywiście tylko zarejestrowanych w danym okręgu). Szeroki udział społeczny jest niezbędny dla prawidłowego funkcjonowania systemu, ale też dopiero właściwe jego funkcjonowanie

zapewnia uczestnictwo na odpowiednio wysokim poziomie. Najtrudniej było na początku lat 90., gdy łącznie w procesie brało udział 12 tys. osób, a więc 1% wszystkich mieszkańców. Liczba obywateli uczestniczących w procesach ulegała jednak systematycznemu wzrostowi (o kilkadziesiąt tysięcy rocznie) i w latach 2000-2004 wszystkie oficjalne i nieoficjalne zebrania gromadziły już od 150 do 200 tys. osób.

Poziom partycypacji jest odzwierciedleniem nierówności społecznych, ale w sposób odwrotny do stereotypowych wyobrażeń. Ludzie biedniejsi i gorzej wykształceni częściej uczestniczą w zebraniach. Szczególnie licznie reprezentowane są kobiety i osoby młode oraz mniejszości etniczne. Odniesiono sukces we włączeniu do procesu grup wcześniej wykluczonych ekonomicznie i politycznie. Niezbyt zainteresowani są natomiast ludzie należący do najbogatszych grup społecznych. Klasa średnia również uczestniczy w mniejszym stopniu. Należy pamiętać, że grupy tradycyjnie wykluczone muszą brać udział w tym procesie – jest to oznaka zmiany obowiązujących zasad. Z drugiej strony, ważne są przede wszystkim rezultaty, a decyzje powinna podejmować możliwie najszerza część społeczeństwa. Okazuje się, że mimo iż generalnie ludzi wcale nie jest tak trudno nakłonić do aktywnego uczestnictwa w debatowaniu i podejmowaniu

©© Fora do Eixo, <http://www.flickr.com/photos/foradoeixo/7182126828/>



decyzji, niektóre grupy społeczne nie zostały jeszcze do tego przekonane.

System funkcjonujący w Porto Alegre jest krytykowany przez różne środowiska. Najbardziej konstruktywne zarzuty pojawiają się ze strony naukowców. Według niektórych, system funkcjonuje jedynie na zasadzie kontrastu wobec poprzedniego, jako eksperyment, a jego przyszłość – w warunkach stabilizacji politycznej i gospodarczej – jest niepewna. Argumentują oni, że udział ludności może się znacznie zmniejszyć i doprowadzi to do powstania ustroju, który może być mniej efektywny niż w punkcie wyjścia. Kolejny zarzut dotyczy faktu, że członkowie wspólnot skupiają się na strategii krótkoterminowej, nie tworząc jednocześnie długofalowej wizji miasta.

Poza tym, według niektórych, system niesie ze sobą potencjalne zagrożenia. Nie eliminuje możliwości wyłonienia się swego rodzaju elity wśród delegatów wybranych na zgromadzeniach. Dzięki wiedzy oraz umiejętnościom zdobywają oni przewagę, która – przy wzrastającym skomplikowaniu procedur – stawia ich na uprzywilejowanej pozycji. Pojawiały się zarzuty, że niektórzy z przedstawicieli tworzyli ekskluzywną grupę (określaną jako *panelinha dos conselheiros*).

Takie praktyki mogą prowadzić do powrotu systemu przedstawicielskiego.

Warto jednak pamiętać, że – nawet zgadzając się z tymi argumentami – system wygląda korzystnie w porównaniu z tradycyjną demokracją przedstawicielską. Najwięcej krytyki pochodziło od elit politycznych i biznesowych, które od początku stały na stanowisku, iż stworzony system to „rząd dla ubogich”, a programy skupiają się jedynie na transferze kompetencji i funduszy między grupami społecznymi. Sam fakt szerokiej partycypacji miał według nich służyć jako parawan dla zapewnienia legitymacji procesu, a nadreprezentacja ludzi biedniejszych – oznaczać, że jest to jedynie przesunięcie „decyzyjności” na inną grupę społeczną. W praktyce miałyby to być redystrybucja kapitału od najbogatszych do najbiedniejszych. Początkowo także spora część klasy średniej była przeciwna nowemu systemowi, jak i samej Partii Pracujących. Uznała jednak efektywny sposób rządzenia i ostatecznie krytyka z jej strony została stonowana.

Główne zarzuty, jakie możemy usłyszeć z lewej strony sceny politycznej, dotyczą przede wszystkim genezy powstania oraz zbyt małego stopnia zaawansowania procesu. Pierwszy zarzut odnosi się do faktu, że to nie samo społeczeństwo zorganizowało się, tworząc

<http://pt.wikipedia.org/wiki/Ficheiro:Favelas-portoalegre.jpg>



http://en.wikipedia.org/wiki/File:Porto_Alegre_skyline.jpg



nową jakość, lecz powstała ona w wyniku współpracy organizacji społecznych z władzami lokalnymi. Jest to więc sojusz państwa ze społeczeństwem obywatelskim i jako taki jest nie do przyjęcia dla niektórych bardziej radykalnych przedstawicieli lewicy. Krytykowany jest fakt, że wybory ludności koncentrują się na określaniu mniejszego zła, zaś działalność organizacji społecznych polega przede wszystkim na obronie własnych interesów.

Wydaje się jednak, że ogólna ocena systemu powinna być pozytywna, choćby dzięki zwróceniu uwagi na najbiedniejszych, poprawie warunków ich życia i lepszemu zaspokajaniu potrzeb ludności. **Od początku zajęto się priorytetami, a więc budową ulic i chodników, zarządzaniem gospodarką odpadami, zapewnieniem usług sanitarnych, poprawą warunków mieszkaniowych (dotyczącą głównie relokacji rodzin mieszkających w slumsach) oraz edukacją, zwłaszcza podstawową. Poprawiła się jakość życia najbiedniejszych, a także klasy średniej. Dotyczy to zarówno podstawowych usług, jak i kultury. W ciągu 10 lat podwoiła się liczba dzieci w szkołach publicznych. Biedne dzielnice w centrum miasta zostały zintegrowane z miejską infrastrukturą, a nie – jak to zazwyczaj ma miejsce w Brazylii – zepchnięte poza centrum życia gospodarczego**

i kulturalnego. System pozwalał mieszkańcom na więcej niż tylko decydowanie o wydatkach z budżetu. Umożliwiał prowadzenie swego rodzaju negocjacji z przedsiębiorcami. Przy budowaniu obiektu przez prywatną firmę mieszkańcy mogli postawić warunki, np. zażądać jednoczesnego wybudowania określonej ilości mieszkań dla okolicznej ludności. Wbrew obawom niektórych nie spowodowało to wstrzymania inwestycji w mieście, a inwestorzy musieli po prostu dostosować się do nowych reguł.

Mamy tu więc do czynienia ze swego rodzaju odwróceniem priorytetów: na pierwsze miejsce wysuwają się interesy najbardziej potrzebujących, zamiast grup tradycyjnie odnoszących największe korzyści, czyli najbogatszych i politycznie uprzywilejowanych. Nowe inwestycje ustalane są według listy kryteriów, która obejmuje istniejącą infrastrukturę, liczbę ludności, priorytety wybrane przez mieszkańców w dzielnicach oraz w całym mieście.

Za największe osiągnięcie uznać należy jednak przełamanie istniejącego schematu biurokratycznego i oligarchicznego oraz zastąpienie go nowym systemem redystrybucyjnym, budżetowym oraz rozwojem zaangażowania społecznego. Osoba reprezentująca mieszkańców miasta jest jedynie delegatem, związanym instrukcjami swoich wyborców i w każdej chwili może zostać odwołana. Zdecydowanie poprawiła się przejrzystość procesów. Inwestycje realizowane są tam, gdzie występują najbardziej palące potrzeby, a nie skupiają się jedynie w bogatych dzielnicach. **Priorytet uzyskują te przedsięwzięcia, które są potrzebne, nawet gdy dotyczy to tak prozaicznych z punktu widzenia wielkiej polityki i biznesu kwestii, jak usługi sanitarne. Władze miasta nigdy nie były zainteresowane inwestycjami w coś, „czego nie widać”, natomiast mieszkańcy – jeśli tylko uważają to za palący problem – mogą przyznać takim inwestycjom pierwszeństwo.** Mniejszą wagę przykładano do tego, co najłatwiej jest dostrzec, a większą – do tego, co jest naprawdę potrzebne.

W ślad za Porto Alegre poszli inni. Przed rokiem 2004 w Brazylii było 120 miast z budżetem partycypacyjnym. Co prawda społeczności lokalne nie miały wpływu na rozdzielanie całości środków z budżetu, ale już sama liczba pozwala nam ujrzeć skalę zjawiska. Mechanizm ten został wprowadzony m.in. w Belo Horizonte, Belém, Recife, Santo André oraz mniejszych miejscowościach regionu Rio Grande do Sul. Wśród nich najbardziej rozwiniętym procesem budżetowania partycypacyjnego pochwalić się mogło Belo Horizonte. Różnice w porównaniu z Porto Alegre dotyczyły przede wszystkim stopnia zaawansowania omawianego procesu. Głównym powodem mogło być względne ubóstwo miasta oraz fakt, że elity ekonomiczne były tam bardziej konserwatywne. Mieszkańcy mieli do dyspozycji jedynie część budżetu, a same zebrania odbywały się co dwa lata. Głównym problemem

w Belo Horizonte były nie tyle małe fundusze, co brak odpowiednich kadr. Proces jednak cały czas się rozwija, a sam system nie odbiega tak bardzo od tego z Porto Alegre. Większe problemy przeżywało Recife, w którym demokracja partycypacyjna działała niezbyt sprawnie. Komitety nadzorujące były tam słabe, a sam proces nie został wsparty przez władze. Te ostatnie w pewien sposób manipulowały instytucją budżetu partycypacyjnego, używając go do swoich celów. Wydaje się, że mieszkańcy nie mieli odpowiedniej siły, aby przeforsować swoje rozwiązania. Brakowało także odpowiednich działań ze strony rządzących. **Kłęska demokracji partycypacyjnej miała miejsce wszędzie tam, gdzie zabrakło dwóch niezbędnych warunków: woli politycznej oraz presji społeczeństwa, zwłaszcza w pierwszej fazie wprowadzania nowych reguł.**

Należy pamiętać, że w większości brazylijskich miast budżet partycypacyjny jest tylko jednym z elementów systemu zarządzania. Władze municypalne pozostają najważniejszym czynnikiem, a także gwarancją, że uczestnictwo obywateli przyniesie korzystne rezultaty. To one organizują zebrania, dostarczają informacji i pilnują wykonania postanowień. Czasami używają instytucji demokracji partycypacyjnej do własnych celów. Są to przeważnie miasta o dużo mniejszej liczbie mieszkańców niż Porto Alegre. Teoretycznie instytucje demokracji bezpośredniej powinny tam działać sprawniej, w rzeczywistości jednak problemy z samym wprowadzeniem zmian są większe.

Wydaje się, że jak na razie jedynie w Porto Alegre system jest na tyle silny, że może bronić się sam, nawet w przypadku niechęci ze strony władz municypalnych. Warto tu jednak wspomnieć o Ipatindze, w której budżetowanie partycypacyjne z pewnością nie jest na najwyższym stopniu zaawansowania (obejmuje jedynie kilkanaście procent całości budżetu), ale wyróżnia się tym, że na dużą skalę wykorzystuje się tu Internet. Dotyczy to zarówno systemu głosowania wyborczego, jak i składania projektów online. Wprowadzono specjalne punkty z komputerami, gdzie przy pomocy przeszkolonego personelu mieszkańcy mogli zgłaszać swoje pomysły. Istnieje także możliwość pełnienia przez mieszkańców funkcji „agenta fiskalnego”. W takiej sytuacji otrzymują oni za pośrednictwem poczty elektronicznej informacje dotyczące określonych projektów na danym obszarze. Umożliwia im to przeprowadzanie kontroli. Każdy z użytkowników może też składać propozycje i sugestie, które zostają rozpatrzone przez odpowiednie organy. Żadne z brazylijskich miast nie wprowadziło narzędzi internetowych (szczególnie spersonalizowanych) na taką skalę, a najbardziej zaawansowane pod tym względem są Porto Alegre oraz Belo Horizonte. Najczęściej Internet służy jedynie powiadamianiu o spotkaniach oraz stanie prac budowlanych. Spowodowane jest to przede wszystkim faktem, że grupy społeczne, na których opiera się „ciężar partycypacji” mają utrudniony dostęp do sieci.

Szerokie udostępnianie narzędzi internetowych nie jest więc priorytetem. Być może jest to jednak jeden z elementów skłonnych przekonać klasę średnią do większego zaangażowania w życie miasta.

System znany z Brazylii przeniesiono także na grunt europejski (funkcjonuje on m.in. w Sewilli, Berlinie czy Płocku). W Europie doświadczenie demokracji partycypacyjnej jest jednak nieco odmienne – w większości przypadków skupia się bowiem na dyskusjach toczonych między kandydatami zatwierdzonymi przez organy państwowe. Głównym celem angażowania obywateli w proces podejmowania decyzji wydają się być względy gospodarcze. Partycypacja zostaje zastąpiona konsultacją, co powoduje osłabienie potencjału tkwiącego w dobrze zorganizowanym społeczeństwie. Najważniejsza jest już nawet nie efektywność, ale rachunek ekonomiczny. Ten natomiast może świadczyć na niekorzyść demokracji uczestniczącej, zwłaszcza w początkowym okresie, kiedy wymagane są zmiany zasad dystrybucji środków finansowych.

Być może najbardziej istotny jest fakt, że w systemie brazylijskim inicjatywa wychodzi od obywateli, natomiast politycy muszą się wobec niej ustosunkować. Nie tylko usprawnia to społeczeństwo obywatelskie, ale także wymusza na politykach odniesienie się do postulatów społecznych, a często wyklucza *de facto* możliwość ich odrzucenia. Demokracja partycypacyjna zaostrza konflikty między grupami społecznymi i wprowadza podział między elitami i resztą społeczeństwa, mimo faktu, iż wynika ze swego rodzaju konsensusu. Należy przy tym pamiętać, że demokracja partycypacyjna nie jest odporna na kryzysy; taki wybuchł w Porto Alegre w 2004 r. Obywatele weszli w konflikt z zarządem miasta. W odpowiedzi na próbę likwidacji instytucji społecznych wybuchły protesty. Władze starały się sabotować zebrania i decyzje podjęte przez mieszkańców. Ograniczenie uprawnień zgromadzeń powszechnych w latach 2005–2006 zostało przez niektórych uznane za klęskę budżetu partycypacyjnego. Część uprawnień została przeniesiona na urzędników, a mieszkańcy mieli jedynie zaakceptować podjęte decyzje. Władze miejskie zamierzały włączyć do procesu decyzyjnego instytucje wcześniej pozostające poza nim, jak firmy prywatne, fundacje czy agencje stanowe i federalne. Spotkało się to z zarzutami o chęć sabotowania całego procesu. Nowa polityka przynajmniej w niektórych założeniach powracała do klasycznej demokracji: postawiono nacisk na stabilność finansową, powierzono usługi publiczne korporacjom, przyznano ulgi wielkim firmom. Mieszkańcy nie zaprzestali protestować przeciwko odebraniu im kompetencji, choć widać znaczny spadek udziału ludzi w zebraniach. Powstały niejako dwa konkurujące ze sobą ośrodki władzy. Przyszłość systemu Porto Alegre jest niepewna, choć nadal stanowi on przykład nie tylko zaangażowania obywatelskiego w procesy decyzyjne, ale także aktywnego podejścia do

problemów społecznych, ekologicznych i gospodarczych.

Porto Alegre jest dowodem na to, że wprowadzenie instytucji budżetu partycypacyjnego oraz elementów demokracji uczestniczącej zwiększa przejrzystość procedur oraz efektywność wprowadzanych w życie projektów i zmian. Ludzie zyskują świadomość, że mobilizacja oznacza polepszenie ich sytuacji mieszkaniowej, sanitarnej, dostępu do edukacji i kultury oraz poprawienie miejskiej estetyki. Obalony zostaje mit odrębności polityki (rozumianej jako dyskusji między „przedstawicielami” wyłonionymi w procesie elekcyjnym) i problemów codziennego życia. Uczestnictwo w podejmowaniu decyzji przekłada się bezpośrednio na poprawę najbardziej zaniedbanych dziedzin oraz modernizację najbiedniejszych dzielnic. Konsekwencje są znacznie bardziej doniosłe: niezaprzeczalny jest twórczy wpływ na proces kreacji społeczeństwa obywatelskiego. Mieszkańcy rozumieją zasady, na jakich funkcjonuje władza i buntują się, jeśli ktoś chce odebrać im zagwarantowane kompetencje.

Demokracja bezpośrednia bardzo często określana jest jako nieefektywna i niepraktyczna. Przykład Porto Alegre pokazuje, że jest wręcz przeciwnie - mieszkańcom zależy na szybkim rozwiązaniu dręczących ich problemów i są mniej skłonni do przedłużania dyskusji. W przeciwieństwie do „etatowych” polityków, skupiają się na konkretach i nie próbują kształtować swojego wizerunku kosztem skuteczności. Brazylijskie miasto stanowi dowód na to, że klasyczne teorie dotyczące nieadekwatności instytucji demokracji bezpośredniej do dużych grup są nieprawdziwe.

Paradoksalnie, krytyka systemu funkcjonującego w Porto Alegre płynąca z różnych źródeł może świadczyć o jego sile i nowatorstwie. Zarzuty ze strony oligarchii potwierdzają, że podjęte reformy faktycznie zmieniły stary porządek. Ataki ze strony radykalnej lewicy są natomiast dowodem na to, że system nie jest tylko idealistycznym marzeniem, ale urzeczywistnieniem konkretnych planów. Utopijne projekty zostały odsunięte i nie widać, żeby miały zostać wprowadzone w życie. Może to świadczyć o olbrzymim potencjale, jaki tkwi w demokracji partycypacyjnej.

MARCIN RZEPA

ODZYSKAJMY DEMOKRACJĘ

VIII Festiwal Obywatela

DEBATY / POKAZY FILMÓW
/ WYKŁADY / SPOTKANIA
INTEGRACYJNE

Łódź
19–21
października
2012

W PROGRAMIE M.IN.:

demokracja gospodarcza

związki zawodowe

masowe ruchy protestu

odzyskiwanie miast

demokracja partycypacyjna i bezpośrednia

obywatelskie inicjatywy ustawodawcze

obywatelski monitoring władzy

demokratyczne media

samorządność uczniowska

Podczas imprezy odbędzie się premiera filmu „My Obywatele”, poświęconego oddolnym inicjatywom społecznym, w tym Stowarzyszeniu „Obywatele Obywatelom” – wydawcy „Nowego Obywatela”.

Więcej informacji na stronie:

www.nowyobywatel.pl/festiwal

oraz pod numerem 42 630 22 18

{ • • • } OBYWATELE
OBYWATELOM

NOWY
OBYWATEL

SWISS
CONTRIBUTION

Schweizerische Eidgenossenschaft
Confédération suisse
Confederazione Svizzera
Confederaziun svizra
Konfederacja Szwajcarska

Projekt współfinansowany
przez Szwajcarię w ramach
szwajcarskiego programu
współpracy z nowymi krajami
członkowskimi Unii Europejskiej

Grać i walczyć



©© hans s, <http://www.flickr.com/photos/archeon/4696661603/in/gallery-60865808@N06-72157629547225794/>

MARTA GARDOLIŃSKA, JAROSŁAW PRASZCZAŁEK

Nie tak dawno skończył się w Polsce burzliwy okres kampanii wyborczej. Większość przedwyborczych debat poświęcona była przede wszystkim sprawom gospodarki. Ku naszemu rozczarowaniu, żadna z dyskusji nawet nie zahaczała o sprawy polityki kulturalnej.

Zwypowiedzi polityków, zarówno opozycji, jak i koalicji rządzącej, wynika, że praca ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego jest oceniana jednoznacznie pozytywnie, o czym świadczy także decyzja premiera o pozostawieniu go na stanowisku. Jeśli już debatuje się o kulturze, to przede wszystkim w kontekście światopoglądowym, gdzie sztuka traktowana jest po macoszemu, jako element wyrażania konkretnych myśli politycznych. Uważamy, że jest to działanie instrumentalne. Naszym zdaniem, brakuje w Polsce ponadpartyjnej debaty o funkcjonowaniu samego systemu polityki kulturalnej i możliwości przyjęcia rozwiązań funkcjonujących na świecie.

Chcielibyśmy zwrócić uwagę na kilka aspektów kultury i edukacji artystycznej w III RP. Będzie to spojrzenie ostre, ale możliwie obiektywne, gdyż łączy nas troska o rodzimą sztukę oraz promowanie w życiu publicznym zasad współpracy i solidaryzmu

społecznego, a dzieli miejsce dokonywanych obserwacji (jedno z nas mieszka w Warszawie, drugie patrzy na ten problem z Wiednia) oraz poglądy polityczne (konserwatystka i socjaldemokrata).

Gdy mowa o polskiej edukacji muzycznej, przychodzą na myśl nazwiska wielkich artystów młodego pokolenia, którzy niedawno zrobili międzynarodową karierę: pianiści Rafał Blechacz i Piotr Anderszewski, dyrygenci Krzysztof Urbański i Michał Nestorowicz oraz skrzypaczka Agata Szymczewska. Problem polega jednak na tym, że nie zrobili oni kariery dzięki naszemu szkolnictwu artystycznemu, lecz właściwie wbrew niemu, gdyż sukces zawdzięczają własnej motywacji i silnej woli w dążeniu do celu. To trochę tak, jak w anegdocie przywoływanej przez prof. Krzysztofa Rybińskiego o ojcu, który na 20 lat zamknął syna w piwnicy. Chłopak miał tam jakieś puszkę, robił dużo pompek i innych ćwiczeń fizycznych, i tym sposobem

wyrósł na silnego i postawnego mężczyznę, zaś ojciec pokazując go znajomym mówił: „Patrzcie, jakiego syna wychowałem”. Wymienieni przez nas artyści, mimo że przez długi czas siedzieli w ciasnej i nieoświetlonej artystycznej piwnicy, tak bardzo chcieli się z niej wydostać, że w końcu, dzięki ciężkiej pracy, zrealizowali marzenia.

Prawdziwym miernikiem jakości polskiego szkolnictwa muzycznego może być jednak raczej to, że od wielu lat Konkurs Chopinowski zdominowany jest przez ekipy pianistów z Dalekiego Wschodu, i że mimo uprzywilejowanej pozycji i przychylności jury, żaden Polak nie dostał się do finału ostatniej edycji międzynarodowego konkursu dyrygenckiego w Białymstoku. Trudno skądinąd się temu dziwić, skoro studenci wydziałów dyrygentury symfoniczno-operyowej w Polsce przez cały rok akademicki zamiast orkiestrą, dyrygują dwoma fortepianami, co – jak wyraził się przewodniczący jury konkursu białostockiego, prof. Marek Pijarowski – *przypomina kurs prawa jazdy bez samochodu*.

Są też inne przykłady zaniechań i patologii w dziedzinie kultury. Dopiero niezależne kino dokumentalne – a konkretnie film Sylwestra Latkowskiego „Pub 700” – zwróciło uwagę mediów i środowiska artystycznego na fenomen postaci Leszka Możdżera, który w jakiś czas po emisji poświęconego mu obrazu rozpoczął wreszcie międzynarodową karierę. Inny przykład, zupełnie kuriozalny, nasuwający komiczno-dramatycznie brzmiące pytanie: jak to możliwe, że szefem jednej z większych filharmonii w kraju leżącym w środku Europy, przez ponad 10 lat (aż do grudnia 2011 r.) był hochsztapler, który nie posiada nawet dyplomu studiów wyższych z zakresu uprawianej przez siebie sztuki dyrygenckiej? Kolejny przykład to ciągnąca się od kilku miesięcy żenująca telenowela na temat prób zlikwidowania istniejącego od 1948 r. Chóru Polskiego Radia w Krakowie oraz Polskiej Orkiestry Radiowej. Te informacje i problemy niestety nie przebijają się dostatecznie mocno do dużych mediów, gdzie newsy kulturalne ograniczają się na ogół do darmowej promocji kolejnych arcydzieł filmowych Andrzeja Wajdy czy Jerzego Hoffmana.

Zdecydowanie brakuje spójnego państwowego systemu szkolnictwa muzycznego i edukacji artystycznej, które dbałyby o promocję naszej kultury poza granicami kraju. Nie jest to bynajmniej wizja utopijna i – co najważniejsze – nie trzeba wcale wymyślać wszystkiego od nowa. Na świecie istnieją już sprawdzone, skuteczne rozwiązania, które wystarczy dostosować i przenieść na grunt polski. Ciekawy system, odwołujący się do zasad kooperatywności i solidaryzmu społecznego, stworzono w Wenezueli, a nazywa się on El Sistema.

Jest to państwowa organizacja, założona w 1975 r. przez maestro José Antonio Abreu. Ten pianista, kompozytor, dyrygent oraz ekonomista był od momentu

rozpoczęcia kształcenia świadom problemów nękających społeczeństwo swego kraju. A są one niebagatelne. W samej stolicy ponad milion dzieci mieszka w slumsach, rocznie popełnianych jest kilkanaście tysięcy zabójstw (głównie na młodych ludziach między 15. a 29. rokiem życia), z których 94% pozostaje bezkarnych (dane wenezuelskiej organizacji pozarządowej Incosec z roku 2009). Kierując się chęcią odmiany losu wenezuelskiej młodzieży oraz wiarą w uszlachetniającą moc muzyki, Abreu stworzył Narodowy System Orkiestr Młodzieżowych i Dziecięcych Wenezueli (FESNOJIV).

Od momentu powstania organizacja stworzyła ponad 60 orkiestr dziecięcych, prawie 200 młodzieżowych, dziesiątki chórów oraz około 180 *nucleos*, czyli ognisk muzycznych, w których kształcą się niemal 350 tys. młodych Wenezuelczyków. Fundusze na ich rozwój początkowo pochodziły od sponsorów wyszukiwanych osobiście przez maestro Abreu. Finansowano z nich zakup instrumentów dla dzieci oraz honoraria dla nauczycieli. Od końca lat 70. fundacja znajduje się pod opieką państwa wenezuelskiego, a obecnie, gdy „System” zyskał światową sławę, z dumą wspierają go takie instytucje, jak UNESCO, OAS czy Inter-American Development Bank, zaś Berliner Philharmonie, Chicago Symphony Orchestra, Chicago Brass i inne zawodowe zespoły organizują kursy mistrzowskie dla uczniów Systemu.

El Sistema wydała tak wybitnych muzyków, jak Gustavo Dudamel i Edicson Ruiz (kontrabasista, w wieku 17 lat został przyjęty do Berliner Philharmonie jako najmłodszy w historii członek tej orkiestry), a jego wizytówką jest Wenezuelska Młodzieżowa Orkiestra im. Simóna Bolívara, której koncerty przyciągają na całym świecie rzesze entuzjastów. Członkami orkiestry są najzdolniejsi wychowankowie El Sistema. Zespół współpracuje z takimi dyrygentami, jak Claudio Abbado, Sir Simon Rattle, Plácido Domingo czy Nikolaus Harnoncourt oraz nagrywa dla prestiżowego wydawnictwa Deutsche Grammophon. Jest to bezwzględnie najlepsza orkiestra młodzieżowa na świecie, a i wśród zespołów „dorosłych” należy do pierwszej ligi. **Energia, którą wyzwalają z siebie na koncertach młodzi muzycy, przenosi się na słuchającą ich publiczność pod każdą szerokością geograficzną. To jedyna orkiestra, na której występach ludzie wstają z miejsc, aby tańczyć!**

Sama radość z grania nie stanowi jednak o fenomenie tej orkiestry. Tym fenomenem jest bowiem profesjonalny, wyjątkowy poziom techniczny zespołu, w którym koncertmistrzem może być nawet 13-latek. W swoim repertuarze, oprócz pozycji klasycznych oraz twórczości latynoamerykańskiej, muzycy mają tak wymagające utwory, jak „Sacre du Printemps” I. Strawińskiego czy dzieła symfoniczne D. Szostakowicza. O tym jak ambitne są zamierzenia artystyczne zespołu, najlepiej świadczy fakt, że na luty 2012 r. zaplanowano

wykonanie w ciągu jednego tygodnia pięciu symfonii G. Mahlera, w tym nr 8 razem z orkiestrą Los Angeles Philharmonic oraz chórem złożonym z około 1200 młodych Wenezuelczyków, kształconych w El Sistema.

Jak twórcy Systemu osiągają takie rezultaty? Czym edukacja muzyczna młodych Wenezuelczyków różni się od polskiego sposobu kształcenia? Na oficjalnej stronie internetowej organizacji udostępniony jest ogólny zarys metodologii nauczania w El Sistema. Trzon programu stanowi przygotowanie do grania w orkiestrze, która jest duszą społeczeństwa w każdym *nucleo*. Nawet zajęcia indywidualne są ukierunkowane na naukę gry zespołowej, w przeciwieństwie do solistycznego nastawienia polskich szkół muzycznych. W *nucleos* bardzo ważną rolę odgrywają również chóry oraz zespoły innego rodzaju.

W kształceniu od najmłodszych lat kładzie się nacisk na radość z muzykowania, a przede wszystkim wyzwalanie ekspresji poprzez ruch ciała. Nie ma tu mowy o mnożących się egzaminach, zapisywaniu obecności na zajęciach, niezdrowej rywalizacji podczas konkursów. W przeciwieństwie do sytuacji w polskich szkołach muzycznych, teoria, nauka notacji muzycznej schodzą na drugi plan i są wprowadzane stopniowo, nie krępując radości z uczenia się i tworzenia muzyki. U dzieci kształci się wrażliwość na jakość dźwięku, muzykalność, współpracę w zespole, swobodę podczas prezentacji publicznej oraz technikę gry. Dla nauczycieli w El Sistema istotny jest dobry kontakt z rodzicami uczniów, którzy mogą pomagać swoim dzieciom w codziennym ćwiczeniu, ale przede wszystkim dzielić z nimi radość z uprawiania muzyki.

W 2010 r. odbyły się pierwsze próby przybliżenia polskiemu środowisku muzycznemu zjawiska

Niemal nikt nie wie, co dzieje się tu w Wenezueli, a według mnie jest to najlepszy przykład do naśladowania w każdym kraju. Sądę, że z perspektywy muzycznej, społecznej i ludzkiej, jak również kulturalnej i politycznej, jest to coś wyjątkowego. Nie oczekiwałem tak imponującego poziomu artystycznego. Coś fantastycznego!

CLAUDIO ABBADO

Jeżeli ktokolwiek zapytałby mnie, gdzie dzieje się coś naprawdę istotnego dla przyszłości muzyki klasycznej, musiałbym po prostu odpowiedzieć: tutaj, w Wenezueli.

SIR SIMON RATTLE

(oba cytaty pochodzą z dokumentalnego filmu o El Sistema „Grać i walczyć” [Tocar y Luchar])



© Astroturfer, <http://www.flickr.com/photos/mostrass/4691973470/in/photostream/>

wenezuelskiego systemu kształcenia muzycznego FESNOJIV (El Sistema). Ambasada Republiki Boliwarii Wenezueli w Polsce zorganizowała w siedzibie Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie pokaz filmu dokumentalnego „Grać i walczyć” (Tocar y Luchar), po którym odbyła się rozmowa z jednym z wychowanków Systemu, altowiolistą Luizem Cordero. Wydarzenie poprzedził koncert Młodzieżowej Orkiestry im. Simóna Bolívara w Teatrze Wielkim, zorganizowany dzięki staraniom Stowarzyszenia im. Ludwiga van Beethovena i osobiście pani prezes Elżbiety Pendereckiej.

El Sistema nie jest ideą zamierzoną dla jednego państwa. Projekt rozpowszechnia się już na całym świecie. Programy edukacji muzycznej inspirowane El Sistema rozwijają się w 25 krajach obu Ameryk, Azji, Afryki, Australii i Europy (Szkocja i Anglia). Jakie są szanse zaszczepienia podobnej idei na gruncie polskim? Czy w ogóle polskie społeczeństwo, polska młodzież chce być „uleczona poprzez muzykę”? Czy nie wystarczy nam dotychczasowy system edukacji muzycznej?

Odpowiedź na dwa ostatnie pytania dają puste sale koncertowe, całkowity zanik domowego „życia muzycznego”, a przede wszystkim zastraszająco niski poziom kultury muzycznej w życiu codziennym, wszędzie – nie wyłączając mediów, wśród których jedynie Program Drugi Polskiego Radia, Radio Classic oraz TVP Kultura umożliwiają kontakt z muzyką klasyczną.

Już z przytoczonych tu przykładów wyraźnie widać, że dotychczasowy system edukacji muzycznej nie jest wystarczający. Funkcjonuje on jeszcze co prawda siłą rozpędu, ale jest mocno przestarzały. Został stworzony na wzór szkolnictwa radzieckiego, co w zestawieniu z obowiązującą w szkołach muzycznych (w polskich realiach często wynaturzoną) relacją mistrz-uczeń,



© @ Uh Ah, Chavez no se va!, <http://www.flickr.com/photos/uhah-chavez/3112778978/in/photostream/>

brakiem pieniędzy oraz pomysłów na politykę kulturalną, tworzy tykającą bombę zegarową.

W Polsce nie ma jakiegokolwiek zinstytucjonalizowanego kształcenia muzycznego na etapie przedszkolnym, z wyjątkiem drogich, prywatnych szkół Yamaha, które (jako import z Japonii) zaczęły powstawać u nas na początku lat 90. W szkołach podstawowych i średnich bardzo często nie tylko nie ma chóru, orkiestry czy innego zespołu uczniowskiego (gdy np. w Stanach Zjednoczonych nawet w najgorszym college'u istnieje tzw. marching band, czyli marszowa orkiestra dęta), ale także - z braku pieniędzy - w ogóle zajęć z muzyki. W liceum treści z zakresu historii muzyki włączono w ramy przedmiotu wiedza o kulturze, który prowadzą zwykle plastycy. To wszystko, w połączeniu z brakiem promocji państwowych szkół muzycznych oraz nagminnym zamykaniem domów kultury, świetlic i ognisk muzycznych w wielu mniejszych miejscowościach, prowadzi do upadku rodzimej kultury dźwięku.

Bardzo często nadwiślańscy intelektualiści narzekają na gusta artystyczne młodzieży, która Chopina kojarzy z marką wódki, a z głośników puszcza techno lub disco-polo. Dlaczego młodzi ludzie nie lubią jazzu, tak jak Skandynawowie, lub muzyki klasycznej, jak ludy Dalekiego Wschodu? Problem polega na tym, że dzieci trzeba uczyć słuchać muzyki od najmłodszych lat. Powinni to robić z jednej strony rodzice, z drugiej zaś państwo, którego jednym z zadań jest prowadzenie polityki kulturalnej. Młody Polak powinien wiedzieć nie tylko, kim byli Jan Kochanowski, Adam Mickiewicz i Zbigniew Herbert, ale także znać nazwiska Karola Szymanowskiego, Henryka Mikołaja Góreckiego, Witolda Lutosławskiego czy Krzysztofa Pendereckiego, ponieważ znają je rówieśnicy z krajów Unii Europejskiej. A co ważniejsze, bardzo często także słuchają

Orkiestra Simóna Bolívara ma wyjątkową energię. Oto dlaczego podczas koncertu możesz wstać i zacząć tańczyć. Oni grają nie dlatego, że to ich praca, ale dlatego, że to jest ich życie. Kochają swoją muzykę. [...] I to jest właśnie sekret. Uwielbiam chodzić na koncerty dzieci do Caracas, jako że wszystkie dzieci mają taką samą energię - to jest jak trzęsienie ziemi. To jest rzeczywiste. To nie jest show.

GUSTAVO DUDAMEL

(cyt. za „BBC Music Magazine”,
czerwiec 2008 r.)

tych kompozytorów i potrafią rozpoznać ich dzieła. Gdy zamyka się kolejne ognisko artystyczne w Polsce B, warto zastanowić się nad tym, że właśnie tam mógł rozwijać swój talent niejeden młody człowiek, który - pozbawiony takiej możliwości - zamiast zajęć muzycznych wybierze teraz większą dyskotekę.

Nie wiemy, czy El Sistema to jedyny i najlepszy system edukacji artystycznej, ale mamy świadomość tego, że w piramidzie problemów państw wysoko rozwiniętych potrzeby kulturalne mieszkańców zajmują niezwykle ważne miejsce. Państwo, które chce się rozwijać i zajmować poważną pozycję na światowej arenie politycznej, nie może pozwolić sobie na taki stan kultury. Warto więc zainicjować na ten temat debatę, której - mamy nadzieję - ten artykuł stanie się początkiem.

**MARTA GARDOLIŃSKA
JAROSŁAW PRASZCZAŁEK**

PRZECIWKO WYKLUCZENIU

W poszukiwaniu strategii

RAFAŁ BAKALARCZYK

Europejski Rok na rzecz Zwalczania Ubóstwa i Wykluczenia Społecznego nie przyniósł w Polsce realnych zmian politycznych. Może dlatego, że wymagałyby one daleko idących przewartościowań w myśleniu o tym problemie.

Skala ubóstwa i wykluczenia społecznego podlega zmianom, ale w małym stopniu są one efektem świadomej, długookresowej polityki, o jasno i stanowczo wyrażonych celach, precyzyjnie dopasowanych działaniach i starannie oraz systematycznie monitorowanych rezultatach.

Dla przykładu: stopa ubóstwa i wykluczenia dochodowego w latach 2005-2010 zmalała (patrz tabela 1).

W dużej mierze było to skutkiem procesów społeczno-ekonomicznych, które mogły zaistnieć w nowych realiach makropolitycznych. Na pewno istotnym bodźcem było wejście Polski do Unii Europejskiej i związany z tym spadek bezrobocia wskutek migracji zarobkowych, a co za tym idzie – także spadek poziomu ubóstwa. Swoją rolę odegrały również dopłaty z funduszy unijnych dla rolników – grupy uprzednio szczególnie zagrożonej ubóstwem. Zmiany te jednak nie były skutkiem świadomej, aktywnej polityki, realizowanej przez państwo polskie.

Przeciwnie – w polskiej polityce społecznej miały miejsce tendencje niekorzystne. Wystarczy wspomnieć o utrzymaniu dotychczasowej wysokości progu uprawniającego do pomocy społecznej na poziomie z 2004 r. W obliczu wzrostu cen spowodowało to, że w 2011 jego wysokość znalazła się poniżej poziomu minimum egzystencji (kwota obliczona przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych, odzwierciedlająca

minimalny poziom dóbr potrzebny do biologicznego przetrwania). Podobnie władze postąpiły z progiem uprawniającym do świadczeń rodzinnych, adresowanych do rodzin z dziećmi. Grupa ta w przypadku rodzin wielodzietnych jest szczególnie zagrożona ubóstwem. Tu kryterium dochodowe od 2006 r. wynosi 504 zł (583 – gdy dziecko jest niepełnosprawne) na osobę w gospodarstwie domowym. Ponieważ zarobki rosną – ale koszty życia również! – wiele rodzin dotychczas korzystających ze wsparcia i ewidentnie nadal go potrzebujących, przekracza próg i nie otrzymuje nawet skromnego zasiłku rodzinnego oraz dodatków do niego. Według danych Ministerstwa Pracy, liczba świadczeniobiorców spadła w ostatnich latach.

Dzieci z rodzin, które nieznacznie przekroczyły próg, nie mogą dostać żadnego z dodatków, także tych edukacyjnych, np. 100 zł na rozpoczęcie roku szkolnego, 50 zł na dojazd do szkoły, gdy uczą się poza miejscem zamieszkania lub 90 zł na dofinansowanie opłat za internat. Co więcej, wykluczone są też z innych programów wsparcia, jak „Wyprawka szkolna” czy stypendium szkolne, bazujących na progu pomocy społecznej. Na nieodmrożonych progach mogą poślizgnąć się nie tylko ubogie rodziny, ale cała polska modernizacja, która swych dźwigni powinna szukać właśnie w podnoszeniu kapitału ludzkiego i społecznego. Kwestia progów dochodowych to tylko jeden z przykładów,

ale o tyle istotny, że uwidacznia, w jaki sposób oszczędzanie na walce z ubóstwem i wykluczeniem działa hamująco na rozwój.

Szkodliwe schematy

Wydaje się, że **brak nawet prostych kroków, zapewniających choćby doraźną pomoc ubogim, nie mówiąc o wielowymiarowych strategiach, jest skutkiem uwikłania polskiej polityki społecznej w schematy płynące z teorii odwołujących się do ekonomii o neoliberalnej, a nieraz wręcz libertariańskiej proveniencji.** Istnieją trzy zasadnicze przeświadczenia, które marginalizują problem ubóstwa w myśleniu o rozwoju ekonomicznym. Nazwałbym je: radykalnym, umiarkowanym i łagodnym.

W wariantcie radykalnym ubóstwo w ogóle nie powinno nas zajmować, gdy myślimy o rozwoju ekonomicznym. Żeby gospodarka się rozwijała, trzeba patrzeć do przodu i nie oglądać się za siebie – na tych, którzy zostają na marginesie. Ubóstwo jest tu zjawiskiem naturalnym i nieredukowalnym, a może wręcz pożądanym, jako mobilizacja do jeszcze większej pracy. Wobec tego nie warto go zwalczać. Zwolennicy tego poglądu, najczęściej wywodzący się z kręgów okoli-libertariańskich, mają też często skłonność do obwiniania biednych za ich położenie.

W wariantcie umiarkowanym twierdzi się, iż dbałość o wzrost gospodarczy musi mieć prymat nad zwalczaniem ubóstwa. Zdaniem zwolenników tego nurtu, ten pierwszy automatycznie poprawi skuteczność tego drugiego. Jest to zgodne z zasadą *trickle down economy*, w myśl której *gdy jest przyptyw, wszystkie łodzie idą do góry*. Uważa się więc, że warto dążyć do jak największego wzrostu gospodarczego, a dzięki niemu nawet najbiedniejsi będą mieli lepiej, niż gdyby wzrostu nie było. Często wydatki na politykę socjalną uważa się

za kulę u nogi. Z takim poglądem można spotkać się zwłaszcza w kręgach neoliberalnych.

Wariant łagodny stanowi zmodyfikowaną wersję poglądu drugiego i mówi mniej więcej tyle: najpierw się wzbogaćmy, a potem będziemy myśleli, co dzielić. Nie twierdzi się już, że ubóstwo nie jest ważnym problemem, nie wierzy się też naiwnie, że wzrost gospodarczy automatycznie zmniejszy ubóstwo i wykluczenie. Sugeruje się natomiast, że najpierw państwo musi wypracować bogactwo, żeby zająć się zasadami jego (re)dystrybucji. Odwrócenie tej kolejności uznaje się często za przeciwnie skuteczne. Ten ostatni pogląd, chyba najpopularniejszy, bywa uznawany za realistyczny i to nawet przez tych, którzy przychylnie spoglądają na doświadczenia krajów, gdzie zbudowano równomierne rozłożony dobrobyt. „Chcecie Szwecji? My również, ale najpierw się wzbogaćmy, a później budujemy państwo opiekuńcze” – słyszałem w niejednej dyskusji.

Jako próbę wyjścia naprzeciw powyższym opiniom proponuję tezę, że **należy doprowadzić w Polsce do przewartościowania (najpierw na poziomie intelektualnym, następnie politycznym) myślenia o relacjach między ubóstwem i wzrostem gospodarczym, a także szerzej definiowanym rozwojem.** Polegałoby ono na uznaniu, iż to nie zmniejszenie ubóstwa i wykluczenia będzie następstwem wzrostu gospodarczego, lecz przeciwnie – rozwój gospodarczy musi zostać poprzedzony skutecznymi działaniami na rzecz likwidacji ubóstwa i wykluczenia społecznego. W przeciwnym razie pozostawienie tych zjawisk (które mają wpisane w siebie cechę poszerzenia, pogłębienia i reprodukcji międzypokoleniowej) będzie generowało obciążenia dla gospodarki, a więc w dłuższej perspektywie będzie hamowało wzrost oraz powodowało wielowymiarowy uszczerbek dla rozwoju społeczno-ekonomicznego¹.

Tabela 1

Polska	2005	2006	2007	2008	2009	2010
Zagrożenie ubóstwem	20,5	19,1	17,3	16,9	17,1	17,6
Deprywacja materialna	33,8	27,6	22,3	11,7	15	14,2
Niska intensywność pracy	14,2	12,3	10	7,9	6,9	7,3
Zagrożenie ubóstwem lub wykluczeniem	45,3	39,5	34,4	30,5	27,8	7,8

Źródło: opracowanie własne na podstawie danych Eurostatu

Tabela 2. Zagrożenie ubóstwem w Polsce w latach 2000-2010
(według przyjętych w danym roku granic ubóstwa)

Granice ubóstwa	2000	2001	2002	2003	2004	2005	2006	2007	2008	2009	2010
	% osób w gospodarstwach domowych										
Skrajnego	8,1	9,5	11,1	10,9	11,8	12,3	7,8	6,6	5,6	5,7	5,7
Relatywnego	17,1	17,0	18,4	20,4	20,3	18,1	17,7	17,3	17,6	17,3	17,1
Ustawowego	13,6	15	18,5	18,1	19,2	18,1	15,1	14,6	10,6	8,3	7,3

Źródło: opracowanie własne na podstawie danych Eurostatu

Koszty społeczne i polityczne

Jednym z głównych celów takich rozważań jest nie tyle przekonanie, dlaczego należy walczyć z ubóstwem i wykluczeniem społecznym (bo to w kręgach społecznie postępowych jest raczej bezdyskusyjne), ale przedstawienie możliwie przekonującego uzasadnienia, dlaczego **walkę z ubóstwem i wykluczeniem powinniśmy traktować jako absolutny priorytet rozwojowy, także (choć oczywiście nie tylko) z ekonomicznego punktu widzenia.**

Najczęściej do wysiłków w tym kierunku skłaniają nas względy natury moralnej i ideowej, a w mniejszym stopniu pragmatycznej i ekonomicznej. Dlatego wiele osób patrzy na tę kwestię w klasycznie filantropijny sposób. Nie wchodząc na razie w kwestie pragmatyczne, warto także na płaszczyźnie ideologicznej zaproponować pewne przesunięcie. Parafrazując słowa Nelsona Mandeli – *Fighting with hunger is not an act of charity, it's an act of justice*, można rzec, że walka z ubóstwem i wykluczeniem nie jest aktem dobroczynności, lecz imperatywem sprawiedliwości. Takie spojrzenie stanowi krok w kierunku uznania osób dotkniętych tego typu problemami za podmioty praw, a nie oderwanych od społecznego ładu indywiduów, zdanych na łaskę silniejszych. Podporą dla tego typu spojrzenia może być teoria sprawiedliwości Johna Rawlsa i Amartyi Sena². W naszym kraju może być ona trudna do wprowadzenia, gdyż – w odróżnieniu od np. tradycji francuskiej czy skandynawskiej – w Polsce nie jest upowszechniona i rozumiana idea obywatelstwa socjalnego. Z moich rozmów z przedstawicielami ruchu „ATD Czwarty Świat” w Polsce, wynikało, że istnieją realne trudności z przełożeniem na polski dyskurs wielu treści, jakie wypracowuje się we Francji – kolebce tej organizacji. Jednocześnie widać pierwsze jaskółki zmian. Sporządzono raport „Social watch”, przy opracowaniu którego spotkały się środowiska zajmujące się wykluczeniem i ubóstwem oraz te zajmujące się dyskryminacją. Także podczas warsztatów, które przeprowadziłem dla Towarzystwa Edukacji Antydyskryminacyjnej³, przekonałem się, że działacze organizacji walczących na tym polu również są żywo zainteresowani kwestią ubóstwa i wykluczenia. Być może fundamentem dla ujęcia wspólnie wykluczeń materialnych i kulturowych oraz powiązań między nimi byłoby rozpatrywanie ich jako aspektów pogwałcenia praw człowieka i obywatela.

Oprócz tego należy pamiętać, że wykluczenie i ubóstwo mogą negatywnie przełożyć się na funkcjonowanie systemu politycznego. Nie jest prawdą, że im większa sfera wykluczenia, tym szersza baza społeczna dla formacji i rozwiązań w duchu socjaldemokratycznym czy społecznej gospodarki rynkowej. Bardziej prawdopodobne, że deprywacja ludzi zrodzi frustrację, która może w najlepszym razie przełożyć się na bierność osób dotkniętych nią, a w gorszym – na poparcie dla organizacji skrajnych, bazujących na negatywnych emocjach i nie proponujących konstruktywnych rozwiązań w duchu społecznego solidaryzmu.

Pozorne oszczędności

Powoływanie się na racje ekonomiczne w kontekście tak głęboko humanistycznych celów budzi nieraz mieszane uczucia. W środowisku lewicowym spotkałem się w niejednej dyskusji z zarzutem, że szukając uzasadnień gospodarczych dla zwalczania wykluczenia, wchodzę na pole dyskusyjne tych, którzy wszystko chcieliby przeliczyć na korzyści ekonomiczne, a problem wykluczenia mają za nic. Rzeczywiście istnieje ryzyko takiej cynicznej postawy, ale moim zdaniem tylko wówczas, gdy opłacalność ekonomiczna stanie się jedynym lub głównym kryterium myślenia o problemie ubóstwa. Tymczasem jeśli będzie to jedna z wielu płaszczyzn, na których uzasadnimy konieczność inwestowania w walkę z wykluczeniem i biedą, to cynikami się nie staniemy. Za to zbijemy argument, że „może i macie słuszość, ale nas na to nie stać” – dzięki pokazaniu, że mówimy tu o inwestycji, która, owszem, oznacza pewne koszty, ale one w dłuższej perspektywie są mniejsze, niż gdybyśmy pozostawili te problemy nierozwiązane. **Przeciwnicy zaangażowania polityki społecznej w walkę z wykluczeniem, jawią się wówczas jako racjonalni tylko w krótkiej perspektywie, w dłuższej zaś – już nie.**

Wymieńmy zatem – za prof. W. Warzywodą-Kruszyńską⁴ – koszty, które rodzi wykluczenie:

A) Koszty związane z działaniami naprawczymi:

1. wydatki na zasiłki z pomocy społecznej,
2. koszty walki z przestępczością (ponieważ bieda miewa właściwości kryminogenne),
3. wydatki na ochronę zdrowia (stan zdrowia osób ubogich jest statystycznie gorszy niż osób pozostałych, zapadają oni bowiem częściej na choroby wynikające ze złych warunków życia).

B) Koszty utraconych możliwości (alternatywne).

Osoby ubogie i wykluczone w mniejszym stopniu uczestniczą w życiu społecznym, kulturalnym i gospodarczym, wobec czego ich potencjał społeczny jest niewykorzystany.

C) Koszty wynikające z międzypokoleniowej transmisji ubóstwa i wykluczenia na kolejne pokolenia.

Przykładem może być transmisja kultury ubóstwa i wykluczenia w rodzinach pracowników dawnych PGR-ów⁵ czy w łódzkich enklawach biedy. Koszty te są szczególnie duże, długotrwałe i trudne do wyeliminowania *ex post*.

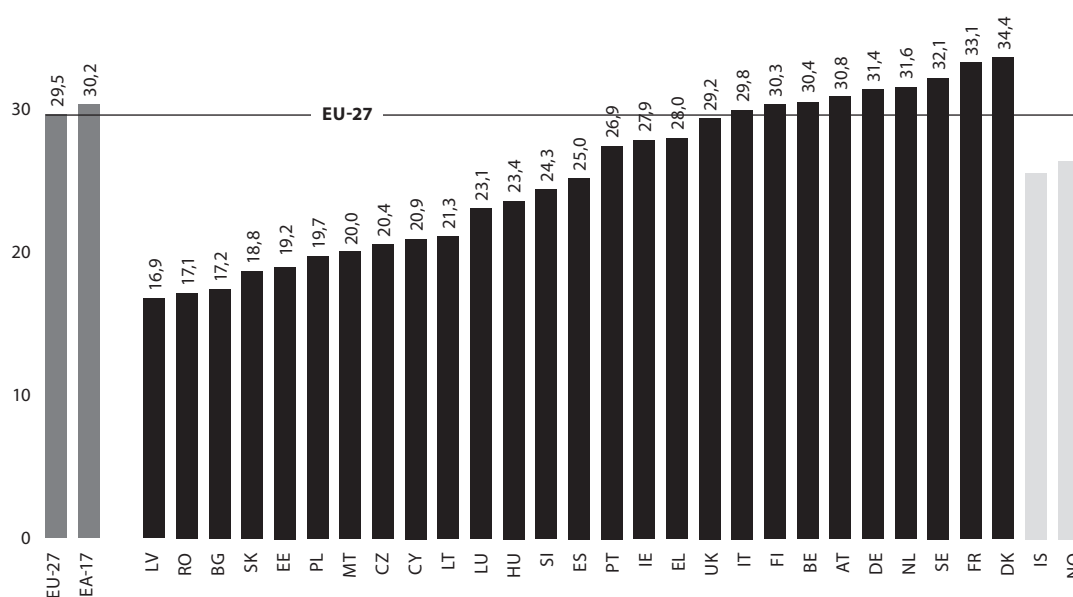
Opisane powody pokazują, że z wykluczeniem i biedą trzeba walczyć i traktować tę walkę jako priorytet. Wciąż jednak stoimy przed pytaniem: jak? Warto zasygnalizować szereg barier systemowych, które utrudniają radzenie sobie z tą kwestią. Pierwszym problemem jest wielkość i struktura wydatków na ten cel, a także społeczne wyobrażenia na ów temat (z reguły niestety błędne), jakimi karmiona jest opinia publiczna. W mediach głównego nurtu słyszymy przede wszystkim, że wydatki socjalne są rozdęte ponad możliwości (a nawet jeśli nie, to i tak pod presją

fiskalną powinny być zmniejszone) oraz że są one źle adresowane. Obie tezy są też często traktowane łącznie. Ta druga, mimo że ociera się o prawdę (w odróżnieniu od pierwszej, która, jak pokażę, jest całkiem fałszywa), często służy jako argument wzmacniający błędne projekty polityczne. Część środowisk przyjmuje, że skoro pieniądze są źle adresowane, to tak jakby wyrzucono je w błoto, wobec tego nakłady te należy obniżyć, a świadczenia uczynić jeszcze bardziej selektywnymi.

Na początku warto rozprawić się z mitem o nadmiernych wydatkach socjalnych w Polsce. Obalić ów niezwykle szkodliwy mit pozwala niedawno opublikowany raport Eurostatu⁶.

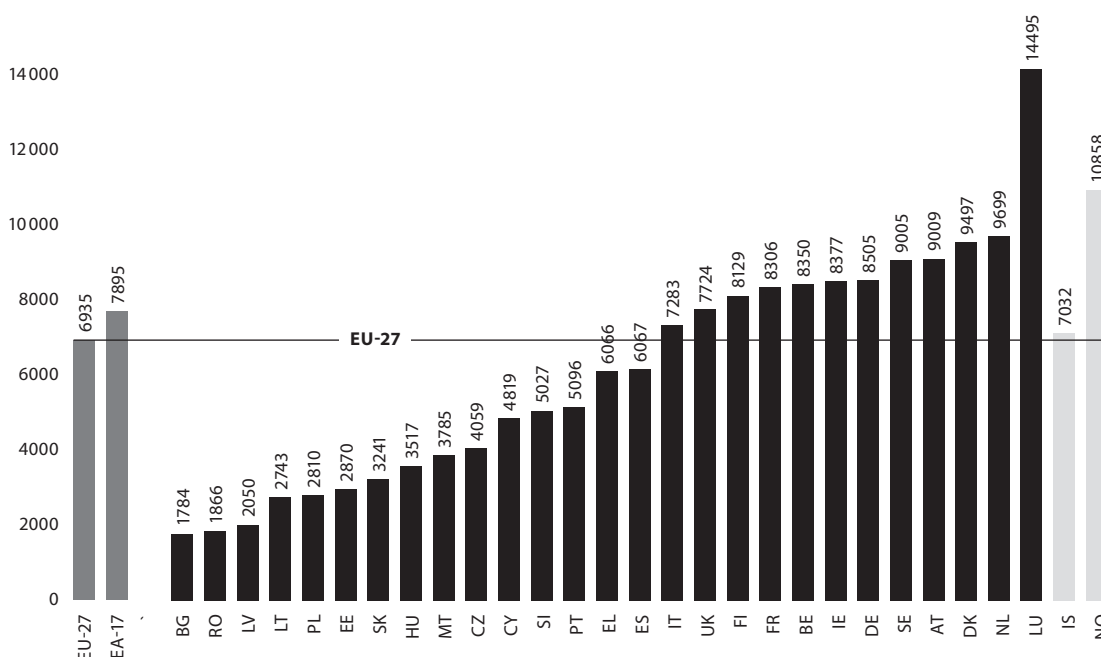
Wynika z niego ewidentnie, że w Polsce udział wydatków na zabezpieczenie społeczne w PKB jest jednym z najniższych w Unii Europejskiej. Mniejszy udział wydatków socjalnych w ogólnym podziale dobrobytu jest niższy jedynie na Litwie, w Rumunii, Bułgarii, na Słowacji i w Estonii. W Polsce te wydatki w 2009 r. były na poziomie 19,7%, a więc niemal o 10 punktów procentowych niższym od ich udziału w PKB całej UE (29,5%).

Jeszcze drastyczniej wygląda sytuacja Polski, jeśli przyjrzymy się zestawieniu wydatków na zabezpieczenie społeczne na głowę mieszkańca po uwzględnieniu siły nabywczej.



Wykres 1. Wydatki na zabezpieczenie społeczne jako % PKB (2009)

Źródło: Eurostat, Statistics in focus, 14/2012



Wykres 2. Wydatki na zabezpieczenie społeczne na głowę mieszkańca po uwzględnieniu parytetu siły nabywczej (2009)

Źródło: Eurostat, Statistics in focus, 14/2012

Poziom wydatków w innych krajach, w tym tych, które stoją na wysokim poziomie ekonomicznym, sugeruje, że wydatki socjalne nie są reliktem realnego socjalizmu, jak można usłyszeć w niejednym komentarzu „gadających głów” w polskich mediach, lecz stanowią stały element zachodniego kapitalizmu. Interesująca wydaje się także dynamika wydatków na zabezpieczenie społeczne (patrz tabela 3) oraz ich wewnętrzna struktura (o czym dalej).

Lata 2002-2009 przyniosły w Polsce obniżenie udziału wydatków na cele społeczne, podczas gdy w UE ten udział się zwiększył (zwłaszcza w krajach strefy Euro). Można na podstawie tych danych stwierdzić, że podział dobrobytu staje się w Polsce coraz mniej solidarny. Owa desolidaryzacja systemu zabezpieczenia społecznego - wg określeń M. Rymczy⁷ - dokonuje się nie tylko poprzez ograniczanie wydatków socjalnych, ale również za sprawą np. usunięcia redstrybucji z systemu emerytalnego.

Na co idą wydatki socjalne?

Jak się okazuje, Polskę cechuje nie tylko niski poziom wydatków na cele społeczne, ale także ich specyficzna struktura (patrz tabela 4).

Rzuca się w oczy przede wszystkim duży udział w łącznych wydatkach na zabezpieczenie społeczne wydatków na zabezpieczenie osób starszych. Jest to najwyższy udział w całej UE. Częściowo tłumaczy on, dlaczego ta grupa wiekowa jest relatywnie mało zagrożona ubóstwem i wykluczeniem materialnym⁸. Jednocześnie wnioski z innego raportu Eurostatu mówią, że: *W ciągu pięciu lat podwoiła się w Polsce liczba emerytów zagrożonych biedą. Choć na tle średniej europejskiej Polska wciąż wypada ciut lepiej, to w niemal całej Europie sytuacja emerytów się poprawia, natomiast u nas wręcz przeciwnie*⁹.

Pamiętajmy, że mówimy o udziale tych wydatków w systemie zabezpieczenia społecznego. Jeśli punktem odniesienia będzie dla nas PKB, wówczas wydatki na zabezpieczenie sytuacji polskich seniorów są przeciętne. Z innych źródeł wiemy, że zabezpieczenie polskich emerytów jest oparte na świadczeniach dochodowych, a w małym stopniu na usługowych. Wydatki na opiekę długoterminową są jednymi z niższych w UE. Jest to istotne zwłaszcza w kontekście tego, że w ramach ogólnego procesu starzenia się społeczeństwa, największy spodziewany przyrost procentowy będzie

©© Jon Diez Supat, <http://www.flickr.com/photos/maskedmalayan/3663389540/in/gallery-60865808@N06-72157629648614798/>



w grupie 80+, a więc w odniesieniu do osób, wśród których zapotrzebowanie na usługi opiekuńcze jest wysokie. Również osoby starsze, jako grupa ponadprzeciętnie potrzebująca opieki medycznej, są szczególnie podatne na zaniedbania w służbie zdrowia. Segment ten (co wynika także z przytoczonej tabeli) jest niedofinansowany ogólnie, a jednocześnie - na co wskazuje niedawne oświadczenie Rządowej Rady Ludnościowej - nieprzystosowany do potrzeb osób starszych.

Innym wnioskiem płynącym ze wspomnianego raportu Eurostatu jest istnienie wielu ważnych segmentów zabezpieczenia społecznego, w których wydatki są - na tle innych krajów - bardzo niskie zarówno w relacji do PKB, jak i do ogółu wydatków socjalnych. Przykładem mogą być wydatki na walkę z bezrobociem (wydajemy na ten cel ponad 4 razy mniejszy procent PKB niż unijna średnia). A to właśnie bezrobocie jest bardzo częstą przyczyną ubóstwa. Prezentowane dane dotyczą 2009 r., ale obecnie nie jest lepiej, skoro minister finansów zamroził ponad połowę środków

Tabela 3. Zmiany wydatków na zabezpieczenie społeczne jako % PKB w latach 2002-2009

	2002	2003	2004	2005	2006	2007	2008	2009
Polska	21,1	21,0	20,1	19,7	19,4	18,2	18,6	19,7
UE 27	—	—	—	27,1	26,6	25,7	26,7	29,5
UE 17	27,3	27,7	27,6	27,6	27,2	26,8	27,5	30,2

Źródło: opracowanie własne na podstawie Eurostat, *Statistics in focus*, 14/2012

©© Michał Dubrawski, <http://www.flickr.com/photos/29104098@N00/589972323/in/gallery-60865808@N06-72157629691508810/>



z Funduszu Pracy, na których opierała się polityka aktywizacji osób poszukujących pracy.

Innym niedoinwestowanym obszarem są świadczenia na rzecz rodzin i dzieci. Tutaj również odnotowujemy najniższy udział – tak w wydatkach socjalnych, jak i w PKB – w całej Unii. Wycofywanie się państwa z tej dziedziny polityki społecznej jest kompletnie nierozważne w świetle zarówno walki z ubóstwem i wykluczeniem, jak i w obliczu konieczności sprostania wyzwaniom demograficznym. Kolejny obszar – najściślej związany z omawianą tu problematyką – czyli wydatki na mieszkalnictwo i walkę z wykluczeniem społecznym (obejmujące głównie wydatki z pomocy społecznej) są w Polsce 5 razy mniejsze w relacji do PKB niż unijna średnia!

Selektywnie nie znaczy lepiej

Niedofinansowaniu sfery społecznej – a w jeszcze większym stopniu socjalnej – towarzyszy selektywna polityka przyznawania uprawnień do pomocy. Dzięki

niskim progom można utrzymać wydatki socjalne na niskim poziomie. Problematiczna jest jednak nie tylko wysokość progów, ale także to, jak restrykcyjnie mają one obowiązywać. Jak dużo powinno być świadczeń, w których możliwe jest odstępstwo od kryterium dochodowego? Czy obok nich powinny istnieć świadczenia uniwersalne, a jeśli selektywne, to niezależne od testu dochodów?

W polskiej debacie publicznej dominuje przeświadczenie, że odchodzenie od progu dochodowego jest wyrazem marnotrawstwa zasobów. Nawet partie, które kierują ofertę do elektoratu lewicowego, jak SLD czy ostatnio Ruch Palikota, sugerują potrzebę jak najsilniejszego powiązania prawa do wsparcia z granicą ubóstwa. W istocie, z punktu widzenia sprawiedliwości, ten kierunek myślenia wcale nie jest tak oczywisty. Po pierwsze, uzależnienie wsparcia finansowego od ściśle przestrzegane kryterium dochodowego oznacza, że osoby, których dochody minimalnie przekroczą arbitralnie ustalony próg, zostają wykluczone

Tabela 4. Struktura wydatków na zabezpieczenie społeczne wg funkcji (2009)

	Osoby starsze	Zdrowotne i chorobowe	Niepełnosprawni	Rodzina / dzieci	Bezrobocie	Mieszkalnictwo i wykluczenie społeczne						
UE 27	45,5% ZS	12,8% PKB	29,6% ZS	8,4% PKB	8% ZS	2,3% PKB	8% PKB	2,3% PKB	6,1	1,7	3,4	1
Polska	61,8% ZS	11,8% PKB	24,5% ZS	4,8% PKB	7,4% ZS	1,4% PKB	3,9% ZS	0,8% PKB	2% ZS	0,4% PKB	1,1% ZS	0,2% PKB

Źródło: opracowanie własne na podstawie Eurostat, *Statistics in focus*, 14/2012

z możliwości uzyskania pomocy, mimo że ich sytuacja materialna często wskazywałaby na konieczność jej udzielenia. Dzieje się tak zwłaszcza w sytuacji, gdy progi uprawniające do wsparcia są na niskim poziomie w relacji do potrzeb. Z taką sytuacją mamy do czynienia w Polsce zarówno w odniesieniu do świadczeń rodzinnych, jak i w przypadku świadczeń pieniężnych z pomocy społecznej. W 2011 r. próg pomocy społecznej znalazł się na poziomie niższym niż próg minimum egzystencji, wyznaczany na podstawie koszyka dóbr podstawowych, potrzebnych do podtrzymania biologicznej egzystencji. Do pewnego stopnia sposobem uniknięcia owej pułapki jest ustalenie progu na odpowiednio wysokim poziomie.

Po drugie, przyznawanie świadczeń w oparciu o kryterium dochodowe prowadzi do stygmatyzacji świadczeniobiorców. A osobie napiętnowanej znacznie trudniej reintegrować się w społeczeństwie, zwłaszcza poza grupą osób, które też są wykluczone. Ma to szczególne znaczenie w społeczeństwach silnie rozwarstwionych, gdzie status materialny niestety często decyduje o możliwościach uczestnictwa w życiu zbiorowym, w kulturze, w grupach towarzyskich. Nieraz obawa przed stygmatyzacją prowadzi do rezygnacji z korzystania z własnych uprawnień. Takie zjawisko ujawniła choćby kontrola NIK, dotycząca realizacji programów dożywiania w szkołach na terenie szeregu gmin w Małopolsce. Okazało się, że część uczniów nie skorzystała z przysługujących im posiłków w obawie przed stygmatyzacją w grupie rówieśniczej¹⁰. Wydaje się, że właśnie w kontekście polityki na rzecz dzieci trzeba być szczególnie uwrażliwionym na to, by pomoc nie prowadziła do jakiegokolwiek stygmatyzacji czy segregacji.

Po trzecie, deprywacja potrzeb zachodzi także w rodzinach, które przekraczają próg. Może ona być związana np. ze szczególną strukturą wydatków (związaną z wydarzeniem losowym) lub istnieniem dysfunkcji. Ponownie, sytuacja dzieci może ilustrować ten problem. Bywa tak, że w rodzinach dotkniętych problemem alkoholowym lub inną dysfunkcją, dzieci nie mają zaspokojonych podstawowych potrzeb (także bytowych), mimo, że dochód w rodzinie może przewyższać – nawet znacznie – próg socjalny. Wówczas bardziej użyteczna od testu dochodów jest dogłębna diagnoza sytuacji rodziny i dziecka, i na tej podstawie podjęcie działań zmierzających do przywrócenia zdolności wychowawczych rodzicom (co jest często procesem bardzo długotrwałym) oraz do zaspokojenia potrzeb materialno-socjalnych dziecka – bezpiecznie w takich wypadkach udzielać jej w formie rzeczowo-usługowej (*benefits in kind*), nie pieniężnej (*benefits in cash*).

Po czwarte, polityka oparta na progach generuje dodatkowe koszty i procedury biurokratyczne, nie zawsze uwzględniane podczas szukania oszczędności w sferze socjalnej. Polska pomoc społeczna jest

w opinii pracowników socjalnych tak silnie zbiurokratyzowana, że nie mają oni czasu, by zajmować się rozwiązywaniem problemów społecznych, pracą środowiskową itp. W efekcie praca socjalna bywa mniej skuteczna w wyciąganiu ludzi z ubóstwa i wykluczenia. Ich liczba nie zmniejsza się, co tworzy dodatkowe koszty. Krótko mówiąc, progi tworzą bezpośrednio dodatkowe koszty związane z procedurami selekcji, a pośrednio także koszty alternatywne – utraconych możliwości wykonywania w większym wymiarze przez pracowników socjalnych pracy z jednostkami, rodzinami i społecznościami dotkniętymi problemem marginalizacji.

Po piąte, polityka selektywna ma wpisana w siebie filozofię braku zaufania społecznego, zwłaszcza wobec osób, które zgłaszają się po pomoc. Nie sprzyja to budowaniu kapitału społecznego, który jest potrzebny w procesie osiągania spójności społecznej. Zwłaszcza w przypadku osób dotkniętych wykluczeniem ważne wydaje się wzmacnianie ich kapitału społecznego, którego jednym z wymiarów jest poziom zaufania do innych (w tym instytucji publicznych), a także poczucia, że im się ufa. Ludzie ci często już wcześniej na każdym kroku doświadczyli odrzucenia i nieufności, co obniżyło motywację do pokonywania przeciwności losu. Służby społeczne powinny pomagać w odzyskiwaniu poczucia zaufania do siebie i otoczenia.

Powyższa argumentacja nie oznacza, że powinniśmy zastąpić logikę selektywną logiką uniwersalną. Pokazuje natomiast, że są sytuacje, w których selektywność rodzi szereg kosztów społecznych i ekonomicznych, oraz że nie zawsze bywa skutecznym podejściem w zwalczaniu ubóstwa i wykluczenia społecznego.

Przykładem działań, w których owe słabości podejścia selektywnego dają o sobie znać i w których można by w większym stopniu próbować odejść od stosowania kryterium dochodowego, są programy dożywiania uczniów w szkołach. Obecnie istniejący od 2005 r. Wieloletni rządowy program wsparcia w zakresie dożywiania działa w oparciu o rozszerzone kryterium dochodowe (150% ustawowej linii ubóstwa). Co więcej, w szczególnych przypadkach, gdy dziecko samo zgłosi chęć bycia objętym programem, może zostać weń włączone bez konieczności przeprowadzania wywiadu środowiskowego – istnieje jednak limit takich uczniów w grupie wszystkich odbiorców programu w gminie na poziomie 20%. Program więc obecnie nie jest w pełni selektywny, choć istotnie opiera się na kryterium dochodowym. Jednocześnie w sytuacji zamrożenia progu uprawniającego do pomocy społecznej, nawet owe 150% nie wystarczy, by zapewnić ciepły posiłek potrzebującym. A przecież nie dojadają także część dzieci z rodzin nieco zamożniejszych. Oprócz tego selektywność świadczenia rodzi wspomniane już ryzyko stygmatyzacji. Część dzieci, intuicyjnie świadomych tego zagrożenia, nie zgłasza się po przysługujące im



©© aminol newcastle, <http://www.flickr.com/photos/40350822@N08/5818213875/in/gallery-60865808@N06-72157629691508810/>

Osoba głodna, która nie otrzymała choćby małej rybki, nie będzie miała siły, by utrzymać wędkę, oraz wytrwałości, by uczyć się łowienia.

wsparcie. Z tych względów niektórzy badacze, m.in. prof. B. Balcerzak-Parandowska, sugerują, że wskazane byłoby całkowite zniesienie progu w dostępie do tego programu¹¹. Z jednej strony wymusiłoby to dodatkowe środki, ale też częściowo oszczędziłoby się na procedurach weryfikacji, czy dane dziecko spełnia kryterium.

O bardziej społeczną politykę aktywizacji

Drugą osią sporu jest aktywna polityka społeczna. Nie ryba, lecz wędka - przekonują zwolennicy tego nurtu. Dodają, że obecna polityka sprzyja bierności i utrwała ubóstwo i wykluczenie, zamiast umożliwiać wychodzenie z niego. Bywa to prawdą zarówno na poziomie diagnozy, jak i na poziomie założeń normatywnych, jednak tylko w części. Poza tym należy uważać, aby nie wyprowadzać z tego zbyt daleko idących wniosków praktycznych i nie przejść do modelu *workfare*.

W koncepcji owej zakłada się, że trzeba uzależnić możliwość otrzymywania świadczenia od podjęcia pracy (choćby najgorzej płatnej). Uzyskanie świadczenia jest tu zależne nie tylko od spełnienia testu dochodów, ale także od podjęcia określonych zachowań. Za modelem *workfare*, przynajmniej w wersji, jaką po raz pierwszy wypróbowano w krajach anglosaskich (gdzie się zrodziła), stoi też określona wizja człowieka i interpretacja problemu ubóstwa, zgodnie z którą to ubodzy sami są winni swojemu położeniu i trzeba ich zmotywować, a w praktyce przymusić do podjęcia pracy. Często zresztą jest to praca gorszego sortu, tzw. *junk job*, której wykonywanie i wynagrodzenie nie umożliwia pełnego uczestnictwa w społeczeństwie i kulturze. Patrzy się przy tym na problem wykluczenia jednowymiarowo. Tymczasem ubóstwo, a tym bardziej wykluczenie ma wiele wymiarów. Zmuszając zmarginalizowanych ludzi do pracy, nie umożliwiamy im przezwyciężenia marginalizacji.

Koncepcji *workfare* można więc wiele zarzucić, zarówno jeśli chodzi o przyjęte założenia, jak i praktyczne skutki. Czy jednak oznacza to, że polityka społeczna nie powinna zmierzać ku aktywizacji i tam, gdzie to możliwe, przezwyciężenia ubóstwa, a nie tylko łagodzenia jego symptomów przy pomocy transferów? Ależ skąd. Trzeba po prostu myśleć o konkurencyjnym (co nie znaczy, że we wszystkich punktach rozbieżnym) do neokonserwatywnego i neoliberalnego wariacie aktywnej polityki społecznej, który zawierałby w sobie proaktywizacyjny pierwiastek, ale pozbawiony byłby słabych stron *workfare*.

Na zeszłorocznej konferencji poświęconej polityce społecznej zaprezentowałem kilka warunków, które moim zdaniem powinna spełniać „lewicowa” wersja aktywnej polityki społecznej¹². Oto one:

1. Myślenie o partycypacji nie tylko zawodowej.

Słabością myślenia liberalnego, ujawniającego się także przy okazji koncepcji *workfare*, jest pozytywne wartościowanie niemal wyłącznie aktywności

zawodowej, wycenianej przez rynek. Tymczasem jest wiele form aktywności, które również są bardzo wartościowe zarówno dla osoby podejmującej je, jak i dla społeczności. Warto je zatem wspierać w procesie wychodzenia z wykluczenia, jak i ogólnie budowania spójności społecznej. Nieraz osoby wykluczone nie są – z różnych przyczyn – w stadium, które umożliwiłoby im podjęcie pracy na wolnym rynku, ale mogą wykonywać inne działania, np. na rzecz instytucji pomocowej, z której korzystają, czy innych grup potrzebujących. Dzięki temu mogą odzyskać poczucie podmiotowości i sprawstwa, co pomoże im na dalszych etapach wychodzenia z wykluczenia.

2. Ryba, wędka i nauka łowienia.

Dylemat „wędka czy ryba” wydaje się w praktyce fałszywy. Potrzebne jest jedno i drugie. Pozostając w ramach przyjętej metaforyki, można powiedzieć, że osoba głodna, która nie otrzymała choćby małej rybki, nie będzie miała siły, by utrzymać wędkę, oraz wytrwałości, by uczyć się łowienia. Szczególnie gdy ilość ryb w stawie – a więc miejsc pracy na rynku – jest ograniczona. Dobra polityka aktywizacji powinna więc zawierać wszystkie trzy elementy: wsparcie materialne, działania proaktywizacyjne i możliwości ich praktykowania. Tak też funkcjonuje system zabezpieczenia w krajach skandynawskich, które osiągają korzystne wskaźniki zarówno jeśli chodzi o poziom ubóstwa i wykluczenia społecznego, jak i w kwestii wysokiego poziomu aktywności zawodowej społeczeństwa.

3. Aktywizacja uwzględniająca podmiotowość świadczeniobiorcy.

Lewicowi krytycy *workfare state* zarzucają tej koncepcji lekceważenie podmiotowości osoby wykluczonej, traktowanie jej paternalistycznie, nie dające jej szans wyboru, zakładające lenistwo lub złą wolę i przypisujące winę za stan, w jakim się znalazła. Dlatego należy odrzucić szkodliwe założenia tej koncepcji i zastąpić je postawą wspierającą wykluczonych. Używając nieco górnolotnych, ale trafnych słów, jakie usłyszałem na pewnej konferencji poświęconej bezdomności, należy formułować „wymagaj i dopiero kochaj” odwrócić na „kochaj i dopiero wymagaj”. Aby pomóc komuś przezwyciężyć poważne życiowe trudności, trzeba obdarzyć go minimum zaufania i stopniowo poszerzać pole wolności wyboru, jednocześnie pokazując możliwości jego racjonalnego wykorzystania.

4. Oddziaływanie po stronie popytowej i podażowej.

Środowiska neoliberalne przyjmują często przesławienie, że problem leży po stronie osób wykluczonych czy to z rynku pracy, czy ze społeczeństwa. Próbuąc oddziaływać na ich kompetencje i motywacje, nie rozwiązujemy jednak problemu w postaci niezrzedkiego deficytu miejsc pracy w społecznościach, w których żyją. W Polsce istnieje wiele społeczności lokalnych, gdzie panuje niedobór miejsc pracy, a bezrobocie jest bardzo wysokie. Jeśli chce się skutecznie walczyć z ubóstwem i wykluczeniem, trzeba oddziaływać



zarówno na wykluczonych mieszkańców, jak i tworzyć bodźce do tworzenia miejsc pracy w ich środowiskach.

5. Działania bezpośrednio niezwiązane z aktywizacją, ale pośrednio ją ułatwiające.

Przykładem takich działań jest powszechny dostęp do usług opiekuńczych. Ich brak powoduje, że osoby wykluczone często nie są w stanie podjąć zatrudnienia czy szkoleń podnoszących ich potencjał z uwagi na konieczność zajmowania się osobami zależnymi (np. dziećmi, niepełnosprawnymi, osobami starszymi). Tam, gdzie nie ma instytucji opiekuńczych lub są one zbyt drogie, nawet efekty polityki aktywizacji mogą zostać wykorzystane zbyt słabo.

Rekapituluując powyższe rozwiązania, należy przyjąć, że:

Po pierwsze, polityka na rzecz zwalczania ubóstwa i wykluczenia powinna stanowić jeden z priorytetów polityki publicznej, a nie kwestię marginalną, z którą zmierzmy się dopiero po załatwieniu innych, „ważniejszych spraw”.

Po drugie, owa polityka powinna być wielowymiarowa, angażująca wiele sektorów, podmiotów jak i przede wszystkim wiele instrumentów polityki społecznej, a nie być sprowadzana wyłącznie do działań instytucji pomocy społecznej.

Po trzecie, polityka ta powinna być traktowana nie jako koszt, lecz jako inwestycja prorozwojowa. Brak tej polityki może wygenerować w przyszłości znacznie większe koszty (społeczne, zdrowotne i ekonomiczne) niż jej prowadzenie.



© malias, http://www.flickr.com/photos/malias/731697271n/gallery-60865808@N06-72157629691508810/

Po czwarte, należy odejść od szukania oszczędności w sferze socjalnej w imię ratowania stanu finansów publicznych. Dane porównawcze pokazują, że już teraz wydatki socjalne są w Polsce jednymi z najniższych wśród krajów UE. Dalsze ich obniżenie może pogłębić zachwianie wydolności systemu zabezpieczenia społecznego.

Po piąte, zasadne wydaje się z jednej strony nieznaczne podwyższenie poziomu wydatków społecznych przy jednoczesnym zracjonalizowaniu ich alokacji. Przede wszystkim dofinansowaniu powinny ulec obszary najściślej związane z ubóstwem i wykluczeniem (polityka rodzinna, polityka walki z bezrobociem, polityka mieszkaniowa oraz pomoc społeczna), które są w Polsce szczególnie niedofinansowane.

Po szóste, rozwinięta powinna być polityka na rzecz wsparcia dzieci i rodzin z dziećmi. Obszar ten w Polsce jest szczególnie niedofinansowany na tle porównawczym, podczas gdy grupy te są szczególnie zagrożone ubóstwem i wykluczeniem. Brak kompleksowej polityki w tym względzie grozi nie tylko pogwałceniem praw społecznych najsłabszych, ale także zapaścią demograficzną, marnotrawstwem potencjału ludzkiego i podważeniem całego ładu społecznego.

Po siódme, należy zrehabilitować krytykowaną we współczesnym dyskursie publicznym ideę świadczeń uniwersalnych. Kompleksowa polityka społeczna powinna łączyć świadczenia uniwersalne ze świadczeniami selektywnymi, adresowanymi do konkretnych grup. Te pierwsze sprawdzają się przede wszystkim, gdy są realizowane w formie rzeczowej i usługowej (np. powszechny dostęp do usług opiekuńczych

i edukacyjnych w różnych fazach życia), te drugie zaś nieraz powinny być przyznawane w oparciu o inne kryterium niż test dochodów (np. dobrze zdiagnozowaną sytuację rodzinną i społeczną).

Po ósme, należy podnieść rękawicę, jaką rzucają środowiska neoliberalne i neokonserwatywne pod postacią koncepcji *workfare*. Polityka społeczna na rzecz zwalczania ubóstwa i wykluczenia powinna mieć proaktywizacyjny odcień, jednak istnieje wiele sposobów osiągania tego celu. Nie należy tkwić w alternatywie: albo polityka łagodzenia i utrwalania ubóstwa, albo *workfare*. Potrzebna jest wielowymiarowa „aktywna polityka społeczna”, która nie stygmatyzowałaby osoby korzystającej z niej i pozwalała odzyskać jej potencjał na wielu frontach.

Kwestia aktywnej polityki społecznej jest warta ożywionej dyskusji w środowiskach prospołecznych. Mam nadzieję, że powyższe propozycje mogą stać się zaczynem owej debaty.

RAFAŁ BAKALARCZYK

Przypisy:

- Więcej argumentów na rzecz powyższych tez dostarczam w opracowaniu napisanym dla Fundacji Amicus Europae: R. Bakalarczyk, *Bieda i wykluczenie społeczne*, Fundacja Amicus Europae, Warszawa, marzec 2011. Na jego kanwie powstał niniejszy artykuł.
- Zob. Danielle Zwarthoed, *Zrozumieć biedę*. John Rawls-Amartya Sen, 2012.
- Owoce tych warsztatów są publikacje na stronie TEA: http://www.tea.org.pl/pl/SiteContent?subitem=teksty_seminaryjne
- W. Warzywoda-Kruszyńska, *Nie widzieć, nie słyszeć, nie mówić - bieda wśród dzieci w Polsce* [w:] J. Szambelańczyk, M. Żukowski (red.), *Człowiek w pracy i polityce społecznej*, Poznań 2010.
- Zob.: A. Karwacki, *Błędne Koło. Reprodukcyjność kultury podklasy społecznej*, Toruń 2006.
- Eurostat, *Statistics in focus*, 14/2012.
- M. Rymśa, *Redystrybucyjna i więziotwórcza funkcja ubezpieczenia społecznego a ewolucja systemu emerytalnego w Polsce* [w:] J. Hryniewicz (red.), *Ubezpieczenie społeczne w Polsce. 10 lat reformowania*, Warszawa 2011.
- Co nie znaczy, że poważne problemy materialne nie dotyczą wielu polskich emerytów – omawiam ten problem szerzej w innym opracowaniu: R. Bakalarczyk, *Ubóstwo wśród ludzi starszych* [w:] *Z godnością w jesień życia. Socjaldemokratyczny program dla osób starszych*, Warszawa - Wrocław 2011.
- <http://nowyobywatel.pl/2012/03/22/szara-polska-jesien-zycia/>
- Najwyższa Izba Kontroli, *Informacja o wynikach kontroli skuteczności prawidłowości realizacji przez gminy województwa małopolskiego Programu Wieloletniego, „Pomoc Państwa w zakresie dożywiania w latach 2006-2009”*, Kraków, kwiecień 2009.
- B. Balcerzak-Paradowska, *Dziecko w polityce rodzinnej. Ocena działań dotychczasowych. Wzorce z innych krajów. Kierunki działań*, „Polityka społeczna” wrzesień 2009.
- Wykluczenie społeczne w Polsce na tle innych krajów Europy*. Prezentacja przygotowana i wygłoszona podczas konferencji organizowanej przez Stowarzyszenie „Warszawa w Europie”, z udziałem prof. J. Supińskiej, prof. R. Szarfenberga i R. Bakalarczyka.

Aktywna dezaktywacja polskiej wsi

WIESŁAWA KOWALSKA

Co pozostało ze wspomniałych założeń aktywizowania mieszkańców wsi do współdecydowania o rozwoju lokalnym, czego narzędziem miał być m.in. unijny program Leader+?

Społeczeństwo obywatelskie budujemy w Polsce od 1989 r., kiedy to została uwolniona znaczna energia społeczna. Po okresie wstępnego gromadzenia kapitału przez Polaków można było wprowadzić pojęcia: „społeczeństwo” i „dobro wspólne”. Po akcesji do NATO (1999) celem narodowym stało się wstąpienie do Unii Europejskiej, co spełniło się 1 maja 2004 r. Od początku jedno z głównych wyzwań UE stanowiła polityka służąca rozwojowi obszarów wiejskich, które stanowią aż 91% jej terytorium i zamieszkiwane są przez 56% ludności 27 krajów członkowskich.

W owej polityce niebagatelnego znaczenia nabrało angażowanie do współpracy lokalnych wiejskich wspólnot, w myśl zasady „Nic o was bez was”. Jednym z kluczowych narzędzi w tym zakresie miał być program o nazwie Leader, którego najważniejszą cechą miała być oddolność. Tworzone w ramach programu Lokalne Grupy Działania (LGD) miały przejąć część odpowiedzialności i kontroli nad wydatkowaniem unijnych środków przeznaczanych na rozwój obszarów wiejskich. Założenia dla Polski przyjęto na podstawie doświadczeń zgromadzonych przez państwa członkowskie w okresie sprzed naszej akcesji do UE. W latach 2004-2006 realizowano Pilotażowy Program Leader+, a w roku 2007 rozpoczęto wdrażanie

właściwego Programu Leader+, którego okres finansowania zaplanowano na lata 2007-2013. W pierwszym okresie Polska uczyła się samoorganizacji i oddolności w obszarze decydowania o rozwoju lokalnym. W drugim rozpoczęto właściwe wdrażanie, złożone z pełnego cyklu projektowego: programowania, identyfikacji, formułowania, finansowania, wdrożenia i ewaluacji.

Obecnie można już pokusić się o pierwsze oceny. Co pozostało ze wspomniałych założeń?

Coś poszło nie tak

Raport Europejskiego Trybunału Obrachunkowego¹ oraz dyskusja wewnątrznarodowa, w tym debata z 17 marca 2011 r. przeprowadzona w Warszawie², nie pozostawiają złudzeń. **Leader+ w Polsce nie zwrócił zainwestowanego europejskiego i lokalnego kapitału. Inwestycja europejska stała się wydatkiem, który w polskich warunkach nie wygenerował rozwoju.** Co z podejścia typu Leader nie sprawdziło się w Polsce i dlaczego?

Założenia programu na każdym etapie – planowania, realizacji i ewaluacji – zakładały wiele korzyści. Nie tylko tzw. miękkich, jak współpraca, odpowiedzialność czy zaangażowanie, ale także twardych, wymiernych – jak innowacyjność, skutkująca wzrostem



© cliff1066™, <http://www.flickr.com/photos/nostri-imago/3461156497/in/gallery-60865808@N06-72157629568452664/>

dochodów mieszkańców wsi poprzez zwiększenie liczby miejsc pracy i różnorodności gospodarczej obszarów wiejskich. Spróbujmy prześledzić podstawowe cechy podejścia typu Leader:

1. Lokalne strategie rozwoju dla poszczególnych LGD. Powinni je tworzyć w partnerstwie i w drodze negocjacji lokalni liderzy, a ich treść winna być oparta na spójności obszaru: geograficznej, gospodarczej, historycznej, kulturowej, przyrodniczej. Dziś, analizując strategie rozwoju zdecydowanej większości LGD, mielibyśmy obraz Polski podzielonej jedynie administracyjnie, a za spójność obszaru musielibyśmy przyjąć „podobną wielkość gmin” lub „przynależność do jednego powiatu” gmin wchodzących w skład LGD, co można wyczytać w dokumentach grup.

2. Oddolne opracowywanie i wdrażanie strategii. W praktyce powszechne stało się zatrudnianie jednej firmy konsultingowej, obsługującej wiele gmin, co skutkuje olbrzymim podobieństwem treści strategii. W treści najważniejsze jest to, by przewidzieć wszystkie możliwe okoliczności, bowiem dokument wykorzystywany jest (etap wdrażania) głównie – jeśli nie jedynie – jako podkładka do konsumpcji środków finansowych napływających z zewnątrz. Interesy gmin mają tu znaczenie pierwszorzędne, bowiem to one

gwarantują niezbędny w całym procesie projektowym wkład finansowy na realizację w oczekiwaniu na zwrot z budżetu państwa³.

3. Lokalne partnerstwa publiczno-prywatne (samorząd, biznes, organizacje pozarządowe). To największy z problemów i najistotniejsza z przyczyn zjawisk patologicznych, ponieważ jawnie dopuszcza do konfliktu interesów. Z założenia, lokalny biznes i organizacje pozarządowe miały mieć co najmniej 51% głosów decydujących w ciele zarządzającym LGD, a samorząd nie więcej niż 49%. Samorządy obeszły ten przepis, tworząc kontrolowane przez siebie organizacje, tzw. Quango (quasi-NGO). Organizacje te delegowały swoich przedstawicieli do składu zarządu i rady, aby uzyskać przewagę decyzyjną. I tak np. czynny sekretarz gminy stał się członkiem zarządu LGD jako przedstawiciel organizacji pozarządowej. W rezultacie środki skierowane na rozwój obszarów wiejskich z programu Leader+ stały się dodatkiem do budżetów gminnych⁴, a lokalni działacze społeczni – nie mając wpływu na podejmowane decyzje – wycofali się z aktywności. Można powiedzieć, że formalnie wszystko się zgadza, choć jest to zgodność w cywilizowanych krajach niedopuszczalna i traktowana jako korupcjogenna. Tam nie ma bowiem możliwości łączenia funkcji pełnionych

w administracji publicznej z pełnionymi w NGO. U nas jest to praktyka na tyle powszechna, że nawet nie dostrzegamy patologicznych zjawisk towarzyszących jej.

4. Zintegrowane i wielosektorowe działania.

W kontekście tworzenia organizacji typu Quango można mówić o synergii wręcz doskonałej. Problem dotyczy jedynie spraw drugorzędnych, w rodzaju: która gmina w jaki sposób i w jakiej wysokości wesprze swoje doroczne imprezy, takie jak dożynki, dni miasteczka X, noc świętojańska, sylwester, oraz ile uzyska np. na remont świetlicy wiejskiej, remizy czy stadionu.

5. Innowacyjność. Oryginalna forma angażowania ludzi i istniejącego potencjału, której skutkiem miały być nowa jakość, nowy produkt i nowa wartość. Zamierzano łączyć nowe idee z pragmatyzmem ich wdrażania. Za innowację przyjęto np. partnerską współpracę samorządów (pragmatyzm wdrażania), organizacji pozarządowych (kreatywność) i pojedynczych liderów (nowe idee). Zdominowanie ciał zarządzających przez przedstawicieli samorządów, z natury reprezentujących postawę zachowawczą, całkowicie wykluczyło innowacyjność.

6. Współpraca i tworzenie powiązań. Można mówić o sukcesie w sieciowaniu się samorządów gminnych, czego wcześniej nie było. Wymiana doświadczeń między samorządowcami spowodowała ogólnopolskie ujednolicenie zadań projektowych. Działania są bardzo podobne, materiały promocyjne niemal identyczne. Brakuje wyróżników opartych o regionalną tożsamość kulturową czy potencjał gospodarczy, co byłoby efektem energii pochodzącej od autentycznych liderów społecznych i gospodarczych. Nie osiągnięto żadnej wartości dodanej.

Z góry na dół

Dr Andrzej Hałasiewicz z Kancelarii Prezydenta udzielił na początku października 2011 r.⁵ wywiadu prezesowi Fundacji Wspomagania Wsi, Piotrowi Szczepańskiemu. O wyzwaniach dotyczących polskiej wsi i planach Kancelarii powiedział m.in.: *Musimy zdecydowanie w kolejnym okresie programowania większy nacisk położyć na efektywne wykorzystanie tych środków [unijnych], czyli nie myśleć w kategoriach jak w okresie przedakcesyjnym czy w pierwszej fazie członkostwa, że najważniejszym miernikiem było po prostu wykorzystanie tych środków. Teraz powinniśmy myśleć, jak je zainwestować, żeby osiągnąć w przyszłości jak najlepsze rezultaty.*

Wypowiedź ta świadczy, że na poziomie władz krajowych znany jest problem braku jakiejkolwiek efektywności w wydatkowaniu środków przeznaczanych na rozwój obszarów wiejskich, w tym w ramach Programu Leader. Ponoszone przez 7 lat wydatki na cele programu nie przyczyniły się do wzrostu potencjału gospodarczego obszarów wiejskich ani nie wzmocniły społeczeństwa obywatelskiego, a wręcz je osłabiły, pozbawiając prawa do podejmowania decyzji o dobru

©© MisiekBunnik, <http://www.flickr.com/photos/ronaldbunnik/2585909733/>



©© Rrrodrigo, <http://www.flickr.com/photos/rrrodrigo/3816035764/in/photostream>

wspólnym i zniechęcając do aktywności. Oddolny potencjał leaderski został wyparty przez kombinatorskie układy.

Środki przeznaczone na rozwój obszarów wiejskich zostały zawłaszczane przez układy samorządowe, wzmacniając władzę, a nie obywatela i społeczeństwo. Wdrażając Program Leader, popełniono kilka kardynalnych błędów. Podstawową słabością już u zarania był brak zaliczkowania. Nowo powstała organizacja, tj. Lokalna Grupa Działania, nie posiadała zdolności kredytowej. Oznaczało to, że nie miała szans na kredytowanie działalności. Nawet gdyby organizacja otrzymała kredyt, to przyjęte procedury nie uwzględniały możliwości wliczenia kosztów obsługi kredytu do kosztów kwalifikowanych. Skutkowało to utratą niezależności finansowej, bowiem wyłącznym gwarantem finansowym realizacji programu stały się samorządy lokalne, jako jedyne posiadające odpowiednie środki⁶. Od tego momentu o faktycznym partnerstwie publiczno-społecznym nie mogło być mowy. Partner społeczny przydatny był jednak do konstruowania Zintegrowanej Strategii Rozwoju Obszarów Wiejskich



© Fura, <http://www.flickr.com/photos/demorganna/482608985/>

(ZSRW) ze względu na swoją kreatywność i innowacyjność. Uległo to zmianie dopiero w momencie zastąpienia ZSRW nowym dokumentem o nazwie Lokalna Strategia Rozwoju (LSR).

ZSRW określała cele wspólne dla kilku lub kilkunastu gmin skupionych w LGD realizującej program Leader+. Strategie te powstawały w latach 2005-2007 i obejmowały plany działań na lata 2007-2013. Po roku 2007 nastąpiły zmiany w polskich przepisach prawnych, nie dopuszczając formy prawnej fundacji dla organizacji typu LGD, które w większości tę właśnie formę przyjęły. Dokonano także, wydawałoby się, kosmetycznej zmiany nazwy ze ZSRW na LSR, co było manewrem tyleż dziwnym, co bardzo kosztownym. Rozpoczęto od nowa nie tylko opracowywanie strategii, ale i powtórzone działania, jakie zrealizowano dla potrzeb ZSRW, typu ankietowe badania potrzeb, warsztaty czy szkolenia. Największe straty dotyczą jednak ogólnopolskiego konkursu na najlepszą strategię opracowaną przez LGD. Dopóki istniały dokumenty o nazwie ZSRW, istniał też konkurs, w którym LGD otrzymywała miejsce w rankingu w zależności

od wartości merytorycznej strategii. Konkurs wyłaniał najlepszych oraz takich, którzy nie otrzymywali dofinansowania. Od momentu wprowadzenia strategii o nazwie Lokalna Strategia Rozwoju – strategii nie podlegały już konkursowi, lecz zatwierdzaniu przez urzędy marszałkowskie. Wystarczyła zaledwie zbieżność strategii LGD ze strategiami gmin i województw.

Zmiana w znaczny sposób obniżyła poziom powstających strategii, a ich wartości merytorycznej nikt już nie oceniał. Zmiana „kosmetyczna” dotyczyła nie tylko procesu tworzenia strategii rozwoju danego obszaru wiejskiego, lecz przede wszystkim dostosowana została do horyzontów i zamiarów nowej „klasy” czy „społeczności” twórców strategii, wśród których dominującą część stanowili mało kreatywni, często pozbawieni wizji lub chęci do większych wysiłków niż to konieczne, samorządowcy i ich podwładni z organizacji typu Quango.

W tym momencie całkowicie upadła idea partnerstwa trójsektorowego, która stanowiła podstawę Programu Leader+. Kapitał społeczny został zamrożony, odeszli liderzy oddolni, mający stanowić siłę napędową całego przedsięwzięcia. Podporządkowanie Leader+ samorządom zmieniło także priorytety inwestycyjne, a chwilowy dyskomfort związany z dzieleniem się władzą szybko zażegnano. Wiesz ponownie stała się odbiorcą chodników, placów zabaw, świetlic, remiz, boisk i kamieni pamiątkowych. Realizowane wydatki nie tworzą miejsc pracy, nie budują kapitału społecznego. Doskonale natomiast służy to celom politycznym, a przede wszystkim utrzymaniu się przy władzy, której przedstawiciele chętnie przekładają środki publiczne na kapitał wyborczy.

Jak bumerang

Podobieństwo wsi polskiej do skansenu, w którym zatrzymał się czas, wzmacnia jeszcze jeden dramatyczny fakt – demograficzna pustka. Rolnicy nierzadko wydzierzawiają swoje ziemie i szukają dorywczej pracy sezonowej w kraju lub za granicą. Ich dzieci uciekają ze wsi, zasilając najniższe opłacane grupy społeczne miast.

Na polskiej wsi nie można kupić kurczaka, kaczki, twarogu, masła, mleka, kiełbasy, dżemu, wina itd. Nie pozwalają na to karkołomne przepisy sanitarne, które właścicielowi jednej krowy, chcącemu sprzedawać masło, stawiają wymogi podobne jak przemysłowej mleczarni. Właściciel sadu owocowego musi wyrzucać tony niesprzedanych owoców, bo aby sprzedać zrobione z nich dżemy, musiałby wybudować przetwórnę, której koszt za jego życia na pewno by się nie zwrócił. Agroturystyka, stanowiąca często wyraz zakompleksienia, braku wyobraźni i wiedzy zarówno właścicieli, jak i urzędników sprawujących kontrolę nad jakością usług agroturystycznych, nie przynosi upragnionych dochodów (mimo dostępnych dotacji) ze względu na brak kompleksowej strategii budowania i promowania produktów turystycznych.



©©© kingary, <http://www.flickr.com/photos/kingary/4727830373/>

Dokument jednej z polskich Lokalnych Grup Działania przedstawia listę wybranych działań do sfinansowania z dotacji na rok 2010 w ramach priorytetów unijnych, mających odnowić i rozwinąć wieś w 4 gminach należących do organizacji. Dotacje otrzymało 28 inicjatyw⁷: w 16 przypadkach wnioskodawcami były urzędy gmin, w 2 przypadkach - gminne centra kultury, w 1 przypadku - Ochotnicza Straż Pożarna (także dotowana przez gminy). Najbardziej wymowne są jednak cele wydatków: doposażenie świetlicy, odnowienie chodników, wymiana dachu w budynku OSP, budowa boisk ze sztucznej trawy, budowa placów zabaw, zakup zestawów biesiadnych, wyposażenie świetlic i centrów kultury, obchody rocznic utworzenia wsi, utwardzenie placów przed świetlicami, zakup zastawy stołowej dla OSP...

W ramach działania o nazwie „Różnicowanie w kierunku działalności nierolniczej” przyznano dotacje na zagospodarowanie terenu siedliska pod agroturystykę, zakup ciągnika i pług obracalnego, zakup agregatu uprawowo-siewnego. Wśród wydatków są też: enigmatycznie określone „zapobieganie wykluczeniu cyfrowemu” (warte 198 tys. zł), 2 szkolenia o turystyce pielgrzymkowej (warte ok. 19 tys. zł) oraz oznakowanie tras do narciarstwa biegowego (warte 12,6 tys. zł). Ogółem wartość dofinansowania projektów mających odnowić wsie poprzez działania Leadera+ w 4 gminach wyniosła 1 322 815,03 zł (2010 r.). W Polsce mamy 2500 gmin, których większość, bo ok. 90%, należy do jakiejś LGD. Każda z nich może wydać - biorąc pod uwagę tylko środki z Programu Leader+ - ok. 350 tys. zł rocznie na cele ewidentnie nierozwojowe.

Jak bumerang powraca wypowiedź dr. A. Hałasiewicza z Kancelarii Prezydenta: *Najważniejszym mierzniem było po prostu wykorzystanie tych środków*. W roku 2011 powinno się mówić zatem o sukcesie, bo jak się okazuje, to, co się stało, było zakładane przez

stronę rządową. Leader+ miał dać wsi pieniądze. I dał je, nie tylko nie wnosząc nowej jakości, ale niszcząc wiarę w zdrowy chłopski rozum. Bo chłopci nie zbudowaliby na wsi boisk ze sztuczną trawą, gdyby nie „pomoc” urzędniczych fachowców.

Liderzy z urzędu

Prawdziwe tsunami finansowe pojawiło się wraz z funduszem sołeckim, wprowadzonym przez Sejm w 2009 r. Sołtysi, traktowani przez swoje społeczności jak „siedzący na garnuszku gminnym”, otrzymali ogromne pieniądze z klucza rządowego, a więc zabezpieczone systemowo. Systemowo też i odgórnie uznano, że każdy sołtys wsi polskiej jest liderem, który zasługuje na stałe dotowanie. Trzeba głęboko westchnąć nad takim pojmowaniem funkcji lidera. Znakomita większość rzeczywistych liderów walczy o realizację niszowych projektów społecznych bądź kosztem własnych rąk i środków, bądź kosztem jakości tych projektów. Żadna lokalna organizacja społeczna, która nie jest organizacją typu Quango, nie zasłużyła na takie zaufanie rządu polskiego, jak sołtysi.

Od lutego 2009 r. każda wieś polska obudziła się z nowym liderem. O pojmowaniu tej roli przez decydentów wiele mówią regulacje funduszu sołeckiego, stanowiące, że środki pochodzące zeń mogą być przeznaczone wyłącznie na przedsięwzięcia mieszczące się w zakresie zadań własnych gminy. Czyli chodniki, świetlice, OSP... (patrz wyżej). Korzyścią dla gminy są dodatkowe pieniądze z budżetu państwa, o wartości do 30% poniesionych wydatków. Największe dofinansowanie będą otrzymywać gminy o najniższych dochodach, zaś najmniejsze - gminy najbogatsze. Przypomina to monstualną hodowlę liderów, która otrzymuje ogromne środki w nadziei, że może co któryś sołtys uaktywni się społecznie. W tym samym czasie setki kreatywnych liderów wiejskich otrzymały sygnał, że nie zasługują na wsparcie i zaufanie publiczne.

Cztery potrzeby

Polska wieś potrzebuje prostych i stosunkowo niedrogich narzędzi. Na przykład, aby uaktywnić się gospodarczo, rolnik potrzebuje taniego kredytu (a nie chaotycznie przyznawanych dotacji⁸) oraz wiejskiego inkubatora przedsiębiorczości, czyli budynku spełniającego wszelkie wymagane przepisami normy sanitarne, w którym można byłoby produkować żywność lokalną. Jeden inkubator umożliwiłby kilku lub kilkunastu wsiom drobne przetwórstwo, które generuje miejsca pracy, godne dochody, wzbogacenie rynku produktów lokalnych i wiele innych dóbr, w tym poczucie godności rolnika, obecnie kojarzonego głównie z obywatelem niewygodnym, zacofanym i kosztownym.

Wież polska potrzebuje wymiany elit w samorządach lokalnych, czyli ograniczenia kadencyjności włodarzy. W obecnym systemie mogą oni dożywoć

sprawować władzę. Prowadzi to do wielu patologii, z których nepotyzm i marazm ścigają się o pierwszeństwo, odbierając inicjatywę obywatelom. Co wybory przybywa gmin, w których nie ma już kontrkandydatów do funkcji wójta czy burmistrza. W znanych autorce 10 gminach środkowej Polski, podczas ostatnich wyborów samorządowych w 80% nie było kontrkandydatów, a w 20% (2 przypadki) jeden z wójtów zrezygnował po ponad 30-letniej służbie, a drugi został „zdjęty z ewidencji” przez CBA (!).

Wiesz polska potrzebuje dobrej edukacji, w tym także edukacji o wartości dziedzictwa kulturowego regionów. W betonowych, ujednoliconych bezstylową pseudo-architekturą wsiach trudno szukać wypoczynku. Dla ludzi wrażliwych, pobyt w większości polskich gospodarstw agroturystycznych jest nie do przyjęcia, a więc swoje pieniądze zostawia w harmonijnych kulturowo wsiach zachodu czy południa Europy.

Wreszcie - wiesz polska potrzebuje debaty ekspertów i samych zainteresowanych, czyli rolników i przede wszystkim lokalnych społeczników (nie Quango!) nad stanem polskiej wsi i działaniami, jakie trzeba podjąć dla poprawy sytuacji.

WIESŁAWA KOWALSKA

Przypisy:

1. Europejski Trybunał Obrachunkowy zbadał, czy podejście Leader zostało wdrożone w sposób umożliwiający uzyskanie wartości dodanej, a równocześnie minimalizujący ryzyko niepowodzeń w sferze należytego zarządzania finansami. Trybunał ocenił wdrażanie przez LGD programów Leader+ w latach 2000-2006, w których ostateczne płatności zostały dokonane w roku 2009. Ponadto ocenił opracowane przez LGD strategie osi 4, obejmujące plany wdrożenia podejścia Leader w okresie 2007-2013. Kontrola Trybunału została przeprowadzona w wybranych losowo 202 organizacjach LGD w 23 państwach członkowskich, w tym w Polsce.
2. Debata zorganizowana przez Fundację Wspomagania Wsi: „Leader - czy można więcej”, Warszawa, 17 marca 2011 r.
3. Podejście oddolne miało ograniczony zakres w przypadku lokalnych grup działania, które przyznawały większość finansowania podmiotom, z którymi byli związani ich członkowie; potencjalna wartość dodana partnerstwa nie została uzyskana w LGD, gdzie kluczową rolę w procesie podejmowania decyzji odgrywały władze lokalne; niewiele LGD mogło wykazać w swoich strategiach lub projektach istnienie innowacyjnych rozwiązań lub współpracy między różnymi sektorami (Źródło: „Sprawozdanie specjalne nr 5/2010 Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, Wdrożenie podejścia Leader w zakresie rozwoju obszarów wiejskich”, Urząd Publikacji Unii Europejskiej, Luksemburg 2010, s. 55).
4. Proceder ten potwierdził aktualny raport Europejskiego Trybunału Obrachunkowego (s. 59): *Oddolne określanie lokalnych rozwiązań dla lokalnych problemów jest kluczowym elementem programu Leader, ale wszystkie - poza jedną - ze skontrolowanych instytucji zarządzających w okresie 2007-2013 wdrożyły w rzeczywistości system odgórny. [...] Może to ułatwić kontrolę nad programem Leader, ale ogranicza zakres innowacyjnych strategii lokalnych, przez co ogranicza również szansę uzyskania wartości dodanej, która uzasadnia stosowanie podejścia Leader.*
5. Podczas międzynarodowej konferencji „Podejście Leader po roku 2013 wobec nowych wyzwań rozwoju obszarów wiejskich Europy”. Pełen wywiad dostępny jest na www.fww.org.pl
6. W latach 2006-2007 lokalne grupy działania mogły w drodze konkursu uzyskać do 750 tys. zł na lokalne projekty obejmujące promocję obszarów wiejskich. Powstające LGD zmagaly się z ogromem wyzwań organizacyjnych, które często były rozwiązywane przez lokalnych społeczników w formie non profit lub za znikomym wynagrodzeniem. O sfinansowaniu zaliczkowym projektów nie mogło być mowy bez udziału samorządów. Założenie to z góry przekreślało walor partnerstwa.
7. Źródło: www.znamiwarto.pl
8. Dotacje na inwestycje w gospodarstwach rolnych przyznawane są przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Procedury aplikacyjne są na tyle skomplikowane, że rolnik nie jest w stanie przeprowadzić ich samodzielnie. Zmuszony jest korzystać z wyspecjalizowanych firm, których usługi są bardzo kosztowne bez względu na wielkość inwestycji. W rezultacie ubieganie się o małe dotacje jest nieopłacalne, co skutkuje sytuacją, w której z dotacji mogą korzystać przede wszystkim wielcy inwestorzy rolni.

**Pośrednicy pobierają
nawet do 50% ceny pisma!**

Czytasz „Nowego Obywatela” regularnie?
Chcesz nas wesprzeć finansowo?

Zamów prenumeratę!



Cud Botswany



JANINA PETELCZYC

Afryka ma różne oblicza. Błędne jest przekonanie, że to kontynent dręczony wyłącznie wojnami, suszą, głodem, cierpieniem i chorobami. Współczesna Afryka składa się z 54 różnych państw i większość z nich nie potrzebuje pomocy humanitarnej. Są też przykłady krajów z tej części świata, które dzięki rozsądnej, długofalowej i odpowiedzialnej polityce radzą sobie bardzo dobrze.

Niejedna Afryka

Mijają już 52 lata od czasu, gdy w 1960 r. Afrykę zalała fala ruchów wyzwoleniczych, przynoszących dekolonizację na Czarnym Lądzie. Początek 2011 r. to wybuch arabskiej Wiosny Ludów, który przyciągnął uwagę polityków i mediów na całym świecie, uświadamiając potencjał drzemący w tym kontynencie.

Tematy związane z Afryką trafiają do polskich mediów głównie za sprawą wydarzeń dramatycznych – wojen, głodu lub epidemii chorób. Nawet neutralne, wydawałoby się, programy podróżnicze mogą szkodzić wizerunkowi jej mieszkańców. W raporcie z monitoringu polskich mediów pt. „Afryka i jej mieszkańcy w polskich mediach”, przygotowanym przez Fundację „Afryka Inaczej”, wskazuje się przykładowe wypowiedzi Wojciecha Cejrowskiego, jak chociażby ta: *Afryka nie sami dla siebie są największym zagrożeniem. Uważam, że doskonałym sposobem naprawy tego zła byłoby przywrócenie dyktatury białego człowieka na czas jakiś [...] Białe człowiek ucywilizował Afrykę, czarny zniszczył to dobro*¹. To, w jaki sposób pokazywana jest w mediach Afryka, utrwała negatywne stereotypy na temat

kontynentu i jego mieszkańców. Z raportu wynika, że Polacy najczęściej kojarzą Afrykę ze złymi warunkami życia oraz niebezpieczną sytuacją polityczną, a przy tym niski stan wiedzy o współczesnej, zróżnicowanej Afryce powoduje utożsamianie lokalnych problemów z całym kontynentem.

Warto zatem przypomnieć słowa, chyba największego polskiego znawcy Afryki, Ryszarda Kapuścińskiego. Stwierdzał on: *Ten kontynent jest zbyt duży, aby go opisać. To istny ocean, osobna planeta, różnorodny, przebogaty kosmos. Tylko w wielkim uproszczeniu, dla wygody, mówimy – Afryka. W rzeczywistości, poza nazwą geograficzną, Afryka nie istnieje*². Warto więc zobaczyć inne oblicze Afryki i dostrzec, że nie jest to kontynent samych wojen, suszy, głodu i AIDS. Trzeba pamiętać, że współczesna Afryka składa się z 54 niepodległych państw, natomiast pomoc humanitarna potrzebna jest zaledwie kilku z nich.

Nie oznacza to, że problemy nie istnieją. Kraje afrykańskie łączy kilka wspólnych wyzwań. Po pierwsze – kwestie ludnościowe. W najbliższym pięćdziesięcioleciu Afryka zmagać się będzie z olbrzymim przyrostem



ludności. Szacuje się, że do 2050 r. populacja wzrośnie o ponad 100% i będzie wynosiła 1937 mln osób, czyli ponad 21% ludności całego świata³. W związku z tym pojawia się kolejny problem – będzie rość zapotrzebowanie na żywność, wodę, infrastrukturę, odpowiednią opiekę medyczną i edukację. Na razie rozwój gospodarczy wciąż pozostaje w tyle za przyrostem ludności, co może budzić poważne obawy na przyszłość. Podniesienie poziomu opieki zdrowotnej i rozwój systemu edukacyjnego mogą wyzwolić ogromny potencjał, który kryje się w krajach Afryki. Wyzwanie związane ze wzrostem liczby ludności może zatem okazać się szansą, a nie zagrożeniem.

Fala dekolonizacji, która pozwoliła wybić się na niepodległość wielu krajom, była przełomowym momentem w historii większości mieszkańców kontynentu. Prawie cała Afryka, podzielona jeszcze w XIX w., znajdowała się pod europejskim panowaniem. W latach 60. XX w. dekolonizacja, która początkowo niosła radość i nadzieję, przyniosła również napięcia i konflikty, które czasami przeradzały się w wojny domowe, np. w Angoli, Erytrei, Etiopii, Nigerii czy Sudanie. Gospodarki narodowe podupadały, międzynarodowe korporacje wykorzystywały słabe państwa, a część krajów znalazła się w rękach dyktatorów. Proces ten zapewne nie jest zakończony, jednak istnieją kraje, które z trudną transformacją poradziły sobie dobrze, a należy do nich m.in. Botswana.

Jest taki kraj

Botswana leży w Afryce Południowej i graniczy z Namibią, Zimbabwem, RPA i Zambią. Nie ma dostępu do morza, więc pod wieloma względami jest gospodarczo uzależniona od sąsiadów. Niepodległość, tj. wyzwolenie spod brytyjskiego protektoratu, uzyskała w 1966 r. Podczas gdy inne kraje rozwijające się odziedziczyły infrastrukturę czy sieć usług społecznych, Botswana musiała o rozwój zadbać zupełnie samodzielnie i od podstaw. Każdy aspekt rozwoju tego kraju został zaplanowany i zrealizowany przez jego mieszkańców.

W momencie uzyskania niepodległości Botswana należała do najbiedniejszych i najmniej rozwiniętych państw na świecie. Kraj był całkowicie uzależniony od materialnej pomocy z Wielkiej Brytanii, której wsparcie stanowiło połowę państwowego budżetu⁴, a PKB na osobę nie przekraczało 240 dolarów. 96% społeczeństwa mieszkało na wsi, analfabetami było ponad 50% populacji. Tylko 22 mieszkańców kraju miało ukończone uniwersytety, głównie w RPA, a 100 – szkołę średnią. Kraj cierpiał głód, występowały braki wody pitnej, istniała jedynie minimalna infrastruktura zdrowotna. Linie kolejowe tego dużego państwa (o powierzchni ponad 600 tys. km²) miały długość zaledwie 219 km, a drogi asfaltowe... 6 km. Istniały dwie szkoły średnie i żadnej wyższej. Głównym źródłem dochodów ludności było pasterstwo. Po zaniedbaniach sięgających

jeszcze czasów brytyjskiej dominacji, Botswana miała ponure perspektywy rozwoju.

Pierwszym prezydentem został Seretse Khama, syn wodza największego szczepu. Wysłano go do szkoły do Johannesburga, a potem na studia prawnicze do Wielkiej Brytanii. W 1948 r. ożenił się z Brytyjką poznaną w Londynie – Ruth Williams. Małżeństwo to spotkało się ze sprzeciwem zarówno ze strony brytyjskiej, jak i botswańskiej. Seretse Khama wrócił z białą żoną do Afryki i, mimo protestów, objął obowiązki wodza szczepu. To jednak wywołało głosy krytyczne ze strony rządów RPA i Rodezji (dziś Zimbabwe). Obawiając się negatywnej reakcji RPA, Wielka Brytania zmusiła sir Khamę do wyjazdu. Dopiero w 1956 r. prezydent mógł powrócić do kraju.

Podczas gdy większość reżimów w Afryce po uzyskaniu niepodległości pozbywało się białych, Seretse Khama dążył do harmonii rasowej. W rezultacie Botswana w dużym stopniu korzystała z ludzkiego i finansowego kapitału społeczności białych, która stanowi około 7% całej populacji. Można więc rzec, że małżeństwo pierwszego prezydenta Botswany przyczyniło się do wzrostu tolerancji i zgodnego życia w rasowej różnorodności.

Khama energicznie rozpoczął wdrażanie programu, który miał oprzeć gospodarkę na eksporcie wołowy, miedzi i diamentów. Przełomowym stał się rok



© Fiona Bradley, <http://www.flickr.com/photos/blisspi/4010990495/in/gallery-60865808@N06-72157629547225794/>



© informatique, <http://www.flickr.com/photos/informatique/4615425896/in/gallery-60865808@N06-72157629547225794/>

1967, gdy odkryto złoża diamentów w Orapa. To miasto w centrum kraju posiada dziś największą na świecie kopalnię diamentów. Rocznie produkowanych jest tam średnio 16,3 mln karatów, czyli 3260 kg diamentu⁵. W sumie na terenie kraju, przy pomocy południowoafrykańskiej kompanii De Beers, zbudowano cztery kopalnie, z których dochody stanowią niemal 35% PKB i 75% wpływów dewizowych⁶. Botswana stała się więc największym na świecie producentem oraz eksporterem diamentów i może uchodzić za wzór efektywnego wykorzystania złóż naturalnych.

Diamentowa gorączka

W latach 1966–1980 gospodarka Botswany była najszybciej rozwijającą się na świecie, wzrost osiągał średnio 14,5% PKB rocznie⁷. PKB *per capita* w ciągu dwudziestu lat wzrósł pięciokrotnie. Wskaźnik rozwoju społecznego (HDI, Human Development Index), który uwzględnia także takie czynniki jak długość życia, dostęp do edukacji, opieki zdrowotnej czy poziom scholaryzacji, również znacznie wzrósł. HDI wyraża się w wartościach od 0 do 1 – im wyższa jego wartość, tym lepszy rozwój społeczny. W 1980 r. wynosił w Botswanie 0,446, a w 2011 r. już 0,633⁸.

Botswana skorzystała więc na odkryciu diamentów, które cieszą się względnie stałym popytem na rynku międzynarodowym. Jednak klucz do sukcesu nie tkwi w samych złożach – wiele krajów rozwijających



© Eshtir, <http://www.flickr.com/photos/edysen/2830412372/in/photostream/>

się również posiada cenne złoża mineralne czy inne towary, jednak nie były w stanie zarządzać dochodami z nich tak rozważnie. Większość korzyści płynących ze sprzedaży produktów tych państw została zniwelowana przez słabe polityki krajowe, korupcję czy tak zwaną holenderską chorobę - regres innych działów gospodarki w wyniku pojawienia się możliwości zwiększenia produkcji na eksport.

Kluczem do sukcesu w przypadku Botswany okazało się odpowiednie wykorzystanie zysków ze sprzedaży diamentów. Seretse Khama podjął liczne, znaczące inwestycje m.in. w infrastrukturę, służbę zdrowia i edukację, przyczyniając się do dalszego rozwoju kraju. Do sukcesu przyczyniło się też wiele innych czynników, m.in. zaangażowanie w rozwój demokracji, dobre rządy, walka z korupcją (która jest złą innych państw Afryki), sprzyjające środowisko handlowe w postaci unii celnej państw południowoafrykańskich, prowadzenie takiej polityki monetarnej i polityki kursu walutowego, która elastycznie reagowała na wstrząsy zewnętrzne, oraz dbałość o rozwój kapitału społecznego. Khama wprowadził niskie i stabilne podatki dla przedsiębiorstw górniczych, twierdząc, że niskie stawki podatku dochodowego powstrzymują oszustwa podatkowe i korupcję⁹.

Za pieniądze uzyskane głównie dzięki handlowi diamentami rozbudowywano infrastrukturę drogową (z 6 km w 1966 r. do dziś powstało już prawie 10 tys.

km dróg asfaltowych), wodociągi i szpitale. Diamenty mają być drogą do sukcesu i dobrobytu, a nie tylko dobrej kondycji finansowej państwa. Jak to bowiem ujął były prezydent, Festus Gontebanye Mogae: *Wykorzystujemy nasze diamenty do edukowania naszych ludzi, dostarczania im opieki medycznej, czystej wody pitnej, dróg i mieszkań. Botswańskie diamenty nie powodują konfliktów zbrojnych, które zabijają kobiety i dzieci*¹⁰.

Skala sukcesu Botswany jest imponująca, tym bardziej, że kraj otaczają państwa pogrążone w kryzysach politycznych i gospodarczych.

Od zera do lidera

Sukces Botswany, który nastąpił w relatywnie krótkim czasie, warto rozłożyć na czynniki pierwsze.

Jednym z najważniejszych była stabilność polityczna. W Botswanie udało się uniknąć zamachów stanu i wojny domowej. Od początku panowała wolność słowa i wolność debaty. Nigdy też nie było w tym państwie więźniów politycznych, a rządy prawa, gdzie szanuje się każdego obywatela, sprzyjają rozwojowi.

Istotnym elementem polityki pierwszego prezydenta i jego następców, która miała utrzymać stabilność polityczną i ekonomiczną, była walka z korupcją. Najnowszy raport Transparency International, dotyczący poziomu korupcji, wykazał, że Botswana znajduje się na 33. pozycji (na 178) w rankingu, w którym na pierwszym miejscu znajduje się kraj najmniej

skorumpowany, czyli Dania. Warto podkreślić, że Botswana pod tym względem przoduje nie tylko wśród państw Afryki, ale także wyprzedza wiele krajów europejskich, m.in. Polskę (41. pozycja), Węgry (40.), Czechy (53.) czy Włochy (67.)¹¹.

Stabilności politycznej Botswany sprzyjał także fakt, że po odzyskaniu niepodległości nie usuwano ze stanowisk dawnych, doświadczonych urzędników kolonialnych, jak to się działo w innych państwach w ramach odwetu za lata ucisku. Utrzymanie się u władzy i w administracji wielu urzędników miało ogromne znaczenie dla kraju, który wcześniej nie mógł wykształcić własnych elit. Sprzyjało to także wzmacnianiu rasowej tolerancji, zarówno wobec białych, jak i czarnych mieszkańców Botswany. Tolerancja dotyczyła także imigrantów z sąsiednich krajów, których nikt nie traktował jak obywateli drugiej kategorii.

Ważnym elementem polityki była dbałość o liberalizację handlu i wolny rynek. Jednak pożytki wynikające z wolnego rynku wykorzystywano w celu poprawy życia wszystkich obywateli, a nie wyłącznie do pomnażania kapitału. Żeby umiejętnie wykorzystać potencjał, który drzemał w złożach diamentów, należało stworzyć warunki odpowiednie do wymiany handlowej oraz przedsiębiorczości. Botswana jako jeden z nielicznych afrykańskich krajów przez większość lat od uzyskania niepodległości może się pochwalić zbilansowanym budżetem. Według rankingu CIA World Factbook, należy do najmniej zadłużonych państw świata (na 107. pozycji spośród 132 zadłużonych).

W ramach liberalizacji handlu zagranicznego Botswana przystąpiła do unii celnej (SADC – Southern African Development Community). Kryzys gospodarczy również dotknął ten kraj – w 2010 r. rezerwy walutowe Botswany zmniejszyły się o 0,2 mld USD i wzrósł dług publiczny. W celu przeciwdziałania efektom kryzysu zwrócono się do Afrykańskiego Banku Rozwoju oraz Banku Światowego o pożyczkę w wysokości 12 mld pula (ok. 1,5 mld USD), a środki te przeznaczone na wsparcie rządowego programu inwestycyjnego, który miał na celu rozwój rolnictwa, transportu, produkcji diamentów, ochrony zdrowia, szkolnictwa i innowacyjności¹². Władze kraju rozumieją bowiem, że dla zapewnienia dobrobytu nie wystarczy sam wzrost gospodarczy – należy również zwiększać zakres usług społecznych i poziom warunków bytowych.

Rząd stawia także na rozwój edukacji. Zapewnia się bezpłatne kształcenie dzieciom do 13. roku życia oraz opłaca większość kosztów studiów wyższych. Od 1966 r. liczba uczniów wzrosła pięciokrotnie, a analfabetyzm w 2000 r. po raz pierwszy spadł poniżej 10% populacji. W Botswanie prawie nie występuje „drenaż mózgów” – większość studentów uczących się za granicą wraca do kraju, mają bowiem dobre perspektywy zatrudnienia.

Rozsądne dysponowanie pieniędzmi jest olbrzymim atutem władz Botswany. W specjalnie stworzonym

Ministerstwie Finansów i Planowania Rozwoju rozdziela się pomoc między inne ministerstwa, wybiera projekty i tworzy 6-letnie plany rozwoju, które modyfikowane są w zależności od zmieniającej się sytuacji w kraju i na świecie. Mimo iż decydujący głos mają władze centralne, stosuje się konsultacje na poziomie lokalnym.

Bardzo roztropnym postępowaniem była dywersyfikacja pomocy z zewnątrz. Botswana zawsze wołała negocjować wsparcie indywidualnie, zamiast tworzyć specjalne bloki negocjacyjne. Dzięki temu w latach 80. żaden kraj nie dawał Botswanie więcej niż 20% całości wsparcia zagranicznego. Pozwoliło to w pewnym mierze uniezależnić się od innych, bogatych państw. A warto podkreślić, że choć niepodległość polityczna krajów Afryki liczy już 50 lat, to wciąż jeszcze trwa ich wielkie uzależnienie ekonomiczne.

Problemy i wyzwania

W 1992 r. Botswana awansowała do kategorii państw średniozamożnych. Jednak mimo stabilności politycznej i korzystnej sytuacji gospodarczej zmagają się z wieloma problemami. Do największych z nich należy HIV/AIDS.

Botswana boryka się z jednym z najwyższych na świecie odsetków osób zarażonych wirusem HIV. Szacuje się, że w tym niemal dwumilionowym państwie (1,842 mln osób) zarażonych wirusem HIV jest około 300 tys. Stanowi to 24,8% osób w wieku rozrodczym (15–49 lat). Z tego powodu przeciętna długość życia spadła w latach 2000–2005 poniżej 40 lat, czyli wynosiła o 28 lat mniej niż gdyby nie było AIDS. Ilość osób zarażonych wirusem HIV wynosiła wówczas około 40% populacji. Państwo, organizacje pozarządowe i międzynarodowe podjęły wiele działań, dzięki którym przeciętne trwanie życia wydłuży się i w 2011 r. wyniosło już 53 lata¹³.

Strata osób dorosłych z powodu AIDS powodowała poważne problemy, także ekonomiczne. Wiele rodzin popadało w ubóstwo z powodu utraty dochodu (chory żywiciel rodziny), wydatków na opiekę medyczną czy pogrzebów. Powodowało to również poważny problem sieroctwa – około 93 tys. dzieci straciło oboje rodziców z powodu epidemii. Dzieci te, oprócz olbrzymich strat emocjonalnych, z reguły skazane były na życie w ubóstwie, traciły też często możliwość edukacji, ponieważ zmuszone były zająć się rodzeństwem i/lub przedwcześnie pójść do pracy.

W 2003 r. rząd Botswany wypowiedział wojnę epidemii. Od tego roku z pieniędzy państwowych finansowane są programy walki z HIV/AIDS w 66%, a pozostałą część finansują zagraniczni darczyńcy, z których największym jest Bill Gates. W walkę z AIDS zaangażowany był i nadal jest poprzedni prezydent, Festus Mogae, który razem z innymi prezydentami i wpływowymi osobami z regionu utworzył stowarzyszenie Champions for an HIV-Free Generation, które zabiega

u głów państw o wcielanie w życie rekomendacji WHO, UNAIDS, UNICEF i Global Fund¹⁴.

Programy składają się z kilku części: prewencja, testy i kuracja. W ramach prewencji prowadzone są kampanie społeczne; mówi się nawet, że mieszkańcy Botswany są wręcz bombardowani informacjami na temat możliwości zakażenia wirusem. Najbardziej znany jest program ABC, promujący A, czyli Abstinency, wstrzemięźliwość seksualną, B - Be faithful, wierność jednemu partnerowi i C, Condomizing - stosowanie prezerwatyw.

Szczególnie dużą wagę przykładano do edukacji młodych, którzy mają obowiązkowe lekcje poświęcone problematyce HIV/AIDS w szkołach średnich. Organizuje się dla nich także specjalne grupy dyskusyjne, rozprowadza materiały na festiwalach itp. Szkoli się także nauczycieli. Program wprowadzony przez Ministerstwo Edukacji wraz z UNDP, którego celem było przygotowanie kadr i uświadamianie uczniów, otrzymał nagrodę najlepszej praktyki edukacyjnej w 2009 r. (Commonwealth Education Best Practice Awards). Efekty wzmożonej edukacji seksualnej widać już teraz. W latach 2004-2008 spadła z 7% do 3,5% ilość osób rozpoczynających współżycie przed 15. rokiem życia. Znacznie częściej młodzież pamięta o używaniu prezerwatyw - w 2009 r. ministerstwo zdrowia rozdało ich niemal 20 mln sztuk. Co ważne - temat HIV przestał być tabu w tym kraju, co znacznie pomaga walczyć z epidemią.

Drugi element programów to darmowe testy. Od 2000 r. w całym kraju tworzy się centra badań dla osób aktywnych seksualnie pomiędzy 18. a 49. rokiem życia. Do 2009 r. skorzystało z nich już 650 tys. osób¹⁵.

I wreszcie, trzeci element programu - leczenie. Osoby zarażone wirusem mają bezpłatny dostęp do nowoczesnych leków przeciwtretowirusowych. Ich przyjmowanie, oprócz bezpośredniego efektu w postaci poprawienia rokowań leczonych pacjentów, ma również wpływ na przenoszenie wirusa. W wyniku terapii ilość cząsteczek wirusa we krwi może zmaleć nawet 2000 razy. Ten fakt sprawia, że osoby przyjmujące leki mają około 25-krotnie mniejszą możliwość zakażenia innych. Dbano się także o to, by ciężarne z wirusem HIV nie zarażały swoich przyszłych dzieci. Poziom zarażeń wśród dzieci takich matek wynosi obecnie około 3%, czyli kształtuje się na podobnym poziomie, co zarażenia wirusem wśród dzieci matek z HIV z Europy Zachodniej i USA.

Diamenty nie są wieczne

Dzięki wydobyciu diamentów i odpowiedniemu zagospodarowaniu pieniędzy Botswana stała się jednym z lepiej rozwiniętych państw Afryki Południowej. Władze zapewniają żywność dla najuboższych, darmową opiekę zdrowotną wszystkim obywatelom, bezpłatną naukę 12 tys. studentów na jedynym w kraju Uniwersytecie Botswany i 7 tys. za granicą.

Z państwowych pieniędzy finansowana jest także prewencja i leczenie osób zakażonych wirusem HIV.

We wrześniu 2011 r. rząd Botswany zawarł umowę z diamentowym gigantem De Beers. Pozwoli to Botswanie w ciągu kilkunastu lat stać się największym międzynarodowym ośrodkiem w przemyśle diamentowym. Dzięki podpisanej umowie, firma De Beers przeniesie z Londynu do stolicy Botswany, Gaborone, wiele swoich oddziałów. Botswana będzie też mogła samodzielnie sprzedawać 15% (a nie, jak dotąd, 10%) wydobywanych diamentów oraz samemu je przetwarzać. Roczna wartość wydobytych diamentów szacowana jest obecnie na 3 mld USD¹⁶.

Władze jednak są świadome, że diamenty nie są wieczne i nie mogą być jedynym źródłem dochodu państwa, a gospodarkę należy zdywersyfikować. Z tego powodu w strategii „Vision 2016”, gdzie zawarto główne cele rozwojowe kraju, **kładzie się nacisk na zrównoważony rozwój, wzrost gospodarczy przy zróżnicowaniu działań, niezależność ekonomiczną, budowanie kapitału społecznego oraz sprawiedliwość społeczną**¹⁷.

Wśród nowych gałęzi gospodarki coraz większą rolę odgrywa turystyka, która w 2010 r. odpowiadała już za 12% PKB. Lepszy niż oczekiwano wzrost tego sektora wskazuje, że kraj zyskał więcej niż się spodziewano na pozytywnym rozgłosie po ostatnich mistrzostwach świata w piłce nożnej w RPA. Rząd chce, aby Botswana stała się regionalnym centrum transportu i w tym celu zamierza rozszerzyć ofertę usług lotniczych Air Botswana na Londyn, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Egipt i Angolę. Turystyka jest też wskazywana jako jedno z najważniejszych wyzwań dla kraju w strategii „Vision 2016”. Podkreśla się potencjał, jaki niesie ze sobą dzika natura, zwłaszcza w delcie Okavango - ta wyjątkowa rzeka nie uchodzi do morza, lecz kończy swój bieg na pustyni Kalahari, w bagnistym zbiorniku. Akcentuje się także atrakcyjność historycznego i kulturowego dziedzictwa Botswany.

Sektor finansowy kraju ma szansę stać się jedną z sił napędowych rozwoju i dywersyfikacji gospodarki. Gaborone może stać się międzynarodowym centrum usług finansowych w Afryce Południowej. Właściwie proces ten już się rozpoczął, gdy w lipcu 2011 r. największe grupy finansowe przeniosły się z RPA do stolicy Botswany. Gaborone jest także siedzibą Wspólnoty Rozwoju Afryki Południowej (Southern African Development Community, SADC), czyli organizacji, która ma na celu ujednolicenie polityki gospodarczej 14 państw afrykańskich.

Afryka nie jest kontynentem straconych szans

Często nie dostrzegamy wielkiego zróżnicowania pomiędzy państwami na Czarnym Kontynencie. Tymczasem każde z nich ma za sobą inną drogę oraz inne możliwości rozwojowe przed sobą. Afryka w powszechnej świadomości funkcjonuje trochę jako „jednolity kraj”; jako miejsce, gdzie panuje wyłącznie głód

i upa! nie do wytrzymania; gdzie powszechny jest widok zagłodzonych małych dzieci. Czasami przedstawia się lepszą wizję – wtedy pojawia się biały, np. biała pielęgniarka, która robi dziecku zastrzyk, biali lekarze, biali misjonarze, szkoły zbudowane przez białych itp. A tak wcale nie jest.

W Afryce jest oczywiście wiele obszarów biedy, głodu, chorób i wojen. Ale wielu jest też ludzi zamożnych, dających sobie świetnie radę, zdrowych, radosnych, żyjących w spokojnych regionach. Tworzą wspaniałą literaturę, filozofię, dobrze radzą sobie na polu nauki i w wielu innych dziedzinach.

JANINA PETELCZYC

Przypisy:

1. P. Średziński, *Afryka i jej mieszkańcy w polskich mediach. Raport z monitoringu polskich mediów*, Warszawa 2011, s. 5.
2. R. Kapuściński, *Heban*, Warszawa 1999, s. 5.
3. J. Milewski, *Afryka: wyzwania przyszłości w początku XXI wieku [w:] Afryka na progu XXI wieku. Polityka, kwestie społeczne i gospodarcze*, red. D. Kosiński, A. Żukowski, Warszawa 2009, s. 292.
4. J. Lisek, *Botswana – Afrykański raj*, <http://www.psz.pl/tekst-4312/Joanna-Lisek-Botswana-afrykanski-raj>, 24.10.2011 r.
5. *Debswana Diamond Mines*, <http://www.mining-technology.com/projects/debswana/>, 23.10.2011 r.

6. J. Lisek, dz. cyt.
7. G. Mhone, P. Bond, *Botswana and Zimbabwe*, Johannesburg 2001, s. 5.
8. *Human Development Report 2011. Sustainability and equity. A better future for all*, UNDP, http://hdr.undp.org/en/media/HDR_2011_EN_Complete.pdf, 27.12.2011 r.
9. M. Tupy, *Botswana and Zimbabwe: A Tale of Two Countries*, http://www.cato.org/pub_display.php?pub_id=9399, 23.10.2011 r.
10. K. Cebulski, *Botswana – Afrykański sukces*, <http://www.millionaire.pl/botswana-afrykanski-sukces.html>, 24.10.2011 r.
11. *Corruption perceptions index 2010 results*, Transparency International, http://www.transparency.org/policy_research/surveys_indices/cpi/2010/results, 24.10.2011 r.
12. *Informator ekonomiczny o krajach świata. Botswana*, MSZ, <http://www.msz.gov.pl/files/Informator%20ekonomiczny%20-%20pdf/Botswana/Botswana%2003.pdf>, 24.10.2011 r.
13. *HIV&AIDS in Botswana*, <http://www.avert.org/aids-botswana.htm>, 07.01.2012 r.
14. K. Czernichowski, *Relacja z Botswany – AIDS*, Polskie Centrum Studiów Afrykanistycznych, <http://www.pcsa.org.pl/products/relacja-z-botswany-aids/>, 07.01.2012 r.
15. *HIV&AIDS in Botswana*, dz. cyt.
16. *Botswana and de Beers announce milestone agreement marking new era for Botswana Diamonds*, http://www.debeersgroup.com/ImageVaultFiles/id_1366/cf_5/Botswana_De_Beers_Sales_Agreement_Press_Release_-_PDF, 26.02.2012 r.
17. *Vision 2016: Towards prosperity for All*, http://www.vision2016.co.bw/tempimg/media/mediac_103.pdf, 26.02.2012 r.

REKLAMA

w w w . n o w e - p e r y f e r i e . p l



socjalistyczny realizm pesymisty
liberalizm kolektywny
autorytarna wolność

polityka | świat | kultura | internet | praca | ekonomia | uniwersytet | infrastruktura

Nowe Peryferie w bardzo krótkim czasie wyrobiły sobie wśród czytelników markę magazynu opiniotwórczego. Zaproponowały ambitniejszą, ale nieprzegadaną i nieprzeintelektualizowaną publicystykę. Bardzo sprawnie poruszają się pomiędzy różnymi środowiskami lewicy, zachowując przy tym swoją tożsamość.

Krzysztof Wołodźko, Nowy Obywatel

Publikowane w Nowych Peryferiach teksty pisane są zawsze z interesującego punktu widzenia, a autorzy unikają – co dzisiaj rzadkie – utartych schematów interpretacyjnych, zaskakując czytelnika naprawdę niezależną i błyskotliwą analizą.

Wojciech Czabanowski, Pressie

Nie do końca jestem w stanie zrozumieć orientację polityczną Nowych Peryferii – czasami odnoszę wrażenie, że są one dużo bardziej subtelną, wyintelektualizowaną, ale jednak wersją pop-light trzecioświatowego maoizmu.

Anonim

- **wejdź**
- **dyskutuj**
- **współtwórz**



www.nowe-peryferie.pl



Więcej pracy, mniej kołaczy

Polski naukowiec na rynku nauki i dydaktyki

DR KAZIMIERZ MRÓWKA

Znowelizowana Ustawa o szkolnictwie wyższym zobowiązuje od 1 października 2011 r. Jestem pracownikiem naukowym i chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami krytycznymi. Dotyczą one nie tyle szczegółowych ustaleń, co samego „ducha” ustawy. Nowelizacja wprowadza dwie zmiany tak istotne, że można odnieść wrażenie, iż to nie nowelizacja, lecz całkiem nowa ustawa. **Chodzi nie tyle o ewolucję, co raczej o rewolucję, która dokonuje się w szkolnictwie wyższym.** Nie sadzę jednak, że tak radykalna reforma szkolnictwa wyższego przyczyni się do znaczącego podniesienia poziomu nauki polskiej.

Pierwsza ze znaczących zmian dotyczy samej nauki, druga zaś dydaktyki. Nowelizacja osadza naukę w ramach gospodarki rynkowej i to nie tylko krajowej, lecz również europejskiej i światowej. Słuszniej byłoby mówić odtąd nie tyle o nauce, lecz o rynku nauki. Zadaniem nowelizacji jest dopasowanie nauki polskiej do zasad obowiązujących na świecie, poprzez wypracowanie ram prawnych oraz wywarcie presji na polskich naukowcach, aby podjęli wyzwanie walki o osiągnięcie sukcesu na rynku międzynarodowym.

Samo w sobie nie jest to czymś złym. Dla naukowców reprezentujących dziedziny nauk, na które gospodarka patrzy łakomym okiem, będzie to tylko słuszne uporządkowanie i usprawnienie procesu dokonującego się od dawna, u nas w dużo mniejszym stopniu niż na świecie. Natomiast dla przedstawicieli nauk humanistycznych jest to szok: czy np. filozof zgodzi się, by go zamknąć w przedsiębiorstwie produkcyjnym, zwanym nauką? Znajdzie uzasadnione argumenty, że tak się nie da. Powiew gospodarki wolnorynkowej można jednak do pewnego stopnia pogodzić z naukami humanistycznymi, ponieważ nauki te, wbrew temu, co się powszechnie i zarazem błędnie sądzi, mają wiele wspólnego z naukami ścisłymi.

Ale zostawiając na boku protesty czy wątpliwości przedstawicieli nauk humanistycznych, których postawiono w jednym szeregu np. z biotechnologami, powody do buntu przeciw nowym rozwiązaniom mają wszyscy: filozofowie, inżynierowie, matematycy itd. Dlaczego? Ponieważ **ten „wolny rynek nauki” nie oferuje nic lub prawie nic tym, którzy mają być twórcami i wytwórcami dóbr naukowych.** Krótko mówiąc, od

polskich naukowców żąda się więcej, nie obiecując nic w zamian. Gospodarka, państwo i uczelnie otrzymują prawo do pasożytowania na naukowcu, a ten ostatni, jeśli nie opatentuje swego wynalazku, nic z tego nie ma.

Przez ostatnie lata pracownik naukowo-dydaktyczny był raczej pracownikiem dydaktyczno-naukowym. Do nędznej pensji dorabiał głównie dydaktyką, przynajmniej tak było w naukach humanistycznych. Funkcjonował na wolnym rynku, gdzie zarabiał przyswoicie. To właśnie wolny rynek edukacyjny pozwalał i pozwala wznieść się pracownikowi na godziwy poziom życia. Ale nie ma nic za darmo. W ten sposób zaprzedał duszę diabłu, ponieważ traci czas, który powinien poświęcić na pracę naukową. Z twórcy dóbr naukowych staje się on rzemieślnikiem przepracowującym te same przedmioty, te same tematy, te same idee w ramach kolejnych setek godzin nadliczbowych. To problem obecny od lat, który w nowelizacji na pewno nie znalazł satysfakcjonującego rozwiązania.

Granty naukowe, przy żenująco niskich przeznaczonych na ten cel nakładach finansowych, mają wartość bardziej prestiżową niż materialną. Nie można ich potraktować jako źródła godziwego i sprawiedliwego wynagrodzenia. Odwołam się do przykładu. Uczestniczę w ministerialnym grantie naukowym, z którego otrzymuję około 300 złotych netto miesięcznego wynagrodzenia, doliczanego do pensji podstawowej. Początkowy projekt uwzględniał niewygórowane wynagrodzenie, ale postulowana kwota zmalała na kilku etapach: najpierw przez komisję oceniającą wniosek została obcięta o połowę ze względu na niski budżet nauki polskiej, a następnie z pozostałej połowy narzut uczelni i podatek zabrały kolejną połowę. Prace nad wspomnianym grantem zajmują mi nie mniej niż 100 godzin w miesiącu, co w przeliczeniu daje... 3 złote na godzinę. Kwotę 300 złotych mogę zarobić przepracowując cztery, pięć godzin zajęć dydaktycznych w jednej z uczelni prywatnych. Rachunek jest prosty: sto godzin nakładu pracy naukowej, trudnej i męczącej umysłowo, wobec czterech czy pięciu godzin łatwej pracy dydaktycznej.

Gdyby autorzy nowelizacji mówiąc A, odważyli się zrobić jeszcze jeden krok i powiedzieli B, wtedy ustawa stosunkowo szybko zaczęłaby przynosić dobre owoce. Nie chodzi wcale o to, by całkowicie zliberalizować system, ale nie trzeba być geniuszem, aby wymyślić proste, skuteczne rozwiązania. Na przykład takie: skoro ustala się rankingi czasopism i odpowiednio je punktuje, to każdy naukowiec, który opublikuje artykuł w prestiżowym czasopiśmie, gdzie ocenia się surowo, lecz sprawiedliwie, powinien być za to nagrodzony finansowo – ale niekoniecznie nagradzany za uciulanie wielu punktów dziesiątkami artykułów w przeciętnych czasopismach. Skoro minister Kudrycka promuje, jak to określa, „grantową kulturę finansowania nauki”, to za przyznany grant pracownik naukowy powinien

otrzymywać dodatkową, stałą pensję, aby mógł całkowicie poświęcić się zagadnieniu badawczemu, rezygnując z zajęć dydaktycznych.

Jeśli danego pracownika naukowo-dydaktycznego nie stać na to, aby wznieść się na wyżyny nauki, to może zamienić się w pracownika dydaktyczno-naukowego i dorabiać w charakterze kogoś w rodzaju „starszego wykładowcy”. Można żałować, że zlikwidowano tę „instytucję”, pozbywając się wielu dobrych dydaktyków, którzy niekoniecznie chcieli realizować się w wymiarze naukowym. „Starsi wykładowcy” mogliby odciążyć naukowców od zajęć dydaktycznych, którzy w tym samym czasie zarabialiby więcej, pracując naukowo. Wilk syty i owca cała.

Warto podkreślić, że w następstwie nowelizacji środowisko naukowe ucierpi pod względem merytorycznym. **Przyjęte rynkowo-metryczne kryteria oceny wartości prac naukowych unieważniają niemal cały dorobek średniego i starszego pokolenia. Pokolenia, które gdy wchodziło w świat nauki, nie znało wirusa „punktomanii” oraz „cytatomanii”, a teraz za późno już, by się tym wirusem zarazić.** Materialnie ucierpi jedynie aktywna naukowo część środowiska, ponieważ nie zdywersyfikuje się wynagrodzenia, uzależniając je od jakości wytwarzanych produktów nauki. W tym sensie profesor z dużym, uznanym dorobkiem może być opłacany tak samo, jak doktor, który po habilitacji osiadł całkowicie na laurach, smakując przedwczesną „emeryturę”, o ile regulacje uczelniane nie pozwolą rektorowi płacić renomowanym pracownikom więcej niż tym przeciętnym.

Nie chodzi mi o to, aby kłaść własne gniazdo i postulować zabranie jednym, by dać innym. Byłoby to szaleństwem przy pensjach, które należałoby nazwać socjalnymi, bo zarobki profesora belwederskiego są mniejsze od pracownika budowlanego. Nie chodzi tu o różnicowanie pensji w dół i w górę, tylko o pewnego stałego poziomu w górę. Ministerstwo natomiast stworzyło dziwaczny twór, który łączy hasło „Czy się robi, czy się leży...” z mityczną niewidzialną ręką rynku. Ta ręka jednak nadal będzie pieściła i karmiła wybrańców bogów, ale jak nie było, tak i nie będzie wśród nich zdolnych pracowników nauki.

Z młodym pokoleniem jest odwrotnie: ustawa otwiera drogę naukową latoroślom, obarczając je zadaniem przystosowania się do uciekającego nam świata, który po upadku komunizmu, a potem po wejściu Polski do Unii Europejskiej, dwukrotnie na chwilę przybliżył się, by zaraz potem znowu odpłynąć. **Państwo mobilizuje młodych polskich naukowców, aby stanęli w szranki ze swymi europejskimi, amerykańskimi i azjatyckimi kolegami, nie dając im jednak nic w zamian. A dokładnie: nie wynagradzając ich godziwie i sprawiedliwie za ciężką pracę.**

Teoretycznie, młody polski naukowiec – dla przykładu filozof, który opublikuje artykuł w prestiżowym czasopiśmie „Mind”, nie będzie mieć z tego nic, tzn. nic



©@digiracy, http://www.flickr.com/photos/25259860/2600472058/

materialnie wymiernego. Pięćdziesiąt punktów, jakie w świetle ustaleń ministerialnych zdobędzie za tak znakomitą publikację, pójdzie na konto instytucji, w której pracuje. A także na konto idei pod patriotycznym szyldem „chwała nauce polskiej”, choć tekst musi powstać w języku angielskim. Jeśli autor artykułu wcześniej klepał biedę, to po tak wielkim wyczynie teraz bieda go klepnie, uświadamiając mu znikomość wpływu „nadbudowy” na „bazę”. Chyba że w osiem lat zrobi doktorat, a za kolejne osiem habilitację - wtedy w jakiś sposób ów świetlany artykuł zacznie mu się „spłacać”.

Nie można również zapominać, że aby napisać artykuł, który trafi do czasopisma „Mind”, trzeba pracować bardzo dużo i bardzo ciężko. W tym czasie nie da się „chałturzyć”, bo aby być dobrym, trzeba poświęcić ten czas na zajmowanie się swoją specjalnością. Koło się zamyka, chyba że młody naukowiec żyje z pomocy rodzicielskiej, konsumuje spadek po babci lub jest utrzymywany przez „dobrze ustawioną” w korporacji żonę, której w mężu podoba się to, iż jest spokojnym facetem z nosem w książkach.

Aby odnaleźć się na rynku nauki, trzeba przede wszystkim publikować w językach obcych, w czasopismach punktowanych. Najlepiej w tych umieszczonych na Liście Filadelfijskiej oraz liście ERIH, szczególnie w tych czasopismach, które są najczęściej cytowane. Można też publikować w tych słabych lub w ogóle nie punktowanych, ale na rynku nauki nie będzie miało to znaczenia. W tej kwestii znów jednak

powstają wątpliwości: brak segregacji jakościowej wydawnictw, jak to uczyniono z czasopismami.

W dwa miesiące jestem w stanie napisać książkę, a byle jaką jeszcze szybciej. Będzie miała wymagane minimum sześć arkuszy wydawniczych, a potem wystarczy wydać ją w pierwszym lepszym wydawnictwie. Jeśli do manuskryptu dołączę kopertę, to wydám ją bez problemu - i znowu dostanę dwadzieścia punktów. To niesprawiedliwe. To nierynkowe. To propozycja do zmiany. Wydawnictwa też powinny zostać podzielone na lepsze i gorsze. Ale znowu wracam do fundamentalnego zarzutu. Jeśli polski naukowiec będzie publikować bardzo dobre artykuły w prestiżowych czasopismach, to kto go za to godziwie wynagrodzi? Przecież na wolnym rynku praca ludzka ma swą cenę, zwłaszcza ta dobrej jakości.

Nowelizacja czyni też kolejny krok w kierunku biurokratyzacji systemu kształcenia, tym razem w postaci Krajowych Ram Kształcenia. O ile Proces Boloński wraz z wprowadzeniem punktacji ETCS miał sens, o tyle tego sensu - oprócz kolejnego kroku w ujednoliceniu systemu szkolnictwa europejskiego, co jest pewnym pozytywem - nie dostrzegam w KRK. Może dlatego, że obarczono mnie w macierzystym Instytucie Filozofii i Socjologii zadaniem przygotowania KRK dla filozofii. Siedząc całymi dniami i niejedną nocą nad sporządzaniem zaszyfrowanej listy tzw. efektów kształcenia, które urosły w sumie do kilkudziesięciu stron, miałem nieodparte wrażenie, że jest to kolejny

przykład triumfu formy nad treścią. Dzięki temu lepsi nie staną się ani polska nauka, ani studenci, ani pracownicy naukowo-dydaktyczni.

Gdy już KRK zostaną opracowane pod kątem efektów kształcenia, będą zdobić strony internetowe uczelni, przedstawiając idealny model absolwenta i studiów. W praktyce natomiast zabierają one mnóstwo czasu pracownikom uczelni (rektorom, dziekanom, dyrektorom instytutów, pracownikom naukowym), którzy nie powinni zajmować się kolejnymi zadaniami biurokratyczno-urzędniczymi, lecz sprawami istotnymi, tj. dbałością o efekty kształcenia. Te ostatnie, dzieląc się na wiedzę, umiejętności i kompetencje społeczne, wskazują na kierunek reformy w wymiarze dydaktyki. Ma ona odtąd, podobnie jak sama nauka, być uzależniona od potrzeb rynku. Rewolucja w obszarze dydaktyki polega na decentralizacji organizacji kierunków studiów i specjalizacji otwieranych na uczelniach. Instytuty naukowe otrzymują niemal pełną wolność w tworzeniu nowych kierunków.

Dzięki decentralizacji organizacji dydaktyki, dyrektorzy jednostek naukowych będą mogli szybko i sprawnie reagować na potrzeby rynku. Na przykład w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie prócz tradycyjnej filozofii dla studiów magisterskich powstaje już nowy kierunek „etyka” oraz specjalizacja „filozofia dla gospodarki”. Będziemy uczyć coachingu, negocjacji społecznych, gospodarczych itd. Zgodnie z ustawą, otwieramy się na rynek. Nie chodzi przy tym jedynie o walkę o studenta, który w czasie niżu demograficznego staje się coraz cenniejszym „klientem” uczelni, lecz również o umiejętne włączenie się w proces podaży i popytu. Na szkoleniach z KRK, na które uczęszczałem przez cały rok, padały często określenia przeniesione do nauki ze świata kapitalizmu wolnorynkowego. Najbardziej utkwiło mi w pamięci pojęcie „lidera”. A zatem profesor nie jest już mędrce, mentorem, animatorem, itd., lecz liderem grupy, która zbiera się wokół niego, by zdobyć pewien określony zasób wiedzy praktycznej, nakierowanej na osiągnięcie sukcesu.

Być może w Instytucie, którego jestem pracownikiem, za dziesięć lat spotykać się będą etyk, seksuolog, logik i neurolog. Być może, prawo podaży i popytu sprawi, że największymi gwiazdami filozofii będą Markiz de Sade i Lacan, a Quine’a i Gaddamera wspominać będą już tylko „dinozaury”. Być może takie przedmioty, jak metafizyka i ontologia, które tworzyły rdzeń filozofii i całej kultury, będą przedmiotami fakultatywnymi, przeznaczonymi dla nielicznej „reszty” nawiedzonych. Być może.

Nowelizacja została przedstawiona do konsultacji pracownikom nauki. Dano nam raptem kilka dni na

przeczytanie, przemyślenie i przedyskutowanie tego projektu w większym gronie. Osobiście odebrałem to jako arogancję i brak szacunku ze strony minister Kuryckiej. Projekt, który zapowiadał zmiany pociągające za sobą ogromne konsekwencje na wiele kolejnych lat, miał być skonsultowany i oceniony w kilka dni. Można jednak żywić pewien żal wobec samego środowiska nauki, a przynajmniej dużej jego części, które „głosem” milczenia zaakceptowało nowelizację w takiej formie, w jakiej została przegłosowana.

Zadziwia ono swoją fatalistyczną biernością, chociaż powinno kreować awangardę buntu. Tak samo milczało, gdy wprowadzano VAT na książki, ograniczano możliwość dostępu obywateli do informacji publicznych, i w innych kwestiach, które miały związek z całym *Lebenswelt* polskiej kultury i nauki. Spór o interesy i troskę o naukę nasze środowisko przeniosło na płaszczyznę historyczno-polityczną, ideologizując go w negatywnym tego słowa znaczeniu. Albo rządzącej władzy przyzwoliło na wszystko, akceptując jałowość i płytkość postmodernizmu praktycznego, realizowanego pod osłoną mydlanego *pijaru*, albo - w przypadku przeciwników tejże władzy - poprzez brak wspólnego, silnego głosu skazało się na romantyczną donkiszoterię jednostek.

Wydaje się też, że nasze środowisko popełniło błąd zaufania do władzy, która zawsze z respektem patrzyła na pracowników nauki. Zdawało nam się, że nie musimy, na wzór innych grup zawodowych (pielęgniarek, lekarzy, czy nauczycieli), gwałtem szturmować bramy Ministerstwa Finansów oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Tym razem ów cichy lobbing zawiódł i otrzymaliśmy twór, na który nie mieliśmy żadnego wpływu. Twór, którego wprowadzenie w praktykę będzie kosztować nas bardzo dużo wysiłku i wyrzeczeń, nie dając - powtórzę - nic lub prawie nic w zamian.

Czy nam się to podoba, czy nie, musimy teraz stanąć do naukowo-dydaktyczno-kapitalistycznego „wyścigu szczurów”.

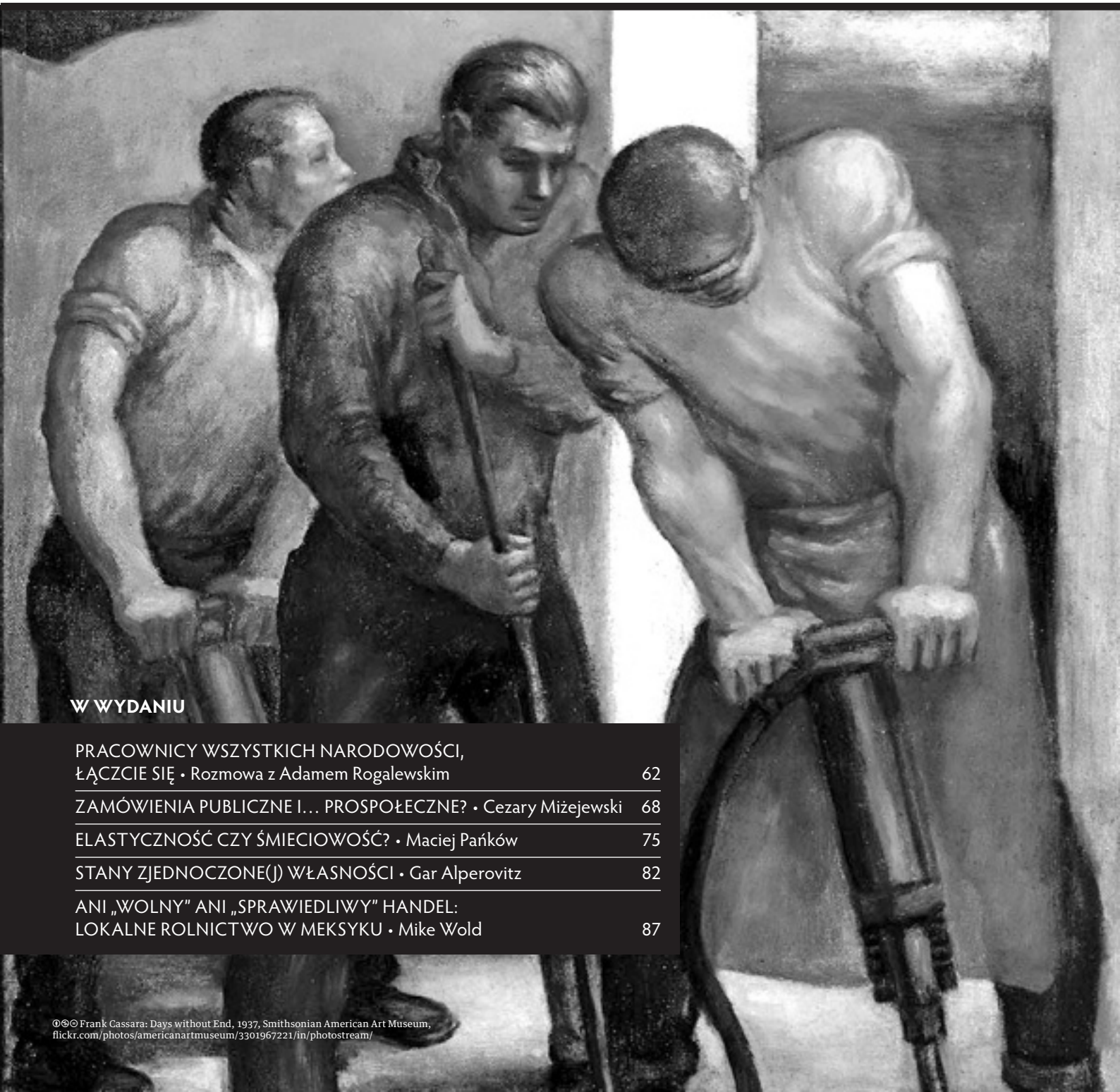
DR KAZIMIERZ MRÓWKA

Podtytuł mojego artykułu jest parafrazą tekstu prof. Wojciecha Krysztofiaka pt. „Polscy filozofowie na rynku filozoficznym”, który w niedługim czasie ukaże w „Ruchu Filozoficznym”. Mój artykuł, wychodzący jednak poza ramy filozofii i badań statystycznych, a koncentrujący się na „wind of change” w nauce polskiej, zrodził się częściowo z inspiracji badań „scjentometrycznych” filozofii polskiej, opracowanych przez wspomnianego polskiego logika, ale przede wszystkim z inspiracji znowelizowanej Ustawy o szkolnictwie wyższym. Prof. Wojciechowi Krysztofiakowi dziękuję za umożliwienie mi lektury manuskryptu.

GOSPODARKA SPOŁECZNA

Nr 5(12)
MMXII

DODATEK EKONOMICZNY DO KWARTALNIKA „NOWY OBYWATEL”



W WYDANIU

PRACOWNICY WSZYSTKICH NARODOWOŚCI, ŁĄCZCIE SIĘ • Rozmowa z Adamem Rogalewskim	62
ZAMÓWIENIA PUBLICZNE I... PROSPOŁECZNE? • Cezary Miżejewski	68
ELASTYCZNOŚĆ CZY ŚMIECIOWOŚĆ? • Maciej Pańków	75
STANY ZJEDNOCZONE(J) WŁASNOŚCI • Gar Alperovitz	82
ANI „WOLNY” ANI „SPRAWIEDLIWY” HANDEL: LOKALNE ROLNICTWO W MEKSYKU • Mike Wold	87

Pracownicy wszystkich narodowości, łączcie się

z Adamem Rogalewskim

rozmawia Konrad Malec



- Wydaje się, że gdy w jakimś kraju pojawiają się pracownicy z innych państw, to są raczej konkurencją na rynku dla dotychczas zatrudnionych. Tymczasem związki zawodowe w Wielkiej Brytanii bardzo często wspierają imigrantów z Polski. Gdzie zaczynają się, a gdzie kończą wspólne interesy obu grup?

- **Adam Rogalewski:** Dawniej wszystkie związki zawodowe były nieprzychylnie emigracji, ponieważ obawiały się konkurencji na rynku pracy. Dotyczy to również postawy brytyjskich związków zawodowych w latach 50. i 60., do lat mniej więcej 70. Sytuacja zaczęła się zmieniać na przełomie lat 70. i 80.

W latach 50. związki zawodowe były zszokowane np. tym, że Jamajczycy pracujący na statkach dostawali taką samą pensję, jak pracownicy brytyjscy, i domagały się, żeby obniżyć im wynagrodzenie. Ale to już przeszłość. Związki zawodowe w Wielkiej Brytanii pokonały długą drogę od przeciwstawiania się imigrantom do dbania o ich interesy. Kluczem do tej zmiany było zrozumienie, że na obniżenie standardów pracy i płacy nie mają wpływu imigranci, lecz pracodawcy, którzy ich wykorzystują i że najlepszą metodą walki z tzw. *social dumping*, z obniżaniem standardów pracy i płacy, jest to, żeby wszyscy razem dbali o warunki pracy i przeciwstawiali się poczynaniom pracodawców.

To wspólne działanie jest z jednej strony wartością moralną, bo wszyscy pracownicy są traktowani równo, bez względu na pochodzenie, rasę lub to, czy

mówią po angielsku. Wszyscy razem solidarnie walczą o dobre warunki swojej pracy. A z drugiej strony takie działania mają również wartość gospodarczą, bo jeżeli pracownicy nie będą zorganizowani w związku zawodowym, to będą się godzili w pracy na wszystko, staną się łatwym łupem dla pracodawcy, który będzie chciał ich eksploatować.

- **Czy jest gdzieś granica tej współpracy?**

- Nie ma żadnej granicy – odkąd związki zawodowe zrozumiały, że za *social dumping* odpowiedzialni są pracodawcy, którzy myślą tylko o zysku, a nie zważają na to, żeby np. były przestrzegane przepisy BHP, żeby pracownicy mieli urlopy itd. Interesy brytyjskich pracowników i imigrantów są wspólne. Obecność Polaków w związkach zawodowych w Wielkiej Brytanii jest tym związkom potrzebna, bo im więcej osób będzie w związku, zwłaszcza tych, którzy do tej pory dawali się wykorzystywać, tym silniejsza będzie pozycja związku w reprezentowaniu interesów pracowników.

Gdy po akcesji do UE Polacy zaczęli przyjeżdżać do Wielkiej Brytanii, było tam dużo pracy, której Brytyjczycy nie chcieli podejmować. Polacy nie stanowili żadnego zagrożenia, żadnej konkurencji, bo wykonywali pracę, której nikt inny nie chciał: śmieciarzy, pracowników domów opieki nad seniorami itd. Dlatego Polacy byli tutaj naprawdę potrzebni. Teraz jest kryzys i trudniej znaleźć pracę. Zdarza się, że Polacy



i inni imigranci są obwiniani o to, że zabierają pracę Brytyjczykom, ale to nieprawda.

- Możemy powiedzieć: pracownicy wszystkich narodów łączcie się?

- Tak, bo to jest konieczne. Często gdy jest kryzys, związek zawodowy decyduje z pracodawcą, co zrobić: czy zwolnić kilka osób na podstawie ich wydajności, czy - zamiast zwalniać - np. zredukować godziny pracy do 35 tygodniowo. Oczywiście, czasami jest tak, że pracodawca nie chce słuchać argumentów związku zawodowego, bo np. zwolnienie paru osób jest dla niego tańszą opcją. Bywały takie sytuacje, np. w związku USDAW, gdzie Polacy zgodzili się na rozwiązanie pracodawcy, a nie na pomysł, który chciał przeforsować związek. Polacy często godzą się na wszystko i to jest powód, dlaczego Brytyjczycy niekiedy ich nie lubią. Związek zawodowy był wtedy bardzo zdegradowany uległością polskich pracowników. Ale trzeba też zauważyć, że to nie wynika ze złej woli Polaków - byli zastraszeni i chcieli utrzymać stanowiska za wszelką cenę, co jest zrozumiałe, bo Polakom trudniej znaleźć tutaj pracę niż Brytyjczykom.

- Bardzo często Polacy, którzy jadą do Wielkiej Brytanii, nie mówią po angielsku. Jakie działania podjęły związki zawodowe w Wielkiej Brytanii, aby poprawić tę sytuację?

- Kwestia językowa jest bardzo ważna, bo związana z ryzykiem eksploatacji - jeśli nie znamy angielskiego, to nie znamy też swoich praw i nie umiemy ich bronić. To również powód, dla którego pracodawcy nieraz wolą zatrudniać imigrantów niż Brytyjczyków, bo łatwiej ich zmanipulować i wykorzystać. Dlatego właśnie

związki zawodowe organizują dla pracowników kursy języka angielskiego. Odbývają się one w miejscu pracy. To polega na umowie z pracodawcą, że my jako związek zawodowy zapewniamy nauczycieli i podręczniki, a pracodawca umożliwia wykorzystanie jednej godziny czasu pracy na kurs języka angielskiego. Zajęcia odbywają się raz w tygodniu, przez 2 godziny: godzina wygospodarowana przez pracodawcę i godzina wygospodarowana przez pracownika.

Ogromną zaletą tego kursu jest to, że Polacy nie uczą się na nim angielskiego „szkolnego”, lecz specyficznego. Uczą się np. słownictwa z zakresu prawa pracy odnośnie do swoich praw i obowiązków, ale również z zakresu zajęć zawodowych, które wykonują. Zyskują też przy okazji informacje, jak powinna być wyliczona ich pensja i czy mają prawo do urlopu. Taki kurs przynosi korzyść również pracodawcy, ponieważ dzięki temu może się on łatwiej porozumieć z Polakami, nie musi prosić o tłumacza, poza tym bhp jest lepiej przestrzegane. Za ten kurs często płacą związki, ale również często robi to rząd brytyjski - istnieje publiczny fundusz, przeznaczony na edukowanie pracowników w miejscu pracy.

- Jakie jeszcze problemy napotykają polscy pracownicy w Wielkiej Brytanii i jak związki zawodowe próbują im przeciwdziałać?

- Polacy często pracują poniżej kwalifikacji, co również jest związane z kwestią językową. Znam osobę, która skończyła prawo, a pracuje jako sprzątaczką w szkole. To duża strata i dla Polaków, i dla Wielkiej Brytanii. Osoby, które nie znają języka angielskiego albo nie znają go wystarczająco dobrze, mimo swoich kwalifikacji nie mają szans na pracę zgodną

z wykształceniem. Ich talent i wiedza fachowa marnują się. Jako związki staramy się zapewniać im kursy i szkolenia, dzięki którym będą mogli rozwinąć swoje kwalifikacje.

Trzeba jednak podkreślić, że pierwsza fala emigrantów zawsze pracuje poniżej swoich kwalifikacji. Pierwsza emigracja polska, która tutaj przyjechała w latach 40. też nie miała lekko – generał Maczek pracował po II wojnie światowej jako barman w Edynburgu. Pierwszym emigrantem jest trudniej także dlatego, że nie znają nowego społeczeństwa. Natomiast druga generacja emigrantów ma już łatwiej, bo ona się tutaj rodzi i chodzi do szkoły, zna język angielski i ma więcej pewności siebie.

- Czy związki zawodowe przeciwdziałają pracy poniżej kwalifikacji jeszcze w jakiś inny sposób?

- Trudno temu przeciwdziałać, bo obecnie sytuacja na rynku pracy jest bardzo zła. Każdy będzie brał jakąkolwiek posadę, bo nie ma innego wyjścia. Natomiast my współpracujemy z organizacjami pozarządowymi i staramy się Polaków uaktywniać społecznie, namawiać na kursy, na studia wyższe. Polacy często mają „syndrom emigracji”, że siedzą na walizkach i wydaje im się, że zdobędą szybko pieniądze i wrócą do ojczyzny, a po 7 latach okazuje się, że są w tym samym punkcie... Często nie wiedzą jeszcze, co zrobić, za co się zabrać, i mają po 5 prac, pracują 70 godzin tygodniowo za beznadziejne wynagrodzenie, zamiast

pomyśleć, jak to wszystko zorganizować, żeby mieć mniej pracy, odbyć jakieś szkolenie, awansować i może zostać tutaj na stałe.

- Jakie działania są podejmowane względem pracowników z Polski, którzy jeszcze nie wstąpili do związków zawodowych?

- Organizujemy z nimi różnego rodzaju spotkania i wyjaśniamy, na czym polega działanie związków zawodowych oraz jakie korzyści mogą z tego odnieść. Staramy się zorganizować dla nich kurs języka angielskiego – żeby na ten kurs pójść, nie trzeba być członkiem związku zawodowego. Podejmujemy też innego rodzaju akcje: sponsorujemy różne wydarzenia patriotyczne w Wielkiej Brytanii, jak np. Dzień Niepodległości. Współpracujemy mocno z polską ambasadą, która jest nam bardzo przychylna. Robimy różne rzeczy, żeby zachęcić Polaków do wstąpienia do związków zawodowych, przy czym nie chodzi nam o to, żeby byli członkami konkretnego związku, ale o to, aby w ogóle wstąpili do związku, a szerzej – byli aktywnymi obywatelami. Skoro już tutaj są, pracują i płacą podatki, to niech też mają z tego jakieś korzyści. Ostatnio robiliśmy akcję zachęcającą Polaków do rejestrowania się i głosowania w wyborach parlamentarnych przeciwko partii o antyimigranckich postulatach – British National Party.

Pewnym problemem w rekrutowaniu Polaków jest ich złe wyobrażenie o związkach zawodowych,



© bob watt, <http://www.flickr.com/photos/bobwatt/2675159244/in/photostream/>



© Luke Robinson, <http://www.flickr.com/photos/mortalcoil/515214286/in/photostream/>

wyniesione z Polski - że związki są upolitycznione itd. Natomiast brytyjskie związki mają inną historię i nie były tak bardzo politycznie zaangażowane - mimo że każdy z nich współpracuje z Partią Pracy. Przede wszystkim jednak struktura związków jest inna. W Polsce osoby wykonujące pracę związkową są zatrudniane przez pracodawcę. W Wielkiej Brytanii osoby, które pracują dla związku, są zatrudnione bezpośrednio przez związek i opłacane ze składek pracowników. W zakładowych organizacjach związkowych są też osoby opłacane przez pracodawców, ale nawet w tym przypadku w sytuacji konfliktowej zawsze może przyjść ktoś z zewnątrz, kto nie jest związany z pracodawcą tej osoby, np. ja, i reprezentować takiego pracownika. Pracuję dla związku UNISON, ale sam należę do innego związku zawodowego - Unite, i to on reprezentuje moje interesy w UNISON.

Polski problem ze związkami zawodowymi polega też na tym, że jest ich za dużo - już 10 osób może założyć związek, więc istnieje wiele drobnych związków. Natomiast w Wielkiej Brytanii jest mało związków, za to są bardzo liczne. W UNISON jest 1,4 mln ludzi, w Unite półtora miliona na całych Wyspach Brytyjskich. Zakładowa organizacja związkowa może mieć od 200 do 10 tys. członków - to też jest większa siła oddziaływania. Jedyny minus tutejszych rozwiązań jest taki, że trudniej założyć związek - musi być co najmniej 21 osób w miejscu pracy i przynajmniej 50% z nich musi chcieć należeć do związku, żeby został on założony. Tę procedurę wprowadziła Margaret Thatcher. Ale może właśnie dzięki temu, że jest trudniej, to związki są silniejsze i potrafią się skutecznie skoncentrować na rekrutowaniu pracowników. Efekt jest taki, że uzwiązkowienie w sektorze publicznym w Wielkiej Brytanii jest na poziomie 70%.

- Czy poza sektorem komunalnym uzwiązkowienie jest równie silne?

- Poza budżetówką najwięcej Polaków pracuje w budownictwie, w różnego rodzaju fabrykach, w przetwórstwie, ale wszędzie tam jest małe uzwiązkowienie. W sektorze publicznym wynosi 70%, w sektorze prywatnym - 14%. Są takie miejsca pracy, gdzie nie ma żadnego związku zawodowego.

- Czy bagaż doświadczeń związanych ze związkami zawodowymi w Polsce wpływa na chęć Polaków do wstępowania do związków w Wielkiej Brytanii?

- Staramy się pozbyć negatywnego stereotypu związków zawodowych, co nie jest łatwe, bo media nagłaśniają tylko strajki. Tłumaczymy ludziom, że strajk to ostateczność, a nie główny cel i pokazujemy, również poprzez nasze działania, jak wiele możemy im zaoferować.

Jest również pewien problem związany nie tyle z kwestią kulturową, co pokoleniową. Do Wielkiej Brytanii wyemigrowało mnóstwo młodych ludzi, a oni nie



ROGA LEW SKI

Adam Rogalewski (ur. 1982) - działacz związkowy specjalizujący się w problemach pracowników-migrantów oraz grup szczególnie narażonych na łamanie ich praw pracowniczych. Po ukończeniu studiów prawnych na Uniwersytecie Jagiellońskim rozpoczął pracę w Urzędzie Ochrony Konkurencji i Konsumentów, skąd trafił do Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. W 2008 r. został przez OPZZ oddelegowany do UNISON, największej centrali związkowej na Wyspach Brytyjskich, zrzeszającej pracowników sektora publicznego. Pełnomocnik OPZZ ds. lesbijek, gejów, osób biseksualnych i transgenderycznych, były reprezentant związku w Komitecie doradczym Komisji Europejskiej ds. bezpieczeństwa socjalnego pracowników-migrantów. W 2011 r. rozpoczął na London Metropolitan University studia doktoranckie w zakresie stosunków przemysłowych.

są zainteresowani jakąkolwiek działalnością społeczną - ani w Polsce, ani tutaj. Średnia wieku związkowca w Wielkiej Brytanii to ok. 45 lat. Myślę, że to globalny problem - młodzi ludzie nie wstępują ani do związków zawodowych, ani do innych organizacji, bo im się nie chce. Są bardzo indywidualistyczni, mówią: „dam sobie radę”, „ja tego nie potrzebuję”... A na koniec i tak do nas dzwonią, często gdy jest już za późno.

- A na co może liczyć Polak, który już uzyska legitymację związkową?

- Każdy, kto wstąpi do związku zawodowego, ma u nas zapewnioną ochronę zarówno w sprawach kolektywnych, jak i indywidualnych. Kwestie zbiorowe to np. negocjowanie z pracodawcą wynagrodzenia, urlopu itd. Kwestie indywidualne też są bardzo ważne - otrzymuje pomoc od związku i naszego prawnika. W Polsce jeśli masz jakiś problem z pracodawcą, to idziesz z tym do sądu pracy. W Wielkiej Brytanii najpierw musi być postępowanie wewnątrz zakładu pracy. Jeśli pracodawca cię o coś oskarżył, najpierw przeprowadza własne postępowanie, później jest spotkanie z pracodawcą, na którym możesz się bronić i wówczas pracodawca decyduje, czy cię zwolnić, czy nie. Następnie możesz się odwołać od tej decyzji do drugiej instancji, do drugiego menedżera, i proces się powtarza. Pracodawca nie może cię zwolnić, dopóki nie odbędzie się te postępowania wewnętrzne, i ty również nie



możesz wcześniej wysłać pozwu do sądu pracy. Na postępowaniu wewnętrznym nie może cię reprezentować adwokat, tylko albo kolega, albo przedstawiciel związków zawodowych, który będzie w twoim imieniu odpowiadał, zadawał pytania, przesłuchiwał świadków. Z tego postępowania wewnętrznego są spisywane protokoły i zbierane dowody, które to materiały są później istotne w sądzie pracy. Bardzo ważne zatem, aby pracownik był reprezentowany przez kogoś „wygadane go” i znającego się na prawie – w przeciwnym razie będzie bezbronny wobec pracodawcy. Dlatego pomoc związku zawodowego w takich sytuacjach jest konieczna.

Oferujemy też różnego rodzaju ubezpieczenia, np. 2 tys. funtów ubezpieczenia na życie. Mamy również zniżki na ubezpieczenia domu czy samochodu, na karty kredytowe. Udzielamy pomocy w pisaniu testamentu, a w razie śmierci pokrywamy koszt transportu zwłok do Polski. Mamy też pomoc prawnika – każdy może do niego zadzwonić i skorzystać z półgodzinnej darmowej porady prawnej.

- Wygląda na to, że związki zawodowe w Wielkiej Brytanii mają nieco szerszy zakres działań niż w Polsce. Jakie jeszcze zadania wykraczają poza tradycyjne wyobrażenia o związkach zawodowych?
- Brytyjskie związki zawodowe zajmują się też np. sprawami bhp, ponieważ tutaj nie ma żadnego urzędu, który byłby za to odpowiedzialny i przeprowadzał inspekcje tak, jak w Polsce. Ale przede wszystkim korzyścią

z przynależności są te wszystkie zniżki na różnego rodzaju usługi, o których wspomniałem. Firmy same zwracają się do nas, wiedząc, że mamy 1,4 mln członków. My sprawdzamy, czy firma jest dobra, i jeśli tak, to ją polecamy. Mamy też z tego jakiś dochód, który możemy dobrze wykorzystać.

Ktoś, kto należy do związku zawodowego, ma większe poczucie bezpieczeństwa. Wie, że jeśli będzie miał jakiś problem w miejscu pracy, może pójść z tym do związku zawodowego, a tam kompetentna osoba zajmie się pomocą. Banki chętniej dają związkowcom np. kredyt hipoteczny – wiedzą, że trudniej ich zwolnić z pracy, bo mają zabezpieczenie w postaci związku zawodowego, który będzie dbał o ich interesy. Pracodawca też na tym korzysta, bo nie musi rozmawiać indywidualnie z każdym pracownikiem, ale może negocjować z przedstawicielem związków, który jest doświadczony w tych sprawach. Robiono badania, które wykazały, że osoby należące do związków zawodowych są mniej zestresowane i lepiej wykonują swoją pracę. Dzięki temu, że są mniej zestresowane, rzadziej też chorują, a zatem rzadziej biorą zwolnienia – pod tym względem także korzyści są obopólne: dla pracownika i pracodawcy.

- **Czy brytyjscy pracodawcy rzeczywiście chwalą sobie obecność związków zawodowych? Polscy pracodawcy wolą raczej indywidualnie i bezpośrednio porozumieć się z każdym z pracowników.**

- Jeśli w jakiej firmie jest zatrudnionych tysiąc osób i pracodawca chciałby spotkać się z każdą indywidualnie, ile by na to stracił czasu? Tysiąc godzin? Tym bardziej, że pracownicy są podczas takich rozmów często bardzo zestresowani i nie wiedzą, co powiedzieć. Dla pracodawcy lepiej jest spotkać się z przedstawicielem związków, przez 5 czy 10 godzin porozmawiać o wszystkich potrzebnych kwestiach i jemu zostawić przekazanie tych informacji pracownikom. My generalnie wychodzimy z założenia, że pracodawcy i pracownicy nie stoją po przeciwnych stronach barykady, ale że chodzi im o to samo – żeby jak najlepiej wykonać pracę. Pracownicy wiedzą, jak najlepiej wykonać pracę, pracodawca czasami tego nie wie, bo np. dopiero przejmuje jakąś firmę i ma na ten temat tylko mgliste wyobrażenia. Bardzo wiele razy słyszałem podziękowania od pracodawców za naszą mediację.

- **W Polsce panują postawy silnie indywidualistyczne i to również nie wpływa dobrze na kondycję związków zawodowych. Czy wśród Polaków w Wielkiej Brytanii pojawia się solidarność, chęć współdziałania?**

- Tak. Wcześniej może tak nie było, ale teraz sytuacja wygląda znacznie lepiej, zwłaszcza wśród osób, które chcą tu zostać i które przekonały się, jak korzystna jest przynależność do związku zawodowego. Szczególnie po udanym strajku przeciwko reformie systemu emerytalnego, który odbył się 30 listopada 2011 r.

A czy jest jakaś szczególna solidarność między Polakami? Polacy, jeśli już są aktywni w związku, to solidaryzują się ze wszystkimi. Dobrym przykładem jest sytuacja z Southampton z Jackiem Cholewickim, który był jedynym przedstawicielem związku wśród sprzątaczy i on reprezentował interesy nie tylko Polaków, ale i Brytyjczyków, i tak był traktowany - jako przedstawiciel związku, a nie Polak. On zresztą bardzo wielu Brytyjczyków zrekrutował do związku. Tutaj nie ma takich podziałów: Polacy, nie-Polacy. Nie ma takiej potrzeby - osoby, które mówią bardzo dobrze po angielsku, reprezentują wszystkich. Nawet podczas rekrutacji do związku nie podaje się w aplikacji członkowskiej swojego pochodzenia, to nieistotne. Natomiast oczywiście ludziom o podobnym pochodzeniu łatwiej się porozumieć czy nawiązać współpracę. Dlatego niedawno w ramach UNISON stworzyliśmy sieć polskich aktywistów związkowych, obejmującą na początek ponad 200 osób, które dały się poznać z ponadprzeciętnego zaangażowania.

- **Wspomniałeś, że rząd brytyjski finansuje niektóre działania związków zawodowych na rzecz Polaków, np. naukę języka angielskiego. A czy nasz rząd wykazał jakiegokolwiek zainteresowanie polskimi pracownikami na emigracji?**

- Polska ambasada interesuje się bardzo mocno. Co do rządu - była np. akcja „Powrotnik” zachęcająca Polaków do powrotu do kraju. Czy polski rząd mógłby zrobić więcej dla emigrantów? Myślę, że przede wszystkim powinien zrobić więcej w Polsce, aby ludzie mogli znaleźć pracę w kraju i nie musieli wyjeżdżać. Bo emigracja zawsze jest czymś trudnym.

- **A firmy? W Polsce Tesco utrudniało zakładanie związków zawodowych, tymczasem w Wielkiej Brytanii uzwiązkowanie w Tesco wynosi 50%.**

- Na Wyspach nie ma wielkich problemów z Tesco. Czasem, gdy mają dobry rok, dzielą się dywidendą z pracownikami. Wysokie uzwiązkowanie jest korzystne dla Tesco, bo jak już powiedziałem, jest mniejsza absencja, mniejsza rotacja pracowników i są oni bardziej chętni do pracy.

Myślę, że w Polsce problem jest z samymi szefami-Polakami. Pamiętam sytuację w Carrefourze, gdzie pracownik, który chciał pójść do toalety, musiał stanąć na specjalnie do tego wyznaczonym kwadracie namalowanym na podłodze. To mógł wymyślić tylko jakiś zupełny dureń, który myślał, że gdy będzie sprawował władzę w taki sposób, to otrzyma awans. We francuskim Carrefourze coś takiego jest nie do pomyślenia. To raczej problem polskich biznesmenów i kadry zarządzającej, którzy mentalnie tkwią w XIX wieku.

Dziękuję za rozmowę.

5 kwietnia 2012 r.

FUNDUSZ „NOWEGO OBYWATELA” TO JEDYNY SPOSÓB NA PRAWDZIwą NIEZALEŻNOŚĆ!

„Nowy Obywatel” powstaje dzięki zaangażowaniu dziesiątek autorów, grafików, tłumaczy, korektorów i innych aktywistów, którzy swoją codzienną wolontariacką pracą umożliwiają wydawanie kwartalnika i książek, organizowanie dyskusji, prelekcji, pokazów filmowych i innych działań.

**Podoba Ci się to, co robimy?
Wesprzyj dowolną kwotą
Fundusz „Nowego Obywatela”
lub wpłać co najmniej
120 zł i dołącz do Klubu
współwydawców! Szczegóły
na nowyobywatel.pl/klub**

Dzięki Twojej wpłacie będziemy mogli wydrukować następny numer gazety, zorganizować pokaz filmowy, wyjechać z prelekcjami. Każda podarowana złotówka umożliwia rozwój naszych działań.

Wpłaty można przekazywać na konto:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111, Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1344 0001
z dopiskiem „Fundusz »Nowego Obywatela«”.

**W tym kwartale do Klubu współwydawców
„Nowego Obywatela” dołączyli:**

- Stefan Jerzy Adamski
- Wojciech Biedrzyński
- Bogdan Andrzej Menażyk
- Adam Mordzon
- Monika Mróz
- Kamil Nowak
- Artur Tomaszewski
- Wojciech Woźniak

Dziękujemy!

Zamówienia publiczne i... prospołeczne?

CEZARY MIŻEJEWSKI

Zamówienia publiczne w Unii Europejskiej nie stanowią jedynie instrumentu zapewnienia przejrzystości i uczciwej konkurencji dla przedsiębiorców. Regulacje unijne przewidują również ich istotny wpływ na kwestie społeczne. Wynika to z prostego przekonania, że gospodarka może być jednocześnie społeczna i rynkowa. Dlatego zamówienia publiczne to wybór wykonawców nie tylko najlepszych, ale także takich, którzy dbają o prawa pracownicze, zrównoważony rozwój oraz o integrację społeczną osób zagrożonych wykluczeniem. Rozwiązania europejskie, które to umożliwiają, jeszcze się w Polsce nie przyjęły, ale nie musi tak być zawsze.

Każdy, kto otarł się o sektor publiczny, słyszał o zamówieniach publicznych, czy to jako zlecający, czy jako wykonawca. O podobnej praktyce zwanej „zasadą konkurencyjności”, która *de facto* stanowi odmianę zamówienia publicznego, słyszeli też wszyscy realizatorzy projektów z Europejskiego Funduszu Społecznego. Zasady tych regulacji są dość oczywiste. Chodzi o to, aby wydając środki publiczne (krajowe lub europejskie) na zakupy dóbr, usług czy wykonawstwo robót, stosować zasady równego traktowania, uczciwej konkurencji i przejrzystości procedur. **Rynek zamówień publicznych nie jest mały – w Unii Europejskiej zakupy**

publiczne, realizowane w ramach procedury zamówieniowej, stanowią przeciętnie ok. 18% PKB. W Polsce rynek ten jest mniejszy i stanowił w 2008 r. ok. 8,6% PKB, jednak w 2010 r. już ok. 11,8%, co oznacza, że rozwija się dynamicznie. O ile w 2009 r. wydatki na zakupy publiczne stanowiły 126,7 mld zł, to rok później już 167 mld zł¹. Jest to zatem rynek nie do pogardzenia.

Ramy działań w obszarze zamówień publicznych określone są przez europejskie dyrektywy², które muszą zostać przeniesione do krajowego porządku prawnego. Przepisy europejskie dotyczą zamówień powyżej 125 tys. euro. Przy zamówieniach na roboty budowlane



nowy próg wynosi 4,845 mln euro, zaś w przypadku zamawiających z sektora samorządowego - 193 tys. euro przy zamówieniach na dostawy lub usługi oraz 4,845 mln euro przy zamówieniu na roboty budowlane³. Poniżej tych wartości można stosować niektóre uproszczenia procedur podstawowych, np. przeprowadzić postępowania w trybach uproszczonych: negocjacji z ogłoszeniem, zapytania o cenę i licytacji elektronicznej, wyznaczyć minimalny termin złożenia oferty (np. w przetargu nieograniczonym) czy uzyskać minimalną liczbę ofert. Powyżej progów obowiązują pełne procedury z poinformowaniem wykonawców w Europie, czyli przekazaniem wszelkiej dokumentacji Urzędowi Publikacji Unii Europejskiej do rozpowszechnienia w Dzienniku Urzędowym Unii Europejskiej. To tylko przypomnienie dla tych, którzy sądzą, że próg stosowania zamówień powyżej 14 tys. euro⁴ pochodzi z dyrektyw europejskich - to już nasz polski pomysł, zwalniający drobne zamówienia z rygorów krajowej ustawy.

W związku z aspiracjami europejskimi, Polska w czerwcu 1994 r. przyjęła ustawę o zamówieniach publicznych⁵, którą w 2004 r. zastąpiono nową regulacją, dość gruntownie znowelizowaną w roku 2006 i latach kolejnych.

Wszyscy kradną?

Niestety, wiele przepisów w Polsce powstaje w myśl założenia, że „wszyscy kradną”. Taka jest też, w rzeczy samej, ustawa Prawo zamówień publicznych, a raczej jej praktyczne stosowanie. Regionalne izby obrachunkowe - postrach samorządów terytorialnych - dokonują

co roku ok. 1200-1300 kontroli. W trakcie kontroli od 2005 do I półrocza 2008 r. stwierdzono aż 6394 (!) uchybienia związane z realizacją zamówień publicznych przez samorządy. Wśród nich, 556 wynikało z braku lub niewłaściwej specyfikacji istotnych warunków zamówienia, zaś 333 z nieprawidłowego określenia przedmiotu zamówienia - cech technicznych i jakościowych, kosztorysu, projektu⁶. Może zatem problemem nie jest nieuczciwość, lecz brak umiejętności prawidłowego formułowania dokumentacji przetargowej?

W tym samym okresie RIO skierowało 1790 wniosków w sprawie naruszenia dyscypliny finansów publicznych, z czego aż 730 (ponad 40%) wyłącznie z uwagi na zamówienia publiczne⁷. Według danych z lat 2007-2010, komisje ds. dyscypliny finansów publicznych zarejestrowały 15 553 czyny naruszenia dyscypliny finansów publicznych, z tego w zakresie zamówień publicznych - 1708 (niemal 11%). W tych przypadkach, komisje nie tylko stwierdziły naruszenie przepisów zamówień publicznych, ale również przypisały winę konkretnym osobom⁸. Możemy przyjąć dwie przeciwstawne tezy. Albo Polska to kraj nieuczciwych urzędników, albo też zamawiający nie radzą sobie z przepisami oraz kontrolami.

Sprawiedliwy rynek pracy

Na efekty takiej presji nie trzeba było długo czekać. Jeżeli w 2004 r. tylko 29% przetargów rozstrzyganych było na podstawie kryterium ceny, to już w 2010 r. takie przetargi stanowiły aż 91%. Dla porównania: w niemieckiej ustawie przeciwko ograniczeniom nieuczciwej konkurencji (GWB) wprowadzono zakaz

stosowania kryterium ceny, jako jedynego kryterium wyboru ofert⁹.

Dopiero historia z chińskimi wykonawcami autostrady A2 nieco otworzyła oczy polskim decydom – głównie z uwagi na skalę zjawiska. Jak podaje „Polityka”: *Dziś mamy w Polsce wielki inwestycyjny dyskont: liczą się tylko niskie ceny*¹⁰. Chińczycy złożyli ofertę z ceną niższą o ponad 51% od kwoty, jaką zamawiający przeznaczył na sfinansowanie zamówienia oraz o ponad 23% niższą od następnej najkorzystniejszej oferty, czyli oferty odwołującego¹¹. Oferta przedstawiana – nawet przez Urząd Zamówień Publicznych – jako racjonalne gospodarowanie środkami publicznymi, zamieniła się w koszmar, gdy wykorzystywani podwykonawcy odmówili dalszej współpracy. Metoda obniżania ceny jest prosta – główny wykonawca wymusza oszczędności na podwykonawcach. A na czym można najlepiej zarobić? Obcinając koszty pracy. Potem w mediach pojawiały się łzawe reportaże o złych firmach, które nie zapłaciły pracownikom. A był to przecież prosty łańcuszek zależności: wybór najtańszej oferty, której koszty ostatecznie zapłacili pracownicy.

Art. 90 prawa zamówień publicznych przewiduje co prawda zwrócenie się do wykonawcy o udzielenie wyjaśnień na temat sposobu wyliczenia takich kosztów, ale odwołując się do zapisów art. 55 europejskiej dyrektywy, zamawiający bierze pod uwagę obiektywne czynniki, w szczególności: oszczędność metody wykonania zamówienia, wybrane rozwiązania techniczne, wyjątkowo sprzyjające warunki wykonywania zamówienia dostępne dla wykonawcy, oryginalność projektu wykonawcy oraz wpływ pomocy publicznej¹². Jest tylko jedno „ale”. Dyrektywa w art. 55 ust. 1 ppkt d) wskazuje, że owe szczegóły mogą również obejmować kwestie zgodności z obowiązującymi przepisami dotyczącymi ochrony zatrudnienia i warunków pracy, a także miejsca, w którym roboty budowlane, usługi lub dostawy te mają być realizowane. A o tym w polskich przepisach głucho.

Co więcej, ta sama dyrektywa w art. 27 wyraźnie wskazuje, że zamawiający może zostać zobowiązany przez przepisy państwa, aby zaznaczył w ogłoszeniu instytucje, od których potencjalny wykonawca może dowiedzieć się o obowiązujących na danym terenie przepisach, w tym o ochronie zatrudnienia oraz warunkach pracy, a także – po udzieleniu takiej informacji – zobowiązać wykonawcę do potwierdzenia, że takie przepisy stosuje.

Jednak cena lub parametry techniczne są w Polsce ważniejsze niż kwestie pracownicze. Stwierdził to m.in. Sąd Okręgowy w Opolu, który w wyroku z 13 stycznia 2005 r. (II Ca 835/04) stwierdził, że: *przy ocenie, czy oferta zawiera rażąco niską cenę (art. 89. ust. 1 pkt. 4 Pzp), jak też cenę poniżej kosztów świadczenia usług (art. 15. ust. 1 ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji) nie można powoływać się na takie czynniki, jak płaca minimalna oraz wskaźnik jej wzrostu*¹³.



© comedy_nose, http://www.flickr.com/photos/comedy_nose/5043010086/in/gallery-60865808@N06-72157629568452664/

W innych krajach sprawy takie budziły znaczne kontrowersje. Na przykład w Dolnej Saksonii prawo zakazuje udzielania zamówień na roboty budowlane firmom, które nie zobowiążą się na piśmie do zapłacenia swoim pracownikom co najmniej wynagrodzenia wynikającego z obowiązującego (regionalnego) układu zbiorowego. Wykonawca musi także zobowiązać się do nałożenia takiego samego obowiązku na podwykonawców oraz do sprawdzania, czy się z niego wywiązują. Niewywiązanie się z tego zobowiązania powoduje nałożenie kary umownej. Przepis ten był przedmiotem skargi przed sądem niemieckim w związku z wykonywaniem zamówienia publicznego na roboty budowlane (budowa więzienia w Göttingen-Rosdorf) przez firmę Objekt und Bauregie (O&B). Niemiecka instytucja wypowiedziała zamówienie publiczne i pozwała firmę O&B, domagając się zapłacenia kary umownej, gdyż stwierdzono, że polski podwykonawca firmy O&B płacił swoim pracownikom, zatrudnionym na miejscu budowy w Niemczech, jedynie 46,57% płacy minimalnej, wynikającej z obowiązującego układu zbiorowego. Sprawa trafiła do Trybunału Sprawiedliwości¹⁴, który w wyroku co prawda zaniegował umowę zbiorową jako akt powszechnie obowiązującego prawa, ale podkreślił kwestię stosowania urzędowej stawki minimalnego wynagrodzenia.

Sprawa chińskich wykonawców zirytowała nawet zagorzałych liberałów. Poseł Adam Szejnfeld – w imieniu



sejmowej Komisji „Przyjazne Państwo”, zajmującej się sprawami związanymi z ograniczeniem biurokracji – zgłosił w czerwcu 2011 r. projekt zmiany ustawy Prawo zamówień publicznych. Projekt ten zobowiązuje m.in. do odrzucania ofert wykonawców, którzy nie respektują zasad wynagradzania ustalonych w przepisach powszechnie obowiązujących, jednoznacznego przeniesienia ciężaru dowodu rynkowego ceny na wykonawcę, który podejrzewany jest o jej zaniżanie oraz dodania przepisu zobowiązującego podmiot zamawiający, jeśli jedynym kryterium jest cena, do udowodnienia, że zastosowanie innych kryteriów nie przyczyni się do wydatków ze środków publicznych, ponoszonych w całym okresie realizowania zamówienia¹⁵. Projekt został poparty na posiedzeniu Komisji przez Federację Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych Naczelnej Organizacji Technicznej, ekspertów Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych „Lewiatan” oraz prezesa Wielkopolskiej Izby Budownictwa.

W trakcie pierwszego czytania 26 lipca 2011 r. na posiedzeniu Komisji Gospodarki nie było już tak przyjaźnie. Pomimo że pozytywnie o projekcie wypowiedziały się również m.in. Związek Rzemiosła Polskiego, Izba Bawełny, Amerykańska Izba Handlowa w Polsce, Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego oraz Prokuratoria Generalna Skarbu Państwa, to przedstawiciel Urzędu Zamówień Publicznych wyraził stanowisko negatywne, wskazując potrzebę dyskusji i dialogu między

stroną rządową a wykonawcami *na temat wielu zagadnień związanych z prawem zamówień publicznych*. Dodał również, że *nie są potrzebne istotne zmiany w samym prawie zamówień publicznych*. Kropkę nad „i” postawił dyrektor Departamentu Dróg i Autostrad Ministerstwa Infrastruktury, który – w imieniu Generalnego Dyrektora Dróg Krajowych i Autostrad oraz Polskich Linii Kolejowych – określił stanowisko jednym zdaniem: *obowiązujące przepisy w tym zakresie są absolutnie wystarczające*¹⁶.

Komisja Europejska w propozycji nowej dyrektywy o zamówieniach publicznych¹⁷ z grudnia 2011 r. wskazuje m.in., że instytucje zamawiające mogą podjąć decyzję o nieudzieleniu zamówienia oferentowi, który złożył najlepszą ofertę. Mogą tak postąpić, jeżeli ustalą, że oferta ta nie jest zgodna, co najmniej w równoważny sposób, z obowiązkami wynikającymi z prawodawstwa Unii w dziedzinie prawa socjalnego, prawa pracy lub prawa ochrony środowiska, bądź z przepisów międzynarodowego prawa socjalnego i prawa ochrony środowiska, wymienionych w załączniku do dyrektywy. Instytucja zamawiająca może również wykluczyć z udziału w zamówieniu publicznym każdego wykonawcę, jeżeli wie o jakimkolwiek naruszeniu obowiązków wynikających z wymienionego wyżej prawodawstwa. Zapisano również, iż zamawiający może wymagać od wykonawców wyjaśnień dotyczących przedstawionej ceny lub kosztów w zakresie, o którym mowa była powyżej. Może również z tych powodów ofertę odrzucić. Wspomniany załącznik do dyrektywy w obszarze praw międzynarodowych obejmuje stosowanie m.in.:

- Konwencji Nr 87 dotyczącej wolności związkowej i ochrony praw związkowych;
- Konwencji Nr 98 dotyczącej stosowania zasad prawa organizowania się i rokowań zbiorowych;
- Konwencji Nr 29 dotyczącej pracy przymusowej lub obowiązkowej;
- Konwencji Nr 105 dotyczącej zniesienia pracy przymusowej;
- Konwencji Nr 138 dotyczącej najniższego wieku dopuszczenia do zatrudnienia;
- Konwencji Nr 111 dotyczącej dyskryminacji w zakresie zatrudnienia i wykonywania zawodu;
- Konwencji Nr 100 dotyczącej jednakowego wynagrodzenia dla pracujących mężczyzn i kobiet za pracę jednakowej wartości;
- Konwencji Nr 182 dotyczącej zakazu i natychmiastowych działań na rzecz eliminowania najgorszych form pracy dzieci.

Sejmowa Komisja ds. Unii Europejskiej na posiedzeniu w dniu 1 marca 2012 r., wspierając stanowisko rządu, negatywnie oceniła fakt, że *przyjęcie nowej dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady w sprawie zamówień publicznych w proponowanym kształcie będzie wiązało się z nałożeniem na państwa członkowskie*



©©© Katchhoo, <http://www.flickr.com/photos/katchhoo/4435807619/in/photostream/>

dodatkowych obowiązków, które w chwili obecnej nie są realizowane, bądź też realizacja których ma obecnie bardziej ograniczony zakres, a które to nowe obowiązki mogą skutkować dodatkowymi kosztami¹⁸. Widać zatem, że walka o zagwarantowanie praw pracowników w zamówieniach publicznych – wbrew wyraźnemu stanowisku europejskiemu – będzie nam musiała zająć jeszcze trochę czasu¹⁹.

Preferencje dla działań społecznych

Nie wszelkie zapisy dyrektyw europejskich automatycznie znajdują odzwierciedlenie w polskim ustawodawstwie. Zaostżenia proceduralne zostały przyswojone najszybciej, ale już z kwestiami społecznymi jest większy problem.

Przykładem może być wspieranie włączenia społecznego i promowanie organizacji zajmujących się ekonomią społeczną. Chodzi tu np. o równy dostęp do możliwości ubiegania się o zamówienia publiczne dla firm, spółdzielni, przedsiębiorstw społecznych i organizacji non profit, które są własnością osób z grup/mniejszości etnicznych lub zatrudniają takie osoby, czy też promowanie zatrudnienia wspierającego osoby niepełnosprawne, w tym także na otwartym rynku pracy²⁰. Zapisy te pojawiły się we wspomnianej już dyrektywie z marca 2004 r. o zamówieniach publicznych. Wdrożenie zapisów unijnych poprzedziły batalie sądowe, np. sprawa 31/87 Gebroeders Beentjes BV przeciwko Holandii, w której potwierdzono, że warunek związany z zatrudnieniem osób pozostających przez długi okres bez pracy jest zgodny ze starą dyrektywą, jeśli bezpośrednio ani pośrednio nie dyskryminuje on oferentów z innych państw członkowskich Wspólnoty²¹. To i inne orzeczenia spowodowały, że w ramach nowej dyrektywy z 2004 r.

wprowadzono wprost zapisy odnoszące się do kwestii prozatrudnieniowych.

W art. 26 dyrektywy wskazano, że instytucje zamawiające mogą określić warunki szczególne związane z realizacją zamówienia, pod warunkiem, że są one zgodne z przepisami prawnymi Wspólnoty oraz zostały wskazane w ogłoszeniu o zamówieniu lub specyfikacjach. Warunki rządzące realizacją zamówienia mogą, w szczególności, dotyczyć względów społecznych i środowiskowych. Uszczegółowiono to w pkt. 33 preambuły, precyzując, że względy te mogą zachęcać do organizacji wewnętrznych szkoleń zawodowych, zatrudniania osób mających szczególne trudności z integracją, a także zwalczania bezrobocia lub ochrony środowiska. Można na przykład ustanowić wymóg – odnoszący się do realizacji zamówienia – co do zatrudnienia osób długotrwale poszukujących pracy, co do przeprowadzenia szkoleń dla bezrobotnych lub młodocianych, co do przestrzegania postanowień Konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy (MOP), o ile przepisy te nie zostały wdrożone do prawa krajowego, oraz co do zatrudnienia większej liczby osób niepełnosprawnych, niż przewiduje to ustawodawstwo krajowe²².

Wskazano również preferencje dla zatrudniania osób niepełnosprawnych (w art. 19), określając, że Państwa Członkowskie mogą zastrzec prawo udziału w procedurach udzielania zamówień publicznych zakładom pracy chronionej lub przewidzieć możliwość realizacji takich zamówień w ramach programów pracy chronionej, w których większość zaangażowanych pracowników stanowią osoby niepełnosprawne, które ze względu na charakter lub stopień swojej niepełnosprawności nie mogą wykonywać swojej pracy w normalnych warunkach.

Pomimo że miesiąc później, 1 maja 2004 r., Polska przystąpiła do Unii Europejskiej, trudno byłoby znaleźć podobne postanowienia w polskich przepisach dotyczących zamówień publicznych. Ten stan utrzymał się aż do 2009 r.

Na przełomie 2007 i 2008 r. sejmowa Komisja Polityki Społecznej, a ściślej – podkomisja ds. organizacji pozarządowych, przygotowała nowelizację ustawy o spółdzielniach socjalnych²³. W projekcie tym znalazły się propozycje preferencji prozatrudnieniowych w Prawie zamówień publicznych. Nie zostały one zbyt przychylnie potraktowane przez rząd²⁴. Jednak 2 kwietnia 2009 r. Sejm jednomyślnie uchwalił zmiany do ustawy, co spowodowało interwencję Urzędu Zamówień Publicznych w Senacie²⁵. Okazało się, że UZP zaproponował nieoczekiwane własne zmiany w nowelizacji, która w kwietniu 2009 r. miała trafić do Sejmu. Ostatecznie zawarto kompromis, który pozwolił utrzymać uchwalone zmiany – weszły one w życie 16 lipca 2009 r.²⁶ Dodatkowo, Urząd Zamówień Publicznych postanowił również wykazać się inicjatywą, zgłaszając zmiany odnośnie preferencji prozatrudnieniowych, dotyczących niepełnosprawnych, w ramach nowelizacji

ustawy Prawo zamówień publicznych z 5 listopada 2009 r., które weszły w życie 22 grudnia 2009 r.²⁷

Co to były za zmiany? W zakresie preferencji proza-trudnieniowych umożliwiają one określenie w opisie przedmiotu zamówienia (Specyfikacja Istotnych Warunków Zamówienia) wymagań związanych z realizacją zamówienia, dotyczących zatrudnienia osób:

- bezrobotnych lub młodocianych w celu przygotowania zawodowego, o których mowa w przepisach o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy;
- niepełnosprawnych, o których mowa w przepisach o rehabilitacji zawodowej i społecznej oraz zatrudnianiu osób niepełnosprawnych;
- osób, o których mowa w przepisach o zatrudnieniu socjalnym²⁸;

albo utworzenia funduszu szkoleniowego, czy też zwiększenia wpłat pracodawców na utworzony już fundusz, w rozumieniu przepisów o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy.

Drugą zmianą jest możliwość zastrzeżenia przez zamawiającego w ogłoszeniu o zamówieniu, że o udzielenie zamówienia mogą ubiegać się wyłącznie wykonawcy, u których ponad 50% zatrudnionych pracowników stanowią osoby niepełnosprawne (w rozumieniu przepisów o rehabilitacji zawodowej i społecznej oraz przepisów o zatrudnianiu osób niepełnosprawnych albo właściwych przepisów państw członkowskich Unii Europejskiej lub Europejskiego Obszaru Gospodarczego). Są to tzw. zamówienia zastrzeżone.

Z tymi zmianami wkroczyliśmy w rok 2010. W październiku 2009 r. Minister Rozwoju Regionalnego wraz z Prezesem Urzędu Zamówień Publicznych wydali wytyczne dotyczące stosowania „klauzul społecznych” w zamówieniach publicznych²⁹, precyzując m.in., że zamawiający może wprowadzić nie tylko wymagania związane z zatrudnieniem bezrobotnych, ale także dodatkowe elementy, np. zatrudniania tych bezrobotnych wyłącznie na podstawie stosunku pracy lub aby zatrudnienie dotyczyło osób skierowanych przez powiatowy urząd pracy, czy też zwalnianych w ramach ustawy z dnia 13 marca 2003 r. o szczególnych zasadach rozwiązywania z pracownikami stosunków pracy z przyczyn niedotyczących pracowników. Możliwości jest tutaj wiele, choć nie przekonało to opornych – zwłaszcza samorządowych prawników, którzy wychodzą z tradycyjnego założenia: skoro nie ma nakazu w ustawie, to znaczy, że nie wolno.

Urząd Zamówień Publicznych przyjął w 2010 r. plan działań w zakresie zrównoważonych zamówień publicznych³⁰, w którym po raz pierwszy rozszerzył propozycję poza sferę tzw. zielonych zamówień³¹, również na zamówienia społecznie odpowiedzialne. Dość ambitnie określono cel, którym ma być podwyższenie poziomu „społecznych” zamówień publicznych na szczeblu krajowym do 10%, choć nie precyzuje się

metodologii, jaką będzie się mierzyć postęp. Według danych UZP, w 2010 r. klauzule społeczne były zawarte w 2,7% zamówień publicznych³². Jak wynika ze wstępnych danych, dotyczyło to wszystkich aspektów o charakterze społecznym, w tym np. dostosowania zamówień do potrzeb osób niepełnosprawnych. W samorządach klauzule społeczne spotykane są dość rzadko, dlatego warto wskazać pozytywne przykłady: burmistrza Byczyny, burmistrza Brzezin³³, poprzedniego prezydenta Bydgoszczy czy prezydenta Częstochowy.

Co dalej?

Nowe unijne przepisy o zamówieniach publicznych są coraz bardziej szczegółowe. O sprawach pracowniczych już wspomniano – warto dodać, że prawdopodobnie zostanie obniżona granica w zamówieniach zastrzeżonych dla firm zatrudniających osoby niepełnosprawne – z 50% do 30%. Wspieranie działań proza-trudnieniowych pozostaje aktualne, ponadto pojawiają się dodatkowe preferencje dla rozwoju usług społecznych. Te kwestie musimy wywalczyć w nowelizacji Prawa zamówień publicznych zaraz po przyjęciu dyrektywy w 2012 r. Będzie to wymagać zorganizowanych i dobrze przygotowanych kampanii.

Ale niezwykle istotne jest również wypromowanie dotychczasowych (jak i przyszłych) możliwości, zarówno w administracji rządowej, jak i samorządowej. Dlatego należy uruchomić wszelkie drogi działania, w tym tkwiące w różnych inicjatywach europejskich. Po pierwsze, musi powstać podręcznik, autoryzowany przez Urząd Zamówień Publicznych wraz z Krajową Radą Regionalnych Izb Obrachunkowych, skierowany do samorządów, z praktycznymi przykładami, SIWZ-ami (Specyfikacjami Istotnych Warunków Zamówienia) i opisami dobrych praktyk. Po drugie, muszą zostać zrealizowane masowe szkolenia – również autoryzowane przez UZP – skierowane do pracowników odpowiedzialnych za zamówienia publiczne w samorządach. Po trzecie, rząd musi jasno pokazać – również w praktyce – że wspiera społecznie odpowiedzialne zamówienia. To nie są rzeczy skomplikowane ani wymagające od ministra finansów jakichkolwiek bolesnych decyzji. **To wszystko jest wykonalne w ramach obecnych możliwości. Trzeba tylko dostrzec, że art. 20 Konstytucji RP, stanowiący o podstawach ustroju gospodarczego Rzeczypospolitej Polskiej, mówi o gospodarce zarówno społecznej, jak i rynkowej. A obok zapisów o wolności działalności gospodarczej oraz własności prywatnej, znajdują się tam również zapisy o solidarności, dialogu i współpracy partnerów społecznych.**

CEZARY MIŻEJEWSKI³⁴

Przypisy:

1. Sprawozdanie Prezesa Urzędu Zamówień Publicznych o funkcjonowaniu systemu zamówień publicznych w 2010 r., Warszawa 2011, s. 18.

2. Dyrektywa 2004/18/WE Parlamentu Europejskiego i Rady z dnia 31 marca 2004 r. w sprawie koordynacji procedur udzielania zamówień publicznych na roboty budowlane, dostawy i usługi oraz dyrektywa 2004/17/WE Parlamentu Europejskiego i Rady z dnia 31 marca 2004 r. koordynująca procedury udzielania zamówień przez podmioty działające w sektorach gospodarki wodnej.
3. Od 1 stycznia 2010 r., po wejściu w życie rozporządzenia Komisji (WE) z dnia 30 listopada 2009 r. nr 1177/2009, zmieniającego dyrektywy: 2004/17/WE, 2004/18/WE i 2009/81/WE Parlamentu Europejskiego i Rady w odniesieniu do progów obowiązujących w zakresie procedur udzielania zamówień publicznych.
4. Do 2007 r. było to 6 tys. euro.
5. Ustawa z dnia 10 czerwca 1994 r. o zamówieniach publicznych (Dz.U. z 1994 r. Nr 76, poz. 344).
6. I. Bendorf-Bundorf, *Zadania regionalnych izb obrachunkowych w procesie umacniania polskiego systemu zamówień [w:] XV-lecie systemu zamówień publicznych w Polsce. Ogólnopolska konferencja naukowa 22-23 czerwca 2009 r. Toruń, Toruń - Warszawa 2009, ss. 10-12.*
7. Tamże, s. 14.
8. M. Winiarz, *Dyscyplina finansów publicznych jako instrument egzekwowania legalności postępowań o udzielenie zamówienia publicznego. Próba oceny systemu [w:] Nowe podejście do zamówień publicznych - zamówienia publiczne jako instrument zwiększenia innowacyjności gospodarki i zrównoważonego rozwoju. Doświadczenia polskie i zagraniczne, Część 1, Warszawa 2011, s. 233.*
9. A. Kurowska, *Racjonalny dobór kryteriów oceny ofert w świetle art. 53 dyrektywy 2004/18/WE [w:] Urząd Zamówień Publicznych. Ekonomiczne i prawne zagadnienia zamówień publicznych. Polska na tle Unii Europejskiej (monografia naukowa), Warszawa 2010, s. 46.*
10. A. Grzeszczak, *Chiński syndrom*, „Polityka”, 20 czerwca 2011 r.
11. *Sprawa Covec: UZP twierdzi, że cena podana przez Chińczyków nie była rażąco niska*, Newsweek.pl z 10 czerwca 2011, <http://polska.newsweek.pl/sprawa-covec-uzp-twierdzi-ze-cena-podana-przez-chinczykow-nie-byla-razaco-niska,78033,1,1.html>
12. Art. 90, ust. 2 Ustawy z dnia 29 stycznia 2004 r. Prawo zamówień publicznych (tj. Dz.U. z 2010 r. Nr 113, poz. 759, Nr 161, poz. 1078, Nr 182, poz. 1228, z 2011 r. Nr 5, poz. 13, Nr 28, poz. 143, Nr 87, poz. 484, Nr 234, poz. 1386, Nr 240, poz. 1429).
13. D. Piasta, G. Wicik, P. Wiśniewski, *Zamówienia publiczne w orzecznictwie sądowym, cz. I, „Finanse Publiczne” 2/2008.*
14. Orzeczenie z dnia 3 kwietnia 2008 r. w sprawie C-346/06 - Artykuł 49 WE - Swoboda świadczenia usług - Ograniczenia - Dyrektywa 96/71/WE - Delegowanie pracowników w ramach świadczenia usług - Ochrona socjalna pracowników, na stronie <http://www.uzp.gov.pl>
15. Uzasadnienie komisijnego projektu ustawy o zmianie ustawy - Prawo zamówień publicznych (druk nr 4451) z 29 czerwca 2011 r.
16. Kancelaria Sejmu, Biuro Komisji Sejmowych, Biuletyn z posiedzenia Komisji Gospodarki (Nr 222) Nr 5384/VI kadencja, z 26 lipca 2011 r.
17. Wniosek. Dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady w sprawie zamówień publicznych KOM(2011) 896 wersja ostateczna z 20 grudnia 2011.
18. Opinia nr 8 Komisji do Spraw Unii Europejskiej Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej w sprawie „Wniosku dotyczącego dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady w sprawie zamówień publicznych (KOM(2011) 896 wersja ostateczna)” przyjęta na 31. posiedzeniu w dniu 1 marca 2012 r.
19. Co prawda, w 2004 r. wykluczono z postępowania podmioty, które zalegają z opłatami składek na ubezpieczenie społeczne, ale wykluczenie tych, którzy prawomocnie zostali skazani za przestępstwo przeciwko prawom osób wykonujących pracę zarobkową, nastąpiło dopiero w listopadzie 2009 r.
20. *Kwestie społeczne w zakupach. Przewodnik dotyczący uwzględniania kwestii społecznych w zamówieniach publicznych*, Komisja Europejska. Dyrekcja Generalna ds. Zatrudnienia, Spraw Społecznych i Równości Szans, październik 2010.
21. Orzeczenie Trybunału (Czwartej Izby) z dnia 20 września 1988 r. Gebroeders Beentjes BV przeciwko Państwu Holenderskiemu. Więcej w: Urząd Zamówień Publicznych, *Zamówienia publiczne w Unii Europejskiej, Orzecznictwo Trybunału Sprawiedliwości*, Warszawa 1999, s. 93.
22. Dyrektywa 2004/18/WE Parlamentu Europejskiego i Rady z dnia 31 marca 2004 r. w sprawie koordynacji procedur udzielania zamówień publicznych na roboty budowlane, dostawy i usługi, Dz. Urzędowy UE L134/114 z 30 kwietnia 2004.
23. Komisijny projekt ustawy o zmianie ustawy o spółdzielniach socjalnych oraz o zmianie niektórych innych ustaw (Druk sejmowy nr 1136), Warszawa, 29 maja 2008 r.
24. Stanowisko Rady Ministrów wobec komisijnego projektu ustawy o zmianie ustawy o spółdzielniach socjalnych oraz o zmianie niektórych innych ustaw z dnia 16 marca 2009 r.
25. Zapis stenograficzny (836) z 131. posiedzenia Komisji Gospodarki Narodowej w dniu 15 kwietnia 2009 r., <http://ww2.senat.pl/k7/kom/kgm/2009/131gn.htm>
26. Art. 4 ustawy z dnia 7 maja 2009 r. o zmianie ustawy o spółdzielniach socjalnych oraz o zmianie niektórych innych ustaw (Dz.U. z 2009 r. nr 91, poz. 742).
27. Ustawa z dnia 5 listopada 2009 r. o zmianie ustawy - Prawo zamówień publicznych oraz ustawy o kosztach sądowych w sprawach cywilnych (Dz.U. z 2009 r. nr 206, poz. 1591).
28. Są to, zgodnie z ustawą: bezdomni realizujący indywidualny program wychodzenia z bezdomności, w rozumieniu przepisów o pomocy społecznej; uzależnieni od alkoholu, po zakończeniu programu psychoterapii w zakładzie leczenia odwykowego; uzależnieni od narkotyków lub innych środków odurzających, po zakończeniu programu terapeutycznego w zakładzie opieki zdrowotnej; chorzy psychicznie, w rozumieniu przepisów o ochronie zdrowia psychicznego; zwalniani z zakładów karnych, którzy mają trudności w integracji ze środowiskiem, w rozumieniu przepisów o pomocy społecznej; uchodźcy realizujący indywidualny program integracji, w rozumieniu przepisów o pomocy społecznej.
29. Zalecenia Ministra Rozwoju Regionalnego oraz Prezesa Urzędu Zamówień Publicznych dotyczące stosowania klauzul społecznych w zamówieniach publicznych z 20 października 2009 r. dostępne na <http://www.uzp.gov.pl>
30. Urząd Zamówień Publicznych, Krajowy Plan Działań w zakresie zrównoważonych zamówień publicznych na lata 2010-2012, Warszawa 2010.
31. „Zielone zamówienia publiczne” to osobna gałąź działań w sferze zamówień publicznych, preferująca postępowanie ekologiczne, energooszczędne, szanujące środowisko.
32. *Rząd chce upowszechnić klauzule społeczne w zamówieniach publicznych*, „Gazeta Prawna” z 13 lutego 2012 r. oraz *Jak rozwiązać obawy przed stosowaniem klauzul społecznych?*, <http://www.ekonomiaspoleczna.pl/wiadomosc/687461.html>
33. Specyfikacja z Brzezin została udostępniona na stronie III Ogólnopolskiego Forum Spółdzielni Socjalnych: <http://www.ofss.org.pl/materialy-konferencyjne/>
34. Autor miał okazję inicjować zapisy dotyczące klauzul społecznych w 2009 r., był również współautorem zaleceń Ministerstwa Rozwoju Regionalnego i Urzędu Zamówień Publicznych w sprawie stosowania klauzul społecznych.

Elastyczność czy śmieciowość?



© AMANITO, <http://www.flickr.com/photos/amanito/729856902/in/photostream>

MACIEJ PAŃKÓW

Popularność tzw. alternatywnych lub atypowych form zatrudnienia nie jest zjawiskiem nowym w światowej gospodarce. Od Doliny Krzemowej, przez Stary Kontynent, aż po Japonię, wszędzie począwszy od lat 80. wystąpiły podobne zjawiska.

Wzmożona konkurencja na globalizujących się rynkach, dekoncentracja działalności gospodarczej (wzrost znaczenia mniejszych podmiotów), nowe metody organizacji pracy – wszystko to pociągnęło za sobą presję na deregulację, uelastycznianie zatrudnienia, a w konsekwencji nierzadko podział rynków pracy na segment „lepszego” (pracownicy wykwalifikowani, którzy mogą liczyć na stabilne zatrudnienie) i „gorszego” (pracownicy niewykwalifikowani, często młodzież, zatrudnieni na umowach, które nie gwarantują bezpieczeństwa socjalnego)¹. Zjawiska kryzysowe,

w tym przede wszystkim wzrost bezrobocia, skłoniły rządy do wprowadzania zmian w zakresie prawa pracy i poszukiwania nowych rozwiązań w obszarze zabezpieczenia społecznego, czemu słabnącym związkom zawodowym trudno było się przeciwstawić.

Okazuje się jednak, że reformy rynku pracy w różnych państwach przyjęły różną formę, przynosząc również odmienne rezultaty. Można powiedzieć, że powodzeniem zakończyły się wysiłki zmierzające do ograniczenia bezrobocia poprzez odchodzenie od tradycyjnej formuły stosunku pracy, przy jednoczesnym

utrzymaniu wysokiego poziomu bezpieczeństwa socjalnego. Za przykłady mogą posłużyć Dania i Holandia², które wprowadziły interesujące modele polityki flexicurity w oparciu o odmienne rozwiązania prawno-instytucjonalne. Z kolei deregulacja hiszpańskiego rynku pracy jest postrzegana jako przykład reformy zmierzającej w złym kierunku, która pogłębiła istniejące podziały na rynku pracy³.

W Polsce liczne problemy ujawniające się w trakcie transformacji w latach 90. przysłały kwestię stosowanych form zatrudnienia, zresztą nie dokonywały się w tym obszarze istotne zmiany. „Cicha rewolucja” zaczęła się w następnej dekadzie - wzrosła szczególnie (i to w bardzo szybkim tempie) intensywność wykorzystania umów o pracę na czas określony, pojawiła się również na dobre nowa forma zatrudnienia, jaką jest praca tymczasowa. Chciałbym skoncentrować się na bieżącym stanie dyskusji nad elastycznością rynku pracy w Polsce, szczególnie w odniesieniu do tych rodzajów kontraktu, których główną odmiennością w stosunku do tradycyjnej umowy o pracę stanowi obniżenie trwałości zatrudnienia.

Z problematyką atypowych form zatrudnienia - w bardzo szerokim sensie, obejmującym wszystko, co nie jest umową o pracę na czas nieokreślony w pełnym wymiarze, realizowaną w typowych godzinach w siedzibie pracodawcy - zetknąłem się w ubiegłym roku dzięki uczestnictwu w projekcie badawczym w ramach Obserwatorium Dolnośląskiego Rynku Pracy i Edukacji⁴.

Kontrowersyjne przodownictwo

Zgodnie z danymi Eurostatu⁵, Hiszpania zdołała zredukować bardzo wysoki przez wiele lat odsetek pracowników zatrudnianych na zasadzie umów czasowych. Rekordowy ich udział - 33,9% - odnotowano na koniec 2006 r. W IV kwartale 2009 r. było to już nieznacznie ponad 25%. Tymczasem w Polsce wartość tego samego wskaźnika pozostawała stabilna po bardzo dynamicznym wzroście na początku ubiegłej dekady, co sprawiło, że w tym samym roku to właśnie nasz kraj znalazł się na pierwszym miejscu zestawienia. Pozostał zresztą liderem aż do III kwartału 2011 (z wynikiem 27,4%), z którego pochodzą najnowsze dostępne dane. Jednocześnie odsetek pracowników na umowach czasowych w Hiszpanii znowu zaczął się nieznacznie zwiększać (ostatnio 26,1%), prawdopodobnie w związku z zawieszeniem na dwa lata pewnych ograniczeń w ich stosowaniu - wkrótce może więc nastąpić kolejna zmiana na szczycie tabeli.

Średni poziom stosowania umów czasowych dla UE wynosi 14,4% ogółu zatrudnionych, a dla krajów „piętnastki” - 14,6%. Rekordowo niski udział pracowników na umowach czasowych (do 8%) notowały w III kwartale 2011 r. państwa nadbałtyckie, Bułgaria, Luksemburg, Malta, Rumunia (1,8%), Słowacja i Wielka Brytania. Szereg wysoko rozwiniętych państw europejskich



© @pepsiline, <http://www.flickr.com/photos/pepsiline/92352983/>

odznacza się odsetkami w okolicach 10-15%. Są to: Niemcy, Austria, Francja, Włochy, Irlandia oraz uwzględnione również w statystykach Szwajcaria i Islandia. Wysoka popularność pracy w oparciu o umowy czasowe - poza Polską i Hiszpanią - to domena Portugalii (22,7%), Słowenii (19,1%) i Holandii (18,6%), ale także Szwecji (17,5%) i Finlandii (17,4%).

Aby obraz wyłaniający się z przedstawionych statystyk był pełny, uzupełnię go jeszcze o omówienie trendów z ostatnich lat. Średnia unijna pomiędzy IV kwartałem 2005 r. i III kwartałem 2011 r. (brak wcześniejszych danych dla całej dzisiejszej UE 27) była bardzo stabilna - „drgnęła” w górę o zaledwie 1,4%. Dla porządku, omawiając tendencje w poszczególnych krajach, również odnoszę się do tego przedziału czasowego, choć dla wielu z nich dysponujemy danymi z lat wcześniejszych. W przypadku 21 krajów popularność umów czasowych wzrosła, w 8 innych zmalała. Praktycznie nie było zmiany w Niemczech (przez cały ten okres wskaźnik w tym kraju był niezwykle stabilny, oscylując wokół 15%). Największy wzrost udziału umów czasowych zanotowano w Irlandii - z 2,9 do 10,3%, choć wcześniej zaznaczał się spadek, przez co możemy mówić o dwukrotnym jego wzroście na Zielonej Wyspie na przestrzeni poprzedniej dekady. Niewątpliwie największy stopień ograniczenia stosowania tej formy zatrudnienia - jeżeli pominąć przypadki



©©© billrock54, http://www.flickr.com/photos/bill_rockwell/4800043005/

państw charakteryzujących się znikomymi odsetkami pracowników na umowach czasowych - odnotowała Hiszpania (o blisko ¼).

Polska w latach 2005-2011 charakteryzowała się bardzo stabilnym poziomem zatrudnienia w oparciu o umowy czasowe - wzrost wyniósł jedynie 0,9 punktu procentowego. Prawdziwa eksplozja popularności tego typu kontraktu miała miejsce wcześniej, bo w latach 2000-2003: z 5,9 do 20,9%⁶.

Przy okazji warto również wspomnieć o innych formach zatrudnienia, związanych z obniżeniem jego stabilności. Z raportu rocznego Państwowej Inspekcji Pracy można wyczytać, że znacząco wzrósł pomiędzy rokiem 2008 i 2010 udział osób świadczących pracę wyłącznie w oparciu o umowy cywilnoprawne (przede wszystkim umowy zlecenia) - z 15,5 do 20,9%. Inną kwestią jest praca tymczasowa (leasing pracowniczy). W oparciu o tę specyficzną formę outsourcingu nadal zatrudniany jest u nas nieznaczny odsetek pracowników, podobnie jak w innych państwach europejskich - w 2009 r. największy był w Wielkiej Brytanii (3,56%), podczas gdy w Polsce wynosił 0,44%. Gwałtowny wzrost liczby osób zatrudnianych w ten sposób w naszym kraju odnotowano między 2002 i 2006 r. (z 53 tys. do 486 tys.), później zaś nastąpił spadek do 379 tys. w 2009 i ponowne odbicie w roku następnym (do 433 tys.)⁷.

Ustawa antykryzysowa - i co dalej?

Warto poświęcić nieco uwagi omówieniu zmian, jakie przynosiła Ustawa z 1 lipca 2009 r. o łagodzeniu skutków kryzysu ekonomicznego dla pracowników i przedsiębiorców, i czego można oczekiwać po jej wygaśnięciu z początkiem bieżącego roku.

Przede wszystkim należy pamiętać o regulacjach unijnych, których celem jest ograniczenie potencjalnych nadużyć w stosowaniu umów czasowych. Zawiera je Dyrektywa Rady 99/70/WE, będąca aktem wykonawczym do porozumienia ramowego europejskich partnerów społecznych w sprawie pracy na czas określony. W dokumencie wyrażono dążenie do utrzymania umowy o pracę na czas nieokreślony jako podstawowej formy zatrudnienia w UE. Przewidziano kilka różnych ograniczeń stosowania umów czasowych, spośród których każde państwo członkowskie musi zaimplementować w swoim prawie pracy co najmniej jedno. Są to: obiektywne przyczyny uzasadniające wykorzystanie tej formy kontraktu, dopuszczalna liczba odnowień umowy lub dopuszczalny łączny czas trwania umów z jednym pracodawcą.

Po przystąpieniu Polski do Unii wprowadzono rozwiązanie mieszane: wskazano sytuacje, w których umowa czasowa jest obiektywnie uzasadniona. Dzieje się tak w przypadku prac sezonowych, cyklicznych. Ponadto można korzystać z trzymiesięcznej umowy

o pracę na okres próbny w przypadku zatrudniania nowego pracownika, a także z umowy na zastępstwo. Ograniczono również liczbę umów zawartych z jednym pracodawcą do dwóch. Podpisanie trzeciej skutkuje przekształceniem w umowę o pracę na czas nieokreślony, przy czym licznik ulega wyzerowaniu, gdy wystąpi przynajmniej miesięczna przerwa między zawarciem kolejnych kontraktów.

„Ustawa antykrzysowa” wycofała ograniczenie dotyczące liczby odnowień umowy o pracę na czas określony, zastępując je limitem łącznego czasu ich trwania. Wynosił on 24 miesiące, przy czym wliczano do niego umowę zawartą przed upływem trzech miesięcy od wygaśnięcia poprzedniej. Regulacji tej nie podlegały jednak długookresowe umowy podpisane przed wprowadzeniem jej w życie i jednocześnie kończące się po 1 stycznia 2012.

Obecnie przywrócono *status quo ante*, natomiast wydaje się, że dyskusja nad ewentualnym utrwaleniem pewnych zapisów z ustawy przygasała. Jeszcze w czasie obowiązywania „ustawy kryzysowej” pracodawcy w zamian za utrzymanie wprowadzonej przez nią możliwości wydłużenia okresu rozliczeniowego czasu pracy do 12 miesięcy⁸ byli gotowi na ustępstwa w odniesieniu do umowy o pracę na czas określony. Obok utrzymania ograniczenia w liczbie odnowień umowy proponowali oni wprowadzenie na stałe limitu czasowego, wynoszącego 4 lata⁹.

Dostrzeżony problem

Istotnym wydarzeniem minionych miesięcy było nagłośnienie kwestii atypowych form zatrudnienia (w tym umów czasowych). Towarzyszyła temu radykalizacja stanowiska związków zawodowych wobec wspomnianych tendencji na polskim rynku pracy.

W 2011 r. z niemałym oddźwiękiem spotkał się także raport „Młodzi 2011” prof. Szafraniec i ministra Boniego¹⁰. Podniesiono w nim kwestię wchodzenia młodzieży na rynek pracy, w tym najczęstszej formy pierwszego zatrudnienia. Okazuje się, że zgodnie z danymi Komisji Europejskiej aż 62% osób w wieku od 15 do 24 lat zatrudniano w 2009 r. w Polsce na kontraktach czasowych. Pod tym względem wyprzedzała nas jedynie Słowenia (66,6%), zaś średnia dla UE 27 wynosiła 40,2%¹¹. Co więcej, autorzy stwierdzają, powołując się na raport Komisji Europejskiej¹², że w Polsce młodzi pracownicy wpadają w pułapkę tymczasowych form zatrudnienia, stając się ofiarami segmentacji rynku pracy – wskaźniki przechodzenia do trwałych form należą w naszym kraju do najniższych w Europie. Trwanie w prowizorycznym czy też dorywczym zatrudnieniu ogranicza możliwości rozwoju zawodowego, dostęp do szkoleń oraz obniża motywację¹³.

Głos w sprawie atypowych form zatrudnienia – w tym umów czasowych – zabrały główne centrale związkowe, choć jak dotąd skończyło się głównie na deklaracjach oraz rozpropagowaniu zwrotu „umowy



©@hinayana, <http://www.flickr.com/photos/12700574@N05/3721733994/>

śmieciowe”. Odnosi się ono przede wszystkim do sytuacji, w której praca świadczona jest w oparciu o umowę cywilnoprawną, podczas gdy istnieją wszelkie przesłanki do nawiązania stosunku pracy. 17 września 2011 r. we Wrocławiu odbyła się Euromanifestacja, w trakcie której podnoszono hasła sprzeciwu wobec „umów śmieciowych”. 6 października przewodniczący OPZZ wystosował list otwarty do premiera¹⁴, w którym odniósł się do pewnej – jak dotąd nieskonkretyzowanej – propozycji z programu wyborczego PO, którą miały być „odnawialne umowy sezonowe”, pozwalające na wstrzymanie wypłaty wynagrodzeń w okresie nieświadczania pracy z przyczyn leżących po stronie pracodawcy. Propozycja o tyle dziwna, że firmy w Polsce mogą swobodnie zatrudniać pracowników w oparciu o umowy na czas określony w przypadku prac sezonowych i nie wiadomo dokładnie, co nowego wносиłaby taka forma zatrudnienia. W programie zadeklarowano, że służyłaby ona osobom młodym. Stwierdzono, że *takie rozwiązanie zwolni pracodawców z ponoszenia wysokich kosztów zatrudnienia, a pracownikom zapewni perspektywę stabilizacji zatrudnienia*¹⁵. Jak dotąd nie dowiedzieliśmy się, w jaki sposób mogłoby to zostać zrealizowane, natomiast przewodniczący OPZZ uznał propozycję za krok dokładnie w przeciwnym kierunku.

Wkrótce potem do debaty włączył się przewodniczący „Solidarności”, który zapowiedział „Kampanię antyśmieciową” – szeroko zakrojoną akcję informacyjną,

połączoną z projektem badawczym¹⁶. Na rezultaty tej inicjatywy przyjdzie jeszcze poczekać. **Niewątpliwą zmianą, jaka dokonała się w 2011 r., jest kariera pojęcia „umów śmieciowych” i zwiększenie zainteresowania tym problemem.**

Doświadczenia dolnośląskie

Chciałbym dokonać próby oceny omawianych zjawisk w oparciu o doświadczenia wyniesione z badań na Dolnym Śląsku¹⁷. Problem jest złożony, więc muszę się ograniczyć do kilku głównych kwestii, związanych przede wszystkim z umowami o pracę na czas określony.

Po pierwsze, daleki jestem od wniosku, że atypowe formy zatrudnienia to zło, które należy ograniczać za wszelką cenę. Z badania wyłania się ich dwoista natura¹⁸. Można powiedzieć, że żaden typ kontraktu z dostępnych dla polskiego pracodawcy nie jest sam w sobie niekorzystny dla pracownika - zasadniczy wpływ na ocenę ma kontekst jego zastosowania. Są potencjalnie grupy społeczno-zawodowe, dla których określone typy umów mogą być korzystne. Nie da się jednocześnie ukryć, że zdarzają się nieraz rażące nadużycia w wykorzystywaniu niestandardowych form zatrudnienia, o czym można przeczytać w bogatej literaturze przedmiotu, i z czym zapoznawali mnie rozmówcy reprezentujący badane podmioty rynku pracy.

Faktem jest również, że rysuje się podział na formy, które są znacznie częściej stosowane z powodu zalet, jakie posiadają z perspektywy pracodawcy, oraz na te, które wiążą się także - lub przede wszystkim - z korzyściami dla pracownika. Nieco upraszczając, do tych pierwszych zaliczyć można formy prawne służące obniżeniu trwałości zatrudnienia, z umową o pracę na czas określony oraz umową zlecenia na czele. Do drugich natomiast wszelkie alternatywne formy organizacji czasu i sposobu świadczenia pracy. Najlepszymi przykładami są w tym ostatnim przypadku zadaniowy czas pracy oraz telepraca - ta druga była jedyną formą zatrudnienia ocenioną w sondażu pracobiorców jako bardziej korzystna dla pracownika niż dla pracodawcy¹⁹.

Nie można również zaprzeczyć, że pierwsza grupa związana jest z „gorszym” segmentem rynku pracy, druga zaś znacznie częściej dotyczy pracowników wykwalifikowanych. Z kolei szanse na uniknięcie wejścia w pierwszy segment mają mniej wykwalifikowani pracownicy „starych” i bardziej uzwiązkowionych branż regionu, przede wszystkim miedziowej. Wreszcie, formy zaliczone do pierwszej grupy okazały się w badaniu (zarówno sondażowym na próbie reprezentatywnej pracodawców i pracobiorców, jak i jakościowym) powszechne, drugich zaś nieraz trudno było się doszukać.

Kontrakty czasowe są na Dolnym Śląsku nieco mniej popularne niż w całym kraju - umowę o pracę na czas określony lub na czas wykonywania określonej

pracy wskazało jako aktualną podstawę obecnego zatrudnienia 17% pracobiorców. Część z nich należy uznać za dobrze uzasadniające rezygnację z umowy na czas nieokreślony. Jest to przede wszystkim potrzeba sprawdzenia nowego pracownika, która w pewnych przypadkach wymaga okresu dłuższego niż trzy miesiące, oferowane przez umowę na okres próbny. Dlatego częstą praktyką jest zawieranie po jej zakończeniu umowy na czas określony, np. na rok.

Inny typ sytuacji, nie budzący zastrzeżeń z punktu widzenia zarówno litery, jak i ducha prawa pracy, to zatrudnianie pracowników na umowy czasowe w przypadku sezonowości produkcji lub usług, a także niesezonowych wahań związanych np. z realizacją kolejnych projektów. Przykładowo, firma otrzymuje w nieregularnych odstępach zlecenie wykonania dla zagranicznych odbiorców jakiejś partii urządzeń czy pojazdów. Projekt trwa rok lub dwa lata i na ten okres zatrudniani są pracownicy - zarówno specjaliści, jak i robotnicy liniowi produkcji. Ich zatrudnienie w oparciu o umowy o pracę na czas nieokreślony skutkowałoby w momencie zakończenia projektu wypłatami odpraw, mogących spowodować bankructwo firmy. Umowy czasowe po prostu wygasają wraz z końcem projektu, w przewidzianym przez pracodawcę terminie, bądź zawiera się je na czas wykonania określonej pracy. Duże firmy doświadczające tego typu wahań podtrzymują niekiedy kontakt z pracownikami zwalnianymi w momencie spadku aktywności i zatrudniają ich w pierwszej kolejności, gdy zwiększa się zapotrzebowanie na personel. Spotkałem się raz z dobrą zasadą, polegającą na oferowaniu w takiej sytuacji warunków zatrudnienia nie gorszych niż poprzednio.

Nie wszystkim pracodawcom odpowiada zasada takich fluktuacji - szkolenia kosztują nieraz dużo, niekiedy dostrzega się mniejszą identyfikację pracowników z firmą. Jednak w przypadku stanowisk liniowych na produkcji argument ten przegrywa z potrzebą zapewnienia elastyczności zatrudnienia. Liczy się on natomiast bardziej - stąd znacznie tu większy udział umów na czas nieokreślony - w przypadku stanowisk specjalistycznych. W ten sposób segmentacja rynku pracy uwidacznia się na poziomie zakładowym.

Teraz czas na spojrzenie na umowy czasowe oczami pracobiorców. Umowy o pracę na czas określony są krytykowane od dłuższego czasu przez związki zawodowe, co potwierdziło również badanie dolnośląskie, przy czym spotkałem się w jego trakcie również z negatywną oceną takich umów ze strony przedstawiciela Państwowej Inspekcji Pracy. **Pomijając nadużycia - o tym za chwilę - istnieje szereg niedogodności wpisanych w konstrukcję tej formy zatrudnienia. Sprawiają one, że trudno znaleźć tu jakiekolwiek zalety w stosunku do umowy o pracę na czas nieokreślony²⁰ - może poza rzadkimi przypadkami wysokiej klasy specjalistów, którym akurat z jakiegoś powodu zależy na określeniu horyzontu czasowego kontraktu.**

Prawnicy wskazują niekiedy, że umowa o pracę na czas określony zawierana na czas do 6 miesięcy jest najtrwalszą formą zatrudnienia w polskim prawie pracy, gdyż nie podlega wypowiedzeniu. Gros umów podpisywanych jest jednak na dłuższy okres, a dodatkowo istnieje powszechnie wykorzystywana możliwość ich rozwiązania za dwutygodniowym wypowiedzeniem (art. 33 k.p.). Dodatkowo Kodeks pracy wymaga uzasadnienia wypowiedzenia przez pracodawcę tylko w przypadku umowy o pracę na czas nieokreślony (art. 30 § 4). To sprawia, że **pracownik nie ma zapewnionego poczucia życiowej stabilizacji, gdyż pracodawca posiada dużą swobodę w zwolnieniu go w dowolnym momencie** (także przed upływem 6 miesięcy umowy²¹).

Wspominałem już niektóre problemy wynikające dla ludzi młodych z pracy w oparciu o ten typ umowy. Warto dodać jeszcze trudności z uzyskaniem kredytu mieszkaniowego, a przez to z założeniem rodziny. Zdarza się niekiedy, że bardziej odpowiedzialny pracodawca wydłuża termin wygaśnięcia kontraktu lub umożliwia przejście na umowę na czas nieokreślony, żeby ułatwić zdobycie kredytu dobrze rokującemu pracownikowi. **Dla ogółu pracobiorców niedogodności polegają także na utrudnieniu bądź uniemożliwieniu awansu, niższych płacach (częściowo uzależnionych od stażu zakładowego) i „pierwszeństwie” w przypadku zwolnień²².**

Jednak szczególnie poważnym problemem, który dotyczy różnych zbadanych form zatrudnienia, są **nadużycia towarzyszące ich stosowaniu**. Skupmy się ponownie na kwestii umowy o pracę na czas określony. Podstawowym źródłem patologii w jej przypadku jest **brak określonego w Kodeksie pracy limitu czasu trwania**. Zdarzają się umowy zawierane na 10, 15 i więcej lat. Jednocześnie cały czas pracownikowi towarzyszy groźba rozwiązania umowy za dwutygodniowym wypowiedzeniem bez podania przyczyn. Zdaniem przedstawicieli związków zawodowych, może być to niekiedy sposób na zapobieganie przystępowaniu do ich organizacji, gdyż pracodawca posiada „argument” przeciwko takiej postawie²³. Co ciekawe, praktyka zawierania wieloletnich umów o pracę na czas określony z klauzulą wcześniejszego rozwiązania za dwutygodniowym wypowiedzeniem nie jest tak naprawdę dopuszczalna - poza wyjątkowymi sytuacjami - w świetle bogatego już orzecznictwa Sądu Najwyższego. Sędziowie stwierdzili m.in., że podpisanie takiego kontraktu na wiele lat *może być kwalifikowane jako obejście przepisów prawa pracy, ich społeczno-gospodarczego przeznaczenia lub zasad współżycia społecznego*²⁴. W innym wyroku orzekli jednak, że *wola stron [...] powinna być uwzględniana w pierwszym rzędzie i należycie respektowana przez sąd pracy [...]*²⁵. Można przypuszczać, że wolę zawarcia wspomnianej klauzuli o możliwości szybkiego rozwiązania stosunku pracy z reguły posiada jedynie pracodawca.

Drugą powszechnie wykorzystywaną formą zatrudnienia jest, zgodnie z wynikami naszego badania, umowa zlecenia. W sondażu pracodawców okazała się najczęściej wskazywanym rozwiązaniem alternatywnym wobec umowy o pracę na czas nieokreślony - jej stosowanie zadeklarowało 51% respondentów. Z braku miejsca wspomnę o niej skrótowo, jako o **sposobie na jeszcze dalej idące w stosunku do umowy o pracę na czas określony uelastycznienie relacji z pracownikiem**. Jak każda forma świadczenia pracy, może w pewnych sytuacjach lub dla pewnych grup być korzystna dla obu stron. Przykłady, których dostarczyły wywiady z dolnośląskimi pracodawcami i przedstawicielami instytucji rynku pracy, to: młodzież ucząca się, dorabiający emeryci, którzy dzięki otrzymywanym świadczeniom zyskują zabezpieczenie bytu czy pracownicy etatowi, wykonujący dodatkową „fuchę” w swoim zakładzie pracy.

Jednak **ta forma stanowi tak duże obciążenie dla pracodawcy z racji niestosowania w jej przypadku przepisów kodeksu pracy, płatnych urlopów, zwolnień chorobowych itp., że szczególnie w segmencie mikro-przedsiębiorstw stwarza pole do nadużyć** - zwłaszcza, że niejednej spośród najmniejszych firm nie stać na utworzenie etatu, o czym przekonywali nas niektórzy respondenci. Najbardziej typowa forma nadużycia to świadczenie stacjonarnej pracy w oparciu o umowę zlecenia przy jednoczesnym podleganiu ośmiodzinennemu reżimowi - tak, jak inni pracownicy etatowi (jeżeli są w ogóle zatrudniani w przedsiębiorstwie). Stwarza to oczywiste przesłanki do nawiązania stosunku pracy.

Okazuje się, że nawet niepełny wymiar czasu pracy, atrakcyjny dla różnych grup społeczno-zawodowych - jak niepełnosprawni, młode matki, dorabiający emeryci - częściej przez rozmówców kojarzony był z możliwymi nadużyciami (zaniżanie wymiaru składek ubezpieczeniowych i wypłata części wynagrodzenia „pod stołem”) niż z rozwiązaniami typu *job-sharing*. Dzielenie stanowiska pracy pomiędzy dwie lub więcej osób, choć pozwalałoby na zatrudnienie wspomnianych grup, wiąże się z wyższymi kosztami (część z nich przypisana jest do osoby, nie zaś do etatu, a przez to nie podlega dzieleniu) i z trudniejszym zarządzaniem. To ostatnie stanowi również barierę - szczególnie w zakładach produkcyjnych - dla upowszechniania alternatywnych form organizacji czasu pracy. Okazuje się, że nawet stosunkowo często umożliwiany specjalistom ruchomy czas pracy (możliwość przyjscia do zakładu w określonym przedziale czasu, zwykle od godz. 7 do 9, i opuszczenia go w godz. 15-17) stanowi pewne utrudnienie z perspektywy pracodawcy.

Kto korzysta?

Po skrótowym przeglądzie typowych sytuacji, z którymi spotkałem się w toku badania alternatywnych form zatrudnienia na Dolnym Śląsku, czas na próbę oceny.

Nie jest to zadanie łatwe. Na pewno nie uciekniemy przed procesami deregulacji i segmentacji rynku pracy, gdyż są to zjawiska powszechne. Wydaje się natomiast, że kluczowa jest kwestia odpowiedniej konstrukcji prawa, które nie powinno stwarzać zachęt do nadużyć, natomiast ułatwiać stosowanie poszczególnych form z korzyścią dla obu stron umowy.

W Polsce szwankują mechanizmy chroniące interes pracobiorców. Państwo nie bierze odpowiedzialności za ich los. System zabezpieczenia społecznego nie jest przygotowany do powszechnego wykorzystywania atypowych form świadczenia pracy – przykładowo, prawo emerytalne preferuje tradycyjny etat w pełnym wymiarze. Bariery stwierdziliśmy nawet w promowaniu korzystnych dla obu stron rozwiązań przez publiczne służby zatrudnienia: młoda matka – o ile nie jest niepełnosprawna – musi, rejestrując się jako bezrobotna, zadeklarować gotowość do podjęcia pracy w pełnym wymiarze.

Gdybym miał zaproponować zmiany w polskim prawie pracy, które być może wyeliminowałyby część przedstawionych paradoksów, wskazałbym ograniczenie swobody rozwiązywania umów o pracę na czas określony i ustalenie łącznego limitu czasu ich trwania z jednym pracodawcą. Dokonać należałoby tego w zamian za przerzucenie na państwo większej odpowiedzialności za los osób tracących pracę, np. ograniczenie stosowania odpraw pracowniczych, zniechęcających pracodawców do zatrudniania na czas nieokreślony i zwiększenie niewielkich w Polsce zasiłków dla bezrobotnych przy jednoczesnym ścisłym powiązaniu prawa do ich pobierania z wysiłkami podejmowanymi na rzecz przekwalifikowania. Należy przemyśleć również kwestię outplacementu, rozumianego nie tylko jako ustawowe zwolnienia monitorowane, ale również ogólną postawę odpowiedzialności za los zwalnianych pracowników, na uniknięcie której skutecznym obecnie sposobem jest stosowanie alternatywnych form zatrudnienia.

MACIEJ PAŃKÓW

Przypisy:

1. Zob. M. Castells, *Spółczesność sieci*, Warszawa 2010; J. Gardawski (red.), *Polacy pracujący a kryzys fordyzmu*, Warszawa 2009.
2. M. Arczewska (2008), *Uwarunkowania i możliwości wprowadzenia w Polsce polityki flexicurity jako koncepcji poszukiwania równowagi między elastycznością rynku pracy a bezpieczeństwem socjalnym osób zatrudnionych i bezrobotnych*, w: *Elastyczne formy pracy. Szanse i zagrożenia*, pod red. C. Sadowskiej-Snarskiej, Białystok 2008.
3. Tamże.
4. J. Konieczna-Sałamatin, M. Pańków, J. Stasiowski, *Analiza struktury, uwarunkowań i perspektyw rozwoju alternatywnych form zatrudnienia na Dolnym Śląsku. Raport końcowy*, Wrocław 2011, dostępny na stronie <http://obserwatorium.dwup.pl/raport-z-badania-nr-6>
5. Eurostat, *Temporary employees as a percentage of the total number of employees for a given sex and age*

- group (%), http://appsso.eurostat.ec.europa.eu/nui/show.do?dataset=lfqs_etpga&lang=en
6. Sprawozdanie Głównego Inspektoratu Pracy z działalności Państwowej Inspekcji Pracy w 2010 r., http://www.pip.gov.pl/html/pl/sprawozd/10/spraw_10.htm (pobrane w dn. 27.12.2011).
7. Dane za: T. Dudek, *Pracownik tymczasowy*, „Personel i zarządzanie” 2011, nr 7.
8. Ustawa z dnia 1 lipca 2009 r. o łagodzeniu skutków kryzysu ekonomicznego dla pracowników i przedsiębiorców, Dz.U. z 2009 r. Nr 125, poz. 1035, z 2010 r. Nr 219, poz. 1445, rozdz. 2.
9. J. Wiśniewski, *Mechanizm regulujący zawieranie umów o pracę na czas określony – w kontekście upływającego okresu obowiązywania ustawy antykryzysowej*, „Praca i zabezpieczenie społeczne” 2011, nr 9, ss. 13–31.
10. M. Boni, K. Szafranec i inni, *Młodzi 2011*, Kancelaria Prezesa Rady Ministrów, Warszawa 2011.
11. Tamże, s. 167.
12. *Employment in Europe*, Raport Komisji Europejskiej, 2010.
13. Tamże, s. 170.
14. Dostępny pod adresem <http://opzz.org.pl/aktualnosci/glowna.html/id/1262>
15. *Następny krok. Razem. Program wyborczy 2011*, Platforma Obywatelska 2011, dostępny pod adresem http://platforma.org/media/dokumenty/Program_PO_100dpi.pdf
16. Notatka na stronie NSZZ „Solidarność”, <http://www.solidarnosc.org.pl/pl/aktualnosci/bedzie-kampania-antysmięciowa.html>
17. Niżej omawiam kwestie szczegółowo analizowane w: J. Konieczna-Sałamatin, M. Pańków, J. Stasiowski, *Analiza...* dz. cyt.
18. Badanie zrealizował Instytut Gallupa na zlecenie Dolnośląskiego WUP latem 2011 r. Składało się sondażu telefonicznego na reprezentatywnej próbie pracodawców (z „doważoną” kategorią pracodawców zatrudniających co najmniej 50 pracowników), telefonicznego sondażu pracobiorców (próba 1000 osób) oraz 60 indywidualnych wywiadów pogłębionych z pracodawcami i przedstawicielami instytucji rynku pracy, takich jak powiatowe urzędy pracy, ochotnicze hufce pracy, związki zawodowe, organizacje pracodawców, instytucje edukacyjne i inne.
19. 45% respondentów, którzy mieli doświadczenie z telepracą stwierdziło, że jest bardziej korzystna dla pracownika, 21% wskazało jako dominującą korzyść pracodawcy. Przykładowo, pracę w niepełnym wymiarze czasu jako bardziej korzystną dla pracownika oceniło 27% osób, które z nią się zetknęły, zaś jako bardziej sprzyjającą interesom pracodawcy – aż 60%. Analogiczne dane dla samozatrudnienia to 31% i 51%, umowy zlecenia – 21% i 62%.
20. Uważny czytelnik może zapytać, jak to stwierdzenie ma się do mojej ogólnej tezy o tym, że wszystkie zbadane formy z samej swojej natury nie są niekorzystne dla pracobiorcy. W przypadku umowy o pracę na czas określony mam dwa argumenty: po pierwsze, jest ona z reguły niekorzystna w relacji do umowy na czas nieokreślony, stanowi jednak z racji ochrony kodeksowej zdecydowanie lepszą opcję od umowy zlecenia. Po drugie, SN w wyroku z dnia 30 września 2009 r. (II PK 88/09) przekonuje, że przy zawieraniu umowy na czas określony dłuższej niż 6 miesięcy stronom towarzyszy „wola utrzymania wzajemnej więzi prawnej (stosunku pracy) przez dłuższy okres”. Jest to oczywiście dość optymistyczne założenie.
21. Uchwała SN z dnia 7 września 1994 r., I PZP 35/94.
22. E. Zarzycka, *Polak elastyczny*, „Solidarność” 2008, nr 34, s. 12.
23. Tamże. Sygnał o tego typu praktykach otrzymaliśmy także w trakcie badania dolnośląskiego.
24. Wyrok SN z dnia 7 września 2005 r., II PK 294/04.
25. Wyrok SN z dnia 30 września 2009 r., II PK 88/09.

Stany Zjednoczone(j) własności

GAR ALPEROVITZ

Tysiące spółdzielni, spółek pracowniczych, fundacji na rzecz ochrony terenu (ang. *land trust*) oraz przedsiębiorstw komunalnych po cichu demokratyzuje fundamenty amerykańskiego systemu ekonomicznego.

Był 19 września 1977 roku. „Czarny poniedziałek” dla 5 tys. pracowników likwidowanej huty stali Youngstown Sheet and Tube, pozostawionych samym sobie w podupadającym Youngstown. Ani władze lokalne, ani stanowe, ani federalne nie zaoferowały im żadnej konkretnej pomocy. Organizowane programy szkoleniowe hutnicy określali mianem „ubezpieczenia pogrzebowego”. Brakowało miejsc pracy, więc szkolenia były bezcelowe. Z inspiracji młodego robotnika, jedna z ekumenicznych grup religijnych przedstawiła plan przejścia huty przez pracowników. Pomysł spotkał się z szerokim zainteresowaniem ze strony mediów, zdobył także poparcie wielu polityków demokratycznych i republikańskich (w tym ówczesnego konserwatywnego gubernatora Ohio), a administracja prezydenta Cartera zaoferowała poręczenie kredytu w wysokości 200 mln dolarów.

Ostatecznie jednak inicjatywę z Youngstown zniweczyły biznesowe i polityczne gierki. Nie zmienia to faktu, że wysiłki pracowników huty nie spełzyły na niczym. W Ohio idea własności pracowniczej upowszechniła się w dużej mierze właśnie dzięki popularności wydarzeń z Youngstown. Przetrwała również z powodu postępującej w całym stanie dezindustrializacji i słabości

władz, które nie były w stanie zaradzić temu problemowi. Po 1977 r. w Ohio powstało wiele spółek pracowniczych, których założyciele inspirowali się doświadczeniami z Youngstown. Wywarły one wpływ również na losy pojedynczych ludzi. Za przykład weźmy niedawno zmarłego Johna Logue’a, profesora na Uniwersytecie Stanowym w Kent, twórcę Centrum Własności Pracowniczej w Ohio (Ohio Employee Ownership Center), które na obszarze całego stanu wspiera tworzenie spółek pracowniczych.

W ciągu tych kilku dekad ewoluowało stanowisko związku zawodowego United Steelworkers. Pod koniec lat 70. postrzegał on własność pracowniczą jako zagrożenie dla swojej działalności i przeciwstawiał się w takich miastach jak Youngstown dążeniom hutników do zakładania spółek pracowniczych. Wszystko zmieniło się, gdy po latach liderzy United Steelworkers dostrzegli potrzebę uzupełnienia tradycyjnej działalności związkowej o nowe strategie. Związek stał się gorącym orędownikiem własności pracowniczej i pracuje obecnie nad rozwojem nowych modeli działań, opierając się na doświadczeniach Korporacji Spółdzielczej Mondragon z Kraju Basków. Ta świetnie prosperująca grupa spółdzielni pracowniczych zatrudnia 85 tys.



© The Cleveland Foundation, <http://www.flickr.com/photos/clevelandfoundation/4639808462/in/photostream>

ludzi w różnych branżach, poczynawszy od zaawansowanych technologii medycznych i produkcji sprzętu AGD, a skończywszy na dużych supermarketach i spółdzielczej kasie oszczędnościowo-kredytowej, dysponującej aktywami rzędu 21 mld euro.

To, z czym mamy do czynienia od czasów Youngstown, można określić mianem „instytucjonalnej innowacji wymuszonej okolicznościami”. Trwający proces powstawania różnych społecznych przedsięwzięć implikuje zmiany zakrojone na szerszą skalę zarówno w Ohio, jak i w innych miejscach. Wiele części kraju jest przecież obecnie dotkniętych masowymi zwolnieniami i rozpadem więzi społecznych – problemami nękającymi trzy dekady temu Ohio i inne stany z tzw. pasa rdzy. Bardzo ważny jest fakt, że wszystkie te inicjatywy urzeczywistniają ideę demokratyzacji kapitału.

Jedną z możliwych ścieżek rozwoju, którego celem jest demokratyzacja kapitału, polega na budowaniu świadomości społecznej, innowacjach na poziomie lokalnym oraz stopniowym tworzeniu nowych i bardziej dopracowanych strategii działania. Dobrym przykładem takiego podejścia jest inicjatywa z Cleveland (Ohio), która ideę własności pracowniczej rozwinęła w twórczy sposób. „Model z Cleveland” obejmuje zintegrowany kompleks spółdzielni pracowniczych, nastawionych w znacznej mierze na zaspokajanie potrzeb dużych instytucji, takich jak klinika w Cleveland, szpital uniwersytecki i Uniwersytet Case Western Reserve o sile nabywczej rzędu 3 mld dolarów. Kompleks

spółdzielni ma również fundusz odnawialny, dzięki któremu wypracowane zyski służą stopniowemu tworzeniu nowych przedsiębiorstw (byłem jednym z głównych architektów przedsięwzięcia z Youngstown, jestem też współzałożycielem organizacji Democracy Collaborative, która odegrała zasadniczą rolę w rozwoju spółdzielni w Cleveland).

Jedną ze spółek pracowniczych jest Evergreen Cooperative Laundry – nowoczesna komercyjna pralnia oferująca usługi lokalnym szpitalom, domom opieki i hotelom. To ekologiczne przedsiębiorstwo prowadzi działalność w budynku, którego energooszczędność została wyróżniona „srebrnym” odznaczeniem LEED (Leadership in Energy and Environmental Design) i który zużywa (podgrzewa) na kilogram prania ponad trzy razy mniej wody niż konkurencja. **W przedsiębiorstwie pracuje łącznie 50 osób – pięćdziesięciu właścicieli. Evergreen Cooperative Laundry oferuje wynagrodzenie powyżej średniej rynkowej, zapewnia ubezpieczenie zdrowotne, a i tak jest w stanie skutecznie konkurować z innymi komercyjnymi pralniami.**

Kolejną spółdzielnią jest Ohio Cooperative Solar (OCS), która świadczy usługi z zakresu zabezpieczania budynków przed warunkami atmosferycznymi, a także instaluje i konserwuje baterie słoneczne na dachach dużych gmachów uniwersyteckich, szpitali i innych budynków użyteczności publicznej. W pierwszym roku działalności OCS zainstalowało baterie o łącznej mocy 400 kilowatów. Do 2012 r. spółdzielnia ma zamiar podwoić moc wytwarzaną w Ohio z energii słonecznej, która wynosi obecnie dwa megawaty.

17 października rozpoczęła działalność komercyjna szklarnia hydroponiczna o powierzchni 1,3 ha, która będzie w stanie produkować trzy miliony główek kapusty rocznie. Planowane jest tworzenie 2-4 nowych przedsiębiorstw pracowniczych rocznie. Ustanowiona zostanie ponadto fundacja typu *land trust*, obejmująca obszar o powierzchni 8 ha, na którym znajduje się wiele wspomnianych przedsiębiorstw. Będzie to pierwszy krok do wsparcia w tamtej okolicy rozwoju tzw. rolnictwa miejskiego, a jeśli pozwolą na to warunki - również taniego mieszkalnictwa. Spółdzielcy z Cleveland także czerpali z doświadczeń spółdzielni Mondragon, szczególnie przy tworzeniu funduszu odnawialnego.

Wraz z rozwojem spółdzielni pojawił się wątek polityczny. Burmistrz Cleveland wsparł kooperatywy, które w sprytny sposób skorzystały z różnych komunalnych, stanowych i federalnych udogodnień dostępnych dla przedsiębiorców. Sukces spółdzielczego przedsięwzięcia doprowadził z kolei do wzrostu poparcia dla liberalnego burmistrza. Sytuacja ta pokazała, że można uodpornić miejskich urzędników na żądania dużych korporacji, które domagają się ogromnych zwolnień podatkowych i innych zachęt, aby zacząć prowadzić w mieście działalność - często jedynie tymczasowo. Nakreślone zostały w ten sposób ramy nowego układu sił, w którym wpływy korporacji powoli słabną. Opisana strategia może pewnego dnia dołączyć do grona klasycznych środków, mających na celu równoważenie władzy korporacji. Model z Cleveland zainspirował senatora Sherroda Browna do złożenia projektu prawa ogólnokrajowego, zapewniającego wsparcie ze strony władz federalnych dla inicjatyw tego typu jak w Cleveland.

Działalność spółdzielni z Cleveland wzbudziła zainteresowanie aktywistów i osób zajmujących się rozwojem gospodarczym, których niepokoi załamanie się gospodarczych fundamentów wielu miast. Podejmowane są obecnie próby zaadaptowania modelu z Cleveland m.in. w Atlancie, Pittsburghu i Waszyngtonie. „Efekt demonstracyjny” tego niekonwencjonalnego modelu zainspirował lokalnych liderów, by włączyć elementy własności pracowniczej do oddolnych strategii działania.

Doświadczenia z Cleveland oraz innych miast pokazują, że spółdzielnie pracownicze pasują do amerykańskich realiów. Lokalni przedsiębiorcy, bankowcy oraz inni ludzie zasadniczo popierają tę ideę zarówno na gruncie praktycznym, jak i moralnym. Zwiększając stopień aktywności gospodarczej, inicjatywy tego rodzaju pomagają bowiem miejscowej gospodarce. Nacisk kładziony na pracę oraz własność jest ponadto postrzegany przez wszystkie strony jako coś pozytywnego. Atmosfera na poziomie lokalnym jest całkiem inna od zideologizowanej debaty politycznej na szczeblu krajowym. Tu na dole najważniejsze jest,



© Wszystkie fotografie: The Cleveland Foundation, <http://www.flickr.com/photos/clevelandfoundation/> (with/4639808462/)

aby projekt był sprawnie przeprowadzony, racjonalny ekonomicznie i przemyślny. Pomimo największego kryzysu finansowego ostatnich dekad, spółdzielcom z Cleveland udało się zabezpieczyć dla głównych projektów kredytowanie z banków. **Pomysł, by tworzyć współwłasność i dobrobyt, a nie po prostu miejsca pracy, znalazł potężny oddźwięk. Przedsiębiorstwa pracownicze, wykorzystując mechanizm funduszu odnawialnego, zdecydowanie wykraczają poza ramy zapewniania ludziom zatrudnienia z wynagrodzeniem na poziomie płacy minimalnej. Mają odpowiednie środki, by brać pod uwagę to, co się ludziom należy.**

Przedsięwzięcia jak to z Cleveland prowadzą nie tylko do zmian instytucjonalnych. Mają też wyraźny wpływ na kształt debaty publicznej. To dzięki ich wysiłkom powróciło pytanie, czyją własnością powinny być „środki produkcji”. Możemy zaobserwować tu proces tworzenia się wiedzy politycznej. Powołując się na koncepcję włoskiego teoretyka marksizmu, Antonio Gramsciego, wszelkie wysiłki poczynione na poziomie lokalnym są wyzwaniem dla hegemonicznej ideologii - w tym przypadku w bardzo niekonwencjonalny amerykański sposób. Dzięki inicjatywom tego typu wspólna kultura wzbogacana jest o nowe idee. Aktywiści zaangażowani w długofalową działalność mogą inspirować się tymi doświadczeniami, by stopniowo wpływać na to, o czym może być mowa w polityce. Z Ohio płynie jedna oczywista lekcja - gdziekolwiek



W odróżnieniu od prywatnych korporacji, spółki pracownicze rzadko kiedy przenoszą się do innego miasta. Los właścicieli takich przedsiębiorstw jest bowiem ściśle związany z losem i dobrą kondycją otoczenia, w którym żyją i pracują.

to możliwe, należy starać się tworzyć przedsiębiorstwa pracownicze, korzystając ze wsparcia lokalnych władz. Nieustająca gospodarcza stagnacja i rozpad więzi społecznych w całym kraju tworzą takie same warunki, które doprowadziły do powstania inicjatyw w Youngstown i w Ohio.

1% społeczeństwa jest obecnie w posiadaniu mniej więcej połowy kapitału inwestycyjnego całego kraju – ta garstka na szczycie ma więcej bogactwa niż połowa tych na dole razem wzięta. Iście średniowieczna struktura własności. Nie tylko spółdzielnie pracownicze mogą zmienić ten stan rzeczy. Jest wiele innych sposobów, by zdemokratyzować własność, czyli przenieść ją z systemu korporacyjnego do przedsiębiorstw, które służą lokalnym społecznościom. Większość aktywistów i uczonych nie ma w tej kwestii dużego doświadczenia. Na poziomie lokalnym, gdzie problemów jest najwięcej, w ciągu ostatnich kilku dekad po cichu wykształciło się wiele sposobów na demokratyzację własności. Wszystkie w ten lub inny sposób realizują ideę głoszącą, że bogactwo i własność powinny być w rękach instytucji, które służą społeczności lokalnej lub szerszym celom społecznym.

Uwagze mediów uszedł fakt, że istnieje ponad 4,5 tys. podmiotów nie nastawionych na zysk, działających na rzecz rozwoju lokalnej wspólnoty, budujących na terenie Stanów Zjednoczonych obiekty mieszkalne i użyteczności publicznej. W wielu miastach

„społecznościowe” fundacje typu *land trust*, dawniej traktowane z niechęcią, coraz częściej zajmują się budową i utrzymaniem niedrogich mieszkań. Przedsiębiorstwa społeczne, które działają w obszarach ważnych dla społeczeństwa, takich jak leczenie odwykowe i organizacja szkoleń, tworzą wschodzący „czwarty sektor” gospodarki (obok państwowego, komercyjnego i pozarządowego). 130 mln Amerykanów należy do miejskich spółdzielni spożywczych i mieszkaniowych, tradycyjnych spółdzielni rolniczych i co szczególnie ważne – do szeroko rozpowszechnionych spółdzielczych kas oszczędnościowo-kredytowych. Około 1,5 mln przedsiębiorstw nie nastawionych na zysk zapewnia 10% miejsc pracy w kraju.

Należy też pamiętać o 11 tys. innych przedsiębiorstwach, znajdujących się w całości lub częściowo w rękach pracowników. Cały ten sektor skupia ponad 13 mln osób – o kilka milionów więcej niż jest członków związków zawodowych w sektorze prywatnym. Choć programy akcji pracowniczych (ESOP) były w przeszłości nie bez przyczyny krytykowane, wiele z nich eksperymentuje teraz ze strategiami stawiającymi na większą partycypację pracowników, co ma pomóc przezwyciężyć dawne trudności. W niektórych przedsiębiorstwach pracowniczych działają związki zawodowe, co jest dowodem, że w dłuższej perspektywie ten model własności będzie jeszcze ewoluował. Jak wynika ze wstępnych badań przeprowadzonych

w Ohio, wraz z rozpowszechnianiem własności wśród pracowników wzrasta również ich zaangażowanie. Inne badania pokazują, że wyższy stopień partycypacji przekłada się z kolei na większe zyski – kolejny czynnik, który daje nadzieję na dalszy rozwój sektora. Radykalna reforma programów akcji pracowniczych mogłaby pójść w parze z innymi politycznymi inicjatywami demokratyzacyjnymi. Niezmiernie istotny jest fakt, że idea głosząca, iż pracownicy mogą i powinni być właścicielami, jest wykonalna i znacząca z politycznego punktu widzenia.

Właściwie wszystkie zdemokratyzowane formy własności – wliczając w to tysiące spółdzielni, fundacji typu *land trust*, przedsiębiorstw społecznych i spółek pracowniczych różnego rodzaju – mają jeszcze jedną wspólną cechę, istotną zwłaszcza w czasach kryzysu gospodarczego destabilizującego miasto za miastem. Wszystkie zakorzenione są w lokalnych gospodarkach, którym przychodzą z pomocą. W odróżnieniu od prywatnych korporacji, spółki pracownicze rzadko kiedy przenoszą się do innego miasta. Los właścicieli takich przedsiębiorstw jest bowiem ściśle związany z losem i dobrą kondycją otoczenia, w którym żyją i pracują. Można by rzec, że w zasadzie wszystkie podmioty nie nastawione na zysk, opierające się na zasadach demokratycznej własności, są tak samo mocno związane z miejscem, w którym prowadzą działalność.

Tradycyjne rozwiązania polityczne zawodzą – ludzie są tego coraz bardziej świadomi. Demokratyzacja w sektorze ochrony zdrowia i finansowym pozwala mieć nadzieję, że możliwa jest ona też w innych sferach – zwłaszcza gdy sytuacja będzie się wciąż pogarszać i o ile zamiast doraźnych rozwiązań wybrany zostanie długofalowy rozwój.

W czasie gdy reforma służby zdrowia prezydenta Obamy znalazła się w ogniu krytyki, ponad 15 stanów zaczęło rozważać wprowadzenie któregoś z wariantów tzw. systemu jednego płatnika, 14 stanów zastanawia się zaś nad utworzeniem banków stanowych. Wzorują się na istniejącym już od bardzo dawna banku Dakoty Północnej. Podjęcie decyzji mogłoby ułatwić ewentualna kolejna fala kryzysu na Wall Street, która uderzy w przeciętnego obywatela. Można też rozszerzyć obszar zastosowań od dawna istniejących instytucji publicznych. Jednym z przykładów jest inwestowanie pieniędzy z tzw. pierwszego filara systemu emerytalnego w cele publiczne. Takie rozwiązanie jest praktykowane w Kalifornii oraz Alabamie, gdzie przez długi czas w ramach dość niekonwencjonalnej strategii publicznej inwestowano nawet w przedsiębiorstwa pracownicze. Dobrze znany Fundusz Stały z Alaski to przykład sytuacji, gdy aktywa będące własnością publiczną, generują bezpośrednie korzyści ekonomiczne dla obywateli. Wiele stanów, przy użyciu kapitału podwyższonego ryzyka, coraz częściej finansuje

nowe spółki, pozostawiając znaczącą część ich udziałów w rękach publicznych. Strategia ta w przyszłości może przyczynić się do zwiększenia wpływów sektora publicznego.

Pamiętajmy, że wiele z opisywanych inicjatyw nabrało kształtów, ponieważ – tak jak w Ohio – tradycyjna polityka nie oferuje już skutecznych sposobów rozwiązywania coraz trudniejszych problemów. Zarówno zwolennicy tradycyjnych strategii działania, jak i ci opowiadający się za rozwiązaniami bardziej radykalnymi, powinni zwrócić uwagę na ten paradoks i wyciągnąć z niego wnioski. **Omawiane przedsięwzięcia są przykładem podejścia, które można określić mianem „ewolucyjnej rekonstrukcji”.** Mamy tu do czynienia z czymś, co różni się zarówno od tradycyjnego reformizmu, ale też od klasycznych teorii „rewolucji”. Kładzie się w nich bowiem nacisk na długi, ewolucyjny proces budowania instytucji (oraz idei), które mogą z kolei w pewnym momencie przyczynić się do fundamentalnej zmiany stosunków ekonomicznych i politycznych.

Zasadnicze pytanie brzmi: jak usprawnić te strategie działania i rozszerzyć ich zakres, a także jak w dłuższej perspektywie sprawić, by idea demokratyzacji własności stała się czymś oczywistym. Inicjatywy te muszą nadać nową treść aktywności społeczno-politycznej, która zmianę definiuje w innych kategoriach niż liberalne czy populistyczne. Przypomnijmy sobie okres nazywany erą postępu. To, co później stało się częścią polityki Nowego Ładu, najpierw dojrzewało w stanowych i lokalnych „laboratoriach”. Możliwe więc, że ta stopniowo wyłaniająca się mozaika doświadczeń i pomysłów, gdy nadejdzie odpowiedni moment, stanie się podstawą postępowej polityki w skali makro. Podczas ostatniego kryzysu rząd Stanów Zjednoczonych znacjonalizował na pewien czas dwóch gigantów motoryzacyjnych – General Motors i Chryslera. Biorąc pod uwagę ogromne przepływy pieniężne do głównych banków i innych instytucji finansowych, mogło to również skutkować przejęciem kontroli przez państwo nad którymś z tych podmiotów. Niewykluczone, że takie okazje pojawią się także w przyszłości. Jeśli uczeni oraz aktywiści zaczną wspólnie pracować nad tworzeniem coraz lepszych strategii demokratyzacji, zmiana systemowa jest możliwa. Ważna będzie tu oczywiście rola grup społecznych, które zrozumiały już, że bez demokratyzacji własności nie może być mowy o demokratycznej przyszłości.

GAR ALPEROVITZ

tłum. Mateusz Batelt

Tekst pierwotnie ukazał się w czasopiśmie „Dollars & Sense”, listopad/grudzień 2011. Więcej o piśmie: <http://www.dollarsandsense.org/>. Tytuł pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”.

Ani „wolny” ani „sprawiedliwy” handel: lokalne rolnictwo w Meksyku

MIKE WOLD

To mieszkańcy bogatej Północy są zwykle kojarzeni z popytem na lokalną, organiczną żywność i z jej spopularyzowaniem. Innej strategii przeżycia w zglobalizowanym świecie można doświadczyć w południowym Meksyku, gdzie coraz silniejszy staje się ruch „lokalistów”.

Tío Joel prowadzi małego osiołka w dół piaskową ścieżką, by pokazać nam, w jaki sposób rolnicy są wciąż w stanie uprawiać ziemię w południowym Meksyku i jeszcze czerpać z tego korzyści. W wieku około 70 lat potrafi on lepiej od niejednego z nas posługiwać się maczetą, z łatwością podnosi też ważący niemal 20 kilogramów worek kompostu, chociaż opaska usztywniająca przewiązana w pasie może być pierwszym sygnałem problemów zdrowotnych, które niechybnie nadejdą.

Przerywając na chwilę rozdrabnianie maczetą zielonego nawozu na kompost pod jego słynne w okolicy pomidory, wyjaśnia nam, dlaczego wielu podobnych jemu rolników może czerpać korzyści ze stosowania organicznych metod produkcji żywności: *W okresie*



żniw zostało zebranych tak dużo pomidorów, że ich cena na rynku spadła do około pięciu peso za kilogram. My jednak sprzedawaliśmy swoje po siedem peso. Chodziłem od domu do domu, oferując pomidory, na które był duży popyt, bo ludzie żyjący tutaj dobrze je znają. Sprzedawaliśmy tak dużo, że w niedzielę towar nam się już kończył.

Polityka handlowa Stanów Zjednoczonych rozpięta jest pomiędzy dwoma pojęciami: „wolnego handlu” i „sprawiedliwego handlu”. Ta dychotomia zakłada, że żywność produkowana lokalnie na Południu musi zostać sprzedana do innych krajów. I rzeczywiście tak jest, gdyż znaczna część popytu na lokalną, organiczną żywność pochodzi głównie z Ameryki Północnej i państw europejskich. Ale w krajach takich, jak Meksyk próbuje się szukać innych sposobów rozwiązania tego problemu, przeciwstawiając globalny import i eksport pobudzaniu oraz wzmacnianiu lokalnej produkcji i konsumpcji. W Stanach Zjednoczonych ruch ten jest określany mianem „lokalistów”, a promowane przezeń rozwiązania są przez wielu odbierane – w porównaniu z powszechnym dostępem do taniej, importowanej żywności – jako luksus, na który niewielu może sobie pozwolić. Ale w meksykańskim stanie Oaxaca uprawa i spożywanie wyprodukowanej lokalnie żywności oraz dostarczanie produktów na miejscowy rynek stało się istotnym elementem strategii, która ma na celu przetrwanie zarówno kulturowe, jak i ekonomiczne w niesprzyjających realiach rynkowych.

W południowym Meksyku koszt produkcji kukurydzy jest obecnie wyższy niż jej cena na światowych rynkach. Używając standardowej logiki ekonomicznej, meksykańscy chłopcy powinni zaprzestać uprawy kukurydzy, przerzucając się na uprawę innych zbóż, które z zyskiem mogliby sprzedać na światowych rynkach. Innym rozwiązaniem, wynikającym z takiego myślenia, musiałoby być porzucenie ziemi i rolnictwa jako takiego, przeniesienie się do miasta w poszukiwaniu pracy lub emigracja do USA czy Kanady.

Wielu farmerów podjęło właśnie taką decyzję, co doprowadziło do znacznego zwiększenia liczby nielegalnych imigrantów i pracowników w Stanach Zjednoczonych, a także grupy słabo wynagradzanych mieszkańców meksykańskich miast. Byli też jednak i tacy, którzy, pozornie wbrew logice, postanowili kontynuować działalność rolniczą, poszukując wciąż nowych sposobów na przeżycie. Niektórym z nich udaje się prosperować bardzo dobrze. Aby zobaczyć, jak ten model funkcjonuje i dlaczego został spontanicznie i oddolnie powołany do życia, wybrałem się z grupą Amerykanów do regionu Mixteca w stanie Oaxaca.

To właśnie w Meksyku rozpoczęto uprawę kukurydzy, która do dzisiaj stanowi podstawę żywienia mieszkańców tego kraju. Trudno sobie wyobrazić, by w Meksyku nie uprawiano kukurydzy. Jednak wskutek wprowadzenia w życie podpisanego 17 lat temu porozumienia NAFTA (North American Free Trade

Agreement), niemal z dnia na dzień import kukurydzy z USA do Meksyku wzrósł pięciokrotnie. Amerykańska kukurydza sprzedawana jest poniżej ceny kukurydzy meksykańskiej nie tylko dlatego, że rolnictwo amerykańskie jest bardziej „wydajne” (głównie w efekcie mechanizacji i powszechnego stosowania nawozów chemicznych), ale przede wszystkim z powodu ogromnych subsydiów rządowych, mających na celu wspomożenie gospodarki Stanów Zjednoczonych.

Ale w takich miejscach, jak Santo Tomás Mazaltepec w stanie Oaxaca, rolnicy – a także konsumenci – wciąż wybierają kukurydzę uprawianą lokalnie na tych terenach, odrzucając żółte ziarna kukurydzy amerykańskiej. – *Z tej lokalnie zbieranej kukurydzy otrzymujemy znacznie więcej o wiele lepszej maki na tortillę niż z kukurydzy pochodzącej z importu. Oczywiście różnica w smaku i aromacie jest również łatwo wyczuwalna – powiedział jeden z lokalnych rolników. – Problemem jest jednak to, że nasza produkcja jest na bardzo niskim poziomie – wytwarzamy niemal wyłącznie na własne potrzeby. A zdarzają się takie okresy w roku, gdy panuje naprawdę dramatyczna susza. Są oczywiście rządowe sklepy, w których sprzedaje się kukurydzę, ale jest to przeważnie kukurydza żółta, która prawdopodobnie została sprowadzona ze Stanów Zjednoczonych. Oni tam stosują mnóstwo nawozów chemicznych, pestycydów i herbicydów, dlatego mogą ją sprzedawać znacznie taniej niż my. Dlatego musimy się dostosować i też obniżamy ceny.*

Wynikiem tych społecznych oraz ekonomicznych zawirowań i fluktuacji było wyludnienie znacznych obszarów rolniczych w kraju. Na przykład w San Pedro Coxcaltepec młodych ludzi, którzy chcą przejąć gospodarstwa od starych farmerów, takich jak Tío Joel, można policzyć na palcach jednej ręki.

Potwierdza to Tío Martín, inny rolnik z Coxcaltepec: *Kiedyś w każdym domu mieszkało 12 czy 15 osób, a dzisiaj dwie osoby tu, dwie osoby tam, po prostu niewielu postanowiło tutaj zostać. Gdy próbujemy od czasu do czasu wskrzesić ideę tequiao, tradycyjnego systemu wzajemnej pomocy, jest to bardzo trudne. Kiedyś wiele osób w tym uczestniczyło i stanowiło to realną pomoc. Dzisiaj zostali tylko ci starsi.*

Eleazar García, trzydziestokilkuletni rolnik, dodaje, że podstawowym wyzwaniem jest przekonanie młodych ludzi, którzy tutaj jeszcze mieszkają, że praca na roli jest godnym zajęciem i że pozwala ona wypełnić podstawowy obowiązek zapewnienia żywności własnej rodzinie. *Chłopi zawsze będą doceniać możliwość wytwarzania żywności, posiadanie pieniędzy w kieszeniach ma znaczenie drugorzędne. Jak się tutaj mówi, nie mam powodu do zmartwień, gdy mam swoją fasolę, bo wtedy mam co jeść.*

Tak właśnie tworzy się ruch „lokalistów”, który można określić również jako ruch dążący do suwerenności żywnościowej. Według jego filozofii, **społeczność może decydować o swoim losie tylko wówczas,**



gdy w znaczącym stopniu potrafi zapewnić sobie kontrolę nad produkcją żywności, którą spożywa. Ludzie powinni mieć możliwość wyboru tego, co wkładają do garnków.

Rolnicy na południu Meksyku mają dużo większe możliwości niż mieszkańcy miast amerykańskich, by uprawiać rośliny stanowiące podstawę ich diety. Choćby dlatego, że zajmują się tym od bardzo dawna. W stanie Oaxaca uprawianych jest kilkadziesiąt różnych odmian kukurydzy, każda z nich przystosowana do konkretnych, wyjątkowych dla poszczególnych regionów warunków klimatycznych, wysokościowych i glebowych. Nawet trawy, z których wykształciły się

współczesne odmiany kukurydzy uprawianej w Oaxaca, wciąż rosną na okolicznych wzgórzach.

Ponadto, przez tysiąclecia przodkowie dzisiejszych rolników meksykańskich rozwijali specyficzne i zaawansowane techniki uprawy zbóż i innych roślin użytkowych na stromych zboczach i na glebie, która łatwo ulega erozji. W przeciwieństwie do technologii stosowanych w rolnictwie amerykańskim, rolnicy w stanie Oaxaca tradycyjnie wysiewają na plantacjach kukurydzy fasolę oraz *squash*, roślinę z rodziny dyniowatych. Fasola wykorzystuje łodygi kukurydzy jako podpory, a jednocześnie dostarcza glebie azotu, co ma podstawowe znaczenie, gdyż uprawa kukurydzy prowadzi do silnego zubożenia gleby o ten niezbędny pierwiastek. Z kolei *squash* może z powodzeniem rosnąć pomiędzy łodygami kukurydzy, a pędy pozostałe po zbiorach służą jako wysokiej jakości zielony nawóz pod kolejne uprawy. Pozwala się również na rozwój innych roślin zielonych, które wyrastają na polach oraz w ich najbliższym sąsiedztwie i są ekologicznie zaadaptowane do środowiska glebowego pól kukurydzianych. Roślin tych nie spotyka się w takiej obfitości z dala od upraw kukurydzy, a są one dla społeczności wiejskich ważnym źródłem witaminy A i innych substancji odżywczych.

W latach osiemdziesiątych XX wieku powstały w stanie Oaxaca liczne organizacje, takie jak CEDICAM (Center for Integral Campesino Development of the Mixteca). Ich celem była pomoc i wspieranie rolników w poszukiwaniu alternatyw wobec technologii promowanych w ramach Zielonej Rewolucji z lat 60. i 70., wykorzystujących niszczące pestycydy, uprawy monokulturowe i stosowanie nasion hybrydowych. Opierały się one na tradycyjnym systemie uprawy zbóż, przystosowanym do konkretnego regionu, połączonym z najnowszymi osiągnięciami w dziedzinie rolnictwa organicznego, pozwalającymi zwiększyć osiągane plony.

W przeciwieństwie do miejskiej biedoty, meksykańscy farmerzy mieszkający w San Pedro Coxaltepec twierdzą, że nie odczuli wzrostu cen tortilli, wywołanego wejściem w życie postanowień NAFTA. *Jestem w stanie wyprodukować kukurydżę w ilości wystarczającej na moje potrzeby* – stwierdził jeden z nich.

Niestety, rolnicy potrzebują także środków pieniężnych, by w pełni uczestniczyć we współczesnym świecie i nabywać towary, których nie są w stanie sami wytworzyć. Dlatego też prawdziwym wyzwaniem jest znalezienie innych upraw, których plony można z powodzeniem sprzedawać na lokalnym rynku. Tylko w taki sposób możliwe będzie zatrzymanie na wsi młodych ludzi, którzy przejmą gospodarstwa rolne i nadal będą tworzyć lokalną gospodarkę. CEDICAM pomógł już rolnikom takim, jak Tío Joel, który wykorzystuje szklarnie pozostałe po nieudanym projekcie rozwojowym do uprawy warzyw. Warzywa te są sprzedawane nie na globalnym rynku, lecz w okolicznych



mięscowościach, których mieszkańcy cenią sobie dostęp do świeżej, lokalnej żywności.

Inna organizacja, Puente a la Salud Comunitaria (Bridge to Community Health), rozpoczęła w kilku społecznościach program odbudowy upraw szarłatu – rośliny zielnej, zwanej pszenicą Inków. Szarłat pochodzi z regionu Mixteca, gdzie wciąż można spotkać dziko rosnące rośliny tego gatunku. Uprawa szarłatu została w zasadzie całkowicie porzucona po najeździe Hiszpanów, którzy uważali, że był on wykorzystywany do praktyk pogańskich. Szarłat zawiera znacznie więcej białka niż kukurydza i, w przeciwieństwie do niej, wciąż posiada dużą wartość rynkową w stanie Oaxaca. Może więc służyć nie tylko jako wartościowe wzbogacenie diety mieszkańców tego regionu, ale także jako stabilne źródło dochodu.

W Santo Tomás Mazaltepec dostęp do wysokobiałkowych produktów roślinnych ma podstawowe znaczenie w prawidłowym żywieniu mieszkańców. Według matek, które w ramach eksperymentu dodawały niewielką porcję – około jednej uncji dziennie – szarłatu do diety dzieci, skutkowało to dużo lepszym rozwojem zarówno fizycznym, jak i emocjonalnym.

Suwerenność żywieniowa nie dotyczy wyłącznie rolników żyjących na terenach wiejskich. Większość mieszkańców Oaxaca City pochodzi, czy to w pierwszym, czy to w drugim pokoleniu wstecz, z rodzin rolniczych. Wielu z nich wciąż potrafi w mniejszym lub większym stopniu pozyskać żywność na własne potrzeby. Po przystąpieniu Meksyku do porozumienia

NAFTA drastycznie wzrosły ceny żywności w tym kraju. W tej sytuacji mieszkańcy miast, którzy byli w stanie zaopatrzyć się – nawet w ograniczonym zakresie – w żywność, mniej odczuwali realny spadek wynagrodzeń i mogli zabezpieczyć siebie i swoje rodziny przed skutkami utraty pracy. Uprawa żywności na własne potrzeby pozwala także mieszkańcom stanu Oaxaca lepiej przetrwać okresy politycznych protestów, które często wybuchają w tym regionie kraju pomiędzy ludnością a skorumpowanym rządem. Możliwość zapewnienia wyżywienia podczas strajków zwykle stanowi o powodzeniu protestu.

María wraz z Laurentiną rozpoczęły przed dwoma laty uprawę boczniaka. W ubiegłym roku z dużym zaangażowaniem tłumaczyły ludziom robiącym zakupy na targowisku, w jaki sposób należy przyrządzać boczniaka. Dzisiaj popyt na te grzyby jest tak duży, że zastanawiają się one nad inwestycjami zmierzającymi do zwiększenia produkcji. Jednym ze sposobów może być zakup lodówki, w której można przechowywać wyprodukowane na miejscu zarodniki grzybów, jak i magazynować zbiory przez okres kilku dni. Inny miejski farmer opowiadał, jak wielką ulgą dla jego budżetu jest brak konieczności kupowania na rynku takich produktów, jak pomidory, kolendra, pietruszka czy seler.

Wszyscy ci farmerzy i miejscy ogrodnicy nie szukają i nie potrzebują wskazówek ani pomocy zagranicznej. Jedyne, czego potrzebują, to stworzenia

preferencyjnych warunków dla ich funkcjonowania i dla wysiłków zmierzających do odbudowania niegdyś samowystarczalnej gospodarki na terenach wiejskich. Stany Zjednoczone mogą wspomóc tworzenie i wprowadzanie w życie takich rozwiązań, które nie będą zmuszały lokalnego rolnictwa Meksyku do – skazanego z góry na porażkę – współzawodnictwa z agrobiznesem amerykańskim. Należy wprowadzić mechanizmy wspierające resztę świata w tym, by wytwarzała ona żywność na swoje potrzeby. Porozumienie NAFTA będzie za kilka lat przedmiotem negocjacji przed kolejną ratyfikacją, stwarza to więc okazję do zmiany strategii handlowej i nowego określenia priorytetów.

– Prawdziwa walka z głodem na świecie – mówi Eleazar García, wskazując na różnicę pomiędzy dorodnymi łodygami kukurydzy uprawianej z wykorzystaniem taniego kompostu organicznego a mizernymi, które rosną na ziemi od lat nawożonej chemicznie – jest w rękach zwykłych farmerów. To oni żyją z tego, co uda im się zebrać z pól.

MIKE WOLD

tłum. Sebastian Maćkowski

Tekst pierwotnie ukazał się na stronie internetowej czasopisma „YES! Magazine”, 23 stycznia 2012 r. (<http://www.yesmagazine.org>).



UWALNIAMY DUCHA KOOPERATYWY!

Opracowany przez „Nowego Obywatela”, pierwszy w historii kompletny zbiór tekstów Edwarda Abramowskiego

Braterstwo, solidarność, współdziałanie

poświęconych spółdzielczości oraz oddolnym inicjatywom społecznym – teraz także w formie darmowego e-booka!



Książkę można znaleźć na nowyobywatel.pl/biblioteka-obywatela/



Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj

KS. EDWARD BRZOSTOWSKI

Słowo „chleb” nie oznacza jedynie codziennego pożywienia. W słowie tym powinniśmy się doszukać także odzienia, dachu nad głową, potrzeb kulturalnych, czyli wszystkiego, co składa się na życie w humanistycznym znaczeniu. Bóg pragnie, aby człowiek żył jak człowiek.

Prośba o „chleb powszedni” nie popiera lenistwa, wręcz przeciwnie! Nakazuje nam pracę i walkę o to, co chcemy zdobyć. Życzeniem Boga jest, aby człowiek sam kształtował swoje przeznaczenie. Jak każdy ojciec i On chce być dumny z osiągnięć swoich dzieci. Z pomocą kilku przykładów spójrzmy, jak walka nakazana przez modlitwę wprowadzana jest w czyn.

W kwietniu 1971 r. dwudziestoczteroletnia Yuko rozpoczęła pracę w fabryce tworzyw sztucznych, zatrudniającej około 150 pracowników. Pracowała wraz z 19 dziewczętami i z 13 młodzieńcami w wieku od 15 do 20 lat przy transporcie i składaniu arkuszy aluminium. Przy takiej pracy rękawice, których używali, bardzo szybko zdzierały się, stając się bezużytecznymi. Yuko zaniósła więc swoją parę do biura, aby wymienić ją na nową. Jej koleżanka - Taki - widząc to, wykrzyknęła: „Ty to masz szczęście. Udało ci się dostać nowe rękawice!”. Inna z koleżanek, Takai, nawet nie poprosiła o wymianę rękawic. Yuko stwierdziła, że takie zachowanie jest niemądre i zaprosiła obie dziewczęta na pogawędkę w kawiarni po pracy. - „Rękawice są konieczne przy tego rodzaju pracy - mówiła - więc

to dyrekcja powinna je zapewnić”. Taki sama zakupiła rękawice w sklepie. - „Dlaczego nie poprosiłeś o nie w biurze?” - „To bardzo skomplikowane. Zadają przy tym mnóstwo pytań i sprawdzają wszystkie szczegóły”. Kilka dni później rękawice były znowu w strzępach.

Yuko: Dlaczego nie poprosisz o nie w biurze?

Taki: ...?

Yuko: Dobrze, ja dopiero co wymieniłam swoją parę, więc nie mogę znowu tego zrobić na swoje konto, ale pójdę z tobą poprosić.

Udały się razem do biura i szczęśliwa Taki otrzymała nową parę rękawic.

Mikie (lat 16): Dlaczego tak trudno dostać nową parę rękawic?

Taki: Nie przejmuj się. Po prostu idź i poproś o nowe rękawice! Należą ci się.

Taki: Pójdę z tobą.

Mikie (po powrocie z biura): Yuko, masz szczęście, dostałaś nową parę, a mnie szef powiedział „jedna rękawica jest jeszcze znośna” i dał mi tylko jedną.





©©© Fritz Eichenberg, Christ of the Breadlines, <http://www.flickr.com/photos/jimforest/2251716549/in/set-72157604288324537>

Kupowanie rękawic z własnej pensji to wcale nie taka prosta sprawa, gdy zarabia się tylko 30 000 jenów. Ciągłe upominanie się o podstawowe środki pracy to wyjątkowo trudny problem, szczególnie dla 16-letniej dziewczyny, która dopiero co skończyła wiejską szkołę i ciągle mówi z prowincjonalnym akcentem. Cała ta kwestia ma posmak ucisku.

Praca po godzinach zaczęła się 19 maja 1971 r. Szef oznajmił dziewczętom, które mieszkaly w hotelu robotniczym: „Tym, które będą dodatkowo pracować, będzie przysługiwać prawo do kawy i ciastek!”. Taki, widząc Yuko i Takai wychodzące z pracy o zwykłej porze, powiedziała: „Wam to dobrze, nikt wam nie każe pracować po godzinach!”. Yuko odpowiedziała: „Nikt nie może nas zmusić do tego. Jesteśmy wolne”.

7 lipca: Czy to właśnie z powodu odmowy pracy po godzinach przez kilka dni Yuko została przydzielona do wyjątkowo ciężkich zajęć? Po pracy kierownik każe jej zgłosić się w biurze.

Szef: Dlaczego nie chcesz się zgodzić? Głupia jesteś, że odmawiasz. Przecież to tylko dwa razy w tygodniu. Do tej pory niecierpliwie czekałem, aż się przyłączysz.

Yuko: Tak naprawdę dotąd nikt mnie o to nie prosił. A poza tym przecież wolno nam odmówić, czyż nie?

Szef: Istotnie. Nie proszę każdej z was z osobna. Ale wszystkie pozostałe współpracują. Odmówić wolno, owszem, ale...

Yuko: Ale dzisiaj nie mam zamiaru się przyłączyć!

Szef: Dobrze, nie padnę przed tobą na kolana i nie będę cię błagał o to! (Szef jest wściekły).

Taki przychodzi do szefa z prośbą: „Wieczorem mam spotkanie z przyjaciółmi, proszę zwolnić mnie o normalnej porze”.

Szef: Nie! Dzisiaj mamy dużo pracy.

Taki całkiem załamana, wraca do Yuko, która pociesza ją, mówiąc: „Powiedz sama sobie, że jesteś wolna. Wróć do kierownika i poinformuj go po prostu, że wieczorem opuścisz fabrykę”. Taki znowu wraca do szefa:

Taki: Proszę mnie zwolnić dzisiaj wieczorem.

Szef: Dlaczego? Cóż takiego dzieje się właśnie dzisiaj?

Taki: Będziemy się przygotowywać do wspólnej wycieczki.

Szef: Gdzie się wybieracie? Kiedy?

Taki: Czy muszę pana o tym wszystkim informować?

Szef: W porządku, w porządku. Idź już do domu.

W drodze do domu Yuko i Takai wychwalały Taki za jej odwagę.

8 lipca. Rano tego dnia Yuko wykonuje swoją ciężką pracę przy taśmie. Dziewczęta i chłopcy, którzy wpadają na chwilę, aby jej pomóc, zostają zaraz odwołani przez kierownika. Koło godziny 15 zostaje ogłoszone zawiadomienie.

Szef: Dziś wszyscy pracują po godzinach. Ci, którzy nie mogą, muszą się do mnie zgłosić osobiście i podać przyczyny.

Yuko usłyszała taką zapowiedź po raz pierwszy od czasu, gdy zaczęła pracować w fabryce. Tak czy inaczej ona i Takai wyszły do domu o zwykłej porze.

10 lipca. Temperatura w warsztacie sięgała 35 stopni.

Szef: Ci, którzy nie zostają po godzinach, muszą przyjść i wytłumaczyć się.

Takai: Jest straszny upał. Nie wytrzymam tego. Idę do domu.

Szef: Ale przecież wszyscy robią to samo. Wszyscy są zmęczeni! Mówią też, że tylko tobie i Yuko pozwalam wychodzić wcześniej!

Taki: Wszyscy są rzeczywiście naprawdę zmęczeni, ale moje zdrowie jest dla mnie najważniejsze.

Yuko: Nie mogę dłużej pracować. Głowa mi pęka.

Szef: Wszystko wezmę pod uwagę – to znaczy, że nie chcecie pracować.

Yuko: ...

Taki tłumaczy się kłopotami rodzinnymi.

Szef: W porządku. Możecie iść, ale pozwalam na to tylko dzisiaj.

Wszystkie trzy wyrwały się do kawiarenki, aby porozmawiać o tym, co powiedział szef, co weźmie pod uwagę i co pomyślą o nich koleżanki. W końcu ich koledzy i koleżanki także mieli dość, brakowało im jednak odwagi, aby zdecydowanie odmówić pracy po godzinach.



©©© jimforest, <http://www.flickr.com/photos/jimforest/2369192460/in/set-72157604288324537/>

14 lipca. Yuko ciągle odmawiająca pracy po normalnym czasie zostaje wezwana przez kierownika.

Szef: Przemysł to dobrze. Są tutaj pracownicy, którzy muszą ponad godzinę dojeżdżać do pracy i mimo to zostają po godzinach! Powinnaś włożyć trochę wysiłku w pracę. Rozumiem, że trudno ci jest, jeśli masz jeszcze wieczorne zajęcia w szkole, ale...

Yuko: Wszystko to rozumiem, ale nie mogę przyzwyczaić się do pracy, która wyczerpuje mnie tak bardzo.

Szef: Ale przecież wszyscy macie jednakowe warunki. Tracę twarz u innych, bezustannie pozwalając tobie i Takai wychodzić o czasie. Co więcej, przyszłście tutaj, bo podobała wam się ta praca. Nosicie zaświadczenia pracowników fabryki, powinniście więc podporządkować się regulaminowi. Ten zaś oblige

każdego pracownika do 24 godzin ponadnormatywnych na miesiąc. Nie jest to zatem sprzeczne z prawem.

15 lipca. Taki zwraca się do Yuko: „Nie złość się Yuko, ale moja przyjaciółka Yae twierdzi, że nie masz serca”.

22 lipca. Kayo przychodzi, aby powiedzieć Yuko: „Ja także odmówiłam dodatkowej pracy”. Prawdziwa przyjaźń podtrzymuje Yuko na duchu w jej ciężkiej codziennej pracy. Yuko odczuwa ciężar kierowniczej roli, która na nią spada.

Rok później. 21 czerwca 1972 r.: Yuko zostaje wezwana przez dyrektora fabryki.

Dyrektor: Kiedy w skrzynce znajdzie się jedna ze-psuta pomarańcza, trzeba ją wyrzucić, by od niej nie popsukała się cała reszta.

Po wypowiedzeniu tych słów wręczył jej kopertę zawierającą pismo o natychmiastowym zwolnieniu wraz z jednomiesięcznym wynagrodzeniem wypłaconym z góry.

Yuko: Nie mogę zaakceptować tej decyzji.

Dyrektor: Dlaczego nie?

Yuko: Ponieważ się z nią nie zgadzam.

Dyrektor: Dlaczego nie?

Yuko: Zawsze okazywałam gotowość do pracy. Co więcej, ta decyzja jest jednostronna. Jutro znów przyjdę do zakładu.

A oto, co wydarzyło się w dzień poprzedzający ten dialog. Kiedy Yuko skończyła dwugodzinną, ciężką pracę montażową, zabrała się za lżejsze zajęcie. Praca montażowa jest bardzo ciężka, pracownicy przechodzą więc do lżejszych zajęć co godzinę. Ale Yuko polecono pracować przy montażu przez trzy godziny z rzędu. Wytrzymała tylko dwie. Tego szczególnego dnia, kierownik warsztatu przyszedł i polecił Yuko powrót do montażu na następną godzinę. Odmówiła, mówiąc: „Ale ja jestem całkowicie wykończona. Nie jestem w stanie pracować tak ciężko przez trzy godziny bez przerwy. Proszę mi pozwolić robić to, co inni!”. Chwycił ją za ramiona i próbował siłą wepchnąć do warsztatu montażowego, ale ona stawiała skutecznie opór. Wtedy przywołał ją do sali konferencyjnej. – „Odmówiłaś wykonania polecenia służbowego. Przepraszam!”. Ponieważ tego nie uczyniła, została od razu wyrzucona z pracy. A oto rzekome przyczyny zwolnienia:

1. Brak wymaganych umiejętności.

2. Odmowa wykonania polecenia przełożonego.

Gdy wypytywała o faktyczne przyczyny, dowiedziała się, że została ukarana za odmowę pracy po godzinach, zbyt wolne wykonywanie zadań i okazywanie negatywnego nastawienia w czasie pracy. Jej współpracownicy nie miały nic przeciw niej. Wręcz przeciwnie, podziwiali jej odwagę. Popierana przez członków miejscowych związków zawodowych i przyjaciół z chrześcijańskiej organizacji młodych robotników, Yuko wystąpiła o unieważnienie decyzji. Wygrała, ale została przeniesiona do innej fabryki, co jednak nie powstrzymało jej od kontynuowania

rozpoczętej walki wraz z piątką swych przyjaciół.

Jest to batalia o życie i respektowanie ludzkiej godności. Walka o „chleb powszedni” w Japonii, nawet wtedy, gdy każdy mówi o fatalnym kryzysie ekonomicznym, jest konieczna, zwłaszcza przeciw ponadnormatywnej pracy. Ale to nie wystarczy.

Wprowadzenie systemu nadgodzinowego jest traktowane przez sfery zarządzające jako jedyna forma racjonalizacji, która ma przynieść przezwyciężenie kryzysu. Japonia szczyti się trzecim co do wielkości dochodem narodowym na świecie. Ale nie możemy zapominać, że indywidualne dochody ludności stawiają ją dopiero na czternastym miejscu. Spora część japońskiego sukcesu może być przypisana przykładowi niestrudzonej pracy i nauki. Szybki i wysoki wzrost ekonomiczny Japonii w dekadzie 1960–70 był z pewnością jedną z przyczyn słynnej deklaracji Nixona z 15 sierpnia 1971 r., która – zrywając układy Bretton Woods – stała się powodem załamania międzynarodowego systemu monetarnego.

Korzystając ze środków masowego przekazu, japońskie sfery zarządzające starały się przekonać ludzi, że kryzys ekonomiczny w Japonii został spowodowany decyzją Nixona i aby uporać się z trudną sytuacją, za wszelką cenę trzeba przyjąć nowe środki „racjonalizacji”, takie jak zwalnianie pracowników, wydłużenie tygodnia pracy, nieprzyjmowanie nowych pracowników, wcześniejsze niższe emerytury itp.

Jakie zatem szanse ma człowiek w tym wyścigu, w walce o podbicie międzynarodowych rynków, w inwazji zagranicznych inwestycji kompanii ponadnarodowych?

Nigdy nie zapomnę mojej wizyty, którą złożyłem przyjacielowi, chwilowo pracującemu w firmie ubezpieczeniowej w okręgu Osaka. Miejsce, w którym pracował, było zmieniane średnio co dwa lata. Kiedy okazałem swoje zdziwienie, wyjaśnił: „Dyrekcja organizuje takie transfery, aby ustrzec swoich pracowników przed korupcją i aby zapewnić im nowy start ze zdwojonym zapalem!”. Moje zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej: „Ale jaki jest właściwy cel tego działania?”. Kontynuował swoje wyjaśnienia: „Weźmy na przykład ten miesiąc. Nasza filia składająca się z 30 pracowników i małej grupy agentów ubezpieczeniowych musi się wywiązać ze zdobycia 2000 nowych klientów i dochodu w wysokości 10 miliardów jenów. Jeśli nam się to uda, nasza filia otrzyma milion jenów,



które możemy używać nie na własne wydatki, lecz w celach, które pomogłyby naszej firmie bardziej się rozwinąć. Można na przykład z tych pieniędzy pokryć koszty rozmów telefonicznych z USA lub służbowych przelotów na Hokkaido. Jednym słowem finansowane są w ten sposób wydatki, które trzeba ponosić szukając nowych klientów. W rzeczy samej, nasza firma plasuje się na 9 miejscu w Japonii i na 26 na świecie. Żeby pewnego dnia osiągnąć pozycję numer jeden, musimy realizować nałożone miesięczne zadania”. – „Ale dlaczego musicie osiągnąć pierwszą pozycję?” – zapytałem. Tym razem nie było już odpowiedzi.

Zamiast tego zaczęliśmy rozmyślać o konsekwencjach takiego systemu. Żona i dzieci pracownika są pierwszymi ofiarami. Z powodu nieustannej zmiany miejsca zamieszkania i nauki nie mają nawet czasu, aby się przystosować. To samo pracownicy, którzy zaledwie zdążyli się nawzajem poznać, a już okazuje się, że znowu będą przeniesieni. Taka sytuacja zachęca do indywidualizmu i zapobiega jakiegokolwiek formie solidarności. W dodatku liczba samobójstw wśród pracowników rośnie z roku na rok, bo wciąż narastające napięcie jest przyczyną targnięcia się na życie. System transferów co dwa lub trzy lata istnieje

także w innych sektorach gospodarki: telekomunikacji, bankowości itp.

Kiedy się poważnie nad tym zastanowimy, uświadamiamy sobie, że wszyscy w mniejszym lub większym stopniu nosimy piętno wykształcenia, które otrzymaliśmy w dzieciństwie, piętno przynależności do różnych grup i że głównym celem takiej „edukacji” jest utrzymanie i wzmocnienie porządku polityczno-ekonomicznego. A jak wygląda ta sprawa w Japonii?

W kręgu rodzinnym, rodzice często powtarzają dzieciom: „Jeśli będziecie otrzymywać dobre stopnie, dostaniecie się do dobrej szkoły, a w ten sposób znajdziecie dobrą pracę z bezpieczną przyszłością. Więc uczcie się pilnie!”. Gdy rodzina jest biedna i ma na utrzymaniu dużo dzieci, wtedy rodzice mówią: „Nie ma mowy o dalszej nauce, musisz iść do pracy i zarabiać na życie! A póki co, szybko wracaj po szkole do domu, bo potrzebna jest twoja pomoc!” (w sklepie albo w polu). Albo kiedy indziej: „Jak tylko zaczniesz pracować, dla własnego dobra słuchaj przełożonych. Jeżeli będziesz ciężko i dobrze pracował, zostanie to na pewno docenione i nagrodzone, a to pomoże ci wybić się!”. Często stymuluje się ambicję i współzawodnicstwo: „Być robotnikiem do śmierci to żadne osiągnięcie. Staraj się, abyś sam został pracodawcą!”.

W pracy wszelkie formy „kształcenia” są skierowane przede wszystkim na zachętę do produkowania. Szkolenia nowych i starych pracowników, system wynagrodzeń, działania zmierzające do nieustannego obniżania kosztów, poranne ceremonie, ciągły rozwój „miłości do firmy”, wprowadzanie nowych technik, stymulowanie „racjonalizacji” itd. Wszystko to ściśle wiąże się z niezmiennym dążeniem do wzrostu produkcji i niemal nierealnymi planami wydajności, ustanawianymi przez dyrekcję. Nawet to nie powstrzymuje pracowników przed pracą w niedziele i dni ustawowo wolne od pracy, aby tylko przyciągnąć uwagę przełożonych. I nawet jeśli wydarzy się wypadek w czasie pracy, to nie jest on zgłaszany w trosce o reputację fabryki. Wpajane jest przekonanie o wyższości lojalności wobec szefów i starszyny nad solidarnością w warsztacie lub fabryce.

Robotnicy przytłoczeni ciężarem pracy, wciągnięci w wir rywalizacji, powoli zanurzają się w egoizmie i nie potrafią już myśleć o swoich współtowarzyszach pracy. Od swoich pracodawców słyszą jedynie rzeczy takie jak te: „Nie możemy podnieść waszych płac, dopóki firma nie osiągnie dobrych rezultatów!... Brakuje siły roboczej. Pracujcie po godzinach. Jesteście młodzi, więc powinniście pracować więcej, aby powiększyć swoje dochody! Tylko pracownicy wykonujący dodatkową pracę są poważnymi robotnikami! 90% wszystkich wypadków przy pracy spowodowanych jest indywidualną nieuwagą zainteresowanych! Ci, którzy biorą urlopy, tylko szkodzą pozostającym współpracownikom. Starajcie się brać jak najmniej urlopów. Jeśli zdarzy się, że będziecie musieli wziąć zwolnienie, piszcie prośbę na specjalnym kwestionariuszu, podając



przyczyny urlopu! Pracujcie tak, jakbyście sami byli właścicielami firmy! Musicie zawsze brać pod uwagę to, co mówią przełożeni! Związki zawodowe chcą po prostu zrujnować przedsiębiorstwo! Starajcie się nie mieć z nimi nic wspólnego!”.

Z kolei środki masowego przekazu przyczyniają się do pograżenia społeczeństwa w świecie marzeń i iluzji oraz oderwania go od rzeczywistości dnia codziennego. Wielkie przedsiębiorstwa sprytnie wykorzystują mass media do reklamowania swoich wyrobów, ale nie ma tam miejsca na pytania o trud, niebezpieczeństwo i warunki pracy, w jakich robotnik musi je wytwarzać. Sześć niezależnych stacji telewizyjnych wprowadziło reklamy do swoich programów. Co dziesięć minut prezentują aparaty fotograficzne, zestawy stereofoniczne, motorowery, samochody itp. Większość tygodników zamieszcza fotografie rozebranych pańienek, publikuje opowiadania o przygodach seksualnych, romansach, małżeństwach i rozwodach znanych aktorów, aktorek i popularnych piosenkarzy. Taki rodzaj przekazu wywołuje tylko bierność u czytelników i stwarza w ich świadomości obraz kobiety – obiektu przyjemności, kobiety – towaru handlowego. W większości wypadków telewizja serwuje seriale o życiu średnich i wyższych sfer, wywołując w telewidzach pragnienie osiągnięcia tego samego poziomu lub stwarzając iluzję, że się tam już jest. W każdym razie telewizja coraz bardziej utwierdza ludzi w przekonaniu, że taki styl życia jest w dobrym tonie i zwyczajnym sposobem na codzienną egzystencję. Bardzo dużo pokazuje się także programów muzycznych, filmów wojennych, kryminałów itd., odwracających uwagę widzów w kierunku nierealnych aspektów życia.

Religie, a szczególnie chrześcijaństwo, często zalecają posłuszeństwo i poddanie przełożonym, cierpliwość wobec innych i ogólną harmonię. To doprowadziło nas do pogodzenia się z różnymi formami



© Jimforest, http://www.flickr.com/photos/jimforest/430004108/in/set-7215762372202186/

niesprawiedliwości, takimi jak „racjonalizacja” w jej różnych formach. W XIX-wiecznej Europie nikt nie dbał specjalnie o znalezienie przyczyn nędzy proletariatu rosnącego wciąż z rozwojem kapitalizmu. To wyjaśnia, dlaczego do dnia dzisiejszego miliony podobnych Łazarzowi umierają z głodu u wrót nielicznych bogaczy, żyjących we wspaniałościach, zdobytych tak niskim kosztem (Łk 16,19-31). Jeśli kościoły nie zadowalałyby się modlitwą, rozdawaniem jałmużny, pomocą, działalnością charytatywną, gdyby uczyniły wszystko, co możliwe, aby usunąć przyczyny niekończącej się nędzy, być może nie udało by im się w pełni zrealizować tego celu. Ale przynajmniej udało by się im okazać miłość bliźniego w bardziej światły sposób. Sato Yoshio mówi nam o *prawdziwej walce klasowej, w której człowiek próbuje wyzwolić swego brata od eksploatacji i wyzysku w poszukiwaniu szczęścia dla biednych i oddzielić ludzką kulturę od chciwej władzy żadnego zysków kapitalizmu, tak, aby każdy człowiek mógł w pełni rozwinąć swoje potencjalne możliwości*. Czyż tak określona walka klasowa nie jest manifestacją miłości bliźniego?

Biblia zachęca nas do „nieustannej radości” i do „ciągłego życia w duchu dziękczynności”. Ale to nie oznacza wcale, że mamy ze świątobliwym uśmiechem przymykać oczy na niesprawiedliwość. Jeżeli religijny mężczyzna lub kobieta, w szczególności wyznania chrześcijańskiego, zajmuje się jedynie dyskusją o duchowych schorzeniach i zapomina o zwalczaniu przyczyn dehumanizujących nasze społeczeństwo, religii będzie można zarzucić to, co twierdził o niej Marks i jego uczniowie, że jest jedynie „opium dla ludu”. Bogaci czy biedni, ci, którzy zachłystnęli się dymem tego opium, zamykają oczy na niesprawiedliwość, izolują się w swoim wewnętrznym spokoju, ogarnięci niemocą wyrażenia jakiegokolwiek gestu współczucia czy solidarności z pogrążonymi w rozpacz.

Jezus z Nazaretu, ucząc nas, abyśmy prosili naszego Ojca o chleb nasz powszedni, nie pomija naszych doczesnych potrzeb. Choć sam zgłębił wiedzę o życiu wiecznym, o radości Królestwa Niebieskiego i niezmiernie głębokiej łaski Bożej, troszczy się jednak o praktyczną stronę naszego ludzkiego życia na tej ziemi.

W czasach, kiedy bogactwo i dostatek mniejszości ostro kontrastuje z potęgającą się nędzą ogromnej większości, modlitwa do Ojca, aby dał nam „chleba naszego powszedniego” powinna chyba wymagać od nas walki o lepszy i sprawiedliwszy podział dóbr na ziemi. Starania Młodych Robotników Chrześcijańskich, takich jak Yuko, aby uczynić Prawo Pracy kodeksem znanym i respektowanym, zapewniającym robotnikowi ludzką godność, przeciwdziałanie przekształceniu edukacji w „zbiorowe szaleństwo”, próby wejścia w życie najgorzej sytuowanych, dające obietnice i nadzieje – czyż to wszystko nie jest wprowadzaniem w życie Modlitwy Pańskiej? „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”.

„Nie ma prawdziwego wyzwolenia bez Chrystusa” – wyrażając swoje przekonanie niczym refren, nasz przyjaciel Suzuki powtarzał te słowa raz po raz. Zdziwiony zapytałem, co ma na myśli. On zaś wyjaśnił: „Napotykać na różnego rodzaju ucisk i eksploatację, jakim poddana jest klasa robotnicza od swych początków, robotnik ma trzy wyjścia: poddać się losowi, szukać dróg indywidualnego awansu, jeśli taki jest możliwy lub uciec się do przemocy. Odbierałem te możliwości jako kolejne pokusy. Uwolnił mnie od nich Chrystus. Usilnie i nieprzerwanie nakłaniał mnie, abym odrzucił fatalizm i rezygnację, zachęcając do walki o sprawiedliwość. W końcu, Chrystus uwalnia mnie także od pokusy indywidualnego poszukiwania awansu. Nie potępiam tych, którzy szukają indywidualnych rozwiązań dla kolektywnych problemów, lecz wydaje mi się, że dążenie do wspólnych rozwiązań jest bardziej w duchu Chrystusa”.

Prawdziwy robotnik, to ten, który bez rezygnacji lub posuwania się do przemocy stara się zbudować międzynarodową solidarność, wkładając w swoją działalność całą energię i mądrość dla zapewnienia wszystkim ludziom „chleba powszedniego” dla ciała, serca i duszy.

KS. EDWARD BRZOSTOWSKI

Powyższy tekst to obszernie fragmenty V rozdziału – zatytułowanego tak, jak niniejszy tekst – książki „Ojciec Nasz – krzyk biednych”. Książka ta została wydana w 1981 r. w j. japońskim, a następnie po francusku, angielsku (edycja na Filipinach), hiszpańsku, portugalsku (edycja w Brazylii), koreańsku i włosku. Przygotowano także polski przekład (wykorzystujemy go na potrzeby niniejszej publikacji, jednak z poczynionymi poprawkami stylistycznymi i językowymi), ale nie ukazał się on nigdy drukiem.

O rząd światowy?

Benedykt XVI o współczesnym kryzysie społeczno-gospodarczym



DR HAB. RAFAŁ ŁĘTOCHA

Encyklika *Caritas in veritate* Benedykta XVI wzbudziła zaraz po ukazaniu się wielkie zainteresowanie. Pojawiły się też głosy krytyczne, a także znaczny rozdźwięk opinii na temat dokumentu oraz postulatów zawartych w tekście. Na gruncie polskim dominikanin Maciej Zięba, nie kryjąc pewnego rozczarowania encykliką, podkreślał: *Spodziewałem się, że Benedykt XVI zabierze głos jako uniwersalny duszpasterz i wielki niemiecki profesor, a okazuje się, że jest tu sporo fraz poetyckich oraz postulatów, ale brakuje mi definicji i systematyki. Pojawia się bardzo wiele wątków, dużo jest abstrakcyjnych sformułowań, wiele myśli typu „powinno się”, „należy”, „dobrze by było”¹.*

W związku z tym zaliczył on encyklikę do rzędu postulatywnych, które choć pełne są górnolotnych, nierzadko słusznych dezyderatów, prezentują jednak myślenie czysto życzeniowe, nie wskazując, jak zamierzony stan osiągnąć. W tym kontekście o. Zięba, ale i np. amerykański ekonomista James A. Swanson, kontrastują nauczanie społeczne Jana Pawła II, przedstawione chociażby w encyklice *Centesimus annus*, z programem propagowanym przez jego następcę². Amerykański neokonserwatysta Michael Novak podkreślił natomiast, iż szczególnie trudno jest mu pogodzić się z papieską wizją silnej instytucji międzynarodowej, regulującej gospodarkę światową. Stwierdził, iż zdecydowanie woli mieć ograniczone rządy niż jedną

nadrzędną władzę³. Z podobnych pobudek papieską encyklikę krytyce poddał też George Weigel, zarzucając jej brak precyzji czy swoiste marzycielstwo⁴. Tymczasem w kontekście permanentnego i nasilającego się coraz bardziej kryzysu światowego waga tego dokumentu nie tylko nie słabnie, ale przewidywania papieża potwierdzają się na naszych oczach, a jego wskazówki i propozycje wydają się zyskiwać coraz większą aktualność.

Benedykt XVI wychodzi od przypomnienia tego, co już niejednokrotnie podkreślano w dokumentach społecznych Kościoła – encykliki to nie program polityki gospodarczej, a katolicka nauka społeczna nie ma bynajmniej do zaoferowania gotowych rozwiązań technicznych. Ma ona bowiem inne zadania, odmienną optykę patrzenia na sprawy gospodarcze. Głównym problemem Kościoła nie jest rozwój gospodarczy jako taki, większa wydajność czy zysk, lecz integralny rozwój człowieka, o którym papież pisze w podtytule encykliki.

Ojciec Święty podkreśla przy tym, że społeczeństwo musi być zaprojektowane z myślą o całości człowieka, nie tylko o jego dobrobycie materialnym. Celem katolickiej nauki społecznej nie jest zapewnienie ludziom dostępu do większej ilości nowocześniejszych samochodów, komputerów czy kuchenek mikrofalowych. Chodzi natomiast o zaprowadzenie ustroju



© Jeff Kubina, <http://www.flickr.com/photos/kubina/471164507/in/gallery-60865808@N06-72157629932791879/>

sprawiedliwości i miłości, o realizację dobra wspólnego. Obok dobra jednostek bowiem, jak pisze papież, istnieje dobro związane z życiem społecznym osób – dobro wspólne.

Najważniejsza rzecz, na którą papież zwraca uwagę, to nierównomierność rozwoju we współczesnym świecie – rosnące dysproporcje na poziomie lokalnym, państwowym i globalnym. **Paradoksem naszych czasów jest to, że wraz z dynamicznie podwyższającym się bogactwem światowym, wzrasta też obszar biedy i rodzą się nowe formy ubóstwa.** Zachwiana została równowaga między produkcją dóbr a ich redystrybucją, co stanowi problem nie tylko z moralnego, ale i ekonomicznego punktu widzenia. Życie społeczno-gospodarcze zostało ukierunkowane jednostronnie na mnożenie wyłącznie zysku, w którym jednak partycypować szansę ma coraz mniejsza liczba ludzi. *W krajach bogatych ubożeją nowe warstwy społeczne i powstają nowe formy ubóstwa. Na obszarach uboższych niektóre grupy korzystają ze swego rodzaju rozrzutnego i konsumpcyjnego nadrozwaju, który w sposób niedopuszczalny kontrastuje z utrzymującymi się sytuacjami odbierającymi człowiekowi godność ludzką. Nadal trwa „skandal niewiarygodnych nierówności” (Caritas in veritate, punkt 22).*

Rzeczywiście, według danych FAO z 2010 r., zdaniem niektórych znacznie zaniżonych, na świecie ok.

1 mld ludzi ciągle cierpi głód, przy czym światowe rolnictwo jest w stanie wyżywić 12 mld osób⁵ (przy obecnej liczbie ok. 7 mld ludzi), a jednocześnie globalnie marnotrawi się 1,3 mld ton żywności rocznie⁶. *Global Wealth Report* przygotowany przez Credit Suisse w 2010 r. podaje, iż 0,5% milionerów i miliarderów posiada obecnie ponad 35% światowego bogactwa, 8% najbogatszych mieszkańców globu skupia w swych rękach prawie 80% światowego majątku, zaś najbiedniejsze 70% osób dysponuje zaledwie jego 4%⁷. Warto przy tym zauważyć, że samych miliarderów jest obecnie na świecie – jak podaje tegoroczny raport sporządzony przez „Forbes” – 1210, a ich łączny majątek liczy ok. 4,5 biliona dolarów i przekracza dochód krajowy brutto Niemiec⁸.

Rośnie więc coraz bardziej przepaść pomiędzy biednymi a bogatymi, powiększanie tych dysproporcji dokonuje się nie tylko na poziomie globalnym, pomiędzy krajami wysokorozwiniętymi a trzeciego świata, ale i w samych krajach rozwiniętych. W USA w 2010 r. 65% dochodu narodowego brutto przypadało na 1% najbogatszych obywateli, podczas gdy kilka lat wcześniej było to jedynie 53%. Gwałtownie wzrastające rozwarstwienie nie może jednak dziwić, jeśli uświadomimy sobie, że o ile na początku lat 70. amerykański menedżer zarabiał przeciętnie 25 razy więcej od robotnika, to 30 lat później już 500 razy więcej.

Najprościej byłoby zrzucić winę za te wszystkie problemy na dokonującą się na naszych oczach globalizację, papież jednak nie idzie po linii najmniejszego oporu. Oczywiście, zauważa to zjawisko i poświęca mu dużo uwagi, nie demonizuje go jednak. Nie chodzi bowiem jego zdaniem o globalizację jako taką, ale kształt, który ona przybrała. Papież nie jest fatalistą czy deterministą, przekonany, iż rozwój tego rodzaju, z jakim mamy dziś do czynienia, odpowiada kierunkowi wyznaczanemu przez Heglowskiego „ducha dziejów”. Wyraża natomiast przekonanie, że to człowiek kształtuje świat, w którym żyje, a więc globalizacja będzie taka, jaką uczynią ją ludzie. *Procesy globalizacji, odpowiednio pojmowane i zarządzane, dają możliwość wielkiej redystrybucji bogactw w wymiarze planetarnym, jak nigdy wcześniej; jeśli natomiast będą zarządzane źle, mogą spowodować wzrost ubóstwa i nierówności, a także doprowadzić do kryzysu całego świata. Trzeba naprawiać ich złe funkcjonowanie, czasem groźne, wprowadzając nowe podziały między narodami i w samych narodach oraz czynić wszystko, żeby redystrybucja bogactw nie wiązała się z redystrybucją ubóstwa albo wręcz z jego pogłębieniem* (punkt 42).

Współczesna kwestia społeczna nie ogranicza się już bowiem, jak za czasów Leona XIII, do katastrofalnego położenia robotników i relacji między pracodawcą a pracobiorcą. Również od momentu opublikowania encykliki *Populorum progressio*, którą Benedykt XVI upamiętnia poprzez swój dokument, wiele się zmieniło. Papież pisze: *Świat, z jakim miał do czynienia Paweł VI – chociaż proces uspołecznienia był już na tyle zaawansowany, że mógł on mówić o kwestii społecznej w wymiarze światowym – był o wiele mniej zintegrowany od dzisiejszego. Działalność ekonomiczna i prowadzenie polityki w znacznej mierze rozgrywały się w tej samej przestrzeni, a więc mogły na siebie liczyć. Działalność produkcyjna prowadzona była głównie w obrębie granic państwowych, a inwestycje finansowe za granicą miały raczej ograniczony zasięg, ponieważ polityka wielu krajów mogła jeszcze ustalać priorytety ekonomii i w pewien sposób zarządzać jej rozwojem dzięki narzędziom, jakimi jeszcze dysponowała. Z tego powodu Populorum progressio przypisywała główne, choć nie wyłączne zadanie „władzy publicznej”. Sytuacja państwa w naszej epoce zmusza je do stawienia czoła ograniczeniom, jakie jego suwerenności stawia nowy międzynarodowy kontekst ekonomiczno-handlowy i finansowy, charakteryzujący się również wzrastającą mobilnością kapitałów finansowych oraz materialnych i niematerialnych środków produkcji. Ten nowy kontekst zmodyfikował polityczną władzę państw. [...] Można przypuszczać, że dzięki lepszemu sprecyzowaniu roli władz publicznych zostaną wzmocnione nowe formy uczestnictwa w polityce krajowej i międzynarodowej, za pośrednictwem działalności organizacji funkcjonujących w społeczeństwie obywatelskim; należałoby sobie życzyć, aby w tym kierunku wzrastało*

uwrażliwienie obywateli na res publica i ich uczestnictwo w niej (punkt 24).

Papież podkreśla rozerwanie więzi między ekonomią a polityką. Ten rozróżnienie implikuje różnego rodzaju negatywne skutki. W epoce globalizacji i dominacji przedsiębiorstw transnarodowych zanikły w dużym stopniu uprawnienia państwa do redystrybucji dóbr i regulowania życia gospodarczego. Państwo nie może już całkowicie spełniać funkcji moderatora nierówności społecznych, tak jak to miało miejsce jeszcze kilka dekad wcześniej. Opowiadając się za rozsądnym interwencjonizmem państwowym, Benedykt XVI apeluje o wzmocnienie narzędzi państwa w konfrontacji ze wzrastającą siłą instytucji ponadnarodowych.

Występując przeciwko absolutyzacji rynku, który jakoby samodzielnie i automatycznie rozwiązywać miał wszelkie niedomagania życia społeczno-gospodarczego, podkreśla, iż *Działalność ekonomiczna nie może rozwiązać wszystkich problemów społecznych przez zwykłe rozszerzenie logiki rynkowej. Jej celem jest dążenie do dobra wspólnego, o które powinna także i przede wszystkim zabiegać wspólnota polityczna. Dlatego trzeba pamiętać, że przyczyną poważnego braku równowagi jest oddzielenie działalności ekonomicznej, która powinna obejmować tylko wytwarzanie bogactw, od działalności politycznej, która powinna wprowadzać sprawiedliwość przez redystrybucję dóbr* (punkt 36).

Kiedyś można było powierzyć ekonomii wytwarzanie bogactw, a polityce zadanie ich rozdzielania, dziś jest to o wiele trudniejsze [...] *bo działalność ekonomiczna nie jest ograniczona terytorialnie, podczas gdy rządy nadal sprawują władzę przede wszystkim na poziomie lokalnym. Dlatego kanony sprawiedliwości muszą być szanowane od samego początku, podczas trwania procesu ekonomicznego, a nie później lub ubocznie* (punkt 37). Nowy porządek, z którym mamy do czynienia, nie uznaje bowiem niczego oprócz zysku – żadnej lojalności wobec pracowników, fabryk, społeczności lokalnych, narodów, państw. Cóż mówić o redystrybucji dochodu przez państwo, skoro jego suwerenność w kwestii kontroli przestrzegania prawa, standardów ochrony środowiska, zdrowia czy bezpieczeństwa wydaje się być coraz mniejsza.

Dlatego pojawia się u Benedykta XVI postulat władzy światowej, który wzbudził największą dezaprobatę wspomnianych katolickich liberałów. Konieczność stworzenia politycznej władzy światowej wydaje się papieżowi w dzisiejszym świecie czymś nieuniknionym. Miałaby ona *zarządzać ekonomią światową; uzdrowić gospodarki dotknięte kryzysem; zapobiec pogłębieniu się kryzysu i związanego z nim zachwiania równowagi; przeprowadzić właściwe, pełne rozbrojenie oraz zagwarantować bezpieczeństwo żywieniowe i pokój; zapewnić ochronę środowiska i uregulować ruchy migracyjne. Tego rodzaju władza musi być uregulowana przez prawo, przestrzegać konsekwentnie zasady pomocniczości i solidarności, być podporządkowana*

realizacji dobra wspólnego, zaangażować się w realizację autentycznego integralnego rozwoju ludzkiego, inspirowanego wartościami miłości w prawdzie. Ponadto władza ta powinna zostać uznana przez wszystkich, być w stanie rzeczywiście każdemu zagwarantować bezpieczeństwo, przestrzeganie zasad sprawiedliwości i prawa (punkt 67).

Nie można się dziwić, iż postulat ten wywołał tak wielkie poruszenie - zaczęto mówić o projektach rządu światowego, „superpaństwa”, czy o oderwaniu papieża od rzeczywistości. Ubiegając jednak ataki, których zapewne się spodziewał, Benedykt XVI podkreślił, iż owa władza nie może przejmować kompetencji organów niższego rzędu, ale jedynie wspierać je w sytuacjach, kiedy nie mogą one sobie poradzić z pewnymi problemami. Papież zwraca uwagę, że globalna gospodarka potrzebuje globalnego zarządzania, instrumentów o zasięgu powszechnym, które mogłyby ją kontrolować, dostosowywać do wymogów dobra wspólnego.

Problem ten nie został w encyklice szerzej rozwinięty, jednak, jak się wydaje, pewne wskazówki na temat, jak owo globalne zarządzanie miałoby wyglądać, możemy odnaleźć w książce abpa Monachium i Fryzycji Reinharda Marxa, który miał wywrzeć również znaczny wpływ na kształt omawianej encykliki. Zarządzanie miałoby raczej przybrać postać global governance, a nie global government. *Chodzi tu najpierw - pisze abp Marx - ale nie wyłącznie - o stworzenie porządku ramowego dla globalizującej się gospodarki i dla światowego rynku finansowego, a przez to umożliwienie uczciwej konkurencji. Ale global governance miałoby w zakresie swoich kompetencji nie tylko gospodarkę. Chodziłoby tu o stworzenie systemu instytucji i reguł dostosowanych do globalnych wymagań. Przy tym należałoby zadbać o zapewnienie wszystkim ludziom prawa do uczestnictwa w dobrach materialnych i kulturalnych i w politycznej władzy decyzyjnej. [...] Rdzeń takiej polityki porządku ogólnoswiatowego powinno tworzyć ONZ oraz istniejące już organizacje międzynarodowe, które częściowo (ale nie w całości) należą do systemu ONZ albo są z nim związane poprzez swe zadania. Przede wszystkim można tu wymienić Światową Organizację Handlu (WTO), Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD), Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW), Bank Światowy oraz Międzynarodową Organizację Pracy (MOP). Te organizacje są potrzebne, aby globalizację gospodarki uzupełnić o globalizację polityki. Mogą się one przyczynić do odwrócenia spirali deprecjacji polityki w zardzewiałej na cały świat sieci gospodarki⁹.*

Taka droga nie ma zdaniem abpa Marxa alternatywy. W dzisiejszym świecie trzeba umacniać międzynarodowe organizacje zamiast przeciw nim występować, bowiem przy jedynie bilateralnych stosunkach zawsze górą będzie silniejszy. Kto więc dąży do obrony interesów [...] biednych tego świata, ten winien orędownąć za mocniejszymi instytucjami globalnymi i za



lepszymi uregulowaniami w skali całego świata¹⁰. Celem długofalowym winien być tutaj rzeczywiście wolny handel i uczciwa konkurencja bez dyktatu i monopolu silniejszych. Po drodze niejako, aby to osiągnąć, należy odejść od dyskryminacji krajów rozwijających się, w których państwa rozwinięte wymuszają otwieranie rynków na własne produkty, przy zamykaniu rodzimych na pochodzące z tamtych rejonów, zabezpieczając się w ten sposób przed niepożądaną konkurencją. Co więcej, czasowo należy wręcz uprzywilejowywać kraje słabsze w celu wyrównania szans i umożliwienia im zbudowania sprawnie funkcjonujących ośrodków gospodarczych. Oczywiście, zadanie takie nie jest proste wobec dominującego ciągle myślenia o charakterze egoistycznym i krótkofalowym, czego wyrazem może być nikły postęp w realizacji tzw. Milenijnych Celów Rozwoju. Na Szczycie Ziemi w Rio de Janeiro (w 1992 r.) i Johannesburgu (w 2002 r.) dwadzieścia dwa najbogatsze państwa świata zobligowały się do przeznaczenia 0,7% dochodu narodowego brutto na pomoc rozwojową. Za każdym

razem okazywało się, iż większość z nich swoich zobowiązań nie wypełniała, w tym tak bogate kraje, jak Szwajcaria.

Reguły rządzące rynkiem nie mogą być ustalane przez sam rynek, *nie może on liczyć jedynie na samego siebie* (punkt 35). Do czego to prowadzi, pokazał ostatni kryzys finansowy, afery gospodarcze i marnotrawstwo pieniędzy na niespotykaną skalę. **Banki i fundusze, jak się okazało, roztrwoniły miliardy dolarów na różnego rodzaju spekulacjach finansowych. Znajdując się na krawędzi bankructwa, zaczęły żądać pomocy od państwa – tego samego państwa, któremu przez lata zabraniały wtrącania się w sprawy gospodarcze, twierdząc, iż rynek sam sobie poradzi.** Jak więc widzimy, państwo w pewnym momencie stało się konieczne, potrzebne, dobre, ale tylko żeby ratować, w żadnym wypadku kontrolować. Nic dziwnego więc, że dla wielu ta pomoc jawi się jako skandal i koronny dowód, iż w dzisiejszej gospodarce obowiązuje zasada, iż *zyski są prywatyzowane, straty upaństwowiane*¹¹.

Globalne rządy winny mieć na uwadze również to, co określamy mianem światowych dóbr publicznych – takich jak pokój, bezpieczeństwo, dziedzictwo kulturowe czy nieskażone środowisko naturalne – których pożyteczność przekracza granice krajów i pokoleń. Obok państwa i mechanizmów politycznych, **konieczne jest też, zdaniem Benedykta XVI, wzbogacenie rynku o różnego rodzaju podmioty gospodarcze, które stawiają sobie cele społeczne i oferują wzajemną pomoc. Obok przedsiębiorstw prywatnych, ukierunkowanych na zysk, czy przedsiębiorstw publicznych, winny istnieć w większej skali podmioty, które nie negując zysku, wykraczają poza schematy konkurencji oraz zysku jako celu samego w sobie. Trzeba również – czytamy w encyklice – aby na rynku otwarto się przestrzenie dla działalności ekonomicznej realizowanej przez podmioty, które w sposób wolny decydują się opierać swoją działalność na zasadach odmiennych od zasady czystego zysku, nie rezygnując jednakże z wytwarzania wartości ekonomicznej. Liczne formy ekonomii, zrodzone z inicjatyw konfesyjnych i niekonfesyjnych pokazują, że jest to konkretnie możliwe** (punkt 37).

Podkreślając to, papież wskazuje, że również w stosunkach rynkowych powinny znaleźć miejsce zasada bezinteresowności i logika daru. Logika wymiany, jak słusznie zauważył Benedykt XVI, nie jest wystarczająca, aby rozwiązać problemy współczesnego świata. Zakłada ona ekwiwalencję, wymianę, handel; przyjmuje, iż pogoń każdego z osobna za zyskiem działa w efekcie na korzyść wszystkich. Tymczasem należy pamiętać, że konsumpcja powodowana tylko własnym interesem nie czyni redystrybucji sprawiedliwszą, nie przynosi ulgi głodującym. Jak zauważył William T. Cavanaugh: *Pogoń konsumenta Wal Mart za jak najniższymi cenami oznacza jak najniższe płace dla mieszkańców Azji, bo oni wytwarzają produkty przez nas produkowane*¹².

Z takich względów konieczne są bezinteresowność i logika daru. Mamy tutaj przykłady licznych przedsiębiorstw, które działają na rynku i wykraczają poza wspomnianą logikę wymiany. W ramach Ruchu Focolari pojawiła się np. inicjatywa pod nazwą ekonomia komunii. Członkowie ruchu, a także osoby z zewnątrz, zakładają przedsiębiorstwa, których zysk, po wypłaceniu godziwej płacy pracownikom, dzielony jest na trzy części: na rzecz ubogich, na rozwój przedsiębiorstwa oraz na tworzenie struktur ruchu. Organizują również doradztwo i wymianę doświadczeń, a także pomoc finansową dla tego typu przedsięwzięć w różnych krajach. Obecnie funkcjonuje na świecie ponad 750 firm działających w oparciu o takie zasady¹³. Można też wspomnieć o ruchu Fair trade, który za cel stawia sobie oferowanie lepszych warunków handlowych oraz ochronę praw nieuprzywilejowanych producentów i pracowników z krajów Globalnego Południa. Poza korzystną ceną, producenci otrzymują od partnerów handlowych wsparcie, aby móc prowadzić działalność w sposób zrównoważony¹⁴. Ruch ten aktywnie wspierany jest choćby przez międzynarodową organizację humanitarną Catholic Relief Services. W tym kontekście warto wspomnieć również o spółdzielczości, która w pewnych przypadkach realizuje tego typu założenia. Obecnie, jak podaje International Co-operative Alliance, ponad 800 milionów osób w skali świata pracuje w spółdzielniach¹⁵, dających bardzo dobre rezultaty i często coraz lepiej przeciwstawiających się hegemonii koncernów. Innym przykładem może być Charity Bank założony w 2002 r., który stara się wspierać te organizacje, które chcą realizować projekty społeczne, a nie mają szans uzyskania finansowania w komercyjnych bankach. Można wymienić także inne przedsięwzięcia, jak choćby skupiający się na udzielaniu mikropożyczek Grameen Bank, założony przez Muhammada Yunusa, laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Również takie zjawiska, jak LETS – Local Economic Trading System (Lokalny System Wymiany Gospodarczej), banki komunalne, platformy barterowe w rodzaju szwajcarskiego Banku WIR, „banki czasu” albo Creative Commons to tylko niektóre inicjatywy, które mogłyby z większymi czy mniejszymi zastrzeżeniami posłużyć jako przykłady przedsięwzięć o charakterze pożądanym przez papieża, nie wpisując się w logikę rynku nakierowanego na zysk. Pokazują one, iż postulowana zasada braterstwa i logika daru są możliwe do realizacji również na polu ekonomii, a fakt, iż nie jest to trend dominujący, nie wynika z samej logiki rynku, lecz z tego, w jaki sposób jest on kształtowany przez ludzi.

Analiza ta nie wyczerpuje problemów podjętych przez Benedykta XVI, jest to bowiem encyklika niezwykle bogata i wielowątkowa. Uwaga została jednak zwrócona na te zagadnienia, które wydają się najistotniejsze dla zrozumienia papieskiego programu, na nowe problemy, które zostały w nim mocno zaakcentowane. Cytowany już o. Maciej Zięba stwierdził: *Na*

ambonę wziąłbym ze sobą Caritas in veritate, ale na uniwersytet wziąłbym raczej którąś z encyklik społecznych Jana Pawła II. Podkreślił on, że w ostatniej encyklice Benedykta XVI znajduje się wiele wspaniałych sformułowań, które dobrze brzmią w kościele, ale niekoniecznie już w sali wykładowej, gdzie dyskutuje się o konkretnych rozwiązaniach ekonomicznych i politycznych¹⁶. Zapomina jednak chyba o tym, co bardzo mocno akcentował abp Reinhard Marx – że encykliki nie są ani gotowymi programami politycznymi, ani tekstami ściśle naukowymi, natomiast ich zadaniem jest ocena i wskazywanie odpowiednich kierunków, jeśli chodzi o projektowanie zasad życia politycznego, gospodarczego, społecznego¹⁷. Nie proponują żadnej receptury w rodzaju kompletnego przepisu kulinarnego, lecz mówią, jakie składniki winna zawierać potrawa, aby dobrze smakowała¹⁸. Papież apeluje przede wszystkim o godność i sens pracy, większą sprawiedliwość w sferze społeczno-gospodarczej, świadomie uciekając przed Scyllą i Charybdą kapitalizmu i socjalizmu.

DR HAB. RAFAŁ ŁĘTOCHA

Przypisy:

1. Encyklika bardziej duszpasterska niż społeczna. O mocnych i słabych stronach encykliki z dominikaninem o. Maciejem Ziębą rozmawia ks. Tomasz Jaklewicz. „Gość Niedzielny” 2009 nr 29.
2. J. A. Swanson, *Confirmed in Centesimus Annus; Perplexed by Caritas in Veritate*, <http://www.firstthings.com/onthesquare/2009/08/confirmed-in-centesimus-annus59-perplexed-by-caritas-in-veritate>, 25.05.2011 r.
3. R. Donadio, L. Goldstein, *Pope Urges Forming New World Economic Order to Work for the Common Good*, „The New York Times” 7.05.2009 r.
4. G. Weigel, *Caritas in Veritate in Gold and Red. The revenge of Justice and Peace (or so they may think)*, <http://www.nationalreview.com/articles/227839/i-caritas-veritate-i-gold-and-red/george-weigel?page=1>, 23.05.2011 r.
5. <http://www.righttofood.org/new/PDF/ECN4200153.pdf>, 26.05.2011 r.
6. <http://www.fao.org/news/story/en/item/74192/icode/>, 27.05.2011 r.
7. *Global Wealth Report*, http://thewisebuck.com/wp-content/uploads/2010/10/credit_suisse_global_wealth_report1.pdf, 04.06.2011 r.
8. L. Kroll, K.A. Dolan, *World's Billionaires 2011: A Record Year In Numbers, Money And Impact*, <http://www.forbes.com/2011/03/08/world-billionaires-2011-intro.html>, 05.06.2011 r.
9. Abp R. Marx, *Kapitał. Mowa w obronie człowieka*, Kraków 2009, s. 261.
10. Tamże, s. 264.
11. Tamże, s. 35.
12. W.T. Cavanaugh, *Pożarci. Gospodarka a powołanie chrześcijańskie*, Warszawa 2010, ss. 151-152.
13. Zob. P. Pawliszak, *Organizacja konwersji Ruchu Focolari*, Kraków 2003, ss. 62-63; J. Bątkiewicz-Brożek, *Ekonomia z teologią w tle*, „Więź” 2010 nr 7.
14. http://www.fairtrade.org.pl/s1_co_to_jest_sprawiedliwy_handel_fair_trade.html, 6.06.2011 r.
15. <http://www.ica.coop/coop/statistics.html>, 7.06.2011 r.
16. Encyklika bardziej duszpasterska..., dz. cyt.
17. Abp R. Marx, *Die Globalisierung gestalten – in verantworteter Freiheit Erste Anmerkungen zur Enzyklika „Caritas in veritate”*, <http://www.erzbistum-muenchen.de/media/media11079820.PDF>, s. 5, 26.05.2011 r.
18. Tenże, *Kapitał...*, s. 75.



Papierek lakmusowy

Przyczynek do obchodów

35. rocznicy powstania KOR-u

JAN KRZYSZTOF KELUS

23 lub 24 września. Dzwoni do nas na wiochę ktoś z TVP2. Nazwisko nic mi nie mówi, więc je błyskawicznie zapominam. Powiada, że 35. rocznica powstania KOR-u, feta na Zamku, a na fecie będzie film o rzeczonym KOR-ze z moją piosenką o szosie E7, czyli o Radomiu. I że TVP kręci z tego reportaż i oczywiście taniemy prześle na ZAiKS. No to przerywam i mówię, że ja jestem niezależny, do nijakiego ZAiKS-u nie należę i trzeba ze mną umowę licencyjną podpisać. Na to on, tak trochę nie na temat, mówi, że panie Janie, przecież Pan jest zaproszony na Zamek i... No to wyjaśniam, że istotnie, kancelaria coś przysłała, ale się nie wybieram. Jakoś to przełkną i po chwili milczenia powiada, że - wracając do tematu - to jak się z tą umową tak upieram, to trudno, podpiszą. Więc przechodzę do konkretności i mówię, że musi być w niej taka **formułka o wynagrodzeniu w wysokości średniego miesięcznego świadczenia emerytalnego funkcjonariusza byłej SB**. Mówi - po pauzie - że ja chyba żartuję i o jaką w końcu sumę chodzi. Wyjaśniam, że nie żartuję, że o ile pamiętam to dwa sześćset, czy coś koło tego. Po czym... cisza, chwila szeptanki, i komunikat, że o czymś takim to kierownictwo musi zdecydować.

I się rozłącza.

Wyrzebuję z szuflady tę umowę. Mój teścik. Czytam *samoje gławnoje*: punkt piąty: *Z tytułu udzielenia licencji w zakresie o którym mowa w pkt 2 umowy LICENCJOBIORCA wypłaci Autorowi wynagrodzenie w kwocie równej średniemu miesięcznemu świadczeniu emerytalnemu pobieranemu przez FUNKCJONARIUSZA byłej SŁUŻBY BEZPIECZENSTWA, wynoszącemu 2558 zł brutto (słownie: dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt osiem zł).*

No właśnie. Wszystko niby w porządku. Nikt przecież nikogo nie obraża, nie nazywa ubekiem, ani

esbekiem, tylko Funkcjonariuszem - i to z dużej litery. Do czego tu się można przyczepić? Hm... co najwyżej do kwoty tej miesięcznej esbeckiej renciny, bo taka - nawet po tej obniżce - przymała się wydaje. Pewnie z panienkami z hali maszyn i wszelakim niższym personelem usługowo-pomocniczym średnią policzyli. Na pytania, ile ona wynosi, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, kierowane - o ile pamiętam - przez pana Schetyńę, tej średniej nie było łaskawe ujawnić. Sam nie indagowałem, ale byli tacy, którzy to bezskutecznie czynili. Musiałem więc oprzeć się na enuncjacji odnalezionej na internetowym portalu „Gazety Wyborczej”. Cytuję: *Rzepliński przypominał, że przeciętna emerytura byłego esbeka wynosi dziś 2558 zł (rzecz do sprawdzenia).*

NIK-owską kontrolę by na nich nasłać! - zaczynam się wzbudzać. Znowu ta niegospodarność i szastanie pieniędzmi podatnika. Przecież gdyby telewizyjni bonzowie byli finansowo zapobiegliwi, to zapłaciliby mi bez ociągania. Czy oni gazet nie czytają i nie wiedzą, że w Strasburgu oczekuje na rozpatrzenie sześć tysięcy esbeckich skarg o naruszenie praw nabytych. Łada chwila wyrok zapadnie, a jak esbekom cofną obniżkę, to będę rewaloryzował roszczenie. I będzie kosztowało drożej... (Nas wszystkich niestety też... Ale to tak... off topic.)

Po paru dniach... Telefon od Chojckiego, z propozycją, że on podpisze ze mną umowę, bo żaden menago z Woronicza się nie podłoży i na te moje numery z esbeckimi emeryturami nie pójdzie. Czyli umowa z nim, a on sobie potem jakoś od Telewizorni tę kasę wycofa.

Średnio mi się to podoba. Ty się w to nie wcinaj, Choj - proszę. Przecież wiesz, że mi nie chodzi o kasę. Oni już ten reportaż skręcili i teraz muszą z tego jakoś wybrnąć. I to ani mój, ani twój, tylko ich kłopot. Daj mi adres mailowy prezesa Brauna.



No to mi dał i chyba też mu ulżyło, że się nie będzie w to mieszał.

Dwie godziny później dzwoni jakiś facet: serdeczności, przecież się znamy, na Raszyńskiej u nas bywał, nazywa się Krzysztof Lang, jest niezależnym producentem i to on zrobił ten film i on podpisze ze mną umowę. Pytam, czemu nie Telewizornia. No jak to, czemu - dziwi się i zaczyna tłumaczyć, że ja pewnie nie wiem, ale Telewizornia to już nic samemu, wszystko przez niezależnych producentów, takich jak jego spółka. Pełen outsourcing, czyli... Więc przerywam i pytam, czy on przypadkiem wie, że w tej umowie musi być formułka o wynagrodzeniu w wysokości ekwiwalentu esbeckiej emerytury. Tak, wie. Umowę zaraz przyśle pocztą, reszta korespondencji na e-maila. OK.

Koniec września, a listonosza coś nie widać. W końcu przychodzi e-mail z wzorem umowy. Jest antydatowana i idiotyczna - bo „o dzieło z przeniesieniem praw autorskich”. Istny cyrograf. Podpisując coś takiego, sprzedałbym swoją starą, pocziwą piosenkę za psie pieniądze Telewizorni do lukrowania kolejnych rocznic: a to ci KOR-u, a to radomowego Czerwca, albo jakiegoś innego święta Obolałej Dupy. Ta akurat piosenka im się nadaje; ani Generała, ani „ludzi honoru” nie obraża. Dla kombatantów czytelna, dla młodzieży nuda i smęcenie starcze. Na niewygodne rocznice w sam raz.

No dobra. Reportaż już pewnie poszedł - choć tak naprawdę to nie wiem, bo telewizz ze mnie marny. Mam więc do wyboru: nie podpisać i pieniać się o naruszenie praw (podobno trzykrotna zwykle przebitka), albo uprzeć się przy umowie w wersji Wieśka J. i ciągnąć sprawę dalej, licząc na to, że coś przekombinują. Wybieram to drugie (za co zresztą mój kurator finansowy, mec. Wiesław Johann, mnie dobrotliwie opieprza).

Potem wszystko idzie jak po maśle, Umowa w mojej - przygotowanej przez mec. Johanna wersji - podpisana, kasa ma być przelana w ciągu 14 dni. Tyle że „film”, o którym była mowa, zmieniono na „reportaż”, a z TVP2 - zrobiła się TVP Jedyńska. Ale to detale, a w końcu najważniejsza formułka o ekwiwalencie esbeckiej emerytury się ostała, więc... dosyć tej asertywności: podpisuję.

Czas leci, jesień się zamienia w zimę, i czasem nachodzą mnie wątpliwości, czy nie straciłem ostatniej szansy. Bo koniunktura na moje niegdysiejsze przyspiewki jaka jest - każdy widzi. Mogłem niby nie podpisać i od razu sprawę nagłośnić. Ale z drugiej strony - tak sobie tłumaczę - zasłoniłoby się tym jakimś Langiem i wtedy by mogło wyglądać na pieniacstwo i wojnę o kasę... Czort wie, czy to na dobre, czy na złe.

Nie to, żeby obsesyjnie, ale od czasu do czasu sprawdzam konto. Nic nie przelali. Coś im się najwyraźniej zacięło. Jest szansa, że się jednak podłóżą.

Na początku grudnia dzwonię do Langa. Tłumaczy coś bardzo mętnie, ale wychodzi na to, że za tydzień Telewizornia mu przeleje - i wtedy dopiero będzie

mógł zapłacić. Gram rolę cierpliwego wierzyciela. Dobrze, tyle czekałem, to i tydzień poczekam.

Mija 10 dni. Wysyłam mail z wzmianką o odsetkach. Potem następny, w którym robię błąd – literówkę – i zamiast ¼ roku wychodzi jakby do trzech czwartych mi się to jego niepłacenie wydłużyło.

Lang chyba się z tej pomyłki ucieszył, bo mu wyszło na to, że wiejski pojar nawet na kalendarzu niekumaty i da się łatwo wydymać. W mało parlamentarny sposób wywała kawę na ławę: zapłaci nie wcześniej, niż wydusi coś z Telewizorni.

Tylko że w tym roku pewnie nie wydusi, bo im się kasa skończyła – to już mój domysł.

Czytam ten jego – taki więc chamski – e-mail, i przypomina mi się stworzona przez Haška postać Feldkurata, a raczej jego wierzyciela, o którym dłużnik mówi pogardliwie per „Mąż Wytrwały”. A na koniec spuszcza go ze schodów... No nie: ta rola mi nie odpowiada. Decyduję więc, że... trudno: nie udało się bezpośrednio zderzenie z Telewizornią, to rozegram końcówkę z ich podwykonawcą-podlizuchem.

Wysyłam więc niezwłocznie wezwanie do zapłaty. To takie konieczne pismo przedprocesowe, bez niego sąd nie przyjmie pozwu. A ponieważ prawo nie wymaga zachowania w wezwaniu jakiejś sztywnej formuły, pozwalam sobie na złośliwy wtřęć:

Prezesowi Spółki - p. Krzysztofowi Lang - pozwolę sobie dodatkowo wyjaśnić, że umowa licencyjna nie zawierała klauzuli stanowiącej, iż płatność na rzecz licencjodawcy uzależniona jest od tego, kiedy i czy TVP2 zechce wynagrodzić p. Langemu jego usłusność.

I na koniec jeszcze – tym razem spełniając wymóg kodeksowy – zdanko o tym, iż jak nie będzie wpłaty, to będzie pozew. I podpis: *dr Jan Krzysztof Kelus.*

No cóż... koniec wieńczy dzieło. Pieniacz odetchnąłby z ulgą. Ale ja chyba nie jestem pieniaczem, bo się w swym przydługim życiu ani razu nie pieniaczyłem. I nijakiej satysfakcji z tego obrotu sprawy nie czuję.

Trudno. To jest gorzej niż plan B. Nierzetelnych, zalegających z płatnościami „ludzi sukcesu” jest w Polsce pod dostatkiem. Procesu z jakimś tam panem Lang o zator płatniczy nijak nagłośnić się nie uda. Trochę szkoda, że tym razem się nie udało. Tym bardziej, że następnej okazji za panowania na Telewizorni Juliusza B. – to się raczej nie doczekam. Próbuję się pocieszać, że niby „dłużej klasztoru niż przeora”, ale chyba za stary jestem, żeby mnie to archaiczne porzekadło nastrój podreperować mogło.

Aż tu nagle, po dwóch dniach, telefonuje ktoś o niewyraźnym nazwisku. Z TVP (chyba z Jedyńki). Stwierdza, że jest problem: **prawnicy nie zgadzają się na zawarty w umowie zapis o jakichś esbeckich emeryturach.** Oni czegoś takiego nie podpiszą. Próbuję się dopytać, o co mu właściwie chodzi, przecież umowę mam podpisaną z niezależnym producentem, a nie z TVP. A on swoje: że dział prawny takiej umowy nie przyjmie, nie można będzie Panu Lang zapłacić,

musimy więc jakieś wyjście wynegocjować, a ja powinienem zrozumieć, że...

...I tu jakoś trafił u mnie na zły moment, bo zamiast się cieszyć z tego, że debile z Telewizorni się na koniec podstawili, troszkę sobie pokrzyczałem.

Wzburzyłem się mocno i dokładnie tego monologu nie pamiętam. Moja zacna żona – Kuba – opowiedziała mi potem, że plułem i tupałem: całkiem jakbym się w Niesiołowskiego wcielił, a w tym, co wykrzykiwałem, sensu doszukać się było trudno. No bo jaki sens wykrzykiwać przez telefon, że telewizyjni prawnicy, obrońcy sumień swych esbeckich kumpli i inne pierdolone święte od grubej kreski utuczone krowy – to mogą mi na chuj naskoczyć... I takie tam... Biedroń by się uśmieł.

Potem trochę wstyd, ale tak już mam. A piszę o tym, bo chcę być wierny sobie... i faktom. Nie będę udawał, że w chwilach wzburzenia dystygowaną przemawiam polszczyzną. I choć moje – jak napisał jeden z przyjaciół – „legendarne przywiązanie do każdego znaku autorskiego” jest wręcz obsesyjne, tym razem zgadzam się na wykropkowanie, lub zastąpienie eufemizmami wulgaryzmów wszędzie tam, gdzie mogłyby one utrudnić rozpowszechnianie tekstu. Bo mi na jego rozpowszechnianiu zależy i każdy, kto się do tego przyczyni – wzmianką na blogu, akcją „wyślij do wielu”, wklejeniem na jakimś forum – zaskarbi sobie moją wdzięczność.

Zakładam, że bratnie dusze – nawet jeśli mnie osobiście nie znają – zrozumiały, dlaczego mi na rozpowszechnieniu tej pisaniny zależy. Bo przecież nie chciałoby mi się rzeźbić w słowach dla wygrania procesu o ekwiwalent esbeckiej emerytury z jakimś telewizyjnym dobiegaczem czy prezesem Braunem. Sytuację prawną mam akurat taką, że wystarcza napisanie pozwu. Nie jest też tak, iżby nagle opętała mnie starcza potrzeba przypomnienia o sobie światu.

No więc po co to napisałem? Odpowiem tak: śmieszny z pozoru pomysł z umieszczeniem w umowie klauzuli o ekwiwalencie esbeckiej emerytury, służył w zasadzie temu samemu, czemu w dawnych – choć nie zamierzających – czasach PRL-u służyły moje piosenki, wraz ze sposobem ich rozpowszechniania. Test służył wówczas ustaleniu, jakie są granice represyjności komunistycznego systemu, który niby już słabował, ale jeszcze kasał. Sprawdzałem więc, co zrobią komuchy, gdy jakiś czubek oleje cenzurę, nagra swoje przyspiewki na kasety i zacznie je sprzedawać z bezczelną, umieszczoną na kasiecie adnotacją, obwieszczającą mieszkańcom PRL-u, iż jest niezależnym twórcą działającym poza Państwowym Monopolem Rozrywkowym, zastrzega prawa autorskie do swoich przyspiewek, przedstawia się z imienia, nazwiska i adresu, oraz



©©© Piotr Świderek, kooperatywa.org

oczekuje, że opłaty licencyjne za kopiowanie kasety przesłane zostaną przez zwolenników jego twórczości na podany adres. (Przepraszam, że przynudziłem, ale nie każdemu musi się moja osoba z czymkolwiek kojarzyć).

Tamten test, czy eksperyment, wspominam jako wspaniałą przygodę. Także jako doświadczenie, dzięki któremu sporo ciekawych rzeczy o sobie samym i o otaczającym świecie się dowiedziałem.

A teraz - w 35. rocznicę powstania KOR-u i w trzeciej dekadzie III RP - co chciałem sprawdzić? W zasadzie to samo: granice wolności - odpowiem. Jakie znowu granice? - zdziwi się ktoś. Granicą wolności jest zasobność twojego portfela - powie. Wolności masz ile chcesz, nie ma cenzury, cenzorów, cenzorskich zapisów. A czy poprawność polityczna nie jest nową formą zniewolenia? - spytam. I usłyszę, że nie. Poprawność to wyłącznie etykieta. A czy ona komuś służy, chroni czyjeś interesy? Usłyszę, że nie. Ona służy po równo wszystkim. A jeśli zajdzie konflikt między prawem - choćby cywilnym - a tą poprawnością, to co się wówczas stanie? - pytam. Nic, bo taka sytuacja jest niemożliwa.

Wyszło mi, że jest inaczej. I choć wiem, że w dobie dominacji mainstreamowych mediów przekonanie kogoś do racji innych niż te, jakimi został nadrukowany, jest niemal niemożliwe, zdecydowałem się na opisanie przebiegu mojego mini-testu. Trochę także dlatego, że powstanie alternatywnego obiegu, jego pierwsze sukcesy i pączkowanie, dają piszącemu poczucie swobody, tekstowi szanse zaistnienia,

a w moim starzejącym się mózgu jakieś intuicyjne poczucie, że coś podobnego jakby już przerabiałem... I to nie jest żadne *déjà vu*! Nie jest to bowiem poczucie, że aktualna sytuacja wydarzyła się już kiedyś, w jakiejś nieokreślonej przeszłości. Czas potrafię dość dokładnie określić. Nie, nie. To nie żadne *déjà vu*; raczej zwykłe pamiętanie podobieństw społecznych nastrojów i klimatów obecnych, z tymi tuż przed powstaniem KOR-u, a może tuż po jego powstaniu. W każdym razie czas, gdy w prowadzonym przez tow. Gierka lokalu gastronomicznym, historia ogłosiła *closing time* - godzinę przed zamknięciem.

—

Powiozło mnie w jakiś nastrój podniosły, a tu nagle przypomniałem sobie tego Langa i tego czynownika z Telewizorni. Obu naraz. I znowu zaczęło mnie trzepać. Czuję, że jeśli w tym momencie nie skończę, to znowu będą wulgaryzmy, i to takie, że nikt normalny tego do końca nie doczyta. Zapisuję plik, wychodzę z Worda, wgniatam kciukiem przycisk i czekam, aż na ekranie pojawi się napis „Trwa zamykanie systemu”. *Closing time...*

JAN KRZYSZTOF KELUS

Od redakcji: Powyższy tekst Autor sporządził i rozesłał do wielu miejsc, po czym ukazał się on na kilku portalach internetowych. Jako jedyne miejsce publikacji w periodyku papierowym Autor wybrał „Nowego Obywatela”.

Książki, które każdy OBYWATEL powinien znać...

- niepoprawna politycznie publicystyka
- alternatywna ekonomia
- tradycje myśli społecznej
- radykalna ekologia



Gwiazdowski w „Solidarności”

Joanna i Andrzej Gwiazdowie w rozmowie z Remigiuszem Okraską

Obszerny zapis rozmów z legendami opozycji antykomunistycznej, wzbogacony o wybór unikalnych materiałów dotyczących ich życia. Wśród tematów PRL, Wolne Związki Zawodowe, „Solidarność”, stan wojenny, „okrągły stół” i III RP. W barwnych, pełnych anegdot opowieściach sporo jest opinii zwanych kontrowersyjnymi, i to dla wielu uczestników życia publicznego, nie tylko tych, z których krytyką Gwiazdowie są kojarzeni.

Do książki dołączono płytę DVD z filmem o niezależnych obchodach 25. rocznicy powstania „Solidarności”, współorganizowanych m.in. przez J. i A. Gwiazdów oraz „Obywatela”.

512 stron plus 32 strony wkładki zdjęciowej oraz płyta DVD

Cena 44 zł – u wydawcy • 49 zł – w księgarniach



„Braterstwo, solidarność, współdziałanie” – Edward Abramowski

Po raz pierwszy w historii w osobnym tomie zebrane wszystkie artykuły Abramowskiego poświęcone kooperatyzmowi, współpracy, stowarzyszeniom, oddolnym inicjatywom społecznym, w tym kilka niepublikowanych od roku 1938! Legendarny polski myśliciel przypomniany po latach. Jako bonus unikatowy artykuł Jana Wolskiego „Z przemówień Edwarda Abramowskiego” oraz obszernie postłowie Remigiusza Okraski.

280 stron

Cena 24 zł – u wydawcy • 29 zł – w księgarniach



„Świat według Monsanto” – Marie-Monique Robin

Zapis szokującego śledztwa dziennikarskiego na temat działalności wielkiego koncernu biotechnologicznego. Autorka opierając się na bogatej dokumentacji (relacje świadków, „odzyskane” ściśle tajne pisma itp.) przedstawia agresywne praktyki korporacji będącej największym producentem roślin modyfikowanych genetycznie (GMO). Do publikacji dołączona jest płyta DVD zawierająca cztery filmy poświęcone zagrożeniom związanym z GMO.

480 stron + płyta DVD

Cena 34 zł – u wydawcy • 39 zł – w księgarniach

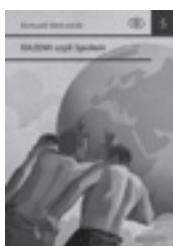


„Kultura a natura” – Jan Gwalbert Pawlikowski

Pierwsze w historii wznowienie całości unikatowego tekstu pierwotnej edycji książki „Kultura a natura” z roku 1913 – pionierskiego w Polsce manifestu ochrony przyrody. Oprócz niego książka zawiera dwa inne ważne teksty tego autora – „Tatry parkiem narodowym” (1923) i „W obronie idei parku narodowego” (1936), a także obszerną przedmowę Remigiusza Okraski. Poznaj tradycje polskiej myśli ekologicznej!

150 stron

Cena 17 zł – u wydawcy • 19 zł – w księgarniach



„Razem! czyli Społem” – Romuald Mielczarski

Wybór najważniejszych tekstów współtwórcy i wieloletniego lidera nowoczesnej spółdzielczości spożywców w Polsce, poświęconych jej zasadom, wizjom i celom. Zawarte w nim artykuły nie były wznawiane od roku 1936! Towarzyszy im jedna z najbardziej szczegółowych prezentacji biografii autora, jakie kiedykolwiek opublikowano, pióra Remigiusza Okraski.

164 strony

Cena 18 zł – u wydawcy • 20 zł – w księgarniach

Zamawiając dwie książki zapłacisz o 2 zł mniej za każdą z nich, przy zakupie trzech – o 3 zł taniej za każdy egzemplarz, jeśli weźmiesz wszystkie – otrzymasz rabat w wysokości 4 zł od ceny każdej pozycji. Do każdej wysyłki dołączamy drobny podarek od redakcji „Nowego Obywatela”.



Wpłaty przyjmujemy na konto:
Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta:
78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Zamówienia w Internecie:
nowyobywatel.pl/sklep

Kontakt:
tel.: 42 630 22 18
e-mail: sklep@nowyobywatel.pl

NASZE TRADYCJE

DŁUGIE I MOCNE KORZENIE NASZYCH IDEI

Idea i cel samorządności szkolnej

Józef Wójcik

Szkola o tyle ma wartość, o ile przygotowuje do życia; nauczanie, które jest słowem, jest absolutnie bezcelowe: słowo bowiem jest tylko symbolem, a życie jest rzeczywistością.

Binet

Zagadnienie samorządu uczniowskiego od dawna absorbuje poszczególne jednostki spośród, a nawet i spoza nauczycielstwa zarówno u nas, jak zagranicą. Dyskutowano nad tym zagadnieniem na łamach prasy pedagogicznej, poświęcono mu całe rozprawy, bądź obszernie rozdziały w dziełach pedagogicznych, niekiedy ostro krytykując, częściej jednak je polecając i zachęcając ogół nauczycieli-wychowawców do wypróbowania tego środka.

Przeciwnicy samorządu twierdzili, że osłabia, pomniejsza autorytet nauczyciela-wychowawcy, że rozluźnia karność i dyscyplinę szkolną, sprzyja rozpolitykowaniu młodzieży, wprowadza do szkoły anarchię itd., itd. Zwolennicy podkreślali dodatnie znaczenie samorządu dla kształcenia samodzielności ucznia, jego woli, charakteru, uczuć i cnót społecznych. [...]

Cóż więc ma być pobudką do wprowadzenia samorządów uczniowskich do wszystkich szkół naszych i nie „na próbę”, krócej lub dłużej trującą, ale na stałe, jako systemu wychowawczego i na dziś jedynego, bezkonkurencyjnego. Odpowiedź tu będzie krótka:

- 1) współczesne życie społeczne i państwowe (nasze koniecznie);
- 2) psychika dziecka, zwłaszcza dziecka polskiego.

Minęły bezpowrotnie te czasy, kiedy wola jednostki była źródłem prawa dla ogółu, dla milionów, kiedy te miliony od dziecka przyzwyczajano do wykonywania bez szemrania woli swego pana-monarchy, króla czy cesarza. Szkoła ówczesna przygotowywała młodzież do życia przez wpajanie, wszczepianie w nią cnoty posłuszeństwa dla osoby „najjaśniejszego pana”, którego władza nad poddanymi pochodziła z nieba, od Boga. Śmiałek, który miał odwagę powątpiewać o mądrości i nieomyślności władzy i jej boskim pochodzeniu, narażał się

na najsurowszą karę, surowszą niż za kradzież czy inne tego rodzaju przestępstwo.

Prawo krytyki tych zarządzeń nie istniało, chyba gdzieś w podziemiach, w ukryciu, jako konspiracja, a więc bezprawie. Zdanie poddanego, jako jednostki prawnej, nie było brane pod uwagę, gdy wydawano jakieś nowe zarządzenie, nowe prawo. Cnotą obywatelską było spełnianie polecenia czy zarządzenia bez dyskusji i bez krytykowania intencji prawodawcy. Odpowiedzialność za wydane prawo czy zarządzenie ponosił prawodawca wobec Boga, ale nie wobec poddanych. Ten, kto czuł niesprawiedliwość prawa w stosunku do swej osoby, mógł swe cierpienia, swą krzywdę ofiarować Bogu i prosić Go o sprawiedliwość i zmiłowanie na tamtym świecie, po śmierci.

To bezpowrotne wczoraj. A czym się ono różni od chwili obecnej, od dzisiaj? A tym przede wszystkim, że dziś źródłem prawa jest wola ogółu. Ogół obywateli jest prawodawcą dla jednostki, nawet najwyższej postawionej w hierarchii społecznej, a jednostka, jako część tego ogółu, biorąc udział w tworzeniu prawa bezpośrednio lub pośrednio, bierze jednocześnie na siebie odpowiedzialność za celowość i użyteczność tego prawa. Jeżeli więc dzisiaj w państwie demokratycznym jakieś prawo daje się we znaki obywatelom, to im nie wolno narzekać na jednostkę, powołaną również przez ogół do wykonania i tylko do wykonania tego prawa; oni sami, względnie wybrani przez nich przedstawiciele, mogą uchylić istnienie prawa krzywdzącego ogół. Nie minister więc ponosi winę za istnienie tego czy innego prawa w państwie demokratycznym, ale Sejm, a więc wola ogółu obywateli, która to prawo ustanowiła.

Nowe warunki życia wymagają nowego człowieka, którego dopiero wychować potrzeba, którego wychować musimy, jeżeli chcemy utrzymać zdobytą nową formę życia państwowego. Obecnie bowiem mamy stare treści w nowej formie, do niej niedopasowane, z nią skłócone, i wyjście z tej sytuacji prowadzi albo do wyrzeczenia się nowej formy na korzyść starej, albo do pozyskania nowej treści dla nowej formy. Ponieważ pierwsze wyjście jest niemożliwe, bo do tego nie dopuści dzisiejszy duch czasu i ogólne uświadomienie społeczne i polityczne szerokich mas, przeto pozostało wyjście drugie, to jest wychowanie człowieka w duchu potrzeb demokratycznych.

Jeżeli to uczynimy punktem wyjścia, wówczas samorząd uczniowski stanie się systemem powszechnym, chlebem codziennym; bo jak nie nauczymy się pływać, przyglądając się z brzegu rzeki, jak inni pływają, nie nauczymy się tańczyć, przyglądając się, jak inni tańczą, chodzić – przyglądając się, jak inni chodzą, tylko musimy sami próbować pływać, tańczyć czy chodzić, początkowo nabijając nawet guzy, ale stopniowo nabierając wprawy i doświadczenia



aż do kompletnego wydoskonalenia każdej z tych umiejętności. Nie nauczymy się żyć w duchu zasad demokratycznych, jeżeli będziemy biernymi obserwatorami, jeżeli będziemy tylko patrzyli, jak inni żyją, lub jeżeli będziemy wysłuchiwać całej masy pogadanek, jak się żyć powinno.

Dzisiejszy obywatel, w przeciwieństwie do „wczorajszego”, po dojściu do pełnoletniości ma prawo i obowiązek obywatelski wybierać i być wybranym do piastowania przeróżnych godności i urzędów. Trzeba, żeby ten obywatel dzisiejszy już od dziecka do godnego piastowania powierzonych sobie obowiązków prywatnych i publicznych starannie i pilnie się przygotowywał i nie „na próbę” tylko, ale na serio, bo człowiek, jak mówi James, „jest chodzącym zespołem nałogów”, które najłatwiej powstają i utrwalają się w najwcześniejszym okresie życia i które dadzą się podzielić na dobre i złe, pożądane i niepożądane. Zadaniem więc szkoły i wychowania jest unikanie złych nałogów, a wprowadzanie do natury dziecka pożytecznych. Dobre, pożyteczne nawyki, nabędzie dziecko wtedy, gdy każde wyobrażenie pożyteczne z punktu widzenia społecznego, każdą myśl i uczucie nauczy się przetwarzać w czyn. Znakomity pedagog i socjolog amerykański John Dewey tak mówi o wartości nauki: „Tylko ta nauka ma wartość, która pozwala uczniowi zrozumieć jego środowisko społeczne i daje mu możliwość poznać, w jakim stopniu jego zdolności mogą oddawać usługi społeczeństwu”. [...]

Ideąlem człowieka na „dziś” jest człowiek-społecznik w najlepszym i najszerszym tego słowa znaczeniu. W Polsce ten ideał piastowany jest od

SKĄD SIĘ BIORĄ OBYWATELE?

Gdyby serio potraktować slogany obecne w debacie publicznej, należałoby uznać, że żyjemy w demokratycznym raju. „Społeczeństwo obywatelskie”, któremu poświęcono tysiące rozpraw, analiz, artykułów, wykładów i przemówień oraz miliony złotych, euro, dolarów i innych walut w postaci dotacji na jego „krzewienie” czy „propagowanie”, ma się znakomicie na gruncie teoretycznym. W praktyce – niekoniecznie.

Jeśli odrzucimy życzeniowe zaklęcia, a zejdziesz na twardy grunt faktów, może okazać się, że w Polsce „społeczeństwa obywatelskiego” właściwie... nie ma. Owszem, mamy przeróżne inicjatywy czy to całkiem oddolne i spontaniczne, czy to na różne sposoby „animowane” i „wspierane” przez rozmaite instytucje, ale trudno mówić o istnieniu silnej, prężnej, utrwalonej tkanki aktywności społecznej. Czy weźmiemy pod uwagę frekwencję w wyborach władz różnych szczebli, czy częstotliwość uczestnictwa w działaniach organizacji pozarządowych, czy udział w życiu takich podmiotów, jak choćby spółdzielnie mieszkaniowe (w tego rodzaju lokalach zamieszkuje jednak kilka milionów Polaków), nasz kraj sytuuje się zazwyczaj w końcówce państw Europy.

Można to oczywiście wyjaśniać na wiele sposobów, poczynając od zaszłości historycznych, przez brak ukształtowanej „kultury obywatelskiej” oraz zjawiska kulturowe (zachłystnięcie się konsumpcjonizmem) i ekonomiczne (walka o przetrwanie ogranicza możliwość innej, niepłatnej aktywności), a kończąc na przeróżnych kwestiach patologicznych (lokalne czy „branżowe” sytuacje, które zniechęcają do działania, konserwując status quo) czy natury systemowej, jak niedorozwój instrumentów udziału w życiu publicznym lub brak przełożenia postaw ludzkich na decyzje i procesy społeczne (modelowym wręcz przykładem „dezaktywacji” społeczeństwa może być niedawne całkowite zlekceważenie 1,5 miliona podpisów obywateli pod żądaniem referendum w sprawie podwyższenia wieku emerytalnego). Tak, wyjaśniać można, a nawet trzeba, aby nie popaść w ton narzekactwa i kompleksów spod znaku wywodów, że Polacy są tacy straszni, nie to co ci wspaniali ludzie na Zachodzie, ulepieni jakoby z lepszej gliny. Jednak nam potrzeba nie tylko wyjaśnień, ale przede wszystkim zmiany niekorzystnych trendów.

Tymczasem jak na dłoni widać, że ze wspomnianej wielkości odgórnego wspierania i animowania społeczeństwa obywatelskiego, zazwyczaj



© Oskar Annemarken, <http://www.flickr.com/photos/oskarannemarken/6900638980/>

czasów Komisji Edukacyjnej, która nam w testamencie przekazała, by z dziecka wychować człowieka, któremu w społeczeństwie będzie dobrze i z którym społeczeństwu też ma być dobrze. Oto ideał, oto cel, do którego szkoła polska dzisiaj winna dążyć, i trzeba stwierdzić, że życie szkolne przewybornie nadaje się do zrealizowania tego celu. Autor znanego dzieła „Uczeń i klasa”, prof. Bohdan Nawroczyński, mówi: 1) „organizacja szkolna w wyjątkowy sposób sprzyja kielkowaniu i wzrostowi życia społecznego wśród grup młodzieży, stanowiących klasy szkolne, 2) poczynając mniej więcej od 10. roku życia, zdolności społeczne młodzieży szkolnej są już do tego stopnia rozwinięte, iż wytwarzają w niej żywiołowe dążenia do rozszerzania się i tworzenia organizacji, po 3) wskutek tego uczniowie jednej klasy albo stanowią grupę społeczną, obdarzoną świadomością zbiorową, a nieraz nawet z wyraźnie zarysowaną indywidualnością, albo też są bardzo podatnym do utworzenia takiej grupy materiałem i po 4) przy sprzyjających warunkach uspołecznienie klasy szybko wzrasta, tworząc niejako sklepienie nad ośrodkowymi dążeniami jednostek, drobniejszych ugrupowań. Nad tym sklepieniem może wystrzelić wreszcie ideał, przyświecająca całej klasie szkolnej”.

Popęd kolektywny, pobudzający dzieci do zrzeszania się i podejmowania wspólnych zadań, może iść, a nawet idzie w dwóch kierunkach – dodatnim i ujemnym, a zawsze tworzy się nałóg, który jest regulatorem dalszego życia osobnika. O ile szkoła zignoruje istnienie i siłę tego popędu, znajdzie on ujście dla siebie przy pomocy innych czynników,

jak złego otoczenia, ulicy itp. Inaczej będzie, gdy szkoła zorganizuje warunki, które pozwolą, temu naturalnemu popędowi kolektywnemu stać się z czasem świadomą i pożyteczną siłą społeczną. [...] Jak widzimy, pobudką do organizowania samorządów uczniowskich wcale nie muszą, nie powinny być jakieś czynniki sztuczne, zewnętrzne, jakaś bezmyślna mania naśladowania cudzych wzorów, ale powinny i muszą tu być uwzględnione czynniki natury psychologicznej, społecznej, państwowej i ogólnoludzkiej, czynniki przepotężne i wieczne, bo naturalne. [...]

Im wcześniej dziecko zacznie żyć w gromadzie zorganizowanym życiem zbiorowym, tym silniejsze będą te nagi, tym słabsze instynkty egoistyczne. Praca społeczna staje się przyzwyczajaniem, cechą trwałą całego ogółu, jak cechą ogółu może być brak zainteresowań do spraw ogólnych, o ile ten ogół w młodocianych latach swego życia nie był dopuszczany do czynnego udziału w zaspakajaniu swych potrzeb, o ile o wszystko troszczyli się, o wszystkim myśleli starsi. [...] okres impulsywnych, potężnych, a bezinteresownych, bo wrodzonych popędów mija wraz z okresem młodzieńczym. Kto nie potrafił z niego skorzystać, wychował nicponia, i odpowiedzialnym tu winien być wychowawca, a nie nicpoń. Może być wynik jeszcze gorszy – wychowanie może dać społeczeństwu „trutnia”, który nie pracuje dla powiększania zasobów społecznych, tylko jest zwyrodniałym zjadaczem chleba. I tutaj też wina spada na szkołę i w dużej mierze na rodziców. A dzieje się to przeważnie tak: mamy sporo dzieci tzw. dobrze wychowanych, którym nianie, mamy, ciocie i wiele, wiele innych bardzo życzliwych bliźnich stale mówią: „Tobie nie wypada krzyczeć, nie wypada włączyć na drzewo, nie wypada, nie wypada...”. Lata mijają, i to się powtarza wciąż, a co **wypada robić**, to mówi się bardzo rzadko, a jeżeli się mówi, to przeważnie tak: „wypada być grzecznym, spokojnym chłopcem, ładnie się kłaniać, ślicznie dziękować, rączki całować” itd. Mija okres silnych naturalnych popędów, ale nie miały one możliwości stać się siłą świadomą, energią twórczą, wolą żelazną, charakterem nieposzlakowanym. Wszystko to „wyschło”, zmarniało. Został żyjący, chodzący manekin, truteń. Taki jest jeszcze gorszym od nicponia, bo ten ostatni może się „nawrócić”, może stać się pożytecznym, gdy przestanie robić źle, a zacznie robić dobrze. „Nicponia” na to stać, bo on jest czynny, energiczny, przedsiębiorczy, silny – wystarczy tylko zmienić kierunek wyładowania tej energii, a otrzymamy typ dodatni; „trutień” to na całe życie – trup...

Czyta się czasami, że gdzieś zaprowadzono w szkole samorząd, bo szwankowała tam karność... Chłopcy sami dobrowolnie wyrzekają się swych naturalnych praw, stają się grzecznymi, posłusznymi, cicho siedzą na lekcjach, cicho i przyzwyczajają się do lekcji. To zasługa samorządu.



©© Megan Skelly, <http://www.flickr.com/photos/collyblom/5942921330/>

Sami sądzą i wydają wyrok na kolegę, o ile ten nie stosuje się do opracowanego regulaminu. Rada Pedagogiczna szczyci się takimi wynikami. A mnie się zdaje, że tu zaszło grube nieporozumienie, że tu wzięto środek za cel, że takie uproszczenie sprawy mocno jej szkodzi i ją komplikuje. Bo zważmy tylko. Jeżeli naczelnym zadaniem samorządu ma być wzmocnienie rozluźnionej karności, jeżeli chłopcy sami będą pracowali nad „unieruchomieniem” pragnącego być czynnym „motoru”, to będzie zupełnie naturalną rzeczą, że ten lub ów chłopak „śmielszej natury” wybuchnie przy okazji i wejdzie w kolizję z ustalonym porządkiem; będzie też naturalną rzeczą, że taki samorząd może istnieć parę miesięcy, rok ostatecznie, dając „dobre wyniki”, ale dłużej już to trwać nie może, bo zabraknie wreszcie materiału odżywczego, zabraknie soków żywotnych. Próba się udała, i można sobie dać z nią spokój.

Jeżeli zaś samorząd pojmujemy szerzej, to punkt ciężkości racji jego istnienia przeniesiemy właśnie na **uruchomienie motorów działania** na boisku, w ogrodzie, przy warsztatach przeróżnych, na wybiegach, w klasie oczywiście też, na korytarzu, na podwórku, na sali gimnastycznej, jednym słowem, wprowadzimy ład tu, gdzie panował bezład, ale tylko w tym celu, żeby owemu „motorowi” **umożliwić** intensywniejszą pracę. Wszak na to trzeba wysiłku lat całych, a nigdy nie zabraknie „materiału odżywczego”, przeciwnie, on stale rośnie, powiększa się. Karność wtedy zmieni się w swą najistotniejszą treść, mianowicie zniknie strach i lęk przed prawem, którego twórcą była jednostka, a rozwinie się poszanowanie prawa, którego twórcą będzie **ogół**.

I od razu trzeba tu zaznaczyć, że do poszanowania prawa, źródłem którego jest wola ogółu, prowadzi droga długa i żmudna, że tu potrzebne długie lata pracy całego zespołu nauczycielskiego i dzieci oraz ich rodziców. [...]

Rada Pedagogiczna – to mózg zbiorowy całego organizmu, jakim jest szkoła. Trzyma ona rękę na pulsie całej pracy, obmyśla dla niej kierunek i szuka środków i pomocy, niezbędnej dla jej zrealizowania. Nic tu nie trzeba „nadawać” i nic kasować, bo w ciągu kilku lat system ten wchodzi w krew ogółu, tj. uczniów i nauczycieli tak, że wszystko inne byłoby anarchią i dezorganizacją. System ten jest wprost naturalnym wynikiem wspólnego pożycia na wspólnym terytorium pod wspólnym dachem gromady ludzkiej, której każda jednostka czuć się chce, czuć się powinna i czuć się musi współtwórcą szczęścia, dobra i pomyślności całej gromady. Użyłem tu wyrazu „musi”. Nie chcę, żeby czytelnik rozumiał inaczej jego znaczenie, niż ja, i dlatego króciutkie wyjaśnienie.

Najistotniejszym zagadnieniem w życiu zbiorowym ludzi dorosłych w ustroju demokratycznym jest powszechne zrozumienie, czego od każdego z nas wymaga dobro ogólne, bez względu na to, czy każdemu pojedynczemu obywatelowi to dogadza; nikomu np. nie dogadza płacenie podatku, ale chodzi o to, aby wszyscy rozumieli, że to jest konieczność, bez której nie da się pomyśleć utrzymanie państwa, bezpieczeństwa życia i mienia poszczególnego obywatela oraz należyte funkcjonowanie całego aparatu państwowego; to konieczność, bez której w ogóle nie ma życia w kulturalnej i cywilizowanej organizacji, jaką jest państwo. Chyba gdzieś, gdzie człowiek mógłby żyć luzem, w pojedynkę, tam nie byłoby wymiaru podatkowego, ale tam nie byłoby w ogóle prywatnej własności, i silniejszy bezkarnie zabierałby wszystko, nawet życie słabszemu. W społeczeństwach zorganizowanych świadomość oddania części swego majątku dla zabezpieczenia reszty istnieje u większości obywateli, i mniejszość, nie uznająca tego, będzie zmuszona uszanować wolę ogółu, wolę większości. To samo w szkole, na sejmikach klasowych i ogólnych omawiane są potrzeby, wyczuwane i uznawane przez większość. Wniosek, który na Sejmiku nie uzyska większości, przepada, ale wniosek, przyjęty przez większość, obowiązuje mniejszość wbrew jej woli, i to ma wielką wartość wychowawczą. Nauczyciel ma możliwość „opozycyjnej mniejszości” wykazać na przykładach z historii własnego narodu czy z historii powszechnej, że tak być powinno. Nauczyciel, domagając się wykonania uchwalonego wniosku, występuje w roli stróża prawa, którego źródłem jest wola większości, nie wola jego jako jednostki, i nie wola mniejszości. Dzieci doskonale zdają sobie z tego sprawę i otaczają nauczyciela jeszcze większym szacunkiem, i tym

odbywających się w ramach kolejnego unijnego, ministerialnego czy jeszcze innego „priorytetu działania” (sam ten bełkot skutecznie zniechęca do aktywności), wynika doprawdy niewiele, szczególnie gdy chodzi o inicjatywę i postawy długofalowe, autentyczne i „żywe”. Świadczą o tym zarówno wspomniane kiepskie wskaźniki zaangażowania społecznego w Polsce, ale także szara rzeczywistość tzw. sektora pozarządowego. Kto choć otarł się o ów świat, częściej dostrzeże w nim marazm, rutynę i poczynania dostosowane do oczekiwań aktualnych sponsorów, niż faktyczną energię i kreatywność różnych środowisk. Skąd się zatem mają brać obywatele?

Odpowiedzi jest wiele, zresztą nasze czasopismo podejmuje tę tematykę – również w obecnym numerze – wielostronnie i konsekwentnie od lat. Warto jednak przywołać taką płaszczyznę formowania postaw pro publico bono, która jest zarazem wręcz oczywista, a jednocześnie w Polsce AD 2012 niemal zupełnie zaniedbana lub sprowadzona do postaci atrapy. Mam na myśli kształtowanie etosu zaangażowania społecznego, aktywności obywatelskiej od momentu, gdy człowiek może świadomie przyswajać takie wartości. Mówiąc krótko – chodzi o samorząd uczniowski.

W niniejszym numerze przypominamy, że jest to zjawisko o głębokich korzeniach, rozwijające się dynamicznie wiele lat temu i angażujące wysiłki mnóstwa osób, w tym nierzadko postaci naprawdę wybitnych. To zresztą kolejny paradoks. Żyjemy w czasach, które traktujemy jako niezwykle demokratyczne i liberalne w rozumieniu społeczno-politycznym, nierzadko przeciwstawiając je niegdyśszym „ciemnym epokom”. Jednak nasze zadowolenie jest zazwyczaj mocno na wyrost. Nawet jeśli wiele rozwiązań formalnoprawnych i instytucjonalnych stanowi dziś oczywistość i korzystamy z nich chętnie, to niemal zupełnie zatraciliśmy postawę wykraczającą poza to, co jest. *Status quo* uważamy za najlepszy system z dotychczasowych, albo wręcz za optymalny, sądząc, że właściwie wszystko już osiągnięto. Spoczęliśmy na laurach organizacyjnych i politycznych, a nawet intelektualnych.

Pomijając niewielkie środowiska apologetów myśli utopijnej, a skompromitowanej, jak komunizm, główny nurt kultury politycznej jest niezwykle konserwatywny. Konserwatywny w tym sensie, że poza innowacjami technicznymi nie pojawia się niemal żadna świeża i szerzej zakrojona koncepcja, która mówiłaby na przykład to, że wcale nie osiągnęliśmy optimum i że w kwestii takich wartości, jak demokracja-ludowładztwo, jest mnóstwo obszarów i dziedzin, gdzie można by dokonać znacznie więcej. Jeśli takie projekty i pomysły są dyskutowane, to w środowiskach marginalnych,

większym, im gorliwiej ten obowiązek nauczyciel spełnia. Oczywiście, nauczyciel musi szczerze kochać dziatwę, zarówno jako wesołą, bez troskę „dzisiejszość” oraz jako rosnące, zbliżające się „jutro”; musi serio traktować życie młodocianej gromady, być pobłażliwym dla drobnych uchybień, właściwych temu wiekowi, i nie wypływających ze złej woli, ale raczej z braku wszelkiej woli; musi pamiętać, że dzieci znakomicie czują, kiedy nauczyciel jest ich przyjacielem serio, a kiedy tylko sztucznym, udającym. Prawdziwemu swemu przyjacielowi dzieci pozwalają być bardzo wymagającym, nie przestając go darzyć swoją miłością i przywiązaniem, a to wszak jest tajemnicą owocności pracy naszej czy to jako nauczycieli, czy jako wychowawców. Organiczne zespolenie nauczyciela z klasą, to wielka siła pedagogiczna, to kres wszelkiej konspiracji, to wspólny przepotężny bojowy front, przed którym pierzcha wszelki wróg życia szkolnego, a więc lenistwo, nie dbałość, zła frekwencja itd. [...] Tego nie osiągnie najlepszy nauczyciel, jeżeli nie dopuści do czynnego udziału w życiu klasy i szkoły swego wychowanka, jeżeli nie uczyni go „obywatelem”, obarczonym obowiązkami i korzystającym z przywilejów, wrażliwym na wszystko, co się dzieje w szkole, chętnie i z wewnętrznej popędu niosącym w ofierze swą pomoc dobru ogólnemu, z ogniem w oczach opowiadającym rodzicom w domu, co się w szkole uchwalilo, co się zrobiło, co jeszcze zrobić trzeba i co zrobione być musi, bo tego wymaga dobro i honor klasy, honor szkoły. Później przyjdzie kolej i na honor ojczyzny, honor ludzkości.

Tylko w ogniu pracy dla dobra ogółu, w atmosferze wzajemnego szacunku i życzliwości rosną szlachetne charaktery, wielkie dusze, tu krzepnie i potężnieje wola do pokonywania coraz większych trudności, tu kształci się myśl, zrozumienie wartości zbiorowego wysiłku, roli jednostki w społeczeństwie, wielkiej wartości siły zorganizowanej zbiorowej, a więc państwa, siły, gwarantującej szczęście i dobrobyt słabej jednostki. Tu kształcą się skłonności tej jednostki do niesienia ciężarów na rzecz dobra ogólnego. Tego nie osiągniemy wygłaszając nawet najwznioślejsze pogadanki na temat, co to jest ojczyzna, a co jej winien obywatel, i co to jest wspólne dobro itd.

Józef Wójcik

Powyższy tekst to fragmenty wstępnych partii rozprawy „Samorząd uczniowski 29. Szkoły Powszechnej w Warszawie”, zamieszczone pierwotnie w książce W. Przanowski, M. Szczawińska, J. Wójcik – „Samorząd w szkole powszechnej (przykłady realizacji)”, Nakładem „Naszej Księgarni” Sp. Akc. Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, Warszawa 1928. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”.

Jak robią to inni?

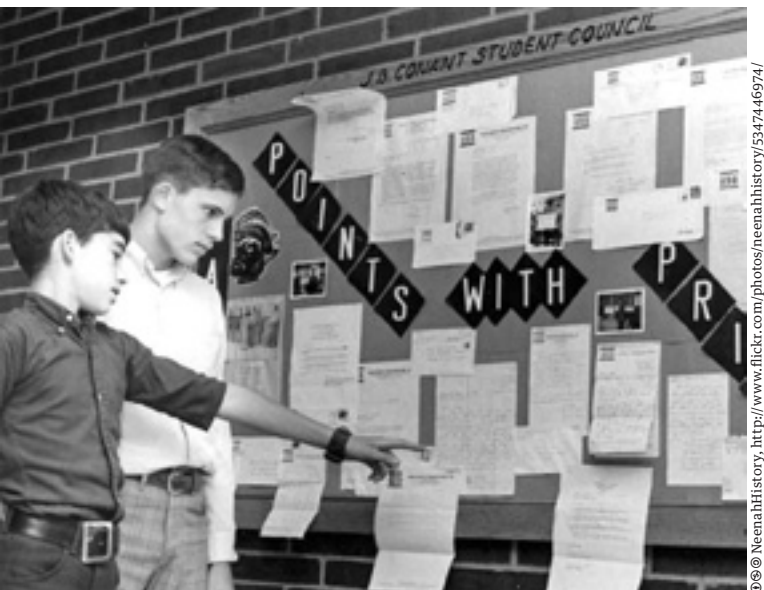
prof. Adolphe Ferrière

W Stanach Zjednoczonych, w George Junior Republic, spotkaliśmy jeden z najstarszych przykładów zastosowania w internacie systemu samorządu uczniów. Również w Stanach Zjednoczonych znajdujemy najbardziej rozpowszechniony wzór samorządu dla eksternatów.

Twórcą systemu, lub przynajmniej pierwszym jego organizatorem, jest Wilson Gill. [...] Uczynił nawet więcej; wprowadził bowiem swój system do kilkuset z górą college'ów na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych i Kanady aż do Kuby. Nie zamierzam przedstawiać tu szczegółów sławnego „systemu Gilla”. Rzecz naturalna, jest on w ustawach konstytucji szkolnych odbiciem ustroju państw amerykańskich. [...]

W Europie, niedługo przed wojną, dwa kraje poczęły wprowadzać u siebie powszechnie system samorządu uczniów. Trudno się domyślić, że były to Prusy nadreńskie i Austria. F.W. Foerster w dziele „Szkoła i charakter” podaje artykuł z „Gazety Kolońskiej”, opisujący ten system: trymestralne wybory urzędników, rozdział obowiązków, ustanowienie biura ogólnego, złożonego z „osób zaufania” wszystkich klas szkoły w wieku powyżej 14 lat. Wszystkie wewnętrzne czynności nadzoru nad zachowaniem się i czystością należą do tego biura i do jego prezidenta.

W Austrii inicjatywa wyszła od dr. K. Prodingera, dyrektora liceum w Poli. Wskutek zakorzenionych sporów między Włochami, Niemcami i Słowianami, upadł on na pomysł wprowadzenia od 1908 r. systemu samorządu. Rezultat był tak pomyślny, że grupy dawnych wrogów wzięły się do harmonijnej współpracy dla dobra swojej szkoły. W miejsce dawnych przesądów i wrogich nastrojów wzięło górę w obradach uczucie ludzkości, zgody i zdrowy rozsądek. Oto kilka zdań, wyjętych ze streszczenia pism Prodingera [...]



©©© NeenahHistory, <http://www.flickr.com/photos/heenahhistory/5347446974/>

„Uczniowie mają prawo głosowania i wybierają swych funkcjonariuszy i wyższych urzędników, a mianowicie: naczelnika gminy, sekretarza, prokuratora, członków rady i sędziów. Poza tymi urządzeniami stwarza się w miarę potrzeby inne, np. «radę zdrowia», komitet dla sportów, komitet dla uroczystości szkolnych, dla biblioteki itp. Rada ogólna i sędziowie zbierają się w stałych terminach, wydają zarządzenia i czuwają nad ich wykonaniem. Gmina ta, której bardzo szczegółowa konstytucja wzoruje się na ustroju państwa austriackiego, dzieli się na osiem okręgów, według ośmiu klas gimnazjum. Pierwszym jej zadaniem jest stosowanie wszelkich środków dla poprawy i uszlachetnienia charakterów swych członków, wydawanie praw, których celem jest dobro gminy oraz staranie o wymiar sprawiedliwości w każdym wypadku. Członkowie mają obowiązek wspierać wysiłki zarządu i pomagać mu w jego działalności”.

Powodzenie tego systemu było tak wielkie, że austriackie ministerstwo oświaty publicznej, na podstawie rozważań X Kongresu nauczycieli szkół średnich, który odbył się w 1910 r. w Wiedniu, oraz po kilkakrotnych wizytacjach gimnazjum Prodingera w Poli, poleciło jego system – nie narzucając go wszakże – wszystkim gimnazjom austriackim. Wiele z nich przyjęło go i było z niego zadowolonych. [...]

Nie mogę rozwodzić się nad niezliczonymi próbami, których dokonywano bezpośrednio przed wojną w wielu miastach niemieckich. Podaję jedynie, jako godną, zapamiętania, znakomitą organizację wyższej szkoły realnej we Frankfurcie nad Menem, pod dyktando dr. Maksa Waltera, oraz szkoły zawodowej w Monachium, której dyrektorem jest dr G. Kerscheneiner, autor dzieł pierwszorzędnej wartości, [...] z którym korespondowałem przed wojną, dostarczył mi, odnośnie do naszego zagadnienia, ogólnej bibliografii obejmującej z górą trzysta pozycji.

zaś wszyscy „poważni ludzie” odzégnują się od czegokolwiek, co mogłoby choć trochę ożywić obecny skostniały system.

Dlaczego o tym wspominam? Ponieważ samorząd uczniowski należał niegdyś do tych koncepcji, które wydawały się oczywiście nie tylko adeptom myśli, nazwijmy to ogólnie, postępowej, ale w zasadzie wszystkim stojącym na gruncie takich wartości, jak zaangażowanie obywateli w losy wspólnot lokalnych, regionalnych i narodowych czy państwowych. Natomiast dzisiaj w Polsce, jeśli samorząd uczniowski występuje, to zazwyczaj jako rutynowa atrapa – odbywają się wybory do samorządu szkolnego i na stanowisko „gospodarza klasy”, ale są to zazwyczaj „posady” reprezentacyjne lub z bardzo ograniczonym zasobem kompetencji decyzyjnych, w dodatku dotyczą wybranych jednostek, prawie nigdy nie stając się zaczynem postaw zbiorowych. Więcej w tym zabawy i „kursowości” niż – dostosowanych do wieku i poziomu rozwoju uczniów – prób ukształtowania w społeczności szkolnej ducha demokracji, zaangażowania, odpowiedzialności za wspólne dobro.

Dawne formy rozwoju samorządu uczniowskiego wynikały z oczywistej konstatacji: jeśli mamy wyrobić nawyki i postawy obywatelskie, to należy zacząć możliwie wcześnie oraz na takim gruncie, gdzie każdy, nawet pozbawiony szerszych horyzontów czy zainteresowań, może poznać i zrozumieć ich znaczenie dla samego siebie i wspólnoty, z którą jest związany. Czy był to żarliwy lewicowy utopista, czy stateczny centrysta, a nawet prawicowy wielbiciel „ładu i porządku”, rozumieli oni, że kształtowanie postaw prospołecznych u ludzi dorosłych będzie w wielu przypadkach już spóźnione i nieefektywne. W dodatku rozumiano, że państwo naprawdę demokratyczne nie polega li tylko na ustanowieniu praw, spisaniu zasad i epatowaniu wzniosłymi hasłami, lecz stanowi przede wszystkim efekt faktycznych postaw społecznych. Postawy te zaś nie biorą się znikąd. Stąd też samorząd uczniowski nie był traktowany ani jako dziwactwo, ani jako niezobowiązująca zabawa. Mnóstwo poważnych osób i instytucji traktowało go jako najlepszą szkołę demokracji „doroślej”. Trawestując słynną maksymę, rozumiano, że takie będą Rzeczypospolite, jakie młodzieży wychowanie w duchu samorządności.

Przypominamy trzy teksty dotyczące tej tematyki. **Józef Wójcik**, czynny pedagog, kierownik szkoły powszechnej nr 29 w Warszawie, definiuje podstawowe cele samorządu uczniowskiego. Choć zamieszczony przez nas fragment jego obszernej rozprawy ma charakter teoretyczny, stanowisko autora jest pokłosiem zaawansowanej praktyki. Cały tekst opisywał bowiem 8-letnie dzieje samorządu, i to w szkole grupującej głównie młodzież



© State Records NSW, <http://www.flickr.com/photos/state-records-nsw/3064653172/>

Wskazuje to, że idea ta rozwija się zarówno w teorii, jak i w praktyce. [...]

Próby demokracji szkolnej, czynione ostatnio w eksternatach angielskich, zdają się czerpać natchnienie głównie z doświadczeń uzyskanych w internatach [...]. J. H. Simpson wprowadził swój projekt w życie w klasie złożonej z 23 chłopców, w wieku od 13 do 18 lat. Uważa on, że każda klasa winna stanowić jednostkę społeczną. Wiedział, że nie powinno się uczniom narzucać gotowej konstytucji; konstytucja tylko wtedy jest użyteczna, gdy odpowiada samorodnym potrzebom i życzeniom dzieci lub młodzieży. Dlatego też ograniczył się do ustanowienia w swej klasie różnych funkcji dla możliwie największej ilości uczniów: bibliotekarza, dyżurnych na różnych lekcjach i dla różnych zajęć szkolnych, przełożonych najrozmaitszych spraw klasy, np. przewietrzania klasy itp. – i czekał. [...] Od tej chwili poprzez nieuniknione przeciwności, jakie napotyka żyjący organizm w pełni rozwoju, rozwija się załazek tej organizacji. „W praktyce nie ma szczegółów życia klasy, którymi by obywatele nie mogli się zająć swobodnie, wedle swego uznania; mogą oni powziąć według swej woli wszelkie postanowienia natury gospodarczej. Istnieją dla nich tysiące zagadnień o żywotnym znaczeniu: nie tylko są upoważnieni do wydawania praw w tej dziedzinie, lecz uważam to za rzecz zasadniczą”. [...]

Innego przykładu dostarcza E.A. Craddock, profesor języka angielskiego i francuskiego w średniej szkole politechnicznej w Holloway. Pełną władzę ma komitet uczniów, wybrany przez kolegów w wieku 11 do 14 lat. Profesor nie zajmuje się ani porządkiem, ani karnością, a system, jak się zdaje, działa

znakomicie. [...] Craddock uważa, że dla powodzenia ustroju demokratycznego jest konieczne wstrzymać się zupełnie od wszelkiej interwencji. Najmniejsze bowiem вмieszanie się z jego strony powoduje wypaczenie doświadczenia przez przesunięcie ciężaru odpowiedzialności i w ten sposób naraża na zniszczenie całej wartości zasadniczego trzonu systemu: rzeczywistego samorządu. A błędy? – zapytamy. Błędy są nadzwyczaj rzadkie. Uczniowie wybierają swych szefów bardzo trafnie. Ci zaś, którzy przez komitet zostali skazani, mogą, o ile uznają to za właściwe, odwołać się do ogólnego zgromadzenia klasy. Członkowie komitetu jednak wydają wyroki i skazują tak sprawiedliwie, iż wypadek taki prawie nigdy się nie zdarza. Pod tym względem mają oni znaczną wyższość nad dorosłymi: znają dokładniej charakter tych, których sądzą; dzięki wyborom zawisli są od kolegów, którzy powierzyli im funkcję wymagającą zaufania, i wiedzą, że opinia publiczna, która w razie błędu osądzi z kolei ich samych, jest nieprzejednana na punkcie sprawiedliwości i prawdy. Mało nauczycieli może się pochwalić taką znakomitą karnością, jaką uzyskuje komitet. Oszustwa są po prostu niemożliwe; chłopcy między sobą znają wszystkie kruczki i nie byłoby dobrze próbować wywieść w pole członków komitetu. [...]

W Paryżu Roger Cousinet, wielki znawca dzieci, mówił po raz pierwszy o systemie autonomii uczniów w „Société libre pour l'étude psychologique de l'enfant”. Belot postanowił bezzwłocznie przeprowadzić doświadczenie proponowane przez Cousineta, w kilku klasach swego okręgu. [...] Belot przedstawił wyniki doświadczenia: „Odpowiedziało 37 klas należących do osiemnastu szkół męskich i żeńskich, wszystkie z II i X dzielnicy. [...] 16 klas (12 męskich i 4 żeńskie) doszło do wyników mniej lub więcej przychylnych dla samorządu, 20 klas (10 męskich, 10 żeńskich) do ogólnego potępienia systemu lub do niekorzystnych rezultatów. Zdaje się, że powodzenie jego jest mniejsze u młodszych dzieci. Ogólnie sądzono, iż byłoby lepiej, rozpocząć doświadczenie z nowym rokiem szkolnym. Wysoka liczba dwunastu funkcji, rozdawanych co miesiąc między różnych uczniów, wymaga od nauczyciela zbyt wielkiego nadzoru; co do ilości funkcji należałoby zatem pozostawić pewną swobodę”.

Na pierwszy rzut oka zdaje się, iż jest więcej krytyki niż pochwał i że system potępiła większość wychowawców, którzy go próbowali. Rozważając rzecz z bliska, widzimy ze zdziwieniem, że tak nie jest. Skrytykowano i potępiono jedynie warunki doświadczenia: nowy system, stojący w sprzeczności z wszystkimi tradycjami szkoły paryskiej, narzucono wręcz bezwzględnie dzieciom, które były najzupełniej nieprzygotowane do urzeczywistnienia go. Nie tylko brak tu przygotowania, ale brak również okresu przejściowego, nie było żadnego

stopniowania, nie było przemyslanego zetknięcia się z trudnościami, które trzeba zwyciężyć. Rozpoczęło się rzecz w środku roku szkolnego. Żądało się, by wszyscy uczniowie, nawet najmniej do tego zdolni, spełniali funkcje wymagające zaufania, z których niejedna przedstawia przy wykonaniu wielkie trudności. Niektórzy wreszcie nauczyciele wierzyli naiwnie, że dla pełnej oceny systemu winni wstrzymać się niemal zupełnie od jakiegokolwiek wkraczania bez względu na to, co by się działo. A właśnie duchowy wpływ nauczyciela nadaje całą wartość samorządowi. Bez tej początkowej interwencji powstaje niemal nieuchronnie anarchia.

Najbardziej też należy podziwiać to właśnie, że paryskie doświadczenie nie doprowadziło do anarchii i że dzieci – i to często – wcale nieźle dawały sobie radę bez żadnego przygotowania; jest to wprost cud! Próbę tę tak źle rozpoczętą, której wyniki były mimo to pod wielu względami zachęcające, uważam, mimo niekorzystnych pozorów, za prawdziwy sukces systemu samorządu uczniów. [...]

Pozostaje mi wspomnieć o tym, co zrobiono w Szwajcarii. Nie ma roku, by jedna lub więcej szkół prywatnych lub publicznych nie wprowadziła tego systemu, te zaś, które go raz przyjęły, przeważnie go zachowują. To chyba dowód, że uznają go za dobry. [...] Pierwszorzędny materiał dowodowy stanowi dzieło, wydane po niemiecku, C. Burckhardta z Bazylei, który szkicuje nam żywo zdarzenia zaszłe w jego klasie, zorganizowanej w małą republikę. [...] Państwo – mówi pokrótce Burckhardt [...] – powierza nauczycielowi wychowanie i nauczanie młodzieży. Czy nauczyciel ma być monarchą absolutnym, czy konstytucyjnym? Zaletą absolutyzmu jest to, że upraszcza sprawę; jest on jednak wrogiem wszelkiego rozwoju; zabija wolę, bez której człowiek nie istnieje. Wola młodzieży musi mieć możliwość wyrażania się. Dobrze, a wola nauczyciela? Czy winna poddać się tamtej? Tak, gdy to, czego chce młodzież, jest dobre. Młodzież powinna najpierw wypowiedzieć swą wolę; nauczyciel sprzeciwi się jej dopiero wtedy, gdy schodzi ona na niebezpieczną drogę. W innych razach pozwólmy młodzieży mylić się czasem i przez własne doświadczenie znajdować dobrą drogę. W ten sposób osiągnie ona niezawisłość i zdolność osądzania. [...]

Jak postępował C. Burckhardt? Pierwsze przelanie władzy, na które się zgodził, polegało na przyznaniu klasie prawa samodzielnego mianowania przez nią tygodniowych dyżurnych. Prawo głosu jest tu jednakie dla wszystkich; to ośmieliło słabszych i wszyscy poczuli, iż są częścią zbiorowości. Od tej chwili zmieniły się stosunki między nauczycielem a uczniami: nauczyciel przestał być istotą innego gatunku. Wkrótce zaczyna on odczuwać coraz silniej przywiązanie i wdzięczność uczniów. Powierzenie klasie mianowania dyżurnych uchodzi

ze środowisk „trudnych” i „zaniedbanych”, a mówiąc wprost – z ubogich rejonów warszawskiego Powiśla. Nie są to więc mrzonki lekkoducha, lecz efekt przemysłu na bazie bardzo konkretnych, nieraz niełatwych doświadczeń. Ich autor mówi nam przede wszystkim, że choć samorząd uczniowski nie jest (jeszcze) powszechnie stosowany, to bez jego wcielenia w życie wśród ogółu szkół trudno będzie o wyrobienie postaw obywatelskich w Polsce.

Kolejny tekst, **Adolpha Ferrière**, przedstawia natomiast wybrane przykłady zastosowania idei samorządu w szkolnictwie kilku krajów, na które Polacy zazwyczaj są zapatrzeni jeśli chodzi o trendy kulturowe i społeczne. Ferrière, wybitny szwajcarski pedagog, wtedy i dzisiaj zaliczany do grona najważniejszych postaci w dziedzinie rozwoju oświaty, opisuje pokrótce najciekawsze lub prekursorskie przykłady samorządu uczniowskiego, opatrując je także uwagami natury ogólnej, wykraczającej poza kontekst opisywanych krajów. Z jego dzieła, liczącego ponad 250 stron drobiazgowych opisów samorządności szkolnej w wielu państwach i typach placówek edukacyjnych, mogliśmy przedrukować zaledwie drobny wycinek, jednak i on mówi, że wdrażanie uczniów w postawy obywatelskie i prospołeczne nie było jakąś fanaberią czy dziwacznym eksperymentem, lecz znaczącym ruchem społecznym o wartościowych rezultatach.

Trzeci tekst, autorstwa **Adama Zieleńczyka**, dotyczy polskich realiów samorządu szkolnego. Z obszernej rozprawy wybraliśmy fragmenty streszczające najważniejsze wyniki badań. Otóż na przełomie lat 20. i 30. Międzynarodowe Biuro Wychowania w Genewie prowadziło w krajach Europy badania ankietowe systemu edukacji. W Polsce objęto nimi aż 400 szkół różnego typu, a zebrane wyniki pozwoliły Zieleńczykowi na szeroką analizę zjawiska. Otrzymujemy zatem swoisty reflektor skierowany na to zjawisko, jego skalę i efekty – mówią one m.in., że skutki wprowadzenia samorządu były zazwyczaj bardzo pozytywne.

Dwie kwestie warto podkreślić. Po pierwsze, samorząd był naprawdę samorządem. Każdy z autorów podkreśla, że nie chodzi tutaj o odgórne upojenie uczniom jakichś zasad i przekonań. Nie ma „wkuwania” na podobieństwo przyswajania wzorów matematycznych czy reguł gramatyki. Jest to demokracja na serio, samorządność posunięta jak najdalej tylko pozwalają ramy społeczności szkolnej; mamy tu wręcz przestrogi przed niepotrzebnymi, paternalistycznymi ingerencjami w to, jak dzieci i młodzież będą się rządzić. Widać zatem, że samorząd uczniowski nie był traktowany przez pedagogów instrumentalnie. To, co rzuca się w oczy, zwłaszcza na tle dzisiejszego skostnienia

za akt zaufania. Drugie stadium: poruszono sprawę, jak długo mają trwać mandaty dyżurnych: powstaje dyskusja, protokoły. Z wolna formuje się reguła przystosowana do potrzeb. Nauczyciel niczego nie narzuca. Duży zysk przedstawia ustalenie reguł, który jest zawiazkiem konstytucji, odpowiada on samorządnej potrzebie działania uczniów i w ten sposób zadowala ich głęboki instynkt. Daje im odczuć, że nie podlegają żadnemu naciskowi pochodzącemu z zewnątrz. Charaktery występują na jaw. Wiele dzieci, u których dotychczas zauważano tylko brak uzdolnień, objawia swą indywidualność. W całej zaś tej działalności nie ma celów egoistycznych: jest ona na służbie zbiorowości. [...]

System samorządu, przeciwstawiając się dążeniom indywidualistycznym lub egoistycznym, które w szkołach panują jeszcze zbyt niepodzielnie, sprzyja tendencjom społecznym. Tendencje indywidualistyczne oddalają jednostki od siebie, zamiast zbliżać je i jednoczyć. A czyż szkoła nie powinna być laboratorium przyszłych obywateli, instytucją, w której się oni przygotowują do wypełniania obowiązków względem społeczeństwa i państwa? Z ustrojem samorządowym wkracza do szkoły życie. Nie ma już tu rywali, przeciwników, siedzących obok siebie, ale są koledzy, dzielący to samo życie, te same smutki i radości. Powstaje wspólne organizowanie się. Zbiorowość bowiem wymaga organów dla zredagowania powyższych decyzji, strzeżenia prawa, ułożenia stosunków z nauczycielem. Miło jest widzieć, w jakim stopniu panujący nastrój sprzyja samemu nauczaniu. Zdolniejsi pomagają słabszym, ustala się współpraca. W miarę jak znika fałszywy indywidualizm, okazuje się i rozwija u każdego prawdziwa indywidualność. [...]

System ten przedstawia jeszcze inną korzyść; wychowując dziecko na czynnego i świadomego rzeczy obywatela w przyszłości, zbliża je do wielkiego społeczeństwa dorosłych. Promienne wspomnienie małej republiki szkolnej będzie mu w przyszłości towarzyszyć w prawdziwej republice. Miłość kraju rodzinnego otrząśnie się z wszelkiego szowinizmu, nie będzie już ona sentymentalnym nastrojem mniej lub więcej biernym, lecz przybierze czynną formę spontanicznej współpracy. Z tego względu wyrobienie poczucia odpowiedzialności znaczy to samo, co wychowanie obywatelskie. Mały obywatel, żyjąc od wczesnej młodości życiem demokratycznym, nauczy się myśli politycznej. Z doświadczenia pozna wartość rozmaitych ustrojów; przeszedł bowiem przez wszelkie stadia życia obywatelskiego, poczynając od biernej roli poddanego do niezawisłego obywatela, który z równymi sobie stanowi o sprawach publicznych. Dlatego też będzie się żywo interesował światem przyszłości. Nie owaładnie nim prasa ani opinia publiczna; gdy będzie potrzeba, potrafi stać im czoło. A gdy później uzna się za pożądane



©© theirhistory, <http://www.flickr.com/photos/22326055@N06/4753043256/in/photostream>

poddać go „kształceniu obywatelskiemu”, abstrakcyjne teorie nabiorą w jego oczach życia; siedząc bowiem w ławie szkolnej, widział w rzeczywistości, jak w miniaturze pracują niektóre koła złożonej maszyny państwowej. [...]

Próby przeprowadzane w Szwajcarii francuskiej można podzielić na dwie grupy: jedne, dokonywane w szkołach średnich, drugie, których polem doświadczalnym uczyniono szkoły powszechne. [...] Istnieje szereg środków, którymi zapoczątkować można wprowadzenie ustroju samorządu. Trzeba zacytować przysłowie: „Kto za dużo chwytą, słabo trzyma”. Tak więc samorząd i przywileje, które on za sobą pociąga, przyznawać by można tylko dobrym uczniom, a ci z wolna przystępowaliby do wyboru nowych obywateli, w miarę jakby się ci ostatni okazywali tego godni. Dyrektorowie kolegów, którzy uważają inicjatywę prywatną za proceder zbyt powolny, a którzy zachęeni dobroczynnym działaniem systemu samorządu zechcą go wprowadzić w swych szkołach, mają jeden szybki środek: wprowadzić go z urzędu. Próbował to przeprowadzić Lalive, dyrektor szkół średnich w La Chaux-de-Fonds. W 1919 r. zaproponował on wprowadzenie systemu samorządu w gimnazjum, żeńskiej szkole średniej i w seminarium. Z wyjątkiem dwu klas dziewcząt w wieku od 14 do 16 lat, wszystkie inne klasy postanowiły wypróbować go. Jedna ze wspomnianych dwu klas mimo to prosiła później o pozwolenie przyłączenia się, a najmłodsi uczniowie w wieku od 12 do 14 lat, których pominięto, domagali się energicznie, by im także pozwolono spróbować

tego systemu, na co też się zgodzono. Przy głosowaniu nad nim wymagana była większość 2/3 głosów. Jest to oznaką, że system został przyjęty z ochotą.

Regulamin ustalający współpracę uczniów w dziedzinie karności, uchwalony przez konferencję nauczycieli szkół średnich w dniu 19 grudnia 1918 r. i zatwierdzony przez Radę Szkolną 10 stycznia 1919 r., postanawia, że każda klasa ma zamianować z początkiem każdego trymestru komitet złożony z 3 do 5 członków z prawem bezpośredniego powtórnego wyboru. „Komitet klasowy ma następujący zakres działania: a) rozpatruje wszelkie kwestie dotyczącego dobrego stanu klasy; b) stara się przyjść z pomocą uczniom chorym lub zaniedbanym i pomagać im w pracy; c) może wyrażać życzenia w sprawie kursów szkolnych i rekreacji pozaszkolnych; d) dba o estetyczny wygląd klasy”. [...]

Konstytucja ta zaraz po nadaniu weszła w życie. Zamianowano komitety. Czy trzeba dodawać, że nowy system został przyjęty z wielkim zapalem i sprawił cuda? Zbyt wcześnie jeszcze bez wątplenia, by mówić o wynikach tej próby. Dyrektor oświadczył mi, że dotychczas jest z niej zadowolony. Uczniowie jednak z wolna dopiero rozumieją, czego się od nich oczekuje. Często w początkach troska o regulamin bierze u kilku uczniów górę nad wszystkim innym i stwarza atmosferę podejrzliwości i wzajemnej kontroli; wtenczas więcej mówi się o karach, niż o wzajemnym niesieniu sobie pomocy. U innych znowu przeważa szydercza obojętność. Nie zawsze jednak uczniowie są ostatnimi, którzy dobrze rozumieją sprawę; są nauczyciele, którzy wytrąceni z równowagi swych przyzwyczajęń, nie nauczynwszy się w swym życiu kierować obcym umysłem jedynie przy pomocy wyjaśniania i przekonywania, nie odnoszą się do systemu przychylnie. Są wreszcie rodzice, którzy podnoszą krzyk na „sowieckie szkoły” i zakazują swemu potomstwu słuchać komitetów klasowych! Miejmy nadzieję, że te wypadki zacofania będą coraz rzadsze.

Dziwnym trafem najbardziej ciekawe próby w zakresie samorządu uczniowskiego przeprowadzono w Szwajcarii francuskiej nie w szkołach średnich, lecz w początkowych. Pragnę tu mówić o próbach równocześnie niemal dokonywanych przez Guignarda, nauczyciela w Founex i przez Chessex w Brenles i w La Sarraz.

Każdemu oddać trzeba, co mu się należy. Hipolit Guignard zaczął skromnie w 1908 r. i oto przez 12 lat wypróbowuje ten ustrój z takim powodzeniem, że, jak mówi, ani on, ani jego uczniowie, ani rodzice nie pragnęliby wprowadzenia innego. Warto więc zbadać bliżej, czego może nas nauczyć człowiek tak wielkiego doświadczenia w dziedzinie, w której pod względem kompetencji nie ma sobie równego wśród nauczycieli nie tylko w Szwajcarii, lecz prawdopodobnie w całej Europie.

instytucji oraz pesymistycznej oceny ludzkich skłonności, to otwartość na nowe formy, akceptacja swobody, a także wiara, że mimo błędów i trudności młodzież dzięki takim nowatorskim pomysłom „wyjdzie na ludzi” bez konieczności stania nad nią z kijem, marchewką i zestawem paragrafów.

Druga kwestia warta podkreślania, choć już wspominałem o niej, dotyczy statusu takich inicjatyw. Jeśli dzisiaj pojawia się cokolwiek nowatorskiego, możemy być pewni, że wywodzi się ze środowiska takiej czy innej „niszy”, że stoją za tym jacyś, sympatyczni zazwyczaj, ale dziwacy, którzy otoczenie pozwala na intelektualne „zabawy”, lecz traktuje to z przymrużeniem oka. Tymczasem około 80 lat temu, bo mniej więcej tyle liczą zamieszczone tutaj teksty, za pomysłami takimi jak autentyczny samorząd uczniowski stały poważne osoby i instytucje. Jak wspomniałem, profesor Ferrière, jakkolwiek innowator społeczny, traktowany był z wielkim respektem już wtedy. Polska edycja jego książki ukazała się w prestiżowej serii przekładów zagranicznych dzieł wybitnych pedagogów, nakładem dużego, renomowanego wydawnictwa. Tekst Józefa Wójcika, będącego – jak wspominałem – kierownikiem stołecznej szkoły, opublikowano w zbiorze wydany nakładem oficyny należącej do największego związku zawodowego nauczycieli, a cały tom przedmową opatrzył wybitny pedagog prof. Bogdan Nawroczyński, wówczas kierownik Katedry Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego. Z kolei Adam Ziełńczyk zamieścił swoją rozprawę w fachowym czasopiśmie naukowym, a sam na co dzień był nie tylko profesorem Wolnej Wszechnicy Polskiej, ale także pracownikiem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, czyli odpowiednika dzisiejszego MEN-u. Widzimy zatem, że było to zjawisko poważne i popierane przez kluczowe instytucje „branżowe”. Potwierdza to moja powyższą opinię, że właśnie wtedy, w epoce postrzeganej dzisiaj nierzadko jako „ciemna”, było więcej nowatorstwa, odwagi i postępu niż obecnie, gdy przekonani jesteśmy o swojej nowoczesności i oświeceniu. Zarówno my, jak i teraźniejsza polska szkoła wypadamy na tle czasów sprzed kilku dekad jako „ciemnogród”. Czas to zmienić. Zaczniemy od dziecka.

R.O.

Oto co pisał H. Gailloz w „L'Éducateur” z 29 stycznia 1910 r., jako wstęp do referatu swego kolegi Guignarda: „Jeden z kolegów w okręgu Nyon podaje nam wiadomość o próbach, jakie przeprowadził w jednej ze swoich klas, i na liczne prośby zewsząd doń skierowane przysyła nam łaskawie odpisy regulaminów obowiązujących w tej szkole od roku. Regulaminy te, oparte na zasadzie *self-governement*, zatwierdzone przez miejscową komisję szkolną, wskazują, że idea ta opuściwszy dziedzinę niedościgłej utopii, znajduje się na drodze pełnego urzeczywistnienia w praktyce. Rozumie się, że podobne regulaminy nie są szablonami, które wszędzie należy stosować dosłownie. Powodzenie zależy przede wszystkim od charakteru i ducha klasy, od indywidualności nauczyciela i jego ideału karności szkolnej. Przyjąć bez zmiany regulaminy takie, jakie istnieją w Founex, byłoby grubym i niewinnym błędem. Należy je przestudiować i zbadać dokładnie, polegając na własnym sądzie i niczego nie robiąc zbyt pośpiesznie. Próba jest niezmiernie interesująca i ciekawi jesteśmy ostatecznych wrażań nie po jednym, lecz po kilku latach doświadczeń [...]”.

A oto, jakie korzyści w ustroju samorządowym widział już w r. 1910 nauczyciel z Founex: „Wykonywanie samorządu przez klasę powoduje bardzo korzystną zmianę w sposobie jej myślenia. Odpowiada ono potrzebom czynnej działalności dziecka. Pozwala przejawiać się indywidualnościom, rozwija odwagę moralną i otwartość. Pozwala zaspokoić potrzebę sprawiedliwości, na co uczniowie są bardzo wrażliwi. Uczy poszanowania prawa i autorytetu i przez to wzmacnia karność. Korzystny jego wpływ rozciąga się również na nauczyciela, który lepiej widzi wychowawczą stronę swego zadania i wzór, jaki winien dawać w swych słowach, nacechowanych zawsze życzliwością i szacunkiem dla wszystkich swoich podwładnych. Wreszcie, system ten stanowi praktyczną szkołę obywatelską, która zaszczepić może młodej generacji nieco zamiłowania do spraw publicznych”.

Od czasu gdy napisano te słowa, szereg nowych dowodów potwierdził pierwsze wrażenie. [...] „Po dwunastu latach prób stwierdzam – mówi autor – iż ten nowy środek jest jedynym, który nam pozostaje, by skierować nauczanie ku wychowaniu moralnemu i demokratycznemu. Rodzina nie życzy już sobie surowości nauczyciela-automatu; zbyt często bierze ona stronę dziecka. Ponieważ zaś hartowanie charakterów jest niemożliwe przy nauce mającej właściwości rozrywki ani w szkole ciągłej zabawy, przeto trzeba koniecznie przeciwstawiać sobie wzajemnie drobne pragnienia, jak to się dzieje w rzeczywistym życiu. Wówczas, rozwijając się swobodnie,

zwalczają się one i neutralizują wzajemnie ku większemu spokojowi nauczyciela i z korzyścią dla wyników nauki. Co więcej, poczucie sprawiedliwości i dobrowolnie przyjętego prawa stwarza zdrową atmosferę zaufania; nauczyciel może wtedy z ulgą odłożyć bicz pogromcy, czy laseczkę magnetyzera, i stać się moralnym kierownikiem i współpracownikiem swych uczniów”. [...]

Znakomite wyniki, do jakich doszedł w Founex Hipolit Guignard, znajdują poparcie w rezultatach uzyskanych przez Alberta Chessex w Brenles sur Moudon (1909 do 1910) i w wyższej szkole początkowej w La Sarraz (1913 do 1917). Dwie próby Alberta Chessex uważam mimo ich bezpretensjonalności za doświadczenia wzorowe i to z dwu powodów: przede wszystkim Chessex postępował „organicznie”, nie przeskakiwał poszczególnych stopni, nie narzucał konstytucji, nie rozwijał u uczniów skłonności do pustego ustanawiania przepisów. Wszystko, co tam postanowiono, odpowiadało potrzebom organizacji, odczuwanym przez wszystkich; wszystko miało na celu lepsze spełnienie funkcji społecznych, które inaczej nie szłyby tak dobrze.

Po wtóre, doświadczenia te zasługują na uwagę ze względu na wartość otrzymanych wyników. Chessex umiał w rezultacie wprowadzić wśród swych uczniów, chłopców i dziewcząt, bez względu na ich ilość, tego rodzaju ujmującą karność, która zdaje się utrzymywać sama przez się, która sprawia wrażenie, że nauczyciel nie ma co robić i zdaje się potwierdzać myśl J.J. Rousseau, że „dziecko rodzi się dobre”.

Trzeba jednak pozbyć się złudzeń: wolność postępowania połączona z porządkiem jest tu wynikiem długich i cierpliwych wspólnych poszukiwań, rozmyślań, porównań, wniosków, wysiłków udanych lub zakończonych niepowodzeniem, prób cierpliwie poprawianych i udoskonalanych. Tak, niewątpliwie, dziecko rodzi się dobre, przynajmniej w głębi swej natury; lecz tę naturę przysłania często gruba warstwa nierozumu i egoizmu, którą trzeba długo oddzierać, piłować i wygładzać, zanim przez jej złożo dotrzemy do czystego metalu, który pod nią się kryje.

prof. Adolphe Ferrière

Powyższy tekst to fragmenty rozdziału „Samorząd w szkołach publicznych” z książki A. Ferrière’a pt. „Samorząd uczniowski. Sztuka kształtowania obywateli dla narodu i ludzkości”, polskie wydanie Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa, brak daty wydania, przekład dr K. Sośnicki. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”.



©©© theirhistory, <http://www.flickr.com/photos/22326055@N06/7225540236/>

Efekty samorządu uczniowskiego w Polsce

dr Adam Zieleńczyk

WYCHOWANIE MORALNE

1. Ogólne **wyniki samorządu pod względem moralnym** są dodatnie wszędzie (kilka wyjątków). Formułują się w następujący sposób: „rozwój poczucia godności osobistej i odpowiedzialności zbiorowej”, „kształci wolę, uprzejmość, solidarność, prawdomówność”, „samodzielność, odpowiedzialność, solidarność, zaufanie do przełożonych”, „tępi egoizm, kłamstwo, kradzież, plotkarstwo”, „w klasie wzięły górę jednostki najlepsze, które pociągają za sobą oporniejsze”, „kształci wolę, urabia charakter, budzi i rozwija instynkty społeczne, zabija egoizm, rozwija altruizm pod warunkiem aktywizacji wszystkich jednostek wchodzących w skład danej grupy samorządowej”, „szczerłość, rozwój odwagi cywilnej”, „zmniejszenie się bójek, nie ma skarg, nic nie

ginie, porządek, mniej kłamstwa, więcej szczerości, spotęgowanie ambicji”, „zaradność w rozmaitych sprawach szkolnych i pozaszkolnych, współzycie i wzajemna pomoc”, „zrozumienie pojęcia zła i dobra bez względu na karę i nagrodę”. Są to motywy, które powtarzają się w różnych wariantach i połączeniach wszędzie. Kilka wyjątków brzmi przeważnie lakonicznie: wyniki są „małe” (po 4 miesiącach), „wątpliwe” (po roku przerwany), samorząd jest „bez wpływu”, „niezupełnie zadowolające, ale jest postęp” (po roku stosowania).

Pewne zastrzeżenie przy dodatnich wynikach ogólnych zawarte jest w następującej odpowiedzi: „Z ogólnych wyników byłem zupełnie zadowolony. Klasa w krótkim czasie przeistoczyła się w grupę poważnie traktujących swe obowiązki osobników.

Wzrosło poczucie odpowiedzialności, ale, co gorsza, zniknęła z twarzą wesołość, ustępując miejsca zbyttniej stosunkowo powadze”.

2. a) Więcej nieco ograniczeń (45 wypadków) daje odpowiedź pozytywna co do ducha pomocy wzajemnej, wyrabianego w pracy samorządowej. W 33 wypadkach wynik taki dał się zauważyć tylko „częściowo”, stosunek ten wyrażany jest nieraz ściślej, np. u 50%, 3/4, 25–75%. U innych wynik jest „mały” albo „żaden” (po 3 miesiącach stosowania), albo też „jeszcze” nie nastąpił (po roku); czasem też wymagania lub nadzieje widocznie są zbyt wygórowane, np. „tego (dobrych wyników w tym kierunku) nie zauważyłem – może ze względu na wiek” (istotnie, dzieci są w wieku 8–9 lat, a nauczyciel stosuje samorząd od... 4 miesięcy). Niektórzy ograniczają wpływ samorządu w danym kierunku: osiągający wyniki w rozwoju ducha pomocy wzajemnej nie przypisują ich samorządowi albo nie wyłącznie. Jedna odpowiedź określa wyniki jako „obłudę”, inna zaś zastrzega się, że „byli tacy, co nadużywali pomocy kolegów”. Inni natomiast podkreślają bardzo duże wyniki w tym kierunku: „u niektórych dzieci aż do fanatyzmu” „nawet u 7–8-letnich mogą to stwierdzić”. Forma tej pomocy wyraża się przeważnie w pomocy przy nauce młodszych lub mniej uzdolnionych w pewnych przedmiotach; rzadziej w pomocy materialnej. W każdym razie jest tu 80% odpowiedzi pozytywnych bez zastrzeżeń.

b) Niewłaściwą dążność do **wysuwania się na czoło** spotyka się w 56 wypadkach stale, w 160 wypadkach „częściowo”, „rzadko”, w 147 wypadkach objawów takich nie ma. Niektóre odpowiedzi zawierają inne uwagi, np.: „zdarza się, ale czy to zawsze jest złe?” albo podobnie: „dążność tę uważam za bardzo właściwą”, „każdą ambicję wysuwania się na czoło można wykorzystać, przydzielając odpowiednią pracę; wolałem takich niż obojętnych”. Dzieci, u których tę dążność się spostrzega, to albo dzieci młodsze, albo chłopcy, albo jednostki ambitne, albo „zdolne, ale często mniej wartościowe”, albo dzieci,

„które to z domu wyniosły”, albo „w żeńskiej nie, w koedukacyjnej tak”. Jak różne (a może i niepełne) jest doświadczenie nauczycieli pod tym względem, dowodzi zeznanie 8 nauczycieli (różnych klas w jednej szkole (powszechnej): 4 razy – tak, 1 – często, 2 – rzadko, 1 – nie.

c) **Chęć krytykowania** i obmowy występuje bez omówień w 71 wypadkach, jako zjawisko częste („wprost walczyć trzeba z tym”) w 2 wypadkach, czasem (rzadko, początkowo) w 105 wypadkach, u dziewcząt w 11 wypadkach, krytyka – tak, obmowa – nie w 22 wypadkach albo też jeżeli występują, to nie w związku z samorządem i nie jako skutek systemu lub przy źle prowadzonym samorządzie, albo też w czasie, kiedy istniał sąd, „przeto sąd został usunięty”, czasem „u tych, którzy piastowali urzędy”, czasem zaś przeciwnie, „hamuje się przez wybór krytyków do zarządu”, niekiedy samorząd wpływa na usunięcie poprzednio istniejącej wady obmowy.

d) Wzrost **poczucia odpowiedzialności** jest niemal powszechny, zaznaczony jest bez zastrzeżeń w 335 wypadkach, w tym w 31 wypadkach podkreśla się taki skutek jako wybitny, „może to najważniejsza zdobycz systemu”, „występuje to już od samego początku”, „już po trzech miesiącach pracy i wśród najmłodszych dzieci się objawia”.

Częściowe wyniki otrzymało 14 nauczycieli, nie uzyskało dobrych wyników w tym kierunku zaledwie 11 odpowiadających; inni jeszcze uzależniają osiągnięcie poczucia odpowiedzialności od dobrego prowadzenia samorządu, od typu dziecka, od jego wieku (jedni od starszego, inni od młodszego), od sprawowania przez nie urzędu, od długości pracy.

e) **Słonność do sądzenia i sprawiedliwości** spotyka się również bardzo często, acz nie powszechnie, przy tym więcej jest różnorodnych zastrzeżeń. Bezwzględnie przyznaje taki skutek 264 nauczycieli, przyznaje sprawiedliwość, zaprzecza sądzeniu – 10, reszta zaprzecza obojgu, wyrażając przekonanie, że dzieci umieją wytykać błędy, ale nie sądzić obiektywnie, że „gdyby nie osoba wychowawcy, sprawiedliwość ucierpiałaby na korzyść uczucia”, że „duża impulsywność (dzieci) utrudnia prawidłowy wymiar sprawiedliwości”, wymiar sprawiedliwości jest zbyt surowy.

f) Podobnie przedstawia się wyrabianie przez samorząd większego **panowania nad sobą**: w 293 wypadkach wynik taki osiągnano bezwzględnie, w 23 wypadkach tylko częściowo („rzadko”, „nie u wszystkich”, „u paru”), w kilku tylko wypadkach u tych, którzy zajmowali stanowiska odpowiedzialne lub tylko po dłuższym stosowaniu samorządu albo też z trudnością, czasem osiągało się tylko „dobre chęci”, w 10 tylko wypadkach wyników w tym kierunku nie uzyskano.

g) Znacznie słabszy wynik otrzymało się w kierunku poszukiwania kompromisu, bo tylko



© Rapid City Public Library, <http://www.flickr.com/photos/rcpl/4538593853/in/photostream/>



w 181 wypadkach bezwzględnie, w 27 wypadkach częściowo, w 7 tylko u starszych albo u tych, co pełnią urzędy, w 67 wypadkach wyników w tym kierunku nie osiągnięto; jedna z odpowiedzi zaznacza, że praca w samorządzie nie usposabia do kompromisu, raczej do radykalizmu. Czasem odpowiedzi budzą wątpliwości, wynikają bowiem ze zrozumienia pytania, jako dotyczącego niegodzenia sprzecznych interesów grup lub sprzecznych mniemań, lecz schodzenia z linii uznanej za właściwą; na przykład zdarzyło się to „u kilku mniej wartościowych” albo kompromis „między dobrem a złem? Tak, stanowi to, niestety, wadę nie tylko młodzieży, ale i ogółu społeczeństwa, z którego ona pochodzi”.

h) **Skłonność do intryg** występuje dość rzadko: w 31 wypadkach wymieniona jest bez zastrzeżeń, w 70 wypadkach z oznaczeniem „rzadko”, „czasem”, „wyjątkowo”, „w ciągu 10 lat zauważyłem tylko 4 razy”, „w ciągu 5 lat dwa wypadki”, w 4 wypadkach „z początku”, w 4 wypadkach „w okresie dojrzewania”, „w klasach wyższych” (gimnazjum), w 10 wypadkach „wśród dziewcząt”, w 3 wypadkach „u pewnych typów”, np. u „ambitnych a mało uspołecznionych”, w 3 wypadkach samorząd taką skłonność „zmniejsza”, czasem na tle narodowościowym lub religijnym. W 154 wypadkach skłonność ta nie występuje wcale.

i) Natomiast częściej występuje nadmierna ufność do własnego zdania i **pewność siebie**, bo na ogół w 158 wypadkach, przy czym jednak w 116 wypadkach wymieniana jest jako objaw rzadki, występujący u inteligentnych, u starszych (4 odpowiedzi), to znowu u młodszych (1 odpowiedź) lub nawet

w klasach średnich gimnazjum albo też u „jedynaków”, „u członków zarządu”, „u niektórych, o ile zbyt długo piastują urząd”. W 6 odpowiedziach zaznacza się, że skłonność ta, o ile występuje, nie może być uważana za skutek systemu samorządowego, lecz że najwyżej „samorząd wyzwała tę skłonność”, ale jej nie wytwarza, „u jednostek, mających te właściwości z natury, samorząd potęguje je”. Uznając pewien wpływ samorządu na wytwarzanie się tych skłonności u pewnych jednostek lub grup, podkreślają równocześnie niektórzy zjawisko odwrotne, pewnej uległości, „przygaszenia” względnie reakcji oporu ze strony tych jednostek lub grup, które nie mogły się wybić.

Objawu pewności siebie pod wpływem instytucji samorządu nie dostrzeżono w 108 wypadkach.

3. Ułatwianie przez samorząd uczniowski **samowychowania** stwierdzone jest przez wszystkie odpowiedzi z wyjątkiem jednego wypadku stanowczego przeciwnika tej metody. Niektórzy podkreślają znaczenie samorządu w tym kierunku jako „jedynego środka” albo „główny cel”. W kilku wypadkach są drobne zastrzeżenia, jak np. że to środek tylko częściowy (3 odpowiedzi), że jest mało skuteczny w zastosowaniu do dzieci poniżej lat 14. lub do dziewczynek w tym wieku, lub do dzieci słabych i nieśmiały, które wolą podporządkowywać się tylko innym, wreszcie, że wyniki w tym kierunku są na ogół dobre, ale „spotkałem jednostki, u których samorząd uwydatnił silniej zboczenia”, „zwiększa to konieczność czuwania wychowawcy nad kierunkiem tego samowychowania. Łatwo o zboczenia: fałszywa ambicja itp.”.



© BSFinHull, <http://www.flickr.com/photos/bsfinhull/6838771172/>

4. Równie jednomyślna jest opinia o objawianiu się w samorządzie **charakteru indywidualnego** wychowanków. Wprawdzie odpowiedzi negatywnych jest nieco więcej, bo 3, ale też mniej zastrzeżeń, że udaje się to tylko w małym stopniu lub u niektórych; takich zastrzeżeń jest 4. Natomiast w kilku wypadkach uznano samorząd za jedyny względnie najlepszy środek do poznania wychowanków, „nawet skrytych i pojedyńców”, przy czym samorząd ujawnia nie tylko „typy bardziej aktywne, pomysłowość, trafność sądu, zaradność, inteligencję i inicjatywę”, ale także „ofiarność lub aspołeczność”, albo „często niezaradność życiową uczennic lepszych, a samodzielność gorzej się uczących”.

5. Podobnie rzecz przedstawia się z **poznaniem wychowanków pod względem moralnym**. Stanowczo zaprzecza tej możliwości tylko 5 odpowiedzi, potwierdzają z pewnym ograniczeniem („często, ale nie zawsze”, „czasem”, „trochę”) 4 odpowiedzi, we wszystkich innych wypadkach odpowiedzi są twierdzące z podkreśleniem, że w tym kierunku „nie ma lepszego systemu w dzisiejszej szkole”, że „dopiero teraz poznałem dobrze swoje dzieci”, że system „dał wiele materiału i wiele ciężkich, ale i pięknych przeżyć”, że rezultaty były „często nawet rewelacyjne” lub że poznawało się dzieci „częściej pod względem ujemnym”.

6. **Powierzanie odpowiedzialnych czynności** w samorządzie, jako środek wpływu wychowawczego na kolegów, nie było stosowane w 81 szkołach,

przy czym tylko w 3 z uzasadnieniem, że miało się w tym kierunku „złe doświadczenie”, „wynik niepomysłny” lub że unikało się tego, ponieważ stanowi „pole do nadużyć i złośliwości, co się może minąć z celem”. W 267 wypadkach jest ten środek stosowany, przy czym w 8 z zastrzeżeniem, że dzieje się to z inicjatywy nauczyciela albo też „stosuje to nauczyciel, nie podając tego samego uczniom, bo wykonywaliby pewne czynności z poczuciem, że to jest kara, co wpływałoby na niesumienność wykonania”. Niekiedy podkreśla się, że przeważnie stosował to nauczyciel sam, ale niekiedy także i dzieci, albo że właśnie metoda powstała samorzutnie. Zakres i formy tych czynności są dość rozmaite. A więc wybiera się „brudasów na porządkowych”, „niesfornych na wójtów”, powierza się nawet kasę „dziewczyńce posądzonej o kradzież – skutek był doskonały”, „spóźniającej się – ewidencję nieobecnych i spóźniających się” albo „uczniowi, który się spóźnił, polecono badać temperaturę i notować przed godziną 8 – nie spóźnił się więcej”, „uczniowi, który często podleżał kodeksowi, powierzono misję sądenia – skutek był pomyślny”.

Wpływ kolegów w samorządzie wyraża się także w innej formie: na przykład „starsze są opiekunkami młodszych klas” albo „czasem samorząd prosi o utrzymanie w zakładzie jakiegoś zagrożonego usunięciem chłopca, zobowiązując się rozciągnąć nad nim specjalną opiekę”.

[...]

WYCHOWANIE SPOŁECZNE

1. W kierunku wychowania społecznego wszystkie niemal samorządy, z wyjątkiem 3, otrzymały wyniki dodatnie. Wyjątki te sprowadzają się do następujących okoliczności: a) zdecydowanie ujemne ustosunkowanie się względem metody samorządowej w ogóle, wprowadzonej przez nauczyciela wskutek nakazu; b) „wątpliwe” wyniki ogólne samorządu wprowadzonego na próbę i przerwano po roku, c) „ogólnie słabe” wyniki samorządu, wprowadzonego bez stadiów przygotowawczych do klasy przyzwyczajonej przez poprzedniego nauczyciela do surowego rygoru.

Poszczególne wyrabiane zalety społeczne dzieci prowadzących samorząd zdefiniowane są jako: wyrobienie poczucia obywatelskiego, zrównanie społeczne klasy, zrozumienie idei demokratycznej, wiara w pracę zbiorową, sprawność techniczna w pracy zbiorowej, solidarność, poczucie zbiorowej odpowiedzialności, pogłębienie instynktów społecznych, spotęgowanie uczuć altruistycznych, ofiarność, poczucie prawa i sprawiedliwości, karność dobrowolna. Przykłady sformułowań: „zrozumienie istoty współżycia organizacyjnego, wzajemna tolerancja, poszanowanie prawa i władzy, umiejętność wspólnego rozstrzygania wszelkich spraw i wątpliwości, które nastroją się w życiu dzieci”. „Samorząd szkolny, jako wyraz zorganizowanej i owianej jednym duchem społeczności szkolnej, okazał się dobrym środkiem wychowania społecznego, ponieważ pozwala uczniom poznać takie fakty społeczne, jak: solidarność, kierownictwo, podporządkowanie się woli jednostki kierowniczej, posłuszeństwo, współdziałanie, karność, obowiązkowość, poczucie potrzeby norm, lojalność, zdolności organizacyjne itd. Tu do pewnego stopnia zaznajamia się młodzież z techniczną stroną organizacji społecznych. Jeżeli chodzi o dziedzinę wychowania obywatelskiego, to ustrój samorządowy sprzyja krzewieniu i utrwalaniu pewnych cnót obywatelskich, jak: oszczędność (prawie wszyscy uczniowie posiadają książeczki oszczędnościowe), popieranie wytwórczości krajowej, ofiarność na cele państwowe (flota narodowa, liga obrony powietrznej i przeciwgazowej, budowa łodzi podwodnej, szkoły polskie na obczyźnie)”. „Współżycie i współdziałanie (zabawy uczniów starszych dla młodszych, odczyty), ofiarność (pomoc materialna i intelektualna, korepetycje bezinteresowne), zmysł społeczny i obywatelski (np. samorząd ustanowił stałe stypendium ku uczczeniu 10. rocznicy odzyskania niepodległości)”.
10. rocznicy odzyskania niepodległości”.

Rzecz godna podkreślenia, że praca organizacyjno-społeczna i uprawa w niej nabyta odzwierciedla się w dalszym życiu. Niestety, nie zawsze szkoła ma możliwość śledzenia dalszych losów wychowanka. Niejednokrotnie wszakże fakty są przytoczone.

Na przykład: „Informacje o pracy byłych wychowanków na stanowiskach nauczycielskich, ich zainteresowania społeczne, udział w samorządach, spółdzielniach, strażach ogniowych zachęcają do dalszej pracy nad samorządem szkolnym”. „Jednostki z samorządu pracują potem w zarządach kół młodzieży wiejskiej”. A potem: „Życie się, solidarność i poczucie odpowiedzialności wszystkich za uczynki jednego z nich przetrwały długo poza czas pobytu w szkole”.

2. Co do poszczególnych stron życia zbiorowego, samorząd dał uczniom pojęcie o tym, co to jest: a) prawo – w 198 wypadkach, b) sąd – w 159 wypadkach, c) sejm – w 169 wypadkach, d) podział władz – w 187 wypadkach. W innych wypadkach albo tych pojęć nie dał, albo tylko je zbliżył lub ułatwił, albo też, jak w sposób charakterystyczny zeznaje jeden z nauczycieli, uczniowie znają te pojęcia skądinąd, „ale tu poznają technikę”. W każdym razie w tym kierunku samorządy uczniowskie w Polsce w większości wypadków nie są nastawione.

3. Natomiast w kierunku **wychowania obywatelskiego** samorząd wychowuje bez zastrzeżeń według 314 odpowiedzi, przy czym w 46 wypadkach czyni to w sposób wybitny, jest „najlepszym”, a nawet „jedynym środkiem”, „jednym z głównych zadań”, „jedyną realną prawdziwie «poglądową» formą tego wychowania w szkole powszechnej i niższym gimnazjum, niezbędną również na poziomie wyższym”. W 21 wypadkach samorząd tylko przyczynia się do wychowania obywatelskiego lub w niewielkim stopniu może być do tego pomocny. W niewielu wypadkach spotykamy zastrzeżenia: „jeśli w planie lekcyjnym udzielić na to czasu”, „stopień zależy od typu samorządu”, „całkowicie nie daje, gdyż nie posiada wszystkich znamion komórki życia obywatelskiego”, „może być pomocą, ale nie mniej ważnym czynnikiem jest atmosfera życia obywatelskiego wytworzona przez Dyрекcję i Radę Pedagogiczną”, „względnie stosowany – tak, inaczej stwarza warcholstwo”, „o ile jest prowadzony poważnie i systematycznie przez szereg lat”, „tylko obejmujący wszystkie klasy i o jednym systemie”, „sam – nie, może tylko pomagać skutecznie innym zabiegom szkoły”.

4. Zagadnienia **mniejszości narodowych i wyznaniowych** w większości samorządów (60%) nie są poruszane bądź dlatego, że szkoła jest pod względem narodowym i wyznaniowym jednolita, bądź dlatego, że dzieci są młode, bądź dlatego, że sprawy te nie należą do istoty samorządu i omawiane są na lekcjach i pogadankach historycznych, spółdzielczych, etycznych. Dobre wyniki wychowawcze w kierunku wyrównania sprzecznych interesów i uprzedzeń wobec mniejszości osiąga się więc i poza samorządem: „Mamy wśród wychowanków seminarium grupy wyznaniowe: ewangelicką,

prawosławną i żydowską, po kilka uczennic każdej grupy w całym seminarium. Stosunki koleżeńskie wszystkich grup są najserdeczniejsze. Żydówki wybierane bywają do zarządu. Nie jest to jednak zasługą samorządu uczniowskiego, tylko ideologii Rady Pedagogicznej, która oddziaływała na uczennice". Często nauczyciele wprost pomijają te tematy w szkołach o składzie mieszanym, aby uniknąć zadrażeń, gdy tymczasem w innych szkołach o takim składzie życie samorządowe samo przynosi z sobą takie zagadnienia, które wymagają rozstrzygnięcia. Praca na terenie samorządu w kierunku zwalczania tych antagonizmów nie zawsze jest skuteczna, bo silnie działają tu wpływy domu, ale niejednokrotnie daje jednak dobre wyniki. Tak np. kwestie te powstawały z początku, „potem przestały istnieć wskutek upojenia tolerancji” albo powstają „szczególnie przy urządzaniu wspólnych prac, jednak z domu dzieci wynoszą złe nastawienia i nienawiść do mniejszości, którą zwalczą się jednak skutecznie”, „większość dzieci nie chce zastanawiać się nad sprawiedliwym ujęciem praw, przysługujących mniejszościom narodowym, sądzę, że nastawienie takie jest wynikiem wychowania domowego”.

Pomijanie zasadniczego rozpatrywania zagadnień mniejszości jest nieraz celowe i metodyczne: „Unikamy tych zagadnień, ujmując rzeczywistość szkolną z punktu widzenia równości obywatelskiej bez uwzględnienia różnic narodowościowych i wyznaniowych”, „natomiast upajamy w dzieci szacunek dla państwa jako zbioru i ochrony interesów zamieszkujących w nim różnych narodowości i wyznań”, albo: „traktuję dzieci jednakowo bez dyskusji i zastanawiania się”. W innych wypadkach samorząd, nie rozwiązując tych spraw z góry i teoretycznie, jest praktyczną szkołą wyrobienia sobie sprawiedliwego podejścia do trudności. „W gminie jest 10 Żydów. Z wprowadzeniem samorządu wyeliminowano Żydów, względnie nie pozwolono Żydom sprawować żadnych urzędów w gminie, mimo iż większość z nich to najzdolniejsi i najpilniejsi uczniowie. Przy ponownych wyborach weszli do zarządu gminy dwaj Żydzi, większość bowiem przekonała się, że będą lepszymi urzędnikami niż każdy inny”. Podobnie: „Kwestie te wyłaniają się często przy wyborze przodowników i dają sposobność zrozumienia, że dobrym, obywatelem (klasy, szkoły, państwa) może być każdy rozumny i uczciwy człowiek, który pracą swoją dla dobra gminy lub państwa nabywa różnych praw, mimo różnicy wyznania czy narodowości”.

5. **Sąd** polubowny był instytucją, do której praca samorządowa uciekała się w niewielu stosunkowo, bo w 54 wypadkach. Zazwyczaj w tych wypadkach odwoływano się do wychowawcy, jako do „super-arbitra” lub „rozjemcy”.

6. **Stronnictwa** powstawały w 109 samorządach. Były to przeważnie ugrupowania czasowe, doraźne, wynikające na tle poszczególnych spraw, czasem w związku ze zdarzeniami życia pozaszkolnego („przed wyborami do ciał ustawodawczych – na tle przynależności rodziców do ugrupowań politycznych”). Samorząd jako taki rzadko je wytwarzał, „raczej tylko ujawniał, bo istniały niezależnie od niego”. Jeżeli więc ujawnia się w nim rywalizacja grup, „przyczyna tego leży we wpływie domu, imprez teatralnych i organizacji pozaszkolnych, które na młodzież wpływ swój wywierają, niwecząc, a nawet do pewnego stopnia anulując pracę nauczyciela, przejętego np. wychowaniem pacyfistycznym, lub też dając dzieciom możliwość unikania w te sprawy, zagłębiania się i wyciągania nieodpowiednich wniosków”.

7. Stron **niedogodnych** dla życia klasy samorząd nie miał w 185 wypadkach. Dość często zatem był połączony z trudnościami w różnych kierunkach. W kierunku organizacyjnym, gdy np. „nie obejmował całokształtu życia szkolnego i nie był uznawany i poważnie traktowany przez ogół grona nauczycielskiego”. W kierunku utrzymania karności: „brak natychmiastowej egzekutywy”, „czasem nieład”. W kierunku pracy naukowej: „czasem wpływał ujemnie na inne obowiązki”, wywoływał „zaniedbanie w nauce”, „absorbował nieraz czas przeznaczony na przedmioty naukowe”, „absorbował czas i energię umysłową”. W kierunku moralnym: „podejście nauczyciela, umizgi względem przełożonych”, „niektórzy starali się pochlebiać wychowawcy lub szefom”, „rozwinął zmysł pieniactwa”, „chęć wywyższenia się niektórych”. W kierunku społecznym: „koterie narodowościowe”, „antagonizmy”, „wprowadzony zbyt wcześnie, zamiast łączyć, rozdrabniał (koterie, intrygi, stronnictwość)”. Czasami wynikać mogły niedogodności dalej jeszcze sięgające. „Przy pewnych niedopatrzeniach wytwarzały się wśród członków samorządu nastroje opozycyjne względem szkoły, co utrudniało pracę wychowawczą. Objawy takie powstawały pod wpływem najrozmaitszych czynników, nie zawsze dających się przewidzieć, ulegały zawsze zlikwidowaniu dzięki znajomości młodzieży i taktowi wychowawców”.

dr Adam Zieleńczyk

Powyższy tekst to fragment obszernego opracowania pt. „Samorząd uczniowski w Polsce”. Pierwotnie ukazało się ono w roku 1932 w trzech kolejnych numerach (4, 5 i 6) czasopisma „Oświata i Wychowanie”, następnie zostało wznowione w pracy zbiorowej „Samorząd uczniowski w Polsce w latach 1918–1939 – część I: Z doświadczeń nauczycieli”, pod red. Heleny Kasperowiczowej, Nasza Księgarnia, Warszawa 1960. Przedruk za tym ostatnim źródłem. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”.

Socjalista niepokorny

(rzeczą o Adamie Próchniku)

Kamil Piskala

Wcałej swojej działalności i politycznej, i naukowej Adam Próchnik pozostawał wierny ideałom, które przyjął za swoje już w latach młodości. Jeden z jego ostatnich artykułów konspiracyjnych w „Barykadzie Wolności” nosił znamienity tytuł: „O niepodległość, socjalizm, wolność”. Te trzy słowa charakteryzują dobitnie całość życia i działalności człowieka, polityka, historyka, wychowawcy – pisał w 30. rocznicę jego śmierci prof. Krzysztof Dunin-Wąsowicz.

Adam Próchnik przyszedł na świat 21 sierpnia 1892 r. we Lwowie. Jego matka, Felicja Nossig-Próchnikowa, to, jak na owe czasy, kobieta niezwykle oryginalna. Była głośną publicystką, zwolenniczką ruchu sufrażystek, a także jedną z pierwszych kobiet w Galicji, które uzyskały tytuł doktora filozofii (specjalizowała się w socjologii). Z prawnego punktu widzenia, ojcem Adama był Izidor Próchnik, zwykły urzędnik bankowy. Małżeństwo nie trwało jednak zbyt długo, a większą jego część małżonkowie spędzili w separacji. Wtedy też przyszedł na świat Adam Próchnik, którego biologicznym ojcem, jak głosiły plotki, był Ignacy Daszyński, wybijający się już wówczas na jednego z przywódców ruchu socjalistycznego w Galicji. Jego ojcostwo jest prawdopodobne, choć dziś historycy nie są już w stanie potwierdzić owego faktu niezbitymi dowodami.

Dorastał Próchnik w środowisku lewicowców i liberałów. Nic więc dziwnego, że już jako nastolatek wstąpił do socjalistycznej organizacji młodzieżowej „Promień”, zrzeszającej uczniów galicyjskich szkół średnich. Jego młodzieńcza droga jest charakterystyczna dla wielu działaczy PPS, którzy zaczęli w organizacjach uczniowskich, później wstępowali do Związku Walki Czynnej (ZWC), Związku Strzeleckiego, i wreszcie angażowali się w działalność

partyjną w szeregach Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska. Próchnik we wszystkich tych organizacjach działał już jako uczeń szkoły średniej.

Jednak jego największą namiętnością wcale nie była polityka, lecz historia. W 1911 r. podjął studia historyczne na Uniwersytecie we Lwowie. Jak wynika ze wspomnień kolegów i zachowanych dokumentów, przyszły działacz PPS był nie tylko zdolnym studentem, ale z czasem stał się także jednym z liderów środowiska lwowskiej lewicy akademickiej, sympatyzując wówczas z utworzoną przez Feliksa Perla tzw. PPS-Opozycją.

Do przerwania studiów zmusił Próchnika wybuch I wojny światowej. Jako „poddany” Franciszka Józefa, otrzymał kartę mobilizacyjną i trafił na front w mundurze armii austriackiej. Niewiele brakowało, a wojna skończyłaby się dla niego tragicznie – podczas walk w Karpatach odmroził sobie nogi i tylko dzięki usilnym staraniom Daszyńskiego udało się uratować je przed amputacją. Do walki jednak już się nie nadawał, co miało swoje dobre strony, mógł bowiem wrócić na uniwersytet.

Studia skończył jeszcze w trakcie trwania konfliktu i w 1917 r., na podstawie dysertacji „Demokracja kościuszkowska”, otrzymał tytuł doktora filozofii. Dobór tematu wyraźnie wskazywał na zainteresowanie Próchnika, którym wierny został w swej pracy historycznej do końca. **Nie chciał być kronikarzem wielkich wojen i zbrojnych potyczek czy apologetą monarchów, badał ruchy społeczne i prądy intelektualne, dążące do zmiany status quo.** Interesowali go ci, którzy walczyli o postęp, demokratyzację i poszerzanie granic wolności człowieka. Stąd też bohaterami jego książek stawali się francuscy rewolucjoniści, polscy reformatorzy doby Oświecenia, czy – przede wszystkim – działacze ruchu

robotniczego i bojowcy PPS. Jego prace w wielu aspektach do dziś zachowują żywotność, nie tylko ze względu na świetny warsztat badawczy, ale także dzięki niepospolitym zdolnościom literackim. Nie była z pewnością podyktowana kurtuazją opinia wybitnego historyka, Henryka Wereszyckiego, który pisał, że *Próchnik jest jednym z pionierów badań nad epoką powojenną polskich dziejów i to – jednym z pionierów najważniejszych. Gdy przeglądamy dorobek historiograficzny okresu, który przed r. 1939 nazywał się historią najnowszą, to można bez wahania stwierdzić, że dorobek w nim Próchnika jest najpoważniejszy, i to nie tylko ilościowo, ale co najważniejsze i jakościowo.*

Listopad 1918 r. zastał Próchnika we Lwowie, gdzie jako żołnierz POW brał udział w toczonych z Ukraińcami walkach o władzę w mieście. Wkrótce jednak trafił do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie objął funkcję dyrektora państwowego archiwum. Z Piotrkowem i piotrkowską organizacją PPS związany był przez 10 lat, szybko stając się jedną z centralnych postaci życia politycznego i kulturalnego w tym mieście.

W latach 20. pozostawał jednak w zasadzie jedynie działaczem lokalnym, którego nazwisko niewiele mówiło opinii publicznej. I choć nie miał większego wpływu na ówczesną politykę ogólnopolskiej PPS, to brał aktywny udział w publicystycznych debatach na temat najważniejszych problemów państwa i kierunków polityki partii. Szczególnie zajmowała go kwestia powojennego ułożenia stosunków narodowościowych w Europie i jej znaczenie dla Polski. Uważał, że „porządkowanie” mapy politycznej Europy dobiega końca i z czasem wszystkie narody kontynentu uzyskają własne państwo. Oczywiście, nie było to dla niego równoznaczne z całkowitym rozwiązaniem problemu. Pisał: *Pozostaną, naturalnie, sprawy sprawiedliwego rozgraniczenia tych państw i sprawy mniejszości narodowych. Ale sprawy te nie będą mogły już mieć tego kolośalnego znaczenia, jakie dawniej posiadały.* Realizacja tej pokojowej wizji, którą zresztą Próchnik mocno wiązał ze zwycięstwem socjalizmu, była jednak dużo trudniejsza niż mu się zdawało. Pokazał to choćby problem przynależności państwowej terenów Litwy, Białorusi i Ukrainy, o które przyszło toczyć walkę odrodzonej Rzeczypospolitej oraz Rosji Radzieckiej.

Kwestia wschodniej granicy państwa i polityki wobec obszarów na wschód od Bugu budziła w łonie PPS duże kontrowersje i przyznać trzeba, że do pokoju ryskiego nie zdołali socjaliści wypracować spójnej i powszechnie akceptowanej propozycji programowej. Różnie interpretowano koncepcję

„federacyjną” i różnie też oceniano kolejne posunięcia Józefa Piłsudskiego, kształtujące wówczas polską politykę wschodnią. Sprawom tym wiele uwagi poświęcał też Próchnik, polemizując z kierownictwem partii i jej głównym teoretykiem – Mieczysławem Niedziałkowskim. Zdecydowanie odrzucał zarówno, posiadającą endecką proveniencję, tzw. koncepcję inkorporacyjną (przyłączenie do Polski rozległych obszarów na wschodzie), jak i popularną na lewicy ideę federacyjną. Próchnik odrzucał pomysł budowy federacji Polski oraz mniejszych państw na wschodzie (rozważano Białoruś, Ukrainę i Litwę), jako oparty na błędnym założeniu o „niedokończeniu” procesów narodowościowych na tych terenach. *Nie ma bowiem – pisał – w gruncie rzeczy ukończonych procesów narodowościowych. W istocie bowiem procesu narodowościowego leży cecha płynności [...].* Próchnik dowodził, że roztoczenie swoistej kurateli nad „młodszyimi braćmi” i pomaganie innym narodom w „dorastaniu” do pełnej niepodległości jest nie tylko wątpliwe etycznie, ale także błędne z politycznego punktu widzenia. Dopóki Polska będzie państwem burżuazyjnym, dopóty Białorusini czy Ukraińcy nie mogliby liczyć na możliwość pokojowego opuszczenia federacji. Jedyne drogą, aż nazbyt dobrze znaną Polakom, byłaby więc irredenta. Z sarkazmem pisał, że *koncepcja przemienienia Polski w zakład wychowawczy życia niepodległościowego dla sąsiadów przyniosłaby w rezultacie szkodę zarówno nam, jak i naszym uczniom.*

Co proponował w zamian? *Pełne urzeczywistnienie prawa samostanowienia narodów o swym losie, rozszerzenie Polski do swych granic etnograficznych i rozdzielenie terenów pośrednich między rodzinę wolnych i swobodnych narodów. [...] Nie wmawiać w jedne narody, że nie dojrzały do państwowości własnej, a w drugie, że mają do spełnienia misję pedagogiczno-polityczną. Pamiętamy zbyt dobrze, jak nas wychowywano do niepodległości. Nasz program wschodni powinien być wyraźny i jasny: dać głos ludności.* Propozycje Próchnika nie zyskały zbyt wielu zwolenników, jednak samodzielność jego sądów wzbudziła zainteresowanie i uznanie. Nie przypadkiem zwróciliśmy uwagę na ten aspekt poglądów Próchnika – po pierwsze, jest to mało znana część jego dorobku, a po drugie, właśnie podczas debaty nad polityką wschodnią wyraźnie zaznaczyło się jego stanowisko opozycyjne wobec przywódców partii. Jak zobaczymy, nie było mu po drodze z liderami PPS w zasadzie przez całe międzywojnie.

Mimo udziału w polemikach i dyskusjach na łamach prasy socjalistycznej, przez długi czas stał na uboczu „wielkiej polityki”. Uwagę poświęcał przede



©© philippe leroyer, <http://www.flickr.com/photos/philippeleroyer/2421536607/in/photostream/>

wszystkim działalności społecznej i samorządowej. W wielu wspomnieniach widnieje opinia, że **miał duszę społecznika, angażującego całą energię dla dobra wspólnoty**. Był przez całe dwudziestolecie aktywnym członkiem niezliczonej ilości stowarzyszeń, zasiadał także w samorządzie Piotrkowa Trybunalskiego i Warszawy. Jako ławnik piotrkowskiego magistratu, a później prezes Rady Miejskiej, **dbał o realizację takich postulatów lewicy, jak upowszechnienie oświaty, tworzenie kas chorych czy budowa tanich mieszkań**. Dowodem uznania było obdarzenie go w 1928 r. przez mieszkańców Piotrkowa mandatem poselskim.

Kariera sejmowa Próchnika trwała, wobec przedwczesnego rozwiązania izby, jedynie dwa lata, śmiało jednak można powiedzieć, że był to punkt zwrotny w jego życiu. W pracy poselskiej zajmował się przede wszystkim najlepiej sobie znaną problematyką oświaty. Z sejmowej mównicy bronił szkoły wolnej, demokratycznej i nastawionej na wyrównywanie szans. Przestrzegał przed, coraz bardziej widocznymi, dążeniami sanacji do podporządkowania szkolnictwa własnym interesom. Przypominał, że *szkolnictwo służy celom szerszym i dalszym, celom przyszłości, a nie może być uzależnione od bieżącej polityki, od jej zmienności i kaprysów*. Bronił też, ograniczanej przez administrację, niezależności nauczycieli. Zwracając się do ówczesnego ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego (tak nazywał się wówczas resort oświaty), Stanisława Czerwińskiego, pytał: *Czyż może być wychowawcą młodzieży człowiek bojący się własnego cienia, pozbawiony swobody myśli, żyjący w ciągłym strachu utraty pracy, zmuszony do ukrywania swych poglądów, jeżeli już nie do płaszczenia się przed władzą? Czyż ten brak charakteru ma być wzorem dla młodzieży?*

Demokratyczna oświata, pobudzająca ciekawość, a zarazem skłaniająca do krytycyzmu i nonkonformizmu, jest środkiem, który przybliży urzeczywistnienie socjalizmu. Szkoła nasza musi więc być inna od zwyczajnej szkoły. Musi chować członków przyszłego solidarnego świata pracy. Ma ona zatem dwa zasadnicze cele: 1) musi wytworzyć człowieka, który potrafi walczyć o nowy ustrój, 2) człowieka, który zdolny będzie do życia w owym ustroju, który będzie pożytecznym i twórczym członkiem przyszłego społeczeństwa.

Swoje oświatowe pasje kontynuował Próchnik w latach 30. jako działacz Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu, a także jako wieloletni członek Zarządu Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Wierzył, że **demokratyczna oświata, pobudzająca ciekawość, a zarazem skłaniająca do krytycyzmu i nonkonformizmu, jest środkiem, który przybliży urzeczywistnienie socjalizmu**. *Szkoła nasza musi więc być inna od zwyczajnej szkoły. Musi chować członków przyszłego solidarnego świata pracy. Ma ona zatem dwa zasadnicze cele: 1) musi wytworzyć człowieka, który potrafi walczyć o nowy ustrój, 2) człowieka, który zdolny będzie do*

życia w owym ustroju, który będzie pożytecznym i twórczym członkiem przyszłego społeczeństwa. W rychłe nadejście owego „przyszłego społeczeństwa”, równego i wolnego, zachowywał niezachwianą wiarę przez całe życie.

Zdecydowanie antysanacyjne wystąpienia sejmowe Próchnika, a także coraz ostrzejszy ton jego artykułów prasowych sprawiły, że zaczęła się skupiać wokół niego grupa członków PPS kontestujących dotychczasową – w ich mniemaniu kunktatorską – politykę kierownictwa partii. Przyznać trzeba, że w jego publicystyce nie było awanturnictwa i efekciarstwa, nie poszukiwał taniego poklasku. Widać to choćby na przykładzie prowadzonych analiz narastania w Polsce autorytaryzmu. Nie wysuwał personalnych oskarżeń, nie chciał wyszydzić i ośmieszyć poprzez wyolbrzymianie drobnych incydentów. Pragnął natomiast zrozumieć przyczyny porzucenia demokracji i mechanikę rządów dyktatorskich.

Zastanawiając się nad fenomenem dyktatury, Próchnik zauważał, że historia uczy, iż zazwyczaj najwyższa władza przypada w takich wypadkach jednostkom *przeciętnym i małym, faworytom szczęścia, kabotynom, zarozumiałcom, pustym pęcherzom rozdętym przez zręczną reklamę.* Rządy autorytarne, mimo wytwarzania iluzji sprawności i siły, były w jego opinii dużo mniej skuteczne niż normalnie funkcjonujący system demokratyczny. Za fasadą realizacji „woli ludu” kryło się jedynie ograniczanie swobód obywatelskich, forowanie konformizmu i mierności, łamanie moralności społeczeństwa. Wszystkie te negatywne przejawy dyktatury można było, zdaniem Próchnika, wskazać także w Polsce rządzonej przez Piłsudskiego i jego współpracowników. ***Trzeba raz wreszcie wyrzec się naiwnej wiary w cudowne skutki uderzenia szabli czy stuknięcia buta. Że się go przerażają ludzie małego ducha, że się korzą przed nim ludzie słabego charakteru, nie znaczy to bynajmniej, aby to samo uczynić miały spory narodowościowe, aby się ułęknać miał kryzys gospodarczy. Zagadnień tych nie można przerazić, trzeba je rozwiązać. Tych problemów rozwiązać nie umiał, zdaniem Próchnika, rządzący w Polsce obóz sanacyjny.***

Szczególną formą dyktatury, której wiele uwagi poświęcał, był faszyzm, rozsadzający ramy tradycyjnych interpretacji socjalistycznych. *Aby móc z ruchem tym skutecznie walczyć – pisał Próchnik – trzeba znać dobrze jego istotę, trzeba wiedzieć, co on reprezentuje. Te wewnętrzne czynniki faszyzmu pozwalają dopiero wytworzyć sobie prawdziwy obraz jego siły i trwałości, i umożliwiają ocenę perspektyw toczącej się walki.* Dla Próchnika faszyzm był próbą ratowania – pogrążonego

w kryzysie – kapitalizmu, poprzez stworzenie iluzji, że istnieje inna droga naprawy niż ta postulowana przez ruch socjalistyczny. Porównywał jednocześnie dziejową rolę faszyzmu do tej, którą przyszło odegrać oświeconemu absolutyzmowi. Pisał na ten temat: *Ludy są rzekomo niezdolne do decydowania o swym szczęściu. Operację, która jest niezbędna przeprowadzi dyktatura, która jedna posiada tajemnicę jak uszczęśliwić ludzkość. Politykę tę można nazwać śmiało polityką „oświeconego faszyzmu”. Człowieku, przemawia faszyzm do obywatela, ty nie wiesz, na czym polega twoje szczęście, ja cię uszczęśliwię, ale pozwól, że najpierw wezmę cię za łeb. I tę wstępną czynność przeprowadza z energią i zapalem.*

Walka z faszyzmem, czy szerzej, z wszelkimi formami dyktatury, a więc także z sanacją, wymagała jego zdaniem stworzenia bloku sił, który byłby zdolny przejąć władzę i rozpocząć budowę ustroju socjalistycznego. Tutaj też, jak się wydaje, kryła się jedna z głównych przyczyn intensywnych polemik, jakie toczył w latach 30. z kierownictwem PPS. To wtedy właśnie „niepokorny” Próchnik został przez komunistów okrzyknięty przywódcą „lewicy socjalistycznej” i zwolennikiem jednolitego frontu, pojmowanego na sposób kominternowski. Tak też przez długi czas przedstawiano jego postać w PRL, widząc w nim nieomal jednego z ojców „zjednoczenia ruchu robotniczego”, czego wyrazem miało być – w oficjalnej interpretacji – powstanie PZPR. Stanowisko takie nie było jednak do końca uzasadnione.

Niewątpliwie w połowie lat 30. Próchnik, dostrzegając postępy faszyzmu w Europie, zastrzeganie dyktatury w Polsce oraz wzrost wpływów Stronnictwa Narodowego i ONR, stał się zwolennikiem współpracy socjalistów z komunistami. Uważał, że w tych warunkach zbliżenie wszystkich sił walczących o nowy ustrój jest konieczne. Nie chodziło jednak o podporządkowanie PPS interesom Moskwy, lecz o trzeźwy, wolny od uprzedzeń stosunek do komunistów. Uważał, że można znaleźć w nich cennego sojusznika w walce ze wspólnym wrogiem, a być może także sojusznika w budowie nowego ładu społecznego. Pisząc o swoich doświadczeniach z żoliborskiej WSM, gdzie obok siebie zamieszkiwali i współpracowali przedstawiciele różnych partii socjalistycznych, komuniści i bezpartyjni lewicowcy, zauważał: *Mamy niejednokrotnie różne poglądy co do drogi, która prowadzi do celu, hołdujemy różnym metodom walki, należymy do różnych kierunków i partii politycznych. I nie może być inaczej. Nie jesteśmy jednak oderwani od ogólnego pnia klasy pracującej, żyjemy jednym z nią życiem i po organizmie naszym krążą te same prądy, które krążą po jej organizmie.* Rzucił też

hasło, jego zdaniem streszczające sens idei frontu ludowego: *Mamy wspólne cele, starajmy się o wspólną drogę.*

Poszukiwanie zbliżenia przede wszystkim z komunistami i polemika z nawiązującymi do koncepcji „nowego Centrolewu” poglądami Niedziałkowskiego czy Pużaka, w przypadku Próchnika wynikały z przeprowadzonej analizy procesu dziejowego. **Próchnik uważał, że systemy autorytarne i faszystowskie, ukształtowane w okresie międzywojennym, nie są jedynie odstępstwem, koszmarnym interludium w procesie budowy demokracji parlamentarnej, lecz stanowią po prostu kolejną fazę rozwoju społecznego, poprzedzającą socjalizm. Ci, którzy początkowo przypuszczali, że faszyzm jest to lokalne zboczenie z drogi demokracji, byli w błędzie. Faszyzm jest pewną fazą rozwojową, pewnym okresem procesu dziejowego.** Dlatego też wspólna z ludowcami czy tzw. lewicą sanacyjną walka o przywrócenie stosunków politycznych sprzed przewrotu majowego, była jego zdaniem naiwną próbą zaurócenia koła historii. Przy innej okazji pisał wprost: ***Nie będziemy jednak walczyć z faszyzmem pod hasłem odbudowy swobód demokracji burżuazyjnej, ale pod hasłem bezpośredniej całkowitej przebudowy ustroju. Po obaleniu faszyzmu przyjść miał więc czas budowy socjalizmu, nie zaś okres restytucji demokracji burżuazyjnej.***

Aby podjąć skuteczną walkę o zdobycie władzy, zdaniem Próchnika potrzeba było jednak znacznie więcej, niż tylko zaurócić porozumienie z komunistami i pozyskać dla idei frontu ludowego warstwę zdeklasowaną, np. bezrobotnych, wywłaszczonych chłopów czy ubogich urzędników. Przede wszystkim należało zmienić kierunek polityki PPS – naturalnego lidera całego projektowanego bloku. Próchnik chciał, aby partia zerwała z zachowawczą i ostrożną polityką, dostosowując się do narastających radykalnych nastrojów społecznych. Podobnie jak on myślało wielu innych działaczy, np. Norbert Barlicki czy Stanisław Dubois. Ta partyjna „lewica”, choć bardzo niejednorodna, dzięki swemu dynamizmowi i radykalizmowi zdobywała coraz większe poparcie wśród szeregowych pepeesowców. Świadczą o tym choćby ostre, momentami rewolucyjny ton, uchwały podjętych przez kongres partii w 1934 r. Rok później, w tym samym kręgu powstał projekt nowego programu PPS, który mógł być zapowiedzią poważnego zwrotu w polityce partii.

Kim byli autorzy owego – jak go nazwano – „zółtego programu”? Dziś trudno ustalić skład całej grupy, ale wśród nich znalazł się Próchnik. Na łamach prasy z zapałem przekonywał o słuszności programu: *Zasadniczą rzeczą, która przemawia za projektem „mniejszości” jest to, że stanowi on pewną logicznie, konsekwentnie przemyślaną*

i przeprowadzoną koncepcję. Nie ma tam niejasności i wnioski są wyciągane aż do końca. Program stwierdza więc, że przeżywamy fazę kapitalizmu monopolistycznego, bankructwo form gospodarczych i polityczny odpowiednik tego – faszyzm. Czy na takich przesłankach można skonstruować program reformistyczny? Niepodobna.

W istocie, projekt daleki był od reformizmu i kunktatorstwa. Zapowiadał ostrą walkę z rządami sanacyjnymi, aż do możliwości obalenia ich drogą zbrojnego przewrotu włącznie. Zwycięstwo w tej walce miało otworzyć drogę do budowy nowego, socjalistycznego ładu. W początkowym okresie socjalistyczny rząd miał sprawować władzę w formie dyktatury, aby złamać wszelkie pojawiające się próby restytucji kapitalizmu. Próchnik w artykułach na ten temat pisał, że program, który współtworzył, przewiduje *szereg ograniczeń wolności i praw politycznych, niezbędnych w okresie dyktatury. Ale odrzuca równocześnie karę śmierci i kary połączone z udręczeniami. Konstytuuje dyktaturę jako demokrację proletariacką, istniejącą z woli klasy pracującej i pod jej kontrolą. Ostrze jej ma być skierowane przeciw wrogom klasowym warstw pracujących, ale nie przeciw samym tym warstwom.*

Wbrew pozorom, nie oznaczało to zanegowania demokratycznej tradycji europejskiego ruchu socjalistycznego. Jego myśl szła podobnym torem, co ówczesne rozważania sporej części teoretyków Międzynarodówki Socjalistycznej, z Otto Bauerem na czele. Próchnik od początku aktywności publicystycznej podkreślał zalety systemu demokratycznego, jako najsprawiedliwszej, optymalnej formy rządów. O ile jednak w latach 20. wierzył, że powszechne prawo wyborcze i rządy parlamentu będą w stanie uruchomić proces demokratyzacji życia społecznego i tym samym przybliżą Polskę do socjalizmu, o tyle w latach 30. rozważał to zagadnienie w sposób bardziej zniuansowany. Przeprowadził wówczas wszechstronną, wielopłaszczyznową i... chyba do dziś w wielu miejscach aktualną krytykę demokracji przedstawicielskiej. Z jednej strony bowiem maskuje ona, pod pozorami równości i wolności, rzeczywiste antagonizmy klasowe i konflikty społeczne. Z drugiej zaś **sprowadzenie „rządów ludu” jedynie do ponawianego co kilka lat aktu wyborczego owocuje brakiem zainteresowania sprawami kraju. Współczesna mieszczańska demokracja [...] oddaje czynną rolę w ręce kilkunastu ministrów i kilkuset posłów. A aktywność reszty społeczeństwa polega na udziale co kilka lat w akcie wyborczym. W praktyce równa się to niemal bierności, gdyż nie można wymagać, aby w tych warunkach mogło się wytworzyć poczucie odpowiedzialności za losy kraju.**

Demokracji politycznej przeciwstawiał Próchnik koncepcję demokracji integralnej – obejmującej obok sfery polityki (ze szczególnym naciskiem na instrumenty bezpośredniego wpływu społeczeństwa na decyzje), również sferę ekonomiczną i społeczną. Taka demokracja *oddaje w ręce społeczeństwa wszystko, oddaje mu decydowanie w pierwszej i ostatniej instancji w sprawach politycznych, narodowych, kulturalnych, gospodarczych, społecznych i wszystkich innych. Znosi nie tylko absolutyzm króla czy dyktatora, ale również absolutyzm kapitalisty, fabrykanta, bankiera.* Jednak realizacja tego ideału możliwa była, zdaniem Próchnika, wyłącznie w ramach ustroju socjalistycznego. W jego imię, warto było sięgnąć – choćby przemocą – po władzę i zastosować w okresie przejściowym środki dyktatorskie wobec wszystkich, którzy chcieliby czynnie zwalczać rząd socjalistyczny.

Radykalne koncepcje Próchnika i jego towarzyszy nie miały jednak, w specyficznych warunkach drugiej połowy lat 30., większych szans na realizację. Dzięki zabiegom kierownictwa PPS znacznie zmniejszyły się wpływy zwolenników porozumienia z komunistami i bezpośredniego starcia z sanacją. Tym samym nie było jakichkolwiek szans na przeforsowanie współtworzonego przez Próchnika projektu programu PPS. On sam zresztą, w obliczu narastania groźby wojny i wiadomości o kolejnych procesach pokazowych w Moskwie, sukcesywnie eliminował bardziej radykalne tony ze swoich tekstów. Wobec informacji o oskarżeniach wysuwanych wobec znanych przywódców bolszewickich, jak Zinowiew, Bucharin czy Radek, Próchnik tracił zaufanie do komunistów. Wciąż wierzył w konieczność stworzenia bloku sił walczących o socjalizm, wciąż nazywał go frontem ludowym, lecz w miejsce dawnego optymizmu, w jego wypowiedziach coraz częściej pojawiały się sceptyczne, powątpiewające tony. Ostatecznie nadzieje na „jednolity front” przekreślił Stalin, likwidując KPP i pozbawiając życia większość jej przywódców.

Tymczasem na pierwszy plan wysuwały się zagadnienia międzynarodowe i problem obrony kraju. Po zajęciu Czechosłowacji przez Niemcy, Próchnik z zimnym realizmem pisał: *Stoimy sam na sam w obliczu państwa osiemdziesięciomilionowego, które swoją własną potęgę techniczną powiększyło o walory techniczne reprezentowane przez Czechosłowację. Z tym stanem trzeba się liczyć. [...] Obalona została wiara w różne deklaracje polityczne, w składane obietnice, w ofiarowywane gwarancje. [...] Świat nie będzie miał spokoju. Będzie wciąż niepokojony, nie dadzą mu zażyć ciszy. To jest właśnie tą realnością, z którą należy się rachować.* Warto podkreślić jednak, że nawet

w obliczu zagrożenia wojną, Próchnik pozostał bardzo wyczulony na wszelkie przejawy nacjonalizmu i szowinizmu. Podkreślał, że tylko zgodna współpraca Polaków oraz przedstawicieli mniejszości narodowych daje nadzieję na pomyślny rezultat wojny. Przestrzegał, że dopóki państwo polskie prowadzi politykę dyskryminacji ze względu na pochodzenie narodowościowe, nie może ono liczyć na to, że do jego obrony stanie 1/3 jego obywateli, czyli przedstawiciele mniejszości narodowych. Ze szczególną energią zwalczał antysemityzm i faszystowskie tendencje widoczne zarówno w obozie rządzącym, jak i – szczególnie jaskrawo – w kołach endeckich.

Jeszcze dzisiaj bardzo aktualnie brzmią jego słowa z artykułu zamieszczonego w „Robotniku”: *Są ludzie, którzy mają pełne usta wielkiej Polski, do której rzekomo dążą. Wszystko zależy od tego, w czym widzimy wielkość Polski. Ale Polska barbarzyństwa, Polska młodych nieuków bijących szyby i napadających na kobiety, Polska brutalnej siły fizycznej nie jest z pewnością wielka. I co najważniejsze nie jest bezpieczna [...]. Nie należy bowiem popełniać błędów i mieszać brutalności z siłą, odwagi z bezczelnością, energii z barbarzyństwem i dzielności z rozwydrzeniem, które wyrosło na bezkarność. Małe idee rodzą małych ludzi. Wielka Polska – to Polska kultury, Polska ludzi wolnych i szczęśliwych.*

Najgorsze przewidywania się sprawdziły – 1 września wybuchła wojna. Próchnik w trakcie oblężenia Warszawy pracował w utworzonym przez działaczy PPS Robotniczym Komitecie Pomocy Społecznej. Po wkroczeniu Niemców zaangażował się od razu w działalność konspiracyjną: prowadził tajne komplety, udzielał w WSM schronienia ukrywającym się działaczom, redagował różne podziemne wydawnictwa. Podjął także pracę w tworzonej – w ramach Związku Walki Zbrojnej – Wojskowym Biurze Historycznym, dla którego prowadził kronikę okupacji. Znalazł się jednak początkowo na uboczu konspiracyjnego życia politycznego. Nie znalazło się dla niego miejsce w utworzonej w celu zastąpienia PPS nowej konspiracyjnej organizacji, nazwanej WRN – Wolność, Równość, Niepodległość.

Wkrótce jednak Próchnik zaangażował się w wydawanie socjalistycznego pisma „Barykada Wolności”, powstałego z inicjatywy Norberta Barlickiego i Stanisława Chudoby. Na łamach tego pisma rozważał możliwe scenariusze wydarzeń w ogarniętej wojną Europie. Był głęboko przekonany, pamiętając choćby zakończenie poprzedniej wojny światowej, że konflikt skończy się rewolucją społeczną, która otworzy drogę do budowy socjalizmu. Wojna, jego zdaniem, „obudziła” bierne dotychczas masy, uzmysłowiła im zgubne skutki trwania kapitalizmu. Przepowiadał: *Wojna jest to olbrzymie przedstawienie,*



Wybory

~~święto demokracji~~
demokracja od święta

© Eastbook.eu, <http://www.flickr.com/photos/eastbookeu/6345269232/>

na którym wszyscy są obecni. A przy końcu przedstawienia do głosu dojdą widzowie. [...] Olbrzymia lawina została poruszona i z wolna zaczyna się posuwać.

Po początkowej izolacji, szybko wyrósł na jednego z liderów podziemnej lewicy. Grupa działaczy skupionych wokół „Barykady Wolności” powołała we wrześniu 1941 r. nowe ugrupowanie: Polscy Socjaliści (PS), na którego czele stanął właśnie Próchnik. Deklaracja programowa PS **głosiła konieczność rewolucyjnego zakończenia wojny i utworzenia opartej na wzajemnym zaufaniu „Federacji Europejskiej”**. W Związku Radzieckim widziano cennego sojusznika w walce z Niemcami, ale zarazem, co warto mocno zaakcentować, **zastrzegano: nie zmieniamy naszego negatywnego stosunku wobec politycznego ustroju Sowietów**.

Rozłam w ruchu socjalistycznym stanowił okoliczność bardzo niekorzystną, nic dziwnego więc, że w zasadzie tuż po powstaniu PS rozpoczęto rozmowy na temat połączenia PS i WRN w jednolitą, kontynuującą przedwojenne tradycje, PPS. Jednym z głównych uczestników negocjacji był oczywiście Próchnik. Nie udało mu się jednak ich z powodzeniem ukończyć. Zmarł nagle, 22 maja 1942 r. Dostał ataku apoplektycznego w jednej z warszawskich

kawiarni w trakcie rozmów na temat przywrócenia jedności w ruchu socjalistycznym.

Adam Próchnik to jedna z najciekawszych postaci międzywojennej PPS. Trudno uznać go za typ „działacza partyjnego”, zorientowanego w kulurowych rozgrywkach, z bezwzględnością zwalczającego przeciwników. Nigdy też nie szukał taniego poklasku, pochwał i pochlebstw. Był za to intelektualistą naprawdę dużego formatu, bez wątpienia jednym z najtęższych umysłów PPS. Jego spuścizna historyczna w dużej mierze do dziś zachowuje aktualność – przykładem może być jedna z najgłośniejszych prac, „Pierwsze piętnastolecie Polski Niepodległej”, pisana „na gorąco” historia II Rzeczypospolitej, do której odwołania można spotkać we współczesnych rozprawach naukowych.

Analiza publicystyki Próchnika ukazuje nam go jako przenikliwego obserwatora wydarzeń politycznych, samodzielnego i oryginalnego w swych sądach i opiniach. Był Próchnik zarazem humanistą i marksistą, przekonany o tym, że inny, lepszy świat jest możliwy. Walce o ten lepszy świat poświęcił w zasadzie całe swoje dorosłe życie.

Kamil Piskała

Zapomniany demokrata

Piotr Kuligowski

Historia to kapryśna i roztrzępana dama. Jej pamięć jest wysoce wybiórcza, a okraszona pewną dozą złośliwości potrafi skazać na zapomnienie najbardziej znaczne postaci. W przypadku Jana Kantego Podoleckiego sytuacja była jeszcze bardziej dziwaczna. Chichot historii sprawił, że w 1923 r. nazwisko galicyjskiego szlachcica wypłynęło na karty książek z powodu oskarżenia, w stan którego postawiła go Wisława Knapowska. Badaczka w swej pracy „Wielkie Księstwo Poznańskie przed wojną Krymską” wysunęła (niemożliwą do obrony) hipotezę, iż Podolecki krótko przed śmiercią był pruskim szpiegiem o pseudonimie Jan Schultz.

Ów iście prokuratorski przebłysek nie oznaczał jednak renesansu pamięci. Dopiero w 1955 r. ukazała się antologia tekstów tegoż zapomnianego, acz bardzo interesującego publicysty i myśliciela. Pomimo typowej dla tamtych czasów tendencyjności, „Wybór pism” Podoleckiego można uznać za jego swoisty, papierowy pomnik. Od tamtej pory jednak znowu zapadło przejmujące milczenie, które trwa do dzisiaj.

Jan Kanty Podolecki urodził się w 1800 r. w drobnoszlacheckiej rodzinie w Lesku (ziemia sanocka)¹. Data nie jest bez znaczenia – oznacza ona, że należał do tego pokolenia Polaków, którzy w Europie byli postrzegani jako rewolucyoniści; co więcej, pokolenia oglądającego rok 1812, *zwany przez lud „rokiem urodzaju”, przez żołnierzy „rokiem wojny”*². Jego pochodzenie społeczne – familia o wysokim kapitale kulturowym – dawało dobrą pozycję startową dla przyszłego erudyty, publicysty politycznego i historyzofa, a także badacza kultury ludowej. Natomiast pochodzenie klasowe – pauperyzująca się

szlachta – wieszczyło przystanie do szeregu niespokojnych duchów.

O jego wczesnej młodości, z powodu milczenia źródeł, nie można powiedzieć niemal nic. Pewne jest jedno: od najmłodszych lat miał szerokie horyzonty i zainteresowania, poczynawszy od literatury, poprzez historię i politykę, na etnografii skończywszy. Jak twierdził w jednym z listów, praca quasi-naukowa stanowiła dla niego swego rodzaju ucieczkę przed trudną sytuacją materialną.

Powstanie listopadowe tchnęło ożywcy powiew w galicyjski zaścianek, w którym funkcjonował Podolecki. Wówczas, jako trzydziestolatek, z kilkoma mniej lub bardziej udanymi próbami poetyckimi na koncie (utwory opiewające kulturę ludową publikował pod pseudonimem „Jaśko z Beskidu”), zadebiutował w życiu publicznym poprzez objęcie funkcji sekretarza w Komitecie pomocy dla powstania. Być może to wówczas po raz pierwszy Podolecki zetknął się z Joachimem Lelewelem i Komitetem Narodowym w Paryżu. **Komitet ów, przesiąknięty konserwatyzmem, nie mógł być jednak odpowiednim instrumentem politycznym dla szlacheckich demokratów i rewolucjonistów. Z tego też względu, w 1832 r. w Galicji powstał tajny Związek 21, w skład którego wchodził również Podolecki. Przez oponentów politycznych już wówczas oskarżany był o jakobinizm.** Oznacza to, że poglądy, które kilkanaście lat później wyłożył w płomiennych artykułach, dojrzały w jego sercu i głowie od wielu lat.

Wkrótce Podolecki nawiązał kontakt ze spiskiem Zaliuskiego i stał się łącznikiem między Związkiem 21 a konspiracją. Hasła karbonaryzmu przerażyły jednak członków związku tak bardzo, że doszło do jego rozwiązania. Czarę goryczy przelała dekonspiracja spisku i idące z nią w parze aresztowania.

W połączeniu z zaostreniem kursu władz austriackich wobec tajnych organizacji, szlacheccy radykałowie musieli stonować, do tego stopnia, że zaniechano nawet wydawania planowanego czasopisma propagującego zasady demokratyzmu. Nagrodą pocieszenia w zaistniałej sytuacji okazało się wydawanie tytułu o charakterze naukowo-literackim pod egidą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Jednak i tej inicjatywy nie można uznać za udaną – w lecie 1834 r. nielegalna działalność została wykryta. Szlachcic z Leska został oskarżony o współudział w zdradzie stanu. Uniewinnienie nastąpiło po ciągnącym się trzy lata procesie sądowym.

Represje uspiły ruchy spiskowe w Galicji. Podolecki oddał się wówczas pracy w gospodarstwie oraz kontynuował badania literackie i naukowe. Przebudzenie przyniósł dopiero rok 1846 – w lutym wyjechał ze Lwowa, zmierzając na miejsce zbiórki oddziału powstańczego. Los sprawił, że wzbierająca fala rewolucji wyrzuciła go we Francji, gdzie 2 czerwca wstąpił w szeregi Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Miesiąc później organ prasowy organizacji – „Demokrata Polski” – opublikował jego pierwszy artykuł: „O demokratyzmie polskim”. Publicystyka Podoleckiego dobrze trafiała do przygnębionych, emigranckich serc demokratów.

Wewnątrz TDP szybko objął Podolecki przywództwo w tzw. osadzie Heryskiej. O znaczeniu i prężności tego stronnictwa najlepiej świadczą obawy, jakie budziło ono wśród publicystów monarchistycznego „Trzeciego Maja”. Ówczesnego renesansu znaczenia podupadającego chwilę wcześniej TDP, który objawiał się choćby w pęczniejących szeregach organizacji, monarchiści polscy dopatrywali się właśnie w działalności „osady Heryskiej”.

Od 1847 r. rosło znaczenie Podoleckiego w szeregach TDP. Wpływ na to miał jego talent posługiwania się słowem pisanym i mówionym. W wyborach do Centralizacji, a więc kierownictwa organizacji, ów – świeżo przecież przyjęty – działacz otrzymał kilkanaście głosów; m.in. od samego Lelewela.

Rewolucyjna fala Wiosny Ludów zanosła szlachcica na ziemię polskie, gdzie odegrał dużą rolę w wydarzeniach lwowskich, wchodząc w skład ścisłego kierownictwa rewolucyjnego. Dzięki swym historiozoficznym publikacjom, wykazującym demokratyczny rodowód Polski, dorobił się Podolecki tak dużej popularności wśród lwowskich studentów, że wysunęli oni jego kandydaturę na objęcie katedry historii Polski na tamtejszym uniwersytecie.

Po pacyfikacji ruchu rewolucyjnego Podolecki, zagrożony aresztowaniem, ponownie wyemigrował do Paryża, z którego wkrótce został przez władze wydany do Londynu. Tam, obok Wojciecha Darasza i Stanisława Worcella, wszedł w skład Centralizacji TDP. W grudniu 1852 r. Podolecki wyjechał z Anglii i resztę swoich dni spędził w południowej



©©© I Am Not I, http://www.flickr.com/photos/mliadenovic/n/3311502344/

Francji. W szeregach TDP wciąż cieszył się sporą popularnością, w latach 1853–55 w wyborach do Centralizacji głosowali na niego emigranci z Anglii, Francji, a nawet Ameryki. Mimo to, po jego śmierci (28 maja 1855 r.) w „Demokracie Polskiej”, który był już wówczas pismem dogorywającym (podobnie jak TDP), nie ukazał się nawet lapidarny nekrolog. Wraz ze schyłkiem Towarzystwa nazwisko galicyjskiego szlachcica zaginęło w mrokach historii.

Znaczenia Podoleckiego nie należy przeceniać. Warto wszakże pamiętać, że Zygmunt Miłkowski umieścił go w triadzie trzech najistotniejszych członków Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w połowie XIX w. Wyrazem władzy w tymże gronie miał być Darasz, rozumu – Worcell, a *strony ujmującej, poezją okraszonej* – Podolecki. Na zapomnienie jego dorobku publicystycznego duży wpływ miał fakt anonimowości sporej części artykułów powstających w latach 1846–51. Z wcześniejszego okresu znane są jedynie jego utwory poetyckie o tematyce ludowej lub historiozoficzno-patriotycznej.

W sferze ideowej drobnoszlachecki rewolucjonista bez wątpienia pozostawał pod przełożonym wpływem koncepcji najwybitniejszego bodaj polskiego radykalnego demokraty I połowy XIX w., Joachima Lelewela³. Tenże wszelkie nieszczęścia spadające na polski naród – rozbiory i klęskę powstańczego zrywu z lat 1830–31 – złożył na karb postaw szlachty. Jego niechęć do tego stanu nie miała jednak nic wspólnego z fanatyzmem i nie stępiała przenikliwości analitycznej, trzeźwości spojrzenia i wnioskowania. Przeciwnie – ów światowej sławy historyk głosił konieczność restytucji demokracji szlacheckiej. Tyle

że Lelewel dopuszczał tę możliwość jedynie pod sztywnym warunkiem rozszerzenia przywilejów (czyli czegoś, co dziś określilibyśmy raczej mianem „praw obywatelskich”) na ogół społeczeństwa.

Podolecki zatem – jak większość ówczesnych polskich rewolucjonistów – w części swych poglądów utrzymywał lub rozwijał Lelewelowskie koncepty. Trudno jednak odmówić mu również wielce oryginalnych własnych propozycji politycznych. Jego poglądy były co prawda niespójne i z czasem podlegały ewolucji, a język prac przez swą sugestywność i emocjonalność w wielu momentach burzy jasność wywodu. Nie należy jednak tego faktu jednoznacznie poczytywać za wadę. Zygmunt Miłkowski u progu XX w. wspominał: *Co tydzień z niecierpliwością wyglądałem nowego Demokraty Polskiego numeru dla rozkoszowania się artykułem jego pióra, dającym się z łatwością wyróżnić wśród na chłodno poprawnych artykułów innych*⁴.

Spoivo poglądów Podoleckiego stanowi przekonanie o demokratycznych tradycjach głęboko zakorzenionych w polskości (*...i kto dziś nie jest demokratą, ten nie chce być Polakiem*⁵), czy może szerzej: słowiańskości. Podolecki twierdził uprost: *Ten żywioł rodowy, wiejski, solidarny jest głównym piętnem, odróżniającym nas od zachodu, gdzie przeciwnie, żywioł miejski górował i góruje*⁶. Dlatego doszedł on do przekonania, że **każdy naród ma zasadniczą ideę, która determinuje jego rozwój. Ideą Polski jest wiejskość, zaś ideą państw zachodnich – miejskość. Naturalnym dla Słowian miał być taki ustrój, w którym prawa wynikają z obowiązków.**

Zasada ta w najczystszej formie została w toku dziejów przechowana przez Polaków i uwidaczniała się w tym, iż szlachcic posiadał ziemię dlatego, że był żołnierzem. Owemu „lechickiemu” demokratyzmowi przeciwstawił Podolecki germańską ideę „civitas”, która wyrażała się w indywidualizmie, własności bezwarunkowej i wynikała z podboju, czyli z przemocy. Stąd na zachodzie zjawiska takie, jak monarchizm, centralizacja, absolutyzm i arystokracja.

Zdaniem Podoleckiego, demokratyczna idea „lechickości” uległa w Polsce spaceniu pod wpływem prądów i instytucji Zachodu. Te bowiem w żaden sposób nie przystawały do miejscowych warunków, gdyż *pierwotna instytucja naszego społeczeństwa nie znała żadnej dziedziczności, żadnej hierarchii stanów, żadnych przywilejów, jej zasadą była solidarna wiejska równość, skąd wypłynęła moralna dążność narodu*⁷. Z powodu odstępstwa od tych zasad wypływająca z obowiązku – a zatem warunkowa – własność szlachecka stała się własnością dziedziczną, a obowiązki chłopów względem szlachty-żołnierzy przeszły w poddaństwo



i pańszczyznę. Pojawiły się podziały społeczne i system monarchiczny, który w połowie XIX w. uznawał on za należący do czasów minionych, a jego obrońców – za utopistów (sic!).

Przesłanki te przywiiodły Podoleckiego do przekonania, że odrodzenie Polsce może dać tylko powrót do rodzimej „idei społecznej” (ta miała konstytuować i legitymizować narody), która przybierze formę realną przez zaprowadzenie równości, zniesienie poddaństwa i pańszczyzny. Rządy zaborcze zaś – w swoim interesie – podtrzymują i wykorzystują antagonizm między szlachtą i chłopami, co stanowi przyczynę klęski wszystkich powstań. W istocie bowiem podział ten nie był antagonistyczny, a zatem nie miał charakteru Marksowskiej walki klas. Przeciwnie: wynikał raczej ze spaczenia rozwoju społecznego Polski, a zatem był swego rodzaju aberracją. Wszakże, wedle Podoleckiego, jeszcze w XIX w.: *Chłop nasz zachował wiele pamiątek pierwotnej rodowej instytucji. Dotąd posiada użytkowanie tylko, nie własność gruntu; dotąd uważa obszar gromadzki za całość, siebie za spółposiadacza [...]. Kłoci się z dziedzicem, nie cierpi go czasem, lecz w zatargach granicznych z innymi wsiami gotów bronić własną krwią całości granic*⁸.

Specyfika Polski miała stwarzać możliwość jedności stanu szlacheckiego i włościańskiego. Należy zatem – zdaniem Podoleckiego – doprowadzić do zharmonizowania „siły moralnej” szlachty i „siły materialnej” (ilościowej) chłopstwa. **Zniesienie pańszczyzny jest niezbędne, gdyż oznacza powrót do idylli pierwotnego stanu. Działanie to**



© lensfodder, http://www.flickr.com/photos/runnerone/950407163/

byłoby również aktem sprawiedliwości dziejowej, ponieważ szlachta – z powodu nieutrzymania niepodległości narodowej – utraciła „na wieki” przywilej administracji i obrony. Samo uwłaszczenie miało być dobrowolne i odbywać się bez jakiegokolwiek odszkodowania. Podolecki pojmował je jako moralny i polityczny środek wyzwolenia narodu. Zwiastunem nadchodzącego wyzwolenia miała być rewolucja krakowska z 1846 r.

Mimo to, w odróżnieniu od większości współczesnych mu radykalnych demokratów, ale podobnie do np. Ludwika Mierosławskiego – chciał oprzeć rewolucję na warstwie szlacheckiej. Dostrzegał wprawdzie ryzyko, że uciśnione przez nią chłopstwo może w pewnym momencie spontanicznie zainicjować czyn zbrojny, jednak uważał, że jedynie szlachta może być nośnikiem owej idei „lechickości”, która miała doprowadzić do zbratania obu stanów, a w efekcie – do zwycięskiego boju, który skończyć się musi zwycięstwem demokratyzmu, braterstwem ludów, złamaniem potęgi caratu i wskrzeszeniem Rzeczypospolitej Polskiej⁹. Chłopstwo zaś mogło mieć jedynie siłę niszczącą.

Wychodząc od takiej diagnozy rzeczywistości, „Jaśko z Beskidu” chwalił postawę szlachty, która w 1846 r. ułożyła powstanie na zasadach demokratycznych: wyrzekła się własności gruntów chłopskich, pańszczyzny, danin, sądownictwa wiejskiego, nazwiska nawet szlachty, aby cały naród zlać w jedno ciało, w masę jednolitą¹⁰.

Warto podkreślić, iż w kwestii afirmacji „pierwotnego gminowładztwa” Podolecki ekwilibrystycznie odwrócił – na korzyść idei rewolucyjnej – szlachecką legitymizację ustroju folwarczno-pańszczyźnianego. Przedstawiciele jego własnego stanu twierdzili wszak, że posiadanie ziemi jest im należne z tytułu odbywania służby wojskowej i obrony ludności przed napadami. „Jaśko z Beskidu” zaś uznał, iż utrata niepodległości przez Rzeczpospolitą dowiodła tego, że szlachta nie spełniła w sposób należyty swego „dziejowego” obowiązku i dlatego powinna zostać pozbawiona praw, wyróżniających ją spośród reszty społeczeństwa. Wszak wedle niego szlachcic, czyli żołnierz uposażony rolą narodową, nie był jej właścicielem, ale tylko dożywotnim, a raczej doczesnym posiadaczem, to jest póty jej używał, póki wojskowo służył¹¹.

Warto również postawić pytanie o miejsce socjalizmu w poglądach Podoleckiego. Trzeba mieć przy tym na uwadze, iż zbyt łatwe ochrzczenie go mianem „radykalnego demokraty” czy „szlacheckiego rewolucjonisty” byłoby pójściem w sukurs dyskursowi komunistycznemu, którego luminarze chcieli zarezerwować „socjalizm” dla adeptów „jedynie słusznej” linii marksistowsko-leninowskiej¹².

Podolecki z całą pewnością nie pojmował „socjalizmu” w kategoriach całościowego systemu politycznego. Wydaje się, że miała to być raczej idea, która porwie masy do działania; idea bliżej nieokreślona, która we współczesnej autorowi polskiej publicystyce oznaczała tyle, co przeciwieństwo indywidualizmu i egoizmu. Podolecki pisał: *Co to jest socjalizm? Ów wyraz brzemienny niedaleką przyszłością, nie mający dotąd ogólnej, wyraźnej definicji, to „coś” nieoznaczone a wielkie, to coś – jednym śmiertelny postrach, drugim nadzieja i otucha, dla wielu tajemnicza zagadka?*¹³ Kilka stron dalej pada odpowiedź – socjalizm to wyzwolenie jednostki pod względem społecznym, tak jak wolność osobista jest jej wyzwoleniem cywilnym. Dlatego też *demokratyzm jest działaczem, socjalizm działaniem. Demokratyzm całością, socjalizm tejże całości częścią*¹⁴. Innymi słowy, *definicją wolności cywilnej jest wyzwolenie spod ucisków bezpośrednich, nielegalnych. Definicją socjalizmu – wyzwolenie spod ucisków pośrednich wykonywanych za osłoną legalności*¹⁵.

Powyższe wyimki wskazują, że samego Podoleckiego można określić jako socjalistę, gdyż opowiadał się on przeciwko własności indywidualnej. Jego zdaniem: *Własność w pojęciu socjalnym i postępowym jest rodzinną i względną, a przy tym niepodległą; w pojęciu zaś dawnym i wstecznym albo bezwzględną i osobistą, albo też nadaną, przeto uprzywilejowaną lub służebną*¹⁶.

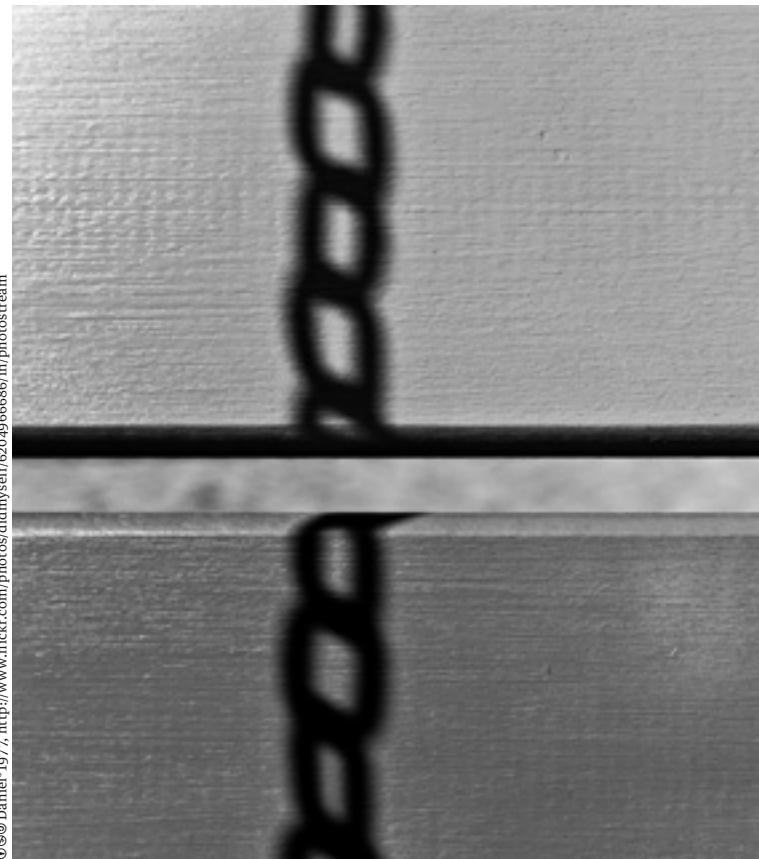
Należy jednak poczynić zastrzeżenie, iż socjalizm – podobnie jak demokratyzm – był dla niego tylko jednym z instrumentów na drodze do umasowienia ruchu powstańczego, a w dalszej perspektywie: do odzyskania niepodległości. Jednocześnie jednak galicyjski szlachcic dostrzegł konieczność ścisłego sprzężenia socjalizmu i demokracji na kilka dekad przed stwierdzeniem Róży Luksemburg, iż *nie ma socjalizmu bez demokracji*.

Poglądy Podoleckiego mogą dziś budzić zdziwienie czy wątpliwości. To, co w nich najcenniejsze, kryje się bowiem pod warstwą naleciałości charakterystycznych dla epoki, w której przyszło mu żyć; i tylko odpowiednia kontekstualizacja owych koncepcji umożliwi sprawiedliwą ich ocenę.

Co zatem aktualnego pozostaje w pracach Podoleckiego? Z jego twórczości wyłania się pięć, interesujących również dziś, spostrzeżeń.

Po pierwsze, **czymś niezwykłym – w obliczu poczucia niższości wobec Zachodu, towarzyszącego większości dzisiejszych komentatorów i publicystów – może wydać się przekonanie, iż Polska ma prawo podążać własną drogą.** Podolecki na kartach swej płomiennej publicystyki celnie antycypuje i zarazem punktuje okcydentalistycznych epigonów. Publicysta z Galicji, w momencie braku niepodległego bytu państwowego, rozbitego kilka dekad wcześniej przez agresywnych, absolutystycznych, „nowoczesnych” sąsiadów, nie wahał się przypisywać Polsce cech szczególnych. W jego bowiem ujęciu, Polska to *jedyny teraz reprezentant dawnej słowiańskiej wiejskości*, przez co nie potrzebuje ona *chwytać obcych i nowych myśli społecznych, ale powinna tylko rodzime swe zasady oczyścić z obcej rdzy i plugastwa wiekami przymieszanego, a przy tym rozprzestrzenić je i wykształcić wedle tegoczesnych potrzeb*¹⁷. Myśląc kontrfaktycznie, bez trudu można wyobrazić sobie współczesnego Podoleckiego, ironizującego z postmodernistycznych krzykaczy zapatrzonych w Slavoję Žižka czy wykpiwającego cierpiących na kompleksy budowniczych autostrad, zmierzających – jak nowoczesność przykazała – po finansowych i przyrodniczych trupach do asfaltowego celu.

Przechodząc jednak *ad rem*, Podoleckiemu chodziło o próbę znalezienia odskoczni od kapitalizmu, czy raczej od wszelkich plag charakterystycznych dla gospodarki wolnorynkowej. Na bazie modnego wówczas stawiania prymatu ducha nad materią, próbował – podobnie jak większość jego ideowych pobratymców – stworzyć ideologię pozwalającą zachować to, co najcenniejsze w ustroju demokracji szlacheckiej, a jednocześnie oczyścić ją z wypaczeń. Pierwsze skrzypce grała tutaj równość demokratyczna, która *nie polega na tym, aby wszyscy*



© Daniel 1977, <http://www.flickr.com/photos/didmyself/6204966686/in/photostream>

*posiadali jednakową liczbę zagonów ziemi, ale na tym, aby każdy obywatel mnożąc bogactwo narodowe na jakiegokolwiek drodze zbierał cały owoc swej pracy, czyli swojego poświęcenia, aby nikt nie był Negrem drugiego i za suchy kawałek chleba nie wzbogacał jego kieszeni*¹⁸.

W tym miejscu pojawia się druga istotna myśl w pracach Podoleckiego. Za ideową brawurę uznać wszak należy otwarte głoszenie przekonania o demokratycznych tradycjach, wpisanych w istotę polskości. Co więcej, tradycje tych doszukiwał się on w ustroju demokracji szlacheckiej, który dzisiaj wśród znakomitej większości postępowych komentatorów spotyka się co najwyżej z wykpiwaniem. Podolecki stanął zatem w opozycji do swoistego narodowego masochizmu, którym pewne gremia w swoim dobrze pojętym interesie zatrują debatę publiczną. Pisarstwo polityczne Podoleckiego, który analizując narodową historię sprawnie oddziela ziarno od plew, nie popadając ani w bezmyślną afirmację, ani w ograniczoną negację, stanowi swoiste antidotum na tego rodzaju postawę.

Powinniśmy przeto – wskazuje „Jaśko z Beskidu” – *koniecznie wpatrywać się w naszą przeszłość, bo ona wskazuje nam widomie niezbędną drogę przyszłości; poznaawszy „czym byliśmy” i „dlaczego”, poznamy z zupełną pewnością – „czym będziemy”*. *Tysiącletnia nić chrześcijańskiej socjalnej idei naszej, wysnuta z kłębka przedhistorycznych czasów, nigdy u nas zerwaną*

nie była; trzymajmyż się jej pilnie, bo owa idea wyprowadzi nas z labiryntu obłądnych a ułudnych wyobrażeń i pojęć, jakie zamącać muszą dzisiejszą przechodową epokę człowieczeństwa¹⁹.

Po trzecie, **wbrew deterministom inspirowanym marksizmem, odrzucił Podolecki przekonanie o „stopniach rozwoju sił wytwórczych”, „formacjach ekonomicznych” itp. W tej kwestii poszedł on zupełnie innym torem, przekonując, iż budowa bardziej sprawiedliwego ładu jest możliwa (a może nawet bardziej prawdopodobna) w społeczeństwach „zacofanych”.**

Po czwarte, Podolecki nie dokonywał bezrefleksyjnej afirmacji postępu technicznego. Przeciwnie, proces ten raczej go niepokoił i skłaniał do zastanowienia nad spodziewanymi skutkami społecznymi. W tej sferze galicyjski szlachcic zdaje się być myślicielem dojrzalszym od zafascynowanych industrializmem wielu ówczesnych i późniejszych ludzi zachodniej lewicy, których ślepa, deterministyczna wiara w tak pojęty rozwój wydaje się być dzieciadą w dobie konsumpcji jego, w części zatrutych bądź zgniłych, owoców. W tej mierze znacznie dojrzalsze są refleksje publicysty z Leska. Nie znaczy to, że Podolecki bał się mechanizacji. Uważał on, że zastępowanie pracy człowieka przez maszynę nie jest złe samo w sobie, wymaga jednak sprawiedliwego podziału dóbr wytwarzanych – dzięki postępowi właśnie – w coraz większych ilościach. Rzecz tę ujmował Podolecki następująco: *Zbyteczne rozwinięcie przemysłu ze stratą innych stosunków i względów społecznych nie tylko szkodzi klasie robotniczej przyprawiając ją o nędzę i ubóstwo, nie tylko pogarsza położenie rolników, drobnych posiadzieli ziemskich, ale co większa, rujnuje samą własność i wystawia ją na pastwę kapitałowi i kapitalistom*²⁰.

Wreszcie po piąte, sylwetka i poglądy Podoleckiego zadają kłam stereotypowemu postrzeganiu szlachcica jako zaściankowego konserwatysty, którego horyzonty myślowe nie przekraczają płotu własnego podwórka. Jego dwór w Rzepedzi, z bogatym księgozbiorem i inteligentnym, erudycyjnym gospodarzem (Podolecki znał pisma m.in. Arystotelesa, Locke’a, Rousseau, Proudhona, Sismondiego, Smitha, Ricarda, Bastiata, McCullocha, Careya, J.S. Milla, Saint-Simona, Fouriera i Owena), był lokalnym ośrodkiem życia towarzyskiego i kulturalnego, a także azylem dla zbiegłych powstańców i niespokojnych duchów, ściganych przez służby bezpieczeństwa despotycznych zaborców. Sama zaś postawa Podoleckiego, którego czyny zakwalifikowały go – znowuż sięgając do wspomnień Miłkowskiego – *jeżeli nie na szubienicę, to na dożywotni w Kufszteinie po-
byt*²¹, wskazuje, że warstwa szlachecka w XIX w. nie składała się li tylko z oportunistów, ale i z oddanych ideałom, romantycznych buntowników.

Warto podkreślić, że poglądy Podoleckiego były dość typowe dla większości ówczesnej polskiej lewicy. Świadczy o tym nie tylko analiza tekstów innych rewolucjonistów I połowy XIX w., ale także fakt, że w swych artykułach przedstawiał koncepcje, pod którymi mogliby podpisać się także Darasz, Worcell, a może nawet i Lelewel. Miłkowski u progu XX w. wspominał, iż teksty pióra Podoleckiego wyknuwały się zazwyczaj w toku ostrej dyskusji pomiędzy nim i kilkoma emigracyjnymi, ideowymi pobratymcami, którzy gościli w jego domu.

Przyglądając się postaci Podoleckiego trzeba ze smutkiem skonstatować, że to, co było oczywiste dla polskiej lewicy przed 150 laty, trzeba części jej współczesnych przedstawicieli, wpatrzonych w zagraniczne problemy, wyjaśniać od samego początku.

Piotr Kuligowski

Przypisy:

1. Zachowało się bardzo niewiele danych o życiu Podoleckiego. Większość przytoczonych tu informacji pochodzi z: J.K. Podolecki, *Wybór pism z lat 1846–1851*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Andrzej Grodek, Warszawa 1955; część również z: Z. Miłkowski (T.T. Jeż), *Sylwety emigracyjne*, <http://literat.ug.edu.pl/jez/002.htm>
2. Z. Miłkowski (T.T. Jeż), *Sylwety...*
3. Informacje nt. ideologii Podoleckiego pochodzą z: J.K. Podolecki, *Wybór pism...*; B. Baczo, *Poglądy społeczno-polityczne i filozoficzne Towarzystwa Demokratycznego Polskiego*, Warszawa 1955.
4. Z. Miłkowski (T.T. Jeż), dz. cyt.
5. J.K. Podolecki, *Równość* [w:] *Wybór pism...*, s. 28.
6. Tenże, *O demokratyzmie polskim* [w:] *Wybór pism...*, s. 11.
7. Tamże, s. 13.
8. Tamże, ss. 12–13.
9. Tenże, *Rewolucja i kontrrewolucja w Europie* [w:] *Wybór pism...*, s. 85.
10. Tenże, *O demokratyzmie polskim* [w:] dz. cyt., ss. 1–2.
11. Tamże, s. 9.
12. Por. L. i A. Ciołkoszowie, *Zarys dziejów socjalizmu polskiego*, s. 5. Choć i Podolecki, wzorem Marksa i Engelsa, miał tendencję do „unaukowienia” socjalizmu, pisząc że nie St. Simon, nie Fourier lub Owen byli jego twórcami lecz ekonomiści, bez ich pomocy systemata socjalne pozostałyby utopią (Znaczenie rewolucji socjalnej w Europie i w Polsce, *Wybór pism...*, s. 279).
13. J. K. Podolecki, *O socjalizmie* [w:] *Wybór pism...*, s. 159.
14. Tamże, s. 164.
15. Tamże, s. 165.
16. J. K. Podolecki, *Socjalność* [w:] *Wybór pism...*, s. 177.
17. Tenże, *O idei społecznej* [w:] *Wybór pism...*, s. 20.
18. Tenże, *Równość* [w:] *Wybór pism...*, s. 25.
19. Tenże, *O idei społecznej* [w:] dz. cyt., s. 21.
20. Tenże, *Rok 1852, czyli położenie Europy i stanowisko Polski*, s. 242.
21. Z. Miłkowski (T. T. Jeż), dz. cyt.

Pokaż, lekarzu...

JOANNA JURKIEWICZ

W czerwcu 2009 r. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła pandemię świńskiej grypy. W maju tego samego roku WHO zmieniła definicję pandemii - wykreślono zapis o dużej liczbie ofiar. Przy 144 zgonach wywołanych świńską grypą WHO podniosła poziom zagrożenia chorobą do najwyższego. Wiele krajów na świecie kupiło miliony szczepionek przeciwko tej odmianie grypy - zachęcała do tego WHO piórami swoich ekspertów, podając między innymi informację - która nie miała uzasadnienia naukowego - jakoby na świńską grypę mogły zachorować nawet 2 miliardy ludzi (czyli niemal 1/3 ludzkości!).

Dzisiaj liczne państwa usiłują wypłacić się z umów zawartych z koncernami farmaceutycznymi na dostarczenie szczepionek przeciwko świńskiej grypie. Jest ona znacznie mniejszym zagrożeniem dla zdrowia publicznego niż „zwykła” grypa. Eksperci piszący dla WHO wytyczne dotyczące choroby przyjmowali jednocześnie honoraria za wykłady i konsultacje od firm produkujących szczepionki przeciwko grypie. WHO konfliktu interesów nie ujawniła, a producenci szczepionek byli największymi beneficjentami pandemii: sprzedaż szczepionek rosła lawinowo. Te przeciwko świńskiej grypie były 2-3 razy droższe niż klasyczne szczepionki przeciwko grypie, które prawdopodobnie wystarczyłyby, aby uchronić się przed chorobą.

Polska była jednym z nielicznych krajów europejskich, który nie zamówił szczepionek - minister Ewa Kopacz oparła się wówczas presji koncernów. Nie znać to jednak, że nasze państwo jest odporne na działania firm farmaceutycznych, używających wszelkich środków, by zwiększyć sprzedaż leków. Píše o tym zajmując Paulina Polak w książce „Nowe formy korupcji. Analiza socjologiczna sektora farmaceutycznego w Polsce”. Publikacja jest niezwykle gęsta: autorka opisała mnóstwo przykładów nieuczciwych - choć



nie zawsze w świetle polskiego prawa nielegalnych - praktyk, których dopuszczają się lekarze, ordynatorzy, funkcjonariusze publiczni oraz firmy farmaceutyczne.

Autorka stawia tezę, że korupcja w sektorze farmaceutycznym nie jest wyjątkiem czy rzadko występującą patologią. To powszechnie stosowana i skuteczna metoda działania. Taką korupcją, którą firmy traktują jako pełnoprawne narzędzie w walce z konkurencją, autorka nazywa korupcją przemysłową. Można powiedzieć, że korupcja się zinstytucjonalizowała i sprofesjonalizowała. Nikt już nie wręcza kopert pod stołem, raczej płaci za fikcyjne badania marketingowe albo konsultacje. Korupcja ma wymiar ponadjednostkowy - nie przekupują pojedyncze osoby, ale całe firmy. Nawet jeśli zaproszenie do ekskluzywnego spa wręcza ginekolożce czy kardiologowi przedstawiciel medycyny, robi to w imieniu swojej firmy, dla której jest to całkowicie akceptowalna metoda pozyskiwania sympatii lekarzy.

Paulina Polak wyróżnia trzy poziomy korupcji. Pierwszym poziomem nazywa korumpowanie zwykłych lekarzy, drugim - „pozyskiwanie” tak zwanych liderów opinii, czyli medyków poważanych w środowisku, najczęściej dyrektorów szpitali, ordynatorów, konsultantów wojewódzkich i krajowych, a także osób zasiadających w gremiach opiniujących rejestrowanie i refundację leków. Najwyższy poziom korupcji to zdobywanie przychylności urzędników odpowiedzialnych za rejestrację i refundację leków.

Autorka zaczyna od opisu korumpowania zwykłych lekarzy. Prezentuje postać tak zwanego repa, czyli przedstawiciela medycznego. Właśnie z nim zwykli lekarze mają kontakt najczęściej. Rep odwiedza gabinet i „przypomina” o lekach danej firmy. **Życzliwość przedstawiciela w żadnym razie nie jest bezinteresowna: sprawdza on w aptekach, czy lekarz rzeczywiście**

wypisuje „jego” leki. Lekarze chętnie przepisujący wybrane medykamenty są odpowiednio nagradzani, od gadżetów po wycieczki. Ci, którzy się opierają, mimo że przyjmują prezenty, są strofowani. Relacja między lekarzami a repami jest czysto pragmatyczna. Lekarze traktują repów dość pogardliwie: przedstawicielami są często ludzie przypadkowi, bez wykształcenia medycznego. Repy z kolei dbają tylko o liczbę wypisanych recept, ale lubią przyjmować rolę „dobrych znajomych” - takich, którzy pamiętają o imieninach żony czy ulubionych gadżetach.

Autorka ciekawie opisuje status przedstawiciela, który jest biernym wykonawcą poleceń firmy, posiada mało prestiżową pracę i nierzadko czuje niższość wobec dobrze wykształconych medyków. Gorszą pozycję w kontaktach z lekarzem przedstawiciel rekompensuje sobie dozowaniem nagród - ostatecznie to on przyznaje bonusy, na których lekarzowi zależy. Z drugiej strony zadziwia usłużność części lekarzy, którzy gorliwie wypisują odpowiednie recepty, byle tylko załapać się na darmowe szkolenie czy wyjazd. Ci bardziej pewni siebie wręcz wymuszają konkretne dobra, traktując cały proceder jak transakcję wymienną. Autorka podkreśla, że **lekarze nie mają nic do stracenia, przepisując recepty - przecież płacą za nie albo sami pacjenci, albo Narodowy Fundusz Zdrowia.**

Zwykli lekarze mają jednak dość niewielkie możliwości promowania konkretnych leków. Dlatego ważniejsze jest zdobycie życzliwości liderów opinii i aktorów podejmujących najważniejsze decyzje dotyczące danego specyfiku. Wachlarz działań jest olbrzymi. Oczywiście lekarze nie otrzymują tak po prostu pieniędzy od koncernów. Zasłoną dymną dla korupcji są (najczęściej fikcyjne) badania marketingowe, konsultacje czy artykuły, a dla bardziej poważanych specjalistów: sponsorowane wystąpienia, referaty podczas konferencji i wykłady w czasie różnych uroczystych spotkań.

Wydaje się, że **polska „ordynatorsko-profesorska” medycyna, jak nazywa ją autorka, jest szczególnie podatna na korupcję.** Po pierwsze dlatego, że firmy nie muszą docierać do zespołów i przekonywać kilku osobowych gremiów - wystarczy, że do promowania lekarstwa namówią jednego wybitnego profesora lub ordynatora, który następnie będzie reklamował lek w swoim środowisku. System polegający na skupianiu dużej władzy w rękach jednej osoby o niepodważalnym autorytecie wydaje się być dla koncernów dodatkowym ułatwieniem, jednak ten wątek w książce nie jest rozwijany i możemy się tylko domyslać, o ile zachodnioeuropejska medycyna, opierająca się na pracy zespołowej, jest silniejsza w starciu z koncernami od polskiej „medycyny mistrzów”.

Po drugie, hierarchiczne stosunki panujące w polskiej służbie zdrowia i nie dość drożne kanały awansu dodatkowo motywują młodych ambitnych lekarzy do powielania złych wzorców. **Jeśli wielu doświadczonych, poważanych lekarzy nie waha się przystawać**

na różne korupcyjne propozycje, to ich młodszy stażem koleś chce szybko osiągnąć na tyle wysoki status, by **móc robić to samo.** Oto, co mówi jeden z respondentów autorki: *I to jest trochę, tak powiem, to się stała taka zła tradycja. To jest taka tradycja, że starzy profesorowie to robią, a ludzie, którzy czekają tylko, aż zostaną tylko docentami i od razu wejdą ten... już czekają, że jak zrobią habilitację, to... Tak jak ja mówiłem Pani z własnego doświadczenia, zrobiłem habilitację, stałem się opinion liderem i od razu, że tak powiem, stałem się przedmiotem zainteresowania. I wszyscy czekają na to, że to jest taki skok, że zamiast takiego ciężkiego ciulania i dyżurowania to będzie można wziąć 2 tysiące za wykład. To jest jakiś magnes, no i w tym momencie, no jeszcze ludzie mają różne żony, prawda. Mi moja żona pokazała palcem, że mam tego nie robić, a inna żona powie, że ta Kowalska to już ma futro, mówi weź tych parę wykładów, a co ty tam będziesz mówił to...*

Lekarze, którzy protestują przeciwko korupcji, są tak nieliczni, że autorka... wymienia ich z imienia i nazwiska. Obraz polskich medyków wyłaniający się z książki Pauliny Polak jest nader pesymistyczny, a niektóre specjalizacje - jak ginekologia - doczekały się łatki profesji wyjątkowo pазernych. Stosunki między firmami a lekarzami i urzędnikami przypominają relacje klientelistyczne - w zamian za określone dobra lekarze i urzędnicy opowiadają się za danym lekiem, przepisując go pacjentom lub wpisując na listę leków refundowanych. Naruszają w ten sposób przyjęte oficjalnie zasady gry rynkowej oraz zasady etyki, które powinny obowiązywać w służbie zdrowia. Patron - w roli którego występuje firma - ma ogromne środki, ale stosunkowo małe możliwości samodzielnego osiągnięcia zamierzonych celów, klient natomiast (lekarz lub urzędnik) posiada małe zasoby, lecz odpowiednie kompetencje oraz właściwą pozycję w strukturze administracyjnej czy środowiskowej hierarchii, by z powodzeniem realizować postanowienia patrona.

Działania firm farmaceutycznych nie kończą się na opłacaniu wyjazdów i wykwinnych kolacji. Aby przyciągnąć uwagę opinii publicznej, koncerny organizują czasem kampanie reklamowe imitujące kampanie społeczne. Mają one uświadamiać ludziom, jak „ogromne niebezpieczeństwo” stanowi dana choroba i przygotować grunt pod sprzedaż leków produkowanych przez koncern. Jedną z takich kampanii dotyczyła pneumokoków - miała uświadomić rodzicom, że bakterie te są ogromnym, śmiertelnym zagrożeniem dla małych dzieci. Jej oficjalna nazwa brzmiała Społeczna Kampania Edukacyjna: „Stop pneumokokom”, a pokazywane w ramach kampanii spoty reklamowe przedstawiały młode kobiety rozpaczające po śmierci niemowląt. W rzeczywistości zarażenie bakteriami prowadzi najczęściej do zapalenia ucha lub gardła, a przypadki śmiertelne zdarzają się bardzo rzadko. Na stronie internetowej kampanii nie było informacji o jej organizatorze - koncernie produkującym szczepionki przeciwko

pneumokokom. Dopiero po dwóch latach intensywnej kampanii i krytycznych artykułach w prasie, Główny Inspektorat Farmaceutyczny nakazał zawiesić akcję.

Kto traci z powodu korupcji w polskim sektorze farmaceutycznym? Przede wszystkim pacjenci, którzy nie otrzymują leku najlepszego, lecz najsilniej promowany. Dalej: budżet państwa – największe boje toczą się o leki refundowane, za które płaci Narodowy Fundusz Zdrowia. Czasem przegrywają również polskie firmy farmaceutyczne, produkujące tańsze zamienniki drogich specyfików. W osłabianiu rodzimych producentów niechlubną rolę odgrywają czasem stowarzyszenia pacjentów. Organizacje zrzeszające chorych i ich rodziny są uzależnione od dużych firm, co koncerny wykorzystują bez ograniczeń: *Organizacje pacjentów są na całym świecie i tak to wygląda, że po prostu jak firma nie może, to organizuje organizację pacjentowską. I organizacje pacjentowskie potem robią coś takiego i mówią: tak, no tutaj jesteśmy strasznie biedni, mamy np. SM [stwardnienie rozsiane] i nie daje nam się Interferonu, prawda. Wychodzą do gazet, do mediów. Organizacje pacjentowskie są takie, że, że tak powiem, złamanego grosza bym nie dał za nie [...]*.

Autorka opisuje działania najbardziej znanego polskiego stowarzyszenia chorych na cukrzycę, które w mediach bardzo krytycznie wypowiadało się o krajowej insulinie, rzekomo gorszej od tej produkowanej przez zagraniczne koncerny. Larum wszczęto, gdy okazało się, że polska insulina ma zastąpić na liście leków refundowanych dotychczasową insulinę zagraniczną, której producenci kategorycznie odmówili obniżenia cen. Polska insulina była tańsza i jej kupno miało przynieść państwu spore oszczędności. Szczególnie aktywny w skalowaniu polskiej insuliny był prezes stowarzyszenia cukrzyków, ale wielu znanych lekarzy również publicznie poparło pomysł, by nie zastępować droższej insuliny tańszą krajową. Ostatecznie zmiany dokonano i polska insulina okazała się równie dobra jak zagraniczna – być może prezesa stowarzyszenia przekonał o tym samochód подарowany przez polskiego producenta.

Organizacjom pacjentów poświęcony został osobny fragment książki i jego lektura pokazuje, w jak cyniczny sposób firmy i „działacze” traktują trzeci sektor. Organizacje pozarządowe lobbują na rzecz leków innowacyjnych, produkowanych przez koncerny i otrzymują za to lekarstwa, sprzęt medyczny, samochody. Firmy interesują się, rzecz jasna, głównie tymi stowarzyszeniami, które zajmują się chorobami leczonymi farmakologicznie. Im dłuższa i droższa terapia, tym korzystniej dla firmy. Najlepiej, aby państwo w całości finansowało leczenie, bo wówczas pacjenci będą z wielką determinacją walczyć o najlepsze – w domyśle najdroższe – lekarstwa. Choćby polskie firmy generalnie przegrywają rywalizację z potężnymi koncernami, same uciekają się do bardzo podobnych metod: producenci wykorzystują bez oporów kontakty polityczne,

a skompromitowani politycy z łatwością znajdują dla siebie miejsce w firmach produkujących leki.

Środki masowego przekazu pojawiają się często jako bohater drugoplanowy książki – nie zawsze pozytywny. Wydaje się, chociaż autorka nie formułuje podobnej tezy *expressis verbis*, że media w pogoni za sensacyjnym tematem tracą z pola widzenia interes publiczny – rozpisując się o groźnych pneumokokach, świńskiej grypie czy polskiej insulinie. Wzmagają presję na decydentów, by przyjęli rozwiązanie korzystne z punktu widzenia koncernów. Czy mediami rządzi wyłącznie logika wzrostu oglądalności? Czy może firmy w jakiś sposób wpływają na redakcje i dziennikarzy, aby podejmowali określone tematy? Te pytania pozostają bez odpowiedzi. Działalność mediów ma jednak też drugą stronę: dziennikarze wydobywają na światło dzienne afery w sektorze farmaceutycznym i służbie zdrowia, ujawniają powiązania między politykami a producentami leków.

Właściwie każdy przypadek opisany w książce to konflikt interesów. Tymczasem w Polsce nie ma zwyczaju artykułowania zagrożenia, jakie stanowi dla dobra publicznego konflikt interesów. Jednocześnie oburzenie wywołują najmniejsze wyrażone wprost podejrzenia o korupcję lub nadużycie pozycji. Bezczelność, z jaką urzędnicy, lekarze i działacze organizacji pozarządowych tłumaczą się z wycieczek i bankietów, a firmy – z nieczystych zagrań, jest uderzająca. Nie powinna jednak zaskakiwać, ponieważ właściwie wszystkie nieuczciwe praktyki pozostają bez konsekwencji. Weźmy znany przykład: w 2006 r. „Gazeta Wyborcza” i TVN ujawniły materiały ze szkolenia dla pracowników pewnego koncernu – plansze ze szkicami różnych sytuacji. Zadaniem uczestników szkolenia było właściwe uzupełnienie makiet. Jedna z plansz dotyczyła sytuacji w jednostce podstawowej opieki zdrowotnej i lekarza, który „nie wywiązuje się z zobowiązań, kłamie i oczekuje realizacji umowy. Pisz leki konkurencji”. Przedstawiciel czuje się „zawiedziony, bezradny, wściekły i oszukany”. Wyrażnie określa biznesowy charakter relacji z lekarzem, mówiąc o umowie, jaką ze sobą zawarli. „W aptece nie widać nowych recept... Umawialiśmy się na 10 nowych pacjentów, a przybyło tylko 5, więc nie mogę zrealizować mojej części umowy”.

Firma twierdziła, że ten fragment szkolenia pokazywał, w jaki sposób kształtują się patologiczne relacje między lekarzami a przedstawicielami, a także przekonywała, że dziennikarskie hipotezy, jakoby uczestnicy ćwiczyli się w korumpowaniu medyków, są tak absurdalne, iż koncern nie będzie się do nich odnosił. Śledztwo w tej sprawie nadal trwa, ale jak dotąd nikomu nie postawiono zarzutów – ta fraza powtarza się zresztą w książce wielokrotnie z pewnymi modyfikacjami. Kolejne skandale farmaceutyczne nie wywołały już takiej reakcji, nie było konferencji prasowych, nie wszczynano śledztw itd.

Wiele wskazuje na to, że konflikt interesów we współczesnej medycynie jest nieunikniony: lekarze w niewielkim stopniu dystansują się wobec firm, z których produktów stale korzystają. Skoro nie można konfliktu interesów wyeliminować, należałoby skutecznie nim zarządzać. Jednak polską receptą na uwikłanie lekarzy i urzędników w konflikt interesów są kodeksy etyczne i regulacje wewnętrzne. Czy kodeksy etyczne, których łamanie nie pociąga ze sobą żadnych sankcji, to rzeczywiście najlepsza bariera dla działań korupcyjnych?

Nacisk na wewnętrzne regulacje w sektorze farmaceutycznym pokazuje, że państwo nie radzi sobie z zagrożeniami wynikającymi z wątpliwych etycznie działań firm. Prawo farmaceutyczne powstało dopiero w 2001 r., natomiast rynek leków został uwolniony już na początku lat 90. Przez 10 lat najwięksi gracze stosowali wszelkie chwyt, by zdobyć uprzywilejowaną pozycję na rynku, a jedyne, co ich ograniczało, to pojedyncze i rozproszone po różnych aktach prawnych przepisy. Pociąganie do odpowiedzialności osób prawnych, którymi są koncerny, jest w Polsce nadal bardzo trudne. Mamy właściwe przepisy, takie jak wprowadzony w 1997 r. nowy kodeks karny oraz ustawę o odpowiedzialności podmiotów zbiorowych z 2002 r., jednak sankcje nadal spadają tylko na pojedyncze osoby bezpośrednio naruszające prawo. Nie na producentów i importerów leków, którzy de facto odpowiedzialni są za działania swoich pracowników – wszak szkolą ich do zdobywania przychylności lekarzy i za to samo wynagradzają.

Największą zaletą książki, która jest również dowodem na to, jak podatny na korupcję jest cały system opieki zdrowotnej w Polsce, są rozmaite przykłady nagannych praktyk i liczne studia przypadków. Autorka omówiła wszystkie największe afery korupcyjne związane z sektorem farmaceutycznym, które wybuchły w ostatnich latach. Wskazała też wielu aktorów, którzy pośrednio lub bezpośrednio biorą udział w korupcyjnym procederze, nie tylko lekarzy, urzędników i polityków, ale też aptekarzy (informujących repów o tym, czy lekarz przepisuje dany lek), organizacje pozarządowe czy towarzystwa naukowe. Pokazała również, jak zróżnicowane sposoby oddziaływania na lekarzy i urzędników stosują firmy farmaceutyczne i dokładnie je opisała, przytaczając często wypowiedzi respondentów, skądinąd bardzo interesujące. Paulina Polak przeanalizowała wszystkie etapy prowadzące do zarejestrowania leku, a później wpisania go na listę specyfików refundowanych, i podała konkretne przykłady nieprawidłowości, które pojawiały się na różnych szczeblach prac administracyjnych.

Praca wydaje się dobrze udokumentowana, zawiera kompleksowe ujęcie problemu korupcji w sektorze farmaceutycznym w Polsce. Książka jest solidnym naukowym opracowaniem sygnalizowanego wielokrotnie, np. w mediach, problemu, jednak ma kilka wad.



Część metodologiczna praktycznie nie istnieje. Nie znajdujemy niemal żadnych informacji o respondentach – sformułowania w króciutkiej części dotyczącej badania są raczej enigmatyczne. Brak krytyki źródeł obniża wiarygodność badań – autorka nie przedstawiła czynników mogących osłabiać siłę wypowiedzi respondentów.

Kolejne zastrzeżenie dotyczy ram teoretycznych, w których mieścić się ma narracja o sektorze farmaceutycznym. Polak wybrała teorię systemów Niklasa Luhmanna. Interesująco i przystępnie zaprezentowała wypieranie logiki jednego systemu, jakim jest służba zdrowia, przez logikę zysku, którą rządzi się drugi system, czyli sektor farmaceutyczny. W dyskursie dotyczącym służby zdrowia stwierdzenia o jej kolonizowaniu przez pieniądź pojawiają się wciąż zbyt rzadko i ustępują miejsca zapewnieniom o konieczności „racjonalizacji wydatków”, dlatego słowa autorki zasługują na uwagę. Proporcje książki są jednak lekko zachwiane – trudno oczekiwać, by część teoretyczna dorównywała objętością części empirycznej, ale w tym wypadku różnice są trochę zbyt wyraźne: najpierw mamy ciekawą, ale zbyt krótką część teoretyczną, następnie ogromny materiał empiryczny, a na końcu jedynie skromne podsumowanie.

Wadą publikacji jest również brak rekomendacji dotyczących sektora farmaceutycznego. Autorka opisuje pozytywne praktyki z innych krajów, np. z USA, które upowszechniają instytucję tzw. *whistleblowera* – informatora, który alarmuje opinię publiczną o patologiach tocących daną firmę lub instytucję. Książka nie zawiera jednak wyraźnego sformułowanego projektu uodpornienia polskiej służby zdrowia na korupcję ze strony dużych firm. Otrzymujemy katalog złych praktyk, świadczący o niebywałej pomysłowości koncernów, nie mamy natomiast dla niego należytej przeciwwagi. Pozostawia to czytelnika absolutnie przekonanego o powadze problemu, jednak pesymistycznie nastawionego wobec możliwości zmian.

JOANNA JURKIEWICZ

Paulina Polak, *Nowe formy korupcji. Analiza socjologiczna sektora farmaceutycznego w Polsce*, Wydawnictwo NOMOS, Kraków 2011.

Po pierwsze równość, głupcze!

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Czy równość jest jedynie społecznym i politycznym mitem? Czy koncepcje egalitarne mają rację bytu w świecie, w którym bogaci stają się coraz bogatsi, a biedni coraz biedniejsi? I ostatecznie: czy i jaki pożytek płynie z równości? Do takich pytań skłania książka Richarda Wilkinsona i Kate Pickett, „Duch równości”.

Warto przybliżyć polskim czytelnikom sylwetki autorów. Richard Wilkinson jest jednym z prekursorów międzynarodowych badań nad społecznymi uwarunkowaniami zdrowia oraz wpływu nierówności na kondycję społeczeństwa. Studiował historię gospodarczą świata w London School of Economics. Jest honorowym profesorem wydziału medycznego University of Nottingham i University College London. Z kolei Kate Pickett wykłada na University of York oraz jest pracownikiem naukowym brytyjskiego National Institute for Health Research. Dla propagowania wyników swych badań i egalitarnych koncepcji społecznych założyli fundację Equality Trust.

Autorzy stwierdzają, że na początku badań trwających już 30 lat, zajmowała ich przede wszystkim kwestia, *dlaczego im niższy szczebel drabiny społecznej, na którym człowiek się znalazł, tym gorsza kondycja zdrowotna tego człowieka.* [...] Wydawało się, że nierówności istniejące w społeczeństwach krajów wysoko rozwiniętych są zbyt małe, aby móc wywierać jakikolwiek mierzalny wpływ na kondycję tych społeczeństw. Prawda okazała się inna.

Jednak ta właśnie prawda - o dobroczynnym wpływie równości na kondycję społeczeństw, okazuje się wciąż, celowo lub nieświadomie, ignorowana czy wprost zwalczana. Wilkinson i Pickett obrazują to zagadnienie przy pomocy analogii: w 1847 roku Ignaz



Semmelweis odkrył, że mycie rąk przez lekarzy przyjmujących porody zdecydowanie zmniejsza liczbę kobiet umierających w wyniku gorączki połogowej. Zanim jednak odkrycie to uratowało wiele istnień ludzkich, Semmelweis musiał przekonać mnóstwo osób - zwłaszcza swoich kolegów po fachu - do zmiany zwyczajów. [...] Znaczna część lekarzy nie traktowała jego pracy poważnie. Jego poglądy wyśmiewano, co doprowadziło go do obłądu i samobójstwa. Jak podkreślają autorzy „Ducha równości”, o wiele większa trudność dotyczy koncepcji społecznych, ich przyjmowania i upowszechniania: Przyrodnicy i fizycy nie muszą przekonywać do swoich teorii poszczególnych komórek czy atomów, które opisują. Teoretykom społeczeństwa natomiast przychodzi ścierać się z mnogością indywidualnych poglądów i stawiać czoła potężnym siłom interesu.

Istotny w świetnie udokumentowanej pracy Wilkinsona i Pickett jest interdyscyplinarny charakter badań nad trendami społecznymi i problemami jednostek. Bardzo często nie są one wynikiem indywidualnych wyborów czy zaniedbań, lecz wynikają z trendów społeczno-ekonomicznych lub zależą od kwestii ustrojowych, przyjętych w danych państwach. Jest to perspektywa, której wciąż zbyt mało w polskim dyskursie publicznym, zdominowanym przez narracje indywidualistyczne lub pseudowspółnotowe, które często - nieświadomie lub z premedytacją - mają ukryć systemowe czy klasowe źródła ludzkich problemów i kondycji życiowej (zdrowotnej, materialnej, kulturowej) Polaków.

Druga istotna kwestia, ściśle związana z pierwszą, wiąże się ze sprawą na pozór oczywistą, ale chyba także w Polsce wciąż ignorowaną czy traktowaną jak „nowinkarstwo”. Problemów dzisiejszych społeczeństw, przechodzących bardzo dynamiczne zmiany, nie można analizować za pomocą schematów czy analogii odnoszących się do niegdysiejszych realiów życia, rzeczywistych czy zmistyfikowanych. Stąd np. zrozumienie problemów agresji dzieci, ich kłopotów ze zdrowiem, także psychicznym, albo współczesne rozumienie biedy i jej konsekwencji w świecie (względnie) dobrobytu wymaga zdecydowanie staranniejszych analiz i ocen, niż uznanie, że „dzieciom brak wychowania”, a bieda polega na tym, iż „nie ma czego włożyć do garnka”.

Wilkinson i Pickett dają czytelnikowi narzędzie do zrozumienia zachodzących procesów społecznych i historycznych, wyzwalaając myślenie ze złud subiektywności, które często uniemożliwiają pracę nad efektywnymi zmianami czy rzetelne diagnozy sytuacji. Książka jest również protestem przeciw atomizacji społecznej i antagonizowaniu jednych grup przeciwko drugim. Wszak równość - jak dowodzą autorzy - jest korzystna dla wszystkich, a zrozumienie, jakie korelacje zachodzą między problemami i tragediami społecznymi a istnieniem ekonomicznych, politycznych, edukacyjnych, kulturowych czy rasowych nierówności, jawi się jako warunek niezbędny do przeprowadzenia zmian na lepsze. Pierwszym krokiem ku temu jest ukazanie najszerszym rzeszom społecznym tego zagadnienia i uświadomienie, że nie są skazani na strategie indywidualistyczne. Choć tu i teraz taki pogląd może wydawać się mrzonką.

Pierwsza część książki nosi tytuł „Materialny sukces, społeczna porażka”. Autorzy stawiają pytanie: *Jak doszło do tego, że w naszym życiu jest tyle cierpienia psychicznego mimo osiągnięcia niespotykanego w dotychczasowej historii poziomu zamożności i komfortu?* Wyraźny jest kontrast między niepowodzeniami społecznymi wielu państw cieszących się dużym bogactwem materialnym. Wilkinson i Pickett stwierdzili, że różnice dochodów w obrębie społeczeństwa, do którego należy dana jednostka wpływają na nią znacznie

bardziej, niż różnice między przeciętnymi dochodami w poszczególnych krajach zamożnych. Stąd też problem ubóstwa jawi się - by powołać się na cytowanego przez autorów Marshalla Sahlinsa, autora pracy „Stone Age Economics” - jako *określony status społeczny. Pojęcie to pojawiło się jako piętno oznaczające ludzi niższej klasy.*

Jednym z problemów w obrębie społeczeństw głęboko rozwarstwionych (jako bodaj modelowa przedstawiona tu została sytuacja w USA) jest poczucie dyskomfortu wynikające z własnego statusu materialnego i różnoraka presja, wywierana na gorzej sytuowanych, która uświadamia im niekorzystne położenie i wymusza ciągłą rywalizację i życie w napięciu. A ponieważ „równanie do najbogatszych” jest niewykonalne (różnego rodzaju blokady klasowe, rozpiętość zarobków itd.), staje się źródłem licznych napięć społecznych i frustracji, skutkuje życiem w przewlekłym stresie. Uznać wręcz można, że ów stres jest nie tylko przypadłością psychofizyczną jednostek, lecz stanem społecznym. Wilkinson i Pickett stwierdzają, że w toku badań uświadomili sobie, iż *niemal wszystkie problemy występujące częściej w dole drabiny społecznej (między innymi zły stan zdrowia obywateli, wysoki poziom agresji) są powszechniejsze w społeczeństwach bardziej nierównych. To wywołuje coraz silniejsze obawy, że współczesne społeczeństwa, mimo dostatku materialnego, ponoszą klęskę w wymiarze społecznym.*

Tezy powyższe nie są gołosłowne. Autorzy wskazują, że dane unaoczniające głęboko niepokojące symptomy społeczne w krajach o dużym poziomie nierówności pochodzą *ze źródeł o najlepszej reputacji, między innymi z Banku Światowego, ze Światowej Organizacji Zdrowia, z Organizacji Narodów Zjednoczonych, Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju.* Stąd też waga konsekwencji wynikających z dysproporcji społeczno-ekonomicznych jest tak niebagatelna. Skala nierówności jest dla autorów „Ducha równości” niczym *szkielet, który obrasta różnicami klasowymi i kulturowymi.* Te różnice mają niebagatelne konsekwencje: jakość życia psychofizycznego, edukacja, aktywność lub bierność obywatelska, (nie)świadomość konsumencka, kapitał społeczny, jakim dysponują poszczególne grupy społeczne - wszystko to znajduje źródło w stopniu rozwarstwienia i nierówności, jakich doświadczają poszczególne państwa.

Te problemy społeczne znajdują odzwierciedlenie w konkretnych danych. Przyjmując za punkt wyjścia badań nad wpływem nierówności bytowych na kondycję społeczeństw wyłącznie wiarygodne statystyki, skoncentrowali się oni na dziewięciu zagadnieniach. Są to: poziom zaufania, zaburzenia psychiczne (w tym alkoholizm i narkomania), przeciętne dalsze trwanie życia i umieralność niemowląt, otyłość, wyniki nauczania dzieci, urodzenia przez nastoletnie matki, zabójstwa, współczynnik przynizacji (liczba więźniów na 100 tys. mieszkańców) i mobilność społeczna.

Zebrali dane dla wszystkich problemów społecznych i zdrowotnych w poszczególnych krajach wysoko rozwiniętych (m.in. Wielka Brytania, Portugalia, Kanada, Włochy, Francja, Norwegia, Japonia) i poszczególnych stanach USA, obliczając dla każdego z nich „indeks problemów zdrowotnych i społecznych”. Ukazuje on skalę zjawiska w każdym z badanych państw. Wyniki mówią, że *problemy zdrowotne i społeczne nie tylko są bardziej rozpowszechnione w gorzej sytuowanych grupach w obrębie każdego społeczeństwa, ale też brzemień tych problemów jest o wiele cięższe w społeczeństwach o większych nierównościach*.

Tu drobna dygresja: w jednym z rozdziałów części pierwszej autorzy stwierdzają, że *rozwiązaniem problemów wynikających z istnienia nierówności nie jest masowa psychoterapia, nastawiona na to, aby wszyscy stali się mniej wrażliwi*. Z sarkazmem, a być może zupełnie na serio trzeba jednak stwierdzić, że w krajach takich jak Polska, ideolodzy i wyznawcy „realnego liberalizmu” od lat stosują właśnie taką terapię i codziennie jest ona dawkowana masom. Nierzadko przybiera też formy pozornego współczucia (różne odmiany działalności charytatywnej), kryje za sobą jednak społeczną nieodpowiedzialność i klasową/ideologiczną obojętność, a nawet wrogość wobec kulturowo napiętnowanej biedy i „biedoty”.

Druga część książki, „Koszty nierówności”, dotyczy m.in. takich zagadnień, jak aktywność obywatelska i stosunki społeczne, zdrowie psychiczne i narkotyki, młodociane matki, przemoc, więziennictwo i system kar czy ograniczenia mobilności społecznej. Rozdział otwiera cytat z dzieła de Tocqueville’a „O demokracji w Ameryce”, który skonfrontowany z dzisiejszymi realiami USA brzmi niemal jak szyderstwo: *Spośród wszystkich nowych zjawisk, jakie przyciągnęły moją uwagę podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych, najbardziej uderzyła mnie panująca tam powszechna równość możliwości. Spostrzegłem szybko nadzwyczajny wpływ, jaki ten podstawowy fakt wywiera na rozwój społeczeństwa. O ile zatem „równość możliwości” jest czynnikiem wzrostu, wpływającym aktywizująco na życie jednostek i rozwój społeczny, o tyle głęboka „nierówność możliwości” staje się przyczyną apatii i patologii życia społecznego*.

W kontekście problemów toczących polski system szkolnictwa warto zwrócić uwagę na poruszone w książce kwestie dotyczące relacji pomocy socjalnej (rozumianej nie jako fasadowy „socjał”) i edukacji. Autorzy „Ducha równości” przytaczają wyniki badań epidemiologicznej Arjumand Siddiqi i jej współpracowników. Wymowne: analiza biegłości czytania 15-latków (na podstawie danych z analiz PISA 2000) wskazuje, że *lepiej wypadają kraje o długiej historii państwa opiekuńczego*. Ponadto, *dobre wyniki w czytaniu oraz małe nierówności społeczne charakteryzują narody „wyróżniające się silniejszymi świadczeniami socjalnymi”*.

©© sakocreative, <http://www.flickr.com/photos/sakocreative/3626574411/in/gallery-60865808@N06-72157629648614798/>



Kwestia ta łączy się z następnymi. Otóż skutki nierówności społecznych ujawniają się już *we wczesnym okresie rozwoju dziecka, na długo przed rozpoczęciem formalnej edukacji*. Wilkinson i Pickett przytaczają wyniki badań w Wielkiej Brytanii, wskazujące, że *już trzylatki ze środowisk upośledzonych społecznie są edukacyjnie zapóźnione, nieraz nawet o rok w porównaniu z dziećmi z rodzin znajdujących się w lepszej sytuacji*. Autorzy wskazują, jak sytuacja życiowa rodziców niejako automatycznie i powszechnie generuje problemy ich potomstwa, rozpoczynającego dopiero życie: *ubodzy, zestresowani, pozbawieni wsparcia dorośli, żyjący w podobnym środowisku nie są w stanie zapewnić dzieciom kapitału społecznego, niezbędnego do awansu życiowego*.

I tu następuje konkluzja, która w rodzimych warunkach musi brzmieć jak herezja, stanowi jednak wymowny znak tego, jak dalece w polskich realiach odbiegamy od standardów cywilizacyjnych, czy choćby teorii dyskutowanych na poważnie przez opinię publiczną innych krajów. Warto przytoczyć ją w całości: *soczeństwo może poprawiać jakość wczesnego dzieciństwa, zapewniając świadczenia rodzinne i korzystne zasady opodatkowania, mieszkania socjalne, opiekę zdrowotną, programy sprzyjające znalezieniu równowagi między pracą a życiem rodzinnym, egzekwowanie alimentów oraz, co chyba najważniejsze, zapewnienie wysokiej jakości edukacji wczesnodziecięcej. [...] Eksperymenty wykazały, że dzieci ze środowisk społecznie upośledzonych, które otrzymują wysokiej jakości edukację wczesnodziecięcą, rzadziej potrzebują później kursów wyrównawczych, rzadziej wchodzą w konflikt z prawem, a w dorosłym życiu uzyskują lepsze zarobki. Państwowe nakłady na takie programy przynoszą wymierne zyski*.

Warto podkreślić coś, co dobrze świadczy o rzetelności autorów i co znacząco podnosi jakość

©© How I See The World Around Me, http://www.flickr.com/photos/how_i_see_the_world/79063056/in/gallery-60865808@N06-72157629648614798/

książki – Wilkinson i Pickett nie są zwolennikami jednego modelu standardów kulturowych. Egalitaryzm nie oznacza homogenizacji! Równość możliwości to nie „koszarowe społeczeństwo”. Autorzy wskazują na tę kwestię, opisując pułapki edukacji kształtowanej na modłę klasy średniej: *Ludzie z klasy robotniczej w pewnym stopniu opierają się narzucaniu ich dzieciom edukacji i wartości typowych dla klasy średniej, gdyż zdobycie wykształcenia wymagałoby od nich rezygnacji z pewnych cenionych przez nich sposobów bycia. [...] Rodziny te chcą dla swoich dzieci jak najlepiej, ale owo „najlepiej” to niekoniecznie oznacza: „wykształcenie, wykształcenie i jeszcze raz wykształcenie”*. Ten opór nie oznacza braku aspiracji. Problemem jest jednak to, że w krajach o większych nierównościach rozdział między aspiracjami a faktycznymi możliwościami i rzeczywistymi oczekiwaniami jest większy. Autorzy „Ducha równości”



wskazują na pozorny paradoks, zdiagnozowany podczas badań: aspiracje są wyższe w tych krajach, w których poziom osiągnięć w nauce jest niższy. W krajach tych więcej dzieci aspiruje do zawodu dającego wysoki status społeczny, ale mniej z nich uzyska odpowiednie kwalifikacje, aby taki zawód zdobyć.

W drugim rozdziale książki omówiona została także kwestia współczynnika przynależności dla poszczególnych państw wysoko rozwiniętych. Statystyki wskazują, że współczynnik ten jest szczególnie wysoki w przypadku krajów o wysokim poziomie nierówności społecznych: USA i Wielkiej Brytanii. Dane są wymowne: *od wczesnych lat 70. XX wieku więzienna populacja Stanów Zjednoczonych ciągle wzrasta. W 1978 roku za kratami było przeszło 450 tysięcy ludzi, w roku 2005 już przeszło 2 miliony. W Anglii w roku 1990 było 46 tys. uwięzionych, a w roku 2007 już 80 tysięcy; w lutym 2007 roku brytyjskie więzienia i areszty były tak przepełnione, że minister spraw*

wewnętrznych napisał okólnik do sędziów, zalecając zasądzanie kar więzienia tylko za najpoważniejsze przestępstwa. Natomiast – dla kontrastu – populacja więzienna w Szwecji przez całe lata 90. nie zmieniała się zasadniczo, w Finlandii zmalała, a w Danii i Japonii wzrosła stosunkowo nieznacznie (o 8 i 9 procent). Kraje te z kolei są państwami o wiele bardziej egalitarnymi, niż USA czy Wielka Brytania.

Co takiego dzieje się z poziomem przestępczości w USA i Wielkiej Brytanii, że tamtejsze współczynniki przynależności rosną lawinowo? – pytają autorzy „Ducha równości”. Przede wszystkim, badania kryminologów Alfreda Blumsteina i Allena Becka przeprowadzone w USA w latach 1980–1996 wskazują, że tylko w 12 procentach odpowiada za to wzrost liczby przestępstw, związanych głównie z narkotykami. Natomiast pozostałe 88 procent bierze się z częstszego zasądzania kar pozbawienia wolności zamiast innych sankcji oraz z faktu, że zasądza się dłuższe wyroki. Może to brzmieć kuriozalnie, ale w 2004 r. w Kalifornii 360 osób odsiadywało wyroki dożywocia za... drobne kradzieże popełnione w sklepach. Również w Wielkiej Brytanii przyczyną wzrostu statystyk więziennych są dłuższe wyroki oraz częstsze stosowanie kar pozbawienia wolności za przestępstwa, które wcześniej karano grzywnami lub były dotychczas traktowane jako wykroczenia. Tam, gdzie coraz większe są nierówności, pełne więzienia okazują się zwodniczym panaceum na bolączki społeczne.

Trzecia część publikacji nosi tytuł „Lepsze społeczeństwo”. Tu z całą mocą ujawnia się służebny cel przyświecający badaniom Wilkinsona i Pickett: *Jeśli mają powstać lepsze społeczeństwa, niezbędny jest wytrwały, zdeterminowany ruch w tym kierunku. Wymaga on kilku dekad konsekwentnych przemian politycznych. Aby się one dokonały, społeczeństwo musi wiedzieć, dokąd chce zmierzać. Działania dwójki naukowców przypominają najlepsze, niegdyśiejsze wzorce aktywności społecznej polskiej inteligencji lewicowej. Równocześnie zadają kłam rozpowszechnionym opiniom, że taka postawa jest dziś niemożliwa czy nieracjonalna. Owszem, postawa i cele, jakie stawiają sobie Wilkinson i Pickett, wydawać się mogą utopijne, a wiara w to, że społeczeństwa ludzkie mają jeszcze egalitarny potencjał, możliwy do zrealizowania, może się jawić jako naiwna. W czasach, gdy bombardowani jesteśmy propagandą przekonującą, że logika globalnej, nieegalitarnej gospodarki wymaga coraz dalej idących ograniczeń opiekuńczych funkcji państwa i demontażu sfery publicznej, wizje i postulaty autorów „Ducha równości” są wyraźnym głosem sprzeciwu wobec tej „filozofii klęski”.*

Według Wilkinsona i Pickett, najważniejszym „zadaniem społecznym” do wykonania jest obecnie *wzbudzenie woli politycznej doprowadzenia do większej równości w społeczeństwie*. Czy jest to możliwe? Badacze przekonują, że tak: bezalternatywność



istniejącego systemu jest iluzją. Optymizm ma dawać wiedza, że *rozwiązanie problemów jest możliwe*. Świat, w którym możliwy będzie większy egalitaryzm, a co za tym idzie powszechniejszy dobrostan, to świat w którym przestaniemy bołaczki „widzieć osobno”. To równocześnie świat, w którym ubożsi przestaną być traktowani w paternalistyczny sposób, jako „klienci” państwa, instytucji socjalnych czy organizacji charytatywnych. Nowa rzeczywistość wymaga właściwie zmian rewolucyjnych, choć, co wprost wynika z propozycji badaczy, możliwych na drodze reform, nie katastrof społecznych. Choć niewykluczone, że takiej katastrofy, katastrofy świata głębokich nierówności, właśnie doświadczamy. *Zachęca się ludzi* – stwierdzają autorzy „Ducha równości” – *żeby się dużo ruszali, nie uprawiali seksu bez zabezpieczenia, mówili „nie” narkotykom, starali się zrelaksować, znajdowali równowagę między pracą a życiem prywatnym i spędzali z dziećmi czas w „wartościowy” sposób. Jedynie, co łączy wiele z tych polityk, to przekonanie, że biednych należy nauczyć bardziej rozsądnego postępowania. Oczywiście fakt, że owe problemy mają wspólne źródło w postaci nierówności dochodów i ubóstwa względnego, jakoś znika z pola widzenia.*

Na drodze do lepszego, bardziej egalitarnego świata stoi egoizm bogatych i ich wpływ na resztę społeczeństwa. Z perspektywy neoliberalnej takie stwierdzenie jest bluźnierstwem. Autorzy „Ducha równości” stwierdzają, że konsumpcja ludzi bogatych osłabia u wszystkich innych poziom satysfakcji z tego, co mają, gdyż uświadamia im, że są gorsi. Richard Layard, założyciel Centrum Badań nad Wydajnością Ekonomiczną przy London School of Economics, przedstawił i oszacował

na kartach książki „Happiness” ten dyskomfort uboższych i ubogich jako koszt, którym zamożniejsi dodatkowo obciążają społeczeństwo. Stąd *powinni zań zapłacić tak jak za zanieczyszczający środowisko dym z komina. Straty pokryłoby obłożenie ludzi zamożniejszych dodatkowym 60-procentowym podatkiem*. Jak zaznaczają przy tym Wilkinson i Pickett, Layard w swojej pracy nie wziął pod uwagę zagadnień, na których skupili się oni, czyli kwestii zdrowotnych i społecznych, które rodzą głębokie rozwarstwienie.

Istnieje jeszcze jeden, interesujący aspekt tego zjawiska. Robert Frank na kartach książki „Falling Behind: How Rising Inequality Harms The Middle Class” udowadnia, że *liczba bankructw wzrasta najbardziej w tych rejonach USA, w których uprzednio najbardziej powiększyła się nierówność*. Autorzy „Ducha równości” komentują ten fakt na dwa sposoby. Po pierwsze wskazują, że tam, gdzie rosną nierówności, *jednostce trudniej utrzymać standard porównywalny ze standardem innych. Presja na wzmożoną konsumpcję skłania ludzi do ograniczania oszczędności i brania pożyczek*. Ta konsumpcja bez faktycznego wzrostu ma być ich zdaniem jedną z przyczyn spekulacji finansowych, które doprowadziły do ostatniego kryzysu gospodarczego. Można zatem stwierdzić, że „strukturalna chciwość” to zamknięta spirala, wciągająca świat w kryzys. Po drugie, *wydatki na reklamę zmieniają się wraz z poziomem nierówności. W krajach o większych nierównościach pochłaniania ona większą część produktu krajowego brutto. USA i Nowa Zelandia wydają na reklamę dwa razy więcej niż Norwegia i Dania*.

Czy damy szansę równości? Wilkinson i Pickett tchną w czytelnika tę nadzieję. Opartą nie na mrzonkach czy mitologii, lecz na programie zmian opartych o ludzką wiedzę. I na – nie ukrywajmy – optymistycznej filozofii dziejów. Wiara w postęp, także w etyczne wydoskonalenie ludzkości, pojawia się niejednokrotnie na kartach tej książki. Autorzy cytują Martina Luthera Kinga: *moralność wszechświata wędruje okrężną drogą, ale w końcu skłania się ku sprawiedliwości*. A jeśli taka filozofia dziejów, taki pogląd jest nazbyt optymistyczny? Jeśli „moralność wszechświata” nie istnieje? To wcale nie oznacza, że nie warto walczyć o bardziej egalitarne, sprawiedliwe, bardziej przyjazne społeczeństwa. Nie ma wcale pewności, że ludzkość zachowuje się zawsze racjonalnie w jakimś wyższym, uniwersalnym tego słowa znaczeniu, ale „Duch równości” pokazuje, że istnieją racjonalne, naukowo opisane i udowodnione przesłanki po temu, iż koncepcje egalitarne mają sens. Tylko trzeba o nie walczyć. Ta książka jest bronią.

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Richard Wilkinson, Kate Pickett, *Duch równości. Tam, gdzie panuje równość, wszystkim żyje się lepiej*, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2011, przełożył Paweł Listwan.

Socjaldemokracja albo barbarzyństwo

REMIGIUSZ OKRASKA

W ciągu ostatnich trzydziestu lat wszystko to zmarnowaliśmy – stwierdza Tony Judt na jednej z początkowych stron książki „Źle ma się kraj”. Na pierwszy rzut oka może się ona wydawać jednym wielkim lamentem za „starymi dobrymi czasami”. Ale autor, zmarły przed dwoma laty, nie był konserwatystą – był lewicowym myślicielem i przez wiele lat konsekwentnie należał do obozu, który miał na sztandarach postęp. Dlatego jego niewielka, za to bardzo treściwa rozprawa-manifest, jest tak ciekawa.

Czym jest wspomniane „to”, nad którego zmarnowaniem ubolewa historyk i intelektualista? Najprościej mówiąc, trzy ostatnie dekady były okresem podkopywania porządku, który swą pełną, udaną postać osiągnął w jeszcze wcześniejszych trzech dziesięcioleciach. Można „to” nazwać państwem dobrobytu lub wcieleniem w życie wartości socjaldemokratycznych. **Okres po II wojnie światowej, stanowiącej apogeum szaleństwa i destabilizacji, był – również dosłownie – czasem odbudowy ruin. W ich miejsce udało się szybko i w niespotykanej w dziejach skali stworzyć porządek może nie idealny, jednak na pewno pod wieloma względami znakomity.**

Stale rosnący poziom życia mas społecznych, nie zaś wybranych jednostek. Zmarginalizowanie takich problemów, jak bezrobocie czy ubóstwo. Poczucie stabilizacji – nie tylko materialnej. Do tego błyskawiczny rozwój „infrastruktury społecznej” – od obligatoryjnych zasiłków, przez masowe budownictwo mieszkaniowe i rozwój szkolnictwa, aż po sprawny transport publiczny i dostęp do dóbr kultury – czyniącej życie lepszym, wygodniejszym i bardziej egalitarnym, nawet dla tych, którzy wciąż uwikłani byli w różne kłopoty.



A wszystko to – podkreślmy ów fakt bardzo, bardzo dobitnie – w atmosferze wolności, poszerzania zakresu swobód zarówno politycznych, jak i tych zwykłych, ludzkich. Jeśli zmiana, to oswojona, rozsądna, a przy tym niezmiennie na lepsze. Jeśli niepewność, to tylko podszyta dreszczykiem przyjemnej emocji, bo z każdego kolejnego zakrętu wyłaniało się coś doskonalszego. Nawet jeśli nie wszystkie problemy zostały rozwiązane, to ich skala i zakres nieustannie malały, więc nawet ci, którzy pozostawali w tyle, mogli mieć uzasadnione nadzieje, że lada moment wydobędą się z takiego czy innego bagna. W skondensowanej formie „Źle ma się kraj” przypomina czytelnikom, że – trawestując znane powiedzenie – jeszcze nigdy tak wiele nie udało się zrobić dla tak wielu w tak niewielkim okresie czasu.

Judt podkreśla, że wbrew demagogicznemu, a nierzadko także ignoranckim wywodom liberalnych mędrków, ta epokowa zmiana nie dokonała się bynajmniej wskutek knoń rewolucyjnych mitomanów. Wręcz przeciwnie – powojenny okres stabilizacji był

możliwy, gdyż reformom społecznym, nieraz ogromnym i dalekosiężnym, przyświecało pragnienie opamiętania bezładu. Jakkolwiek idee progresywne zawsze zawierały pierwiastek pozytywnego szaleństwa, pozwalającego wybiegać myślą poza horyzonty wystraszonych kołtunów oraz zawodowych hochsztaplerów rozgrywających ich strach, to zmiany, którym zawdzięczamy powojenną „złotą trzydziestkę”, były w swej istocie reakcją na kilka dekad chaosu i destrukcji, ciągnących się od I wojny światowej, przez wielki kryzys i rozkwit zamordyzmów politycznych, po hekatombę II wojny. *Celem takiego państwa nie miało być zrewolucjonizowanie stosunków społecznych, a już z pewnością nie inauguracja epoki socjalistycznej. Keynes, podobnie jak większość ludzi odpowiedzialnych za innowacyjne ustawodawstwo tamtych lat – od Clementa Attlee w Wielkiej Brytanii, Charlesa de Gaulle’a we Francji i samego Franklina Delano Roosevelta – był instynktownym konserwatystą. Wszyscy zachodni przywódcy tamtego okresu – sami dżentelmeni w podeszłym wieku – urodzili się w stabilnym świecie [...] Wszyscy przeżyli traumatyczne zmiany. Podobnie jak bohater „Lamparta” Giuseppe di Lampedusa pojęli, że postawa konserwatywna wiąże się z koniecznością zmian [...] Pozostaje intrygującym paradoksem, że kapitalizm miał zostać ocalony – co więcej, miał kwitnąć w ciągu następnych dziesięcioleci – dzięki zmianom kojarzonym wtedy (i później) z socjalizmem – pisze Judt.*

Odpowiedzią na rozpad społeczeństw, w latach kryzysu i wojny noszący wręcz znamiona powrotu do stanu dzikości, była zdroworozsądkowa koalicja szerokiego wachlarza sił społecznych. **Oszalały kapitalizm, niszczący fundamenty stabilizacji, na przeciwnym biegunie zaś faszyzm i komunizm, oferujące ład za cenę terroru, spotkały się z reakcją, która powściągnęła wolność (czy raczej samowolę) podmiotów gospodarczych, ale ocaliła wolność społeczeństwa.** W Wielkiej Brytanii w połowie lat pięćdziesiątych [...] politycy osiągnęli taki poziom porozumienia w kwestii wydatków publicznych, że główny nurt debaty określono mianem „butskellizmu”, łączącego idee R.A. Butlera, umiarkowanego ministra konserwatystów, i Hugh Gaitskella, centrystycznego przywódcy opozycji z Partii Pracy. Butskellizm miał zresztą charakter uniwersalny. Pomijając specyficzne różnice, francuskich gaullistów, chrześcijańskich demokratów i socjalistów łączyła wiara w aktywne państwo, planowanie gospodarcze i inwestycje publiczne na szeroką skalę. W dużym stopniu to samo można było powiedzieć o konsensusie przyświecającym polityce w Skandynawii, krajach Beneluksu, Austrii, czy nawet w rozdzieranych przez spory ideologiczne Włoszech. Chociaż niemieccy socjaldemokraci aż do 1959 roku posługiwali się retoryką [...] marksistowską, niewiele ich dzieliło od chadeckiego kanclerza Konrada Adenauera – zauważa autor. Podobnie było nawet w USA, które wbrew liberalnym tradycjom dokonały wielkich reform społecznych, a w dziedzinie

planowania gospodarczego i inwestycji publicznych nierzadko zdystansowały kraje Starego Kontynentu.

Kolejna „nieoczywista oczywistość” w narracji Judta to fakt, że – wbrew popularnym w Polsce wywodom troglodytów korwinowskich – **wspomniana polityka władz publicznych była korzystna nie tylko dla ubogich, bezrobotnych czy „cwaniaków na zasiłkach”, lecz także dla klasy średniej.** Nawet jeśli drobni producenci czy usługodawcy płacili stosunkowo wysokie podatki, w zamian otrzymywali liczne usługi publiczne zarówno jako obywatele, jak i przedsiębiorcy. Ponadto, znacząco wzrastała siła nabywczą ludności, co wzmagało popyt na ofertę sektora prywatnego. Natomiast państwowe regulacje i ingerencje sprawiły, że zamiast „dzikiego” kapitalizmu, w którym rekiny nieustannie pożerają płotki, otrzymano system, gdzie w miarę bezpiecznie mogła funkcjonować znaczna ilość „średniaków”. Judt pisze: [...] przedstawicielom klasy średniej zaoferowano taką samą pomoc społeczną i świadczenia jak klasie pracującej i biednym: darmowe wykształcenie, tanią lub bezpłatną służbę zdrowia, emerytury i zasiłki dla bezrobotnych. W konsekwencji, kiedy tak wiele niezbędnych wydatków życiowych pokrywały podatki, europejska klasa średnia zaczęła w latach sześćdziesiątych dysponować znacznie większymi przychodami niż kiedykolwiek po 1914 roku.

Dla odmiany warto wrzucić kamyczek do ogródka ukąszonych przez Różę Luksemburg i mitomanów pomniejszej klasy. Otóż stworzenie takiego ładu gospodarczego było możliwe nie na mocy triumfu abstrakcyjnej idei politycznej czy ekonomicznej, lecz dzięki istnieniu konsensu przekonań moralnych w danej, konkretnej społeczności. Nowy ład posiadał silne zakorzenienie w milcząco akceptowanym systemie wartości grupy o stosunkowo jednolitym etosie kulturowym. Nie internacjonalizm, nie wzniosłe ideały, nie różnorodność, nie „procesy dziejowe” – fundamentem społeczeństwa dobrobytu było państwo narodowe, jego raczej homogeniczna kultura oraz wezwanie do solidarności na gruncie konkretów, do pomagania „takim jak my”, a następnie wynikające z tegoż wezwania intencjonalne decyzje polityczne. To „my” nie było oczywiście tak ekskluzywne, jak chcieliby np. nacjonaliści, nie było wszakże tak „rozciągliwe”, jak roją sobie dzisiejsi specjaliści od projektowania świata czy choćby kontynentu bez granic i barier. Judt wskazuje, że państwa narodowe i ich obywatele wyznający podobny system wartości to naturalna przestrzeń dla kluczowych cech społeczeństwa dobrobytu – zaufania i współpracy.

Dlaczego ten „raj” utracono? Autor „Źle ma się kraj” nie epatuje – jak uwielbia to czynić „radikalna lewica” – wizjami neoliberalnych spisków, w których Chicago Boys za pieniądze wielkiego biznesu namieszały w głowach przywódców i obywateli państw połowy świata. Nie kreśli również karkołomnych analiz spod znaku rosnącego stopnia koncentracji kapitału, co

©©© Atelier Teee (on hiatus), http://www.flickr.com/photos/atelier_tee/152808185/in/photostream/



w korelacji z nasilaniem się imperializmu prowadzi nieodmiennie do kryzysu strukturalnego. Wskazuje natomiast, że państwo opiekuńcze stało się z jednej strony nadopiekuńcze, ingerując w coraz to więcej sfer życia obywateli, z drugiej zaś - zbyt mało opiekuńcze, gdy w efekcie tego pierwszego zjawiska przestało radzić sobie z zaspokajaniem kluczowych potrzeb społecznych. Przywołuje także, rzadko dostrzegany przez lewicę, czynnik psychologiczny. Dla pokolenia, na którego oczach powstały zręby państwa opiekuńczego, proces ten jawił się jako swoista pełzająca rewolucja, obfitująca w istotne i namacalne zdobycze. Tymczasem kolejne generacje, dorastające w otoczeniu powszechnej służby zdrowia i szkolnictwa, ubezpieczeń społecznych, marginalnego bezrobocia, tanich mieszkań, nie potrafiły docenić „rogu obfitości”. *Dla każdego, kto urodził się po 1945 roku, państwo opiekuńcze wraz ze swymi instytucjami nie stanowiło rozwiązania dawnych problemów, ale było zastaną sytuacją życiową, dość przy tym nudną. [...] Spadkobiercy pokolenia reformatorów nie interesowali się już celami poprzedników. Przeciwnie - cele te postrzegano*

coraz bardziej jako ograniczenie indywidualnej ekspresji i wolności - pisze Judt.

Gdy do takiego poczucia doszły przeobrażenia struktury społecznej, polegające głównie na dorastaniu pokolenia wyżu demograficznego oraz na kurczeniu się tradycyjnej klasy robotniczej (malejąca rola „starego” przemysłu i znaczny wzrost poziomu życia pracowników najemnych, zacierający granice oddzielające ich od klasy średniej), dokonała się daleko idąca zmiana w łonie samej lewicy. „Nowa lewica”, uosabiana przez młodzieżową kontrkulturę - studentów i rozmaitych *freaków* - odrzuciła wspólnotową perspektywę dawnej socjaldemokracji na rzecz indywidualizmu, ekspresji, „luzu”, krytyki rzekomo sztywnego porządku i „koszarowości” państwa opiekuńczego. Takie zbiorowe podmioty, jak robotnicy czy ubodzy, zostały wypchnięte z centrum zainteresowania przez grupy bądź to „niszowe” (mniejszości etniczne, seksualne i kulturowe), bądź dla odmiany zbyt szerokie z punktu widzenia sensownie adresowanej polityki publicznej (kobiety). Własne, „nudne” społeczeństwa ustąpiły miejsca jako punkt odniesienia odległym, jawiącym

się jako ciekawsze – nawet za cenę swoistej schizofrenii politycznej, gdy krytycy zachodnioeuropejskiej czy amerykańskiej „uniformizacji” wychwalali faktycznie koszarowe maoistowskie Chiny lub afrykańskie klany etniczne. **To, co prywatne – a właściwie egocentryczne – stało się, zgodnie ze znanym hasłem tamtej epoki, kwestią polityczną.** Tyle że wskutek owego procesu coraz mniej polityczne stawało się to, co publiczne.

W efekcie niepisany konsensus lat powojennych pękał; wylaniało się nowe, zdecydowanie nienaturalne porozumienie skoncentrowane wokół prywatnego interesu. Młodzi radykałowie nigdy nie określiliby swych celów w ten sposób, ale najsilniejsze emocje budziło w nich właśnie rozróżnianie pomiędzy chwalebą wolnością prywatną a drażniącymi ograniczeniami publicznymi. Ironia polegała na tym, że dokładnie to samo rozróżnienie stało się fundamentem wylaniającej się nowej prawicy – konkluduje Judt.

Prawica liberalna przeszła do ofensywy, po kilku dekadach zapaści, wskutek podobnych czynników. Pokolenia wychowane w dobrobycie nie mogły pamiętać realiów, które parę dziesięcioleci wcześniej skłoniły społeczeństwa do poparcia socjaldemokracji czy pro-socjalnych nurtów prawicy. Rozrost, a niekiedy przerost państwa opiekuńczego bywał dokuczliwy – urzędnik pomocny w czasach chaosu, potrafił uprzykrzać życie w dobie stabilizacji. Poza tym, jak stwierdza autor „*Złe ma się kraj*”, *narcyzm ruchów studenckich, ideologów nowej lewicy i kultury popularnej lat sześćdziesiątych musiał wywołać konserwatywną reakcję.* Gdy kiedyś to lewica reprezentowała masy, a prawica warstwy uprzywilejowane, tak teraz przeobrażona lewica, kolokwialnie mówiąc, wypięła się na owe masy, dzięki czemu prawica mogła obwołać się reprezentantem narodu czy „milczącej większości”. Dopiero na tak przygotowanym gruncie dokonała się inwazja ideologii neoliberalnej. **To nie spiszek Hayeka, Misesa i Friedmana przyniósł kres „socjalizmowi” – to opisany ciąg procesów i postaw politycznych sprawił, że podobne persony wylazły z nor i poniosła je fala popularności.** Reagan i Thatcher powinni z wdzięczności ufundować pomnik Nieznanego Lewaka...

Oczywiście Tony Judt nie twierdzi, że wszystko, co zrobiła i w co wierzyła nowa lewica było złe czy choćby bezpodstawne. Dostrzega on autentyczną i uzasadnioną troskę o grupy, które nawet w warunkach dobrobytu i egalitaryzmu pozostawały na materialnym czy kulturowym marginesie. Jednak bezrefleksyjność oraz dziecinność, by nie powiedzieć szczeniacko pojmowany radykalizm, doprowadziły do wylania dziecka z kąpielą. Zamiast poprawić kondycję różnych mniejszości w łonie społeczeństwa, polepszano ich sytuację, ale za cenę równoległej rezygnacji z obrony owego społeczeństwa. Dzisiaj znajduje się ono w rozsypce.

Kolejny paradoks, który analizuje Judt, polega na tym, że zbiorowości poddane wolnorynkowej ofensywie stają się przeciwieństwem zarówno celów

deklarowanych przez doktrynerów nowej lewicy, jak i tych niesionych na sztandarach liberalnej prawicy. Parę dekad demontażu funkcji państwa, poczynając od sfery socjalnej po dbałość o infrastrukturę, media publiczne i kulturę narodową, przyniosło społeczeństwo – jak nazywa to autor książki – wypatroszone. Dominują w nim nie swobodne, spontaniczne i pełne ekspresji „wolnościowe” grupy, których oczekiwała nowa lewica, ani też nie rodziny i tradycyjne wspólnoty, których odrodzeniem mają być prawicowi liberałowie, lecz dziwaczna hybryda. Tworzy ją państwo, które choć nie dba już o socjalne wsparcie obywateli, wcale nie stało się „minimalne” (neoliberałowie u władzy rozbudowali inne jego funkcje, jak sektor militarny, agendy zajmujące się wspieraniem biznesu, siły policyjne, aparat inwigilacji itp.), oraz jednostki: rozproszone, samotne, miotane wichrami przemian wolnorynkowych. Jakkolwiek instytucje publiczne państwa opiekuńczego bywały przerośnięte i „dokuczliwe”, dawały one wsparcie zarówno jednostkom, jak i wspólnotom lokalnym czy zbiorowościom pracowniczym, a socjalny model zabezpieczał podmioty kolektywne przed rozpadem generowanym przez gwałtowne przemiany rynkowe, kulturowe czy technologiczne.

Rozpad(ł)ą się nie tylko spójność społeczna pojmowana w kategoriach materialnych, ale także wspólny etos kulturowy, identyfikacja obywatelska, tożsamość zbiorowa. Ludzie dzięki rozwojowi technologii wydają się żyć bliżej siebie, ale w „samotnym tłumie” łączy nas coraz mniej. **Jeśli maleje ilość przestrzeni publicznej i takich instytucji, jeśli nowolewicowo-liberalno-prawicowy przekaz podkreśla to, że każdy jest kowalem własnego losu i panem własnej wolności, efektem staje się deficyt zaangażowania w życie zbiorowe i rozkład poczucia przynależności.** Rozmaite namiastki – czy będą to wirtualne lub hobbystyczne społeczności dla „nowocześniaków”, czy rodziny lub fundamentalistyczne wspólnoty religijne i nacjonalistyczne dla „tradycjonalistów” – nie zmieniają faktu, że mamy ze sobą niewiele wspólnego, że zamiast społeczeństwa istnieje raczej zbiorowisko „sekt” oraz nasilająca się wojna wszystkich ze wszystkimi. To samo dotyczy ruchów politycznych i społecznych. Jak wskazuje Judt, istnieje coraz więcej odseparowanych inicjatyw „tematycznych”, „ruchów jednej sprawy”, ale towarzyszy temu zanik projektów i postulatów uniwersalnych, całościowych.

Tam, gdzie nie istnieje spójne społeczeństwo, niełatwo również o debatę publiczną z prawdziwego zdarzenia. **Indywidualizacja sprawia, że jeśli dyskusja wykroczy poza zestaw standardowych i coraz bardziej banalnych tematów, koncentruje się ona na kwestiach etycznych.** Dylematy moralne i związane z nimi stanowiska „za” lub „przeciw” to właściwie jedyne, co dyskutujemy i w co się angażujemy. Tymczasem, jak przypomina historyk, *demokracje istnieją wyłącznie dzięki zaangażowaniu obywateli w zarządzanie*



sprawami publicznymi. Gorące spory o kwestie dotyczące etyki seksualnej czy postaw kulturowych toczą się w sytuacji, gdy ludziom wmówiono, że istnieje jedyna możliwa polityka społeczno-gospodarcza (neoliberalna), że niezależnie od różnic klasowych wszyscy mamy podobne cele (ogólnikowo rozumiany rozwój), a także, iż problemy ekonomiczne to wyłącznie domena fachowców, nie zaś „obywatelskich laików”. Nowolewicowo-wolnorynkowy indywidualizm okazał się w istocie przyczyną dewastacji zbiorowej woli i interesów, a zaowocował nie ekspresją oryginalnych postaw, lecz konformizmem i jednomyślnością w sprawach niegdyś zasadniczych. Może współistnieć wiele wzajemnie sprzecznych stanowisk wobec aborcji, imigracji czy wegetarianizmu, natomiast w kwestii podatków czy polityki społecznej niemal wszyscy mówią jednym głosem.

Musimy dokonać tego, co autor „Żle ma się kraj” nazywa „ponownym otwarciem kwestii społecznej”. Najpierw powinniśmy ponownie nauczyć się myśleć w kategoriach dobra publicznego i interesów zbiorowych, a także debatowania o nich i zaangażowania w rozmaite działania prowadzące ku takim celom. Odnowienie myślenia w kategoriach kolektywnych oraz poszukiwanie recept na bolączki społeczne w działaniach instytucji publicznych jest konieczne nie tylko dla powstrzymania dalszej dezintegracji społeczeństwa, lecz także z powodu przygotowania się na zupełnie nowe formy i skalę problemów. Przykładowo, ogromny rozwój sił wytwórczych sprawia, że niedobór

miejsc pracy nie jest już okresową dysfunkcją gospodarki lub efektem knowań właścicieli środków produkcji (dla których istnienie „rezerwowej armii pracy” jest z wielu względów korzystne) czy też immanentną cechą kapitalizmu. Staje się on problemem prawdopodobnie nierozwiązywalnym w sposób prosty (poprzez takie czy inne sposoby tworzenia nowych etatów), a jednocześnie dotyczącym znacznie większe rzesze społeczne, w tym również grupy dotychczas wolne od tego rodzaju ryzyka. *Przyczyny, dla których należy ożywić państwo, nie wynikają tylko z jego znaczenia dla nowoczesnego społeczeństwa pojmowanego jako projekt kolektywny; istnieje znacznie bardziej paląca potrzeba. Wkroczyliśmy w wiek lęku* – przekonuje Judt.

Odbudowa państwa pomocnego w sferze opiekuńczej stanowi zatem odpowiednik systemu alarmowego i procedur bezpieczeństwa na wypadek katastrofy. Zagrożenia wynikające zarówno z przeobrażeń technologicznych, jak i z zaawansowanych procesów rozkładu społeczeństwa, powinny nas również uczulić na kwestie braterstwa i równości. Stosunkowy dobrobyt krajów Zachodu oraz istnienie – jako pozostałości po „złotej erze” – różnych możliwości „miękkiego lądowania” w przypadku kłopotów jednostkowych bądź zbiorowych, topnieją (neoliberalny sposób podziału dochodu sprzyja wyłącznie garstce wybrańców, reszcie zostawiając ochłapy) oraz są wciąż jeszcze celowo demontowane. To, co w lepszych czasach mogło się jednostkom wydawać opłacalne – na propagandzie akcentującej sukcesotwórczy wymiar egoizmu ufundowano

wszak popularność neoliberalizmu - wkrótce może się okazać samobójcze. Nierówności to zjawiska szkodliwe dla wielkich rzesz, w tym i dla osób, którym dzisiaj wydaje się, że są bezpieczne, bo przecież „nie są nieudacznikami”. Gdy proces dewastacji ochronnych funkcji państwa, rozkładu społeczeństwa i marginalizacji dobra wspólnego posunie się jeszcze dalej, a gospodarka działająca wedle neoliberalnych wzorców będzie generowała wciąż więcej i więcej niestabilności, większość z nas może okazać się przegrany lub zagrożony - dokładnie tak, jak nasi pradziadowie w epoce przed stworzeniem państwa opiekuńczego. Nierówność, rozumiana jako istnienie wielu barier w dostępie do podstawowych dóbr, jest w takich realiach nieopłacalna lub ryzykowna dla zdecydowanej większości społeczeństwa.

Oprócz wspomnianych zaleceń dotyczących sfery postaw, idei i przekonań, brytyjski myśliciel kładzie nacisk na narzędzie, jakie stanowi instytucja państwa. Już w samej nazwie „państwo opiekuńcze” zawarte jest bardzo konkretne i nieprzypadkowe przesłanie. Mówi ona nie tylko, że podmiotem odpowiedzialnym za funkcje socjalne i rozwojowe jest państwo, lecz także i to, że dotychczas to właśnie ono, jako jedyna forma organizacyjna, wykazało się zdolnością usuwania czy łagodzenia bólów nękających duże zbiorowości. Jest wystarczająco silne, aby odpowiedzieć na wyzwania istotne dla wielkich grup, a zarazem ma w pieczy zbiorowość wciąż na tyle jednorodną i zintegrowaną, aby skierowana ku niej polityka mogła być skuteczna. Judt przekonuje, iż mitem jest opinia, że państwo nie może lub nie mogłoby w dobie globalizacji stawić skutecznie czoła wielu problemom. Co więcej, nie istnieją dla niego realne i sprawdzone alternatywy. Warto zacytować dłuższy fragment, bo w Polsce w środowiskach lewicy „alterglobalnej”, „europejskiej” i oczywiście „niezaściankowej” takie opinie są rzadkością: *Kiedy upadają banki, kiedy dramatycznie rośnie bezrobocie, kiedy pojawia się potrzeba działań naprawczych na szeroką skalę [...] jest tylko takie państwo, jakie znamy od osiemnastego wieku. To wszystko, co mamy. Po tym jak przez kilkadziesiąt lat państwa narodowe stopniowo traciły na znaczeniu, teraz zaczynają ponownie odgrywać dominującą rolę w polityce międzynarodowej. W obliczu braku bezpieczeństwa gospodarczego i socjalnego ludzie odwołują się do symboli politycznych, praw i zabezpieczeń, które może zapewnić tylko państwo terytorialne. [...] Przepływ międzynarodowego kapitału wymyka się krajowym regulacjom. Jednak płace, godziny pracy, emerytury i wszystko, co ma znaczenie dla ludności pracującej danego kraju, nadal negocjuje się - i krytykuje - na poziomie lokalnym. [...] Podobnie [...] jak kiedyś społeczne instytucje pośredniczące - partie polityczne, związki zawodowe, konstytucje i prawa - ograniczyły swobodę królów i tyranów, tak obecnie samo państwo może się stać „instytucją pośredniczącą”, stojącą między bezbronniymi, zagrożonymi obywatelami a nieczułymi,*

nieprzewidywalnymi korporacjami czy agendami międzynarodowymi. Państwo - przynajmniej państwo demokratyczne - zachowuje wyjątkową legitymizację w oczach obywateli. [...] Na obecnym etapie powinniśmy już wiedzieć, że polityka pozostaje narodowa, nawet jeśli ekonomia narodowa nie jest [...].

Recenzowana książka to nie szczegółowy program polityczny, wiele kwestii zostało więc potraktowanych bardzo skrótowo, łącznie z propozycjami zmian. „Żle ma się kraj” ma przede wszystkim skłaniać do ogólnych refleksji, w tym do ponownego przemyślenia rozwiązań już sprawdzonych. Nawet jeśli niektóre części tej rozprawy wydają się nazbyt nostalgiczne, to Tony Judt był zbyt mądry, żeby proponować nam zwyczajny „powrót do przeszłości”. *Przeszłość to naprawdę inny kraj: nie możemy tam wrócić. Jednak jeszcze gorzej od idealizowania przeszłości - albo ukazywania jej sobie i naszym dzieciom jako komnaty strachów - jest skazanie jej na zapomnienie* - stwierdza. Ów swoisty lewicowy konserwatyzm jest próbą nie tylko ocalenia pamięci o najlepszych dokonaniach naszych poprzedników, ale również, jak sądzę, wynika z chęci zwrócenia uwagi, że tak wielkie zdobycze były efektem złożonego i dość szczęśliwego splotu okoliczności; choć nie da się go po prostu powtórzyć, jego dziedzictwo można częściowo ocalić, a także - gdy solidnie odrobimy tę lekcję historii - rozwinąć.

Jeśli to konserwatyzm, jest on najwyższej próby, ponieważ bazuje nie na sentymencie i obawach przed „nowym”, lecz na rozsądku. *Powinniśmy [...] przypomnieć sobie dokonania dwudziestego wieku i wyobrazić, jakie konsekwencje może pociągnąć za sobą ich bezmyślne odrzucenie. [...] Instytucje, ustawy, służby i prawa odziedziczone po wielkich reformach dwudziestego wieku uznajemy za coś oczywistego. Czas przypomnieć sobie, że jeszcze w 1929 roku wszystko to było nie do pomyślenia. Jesteśmy szczęśliwymi beneficjentami transformacji o bezprecedensowej skali i wpływie. Wiele jest do obrony. [...] „Lewica” zazwyczaj nie kojarzy nam się z ostrożnością. W zachodniej wyobraźni politycznej „Lewica” wiąże się z tym, co radykalne, niszczące, nowatorskie. W istocie jednak istnieje bliski związek między instytucjami postępowymi a duchem rozwagi. [...] To właśnie doktrynerzy wolnego rynku od dwustu lat żyli w optymistycznym przekonaniu, że każda zmiana ekonomiczna jest zmianą na lepsze.*

Zapewne spora część lewicowych czytelników zapyta: tylko tyle? Socjaldemokracja i nic więcej? Odrostanie tego czy tamtego sprzed kilku dekad? Powstrzymanie demontażu resztek przeszłości? Odpowiedź brzmi: tylko tyle - i aż tyle. Judt nie kusi nas intelektualnymi fajerwerkami, nie zabiera do krainy o nazwie Utopia, nie obiecuje cudów. Czyni tak nie tylko dlatego, że jako jeden z niewielu intelektualistów, którzy zachowali identyfikację z lewicą, jednocześnie porzucił fascynację marksizmem oraz buńczuczny wizjonerstwem. Nie tylko dlatego, że książka pisana

u schyłku życia jest spojrzeniem człowieka, który widział i przeżył wiele, więc rozumie, że świat niekończennie daje się łatwo zmieniać, a w dodatku wszelkie zmiany mają zarówno zalety, jak i wady. Nie tylko dlatego, że „Źle ma się kraj” to rozprawa pisana w momencie szczególnym, w chwili wielkiej i skutecznej ofensywy sił reakcji, a zatem wywody o nieodległym skoku do królestwa obfitości brzmiałyby po prostu komicznie dla umysłów trzeźwych i ceniących konkret.

Jest coś, czego Judt co prawda nie mówi wprost, ale nasuwa się to jako wniosek z całego wywodu. Otóż uznaje on model socjaldemokratyczny za optymalny. Mimo iż posiada niedoskonałości i nie rozwiązuje raz na zawsze wszystkich problemów, stanowi prawdopodobnie maksymalny wyraz skutecznych ludzkich dążeń do bezpieczeństwa socjalnego, gdy idzie ono w parze z demokracją i swobodami obywatelskimi, a także ze spójnością kulturową i stabilizacją społeczną. Historia lewicy pokazuje również, że o ile śmiałych i ciekawych pomysłów nigdy jej nie brakowało, to jednak albo niewiele z nich wynikało w praktyce, albo wręcz przeciwnie – wynikało nazbyt wiele i do dziś liżemy po tym rany. **Model socjaldemokratyczny, państwo opiekuńcze, nie są może szczytem intelektualnej podniety, nie zaspokoją też tego specyficznego lewicowego nienasycenia, które każe projektować ziemski raj. Stanowią natomiast najbardziej udany w dziejach eksperyment społeczny, który wielu milionom ludzi z dwóch czy trzech pokoleń zapewnił życie znacznie bardziej godne niż może to uczynić dziki kapitalizm – i znacznie bardziej „pożywne” niż radykalne czytanki i obiecanki.** Jest przy tym ów model na tyle zróżnicowany w skali świata i niedogmatyczny, że pozostawia pole manewru w kwestii udoskonalania zastanych rozwiązań, nie krępując ludzkiej kreatywności ani swobód obywatelskich. *Wyobrażanie sobie, że socjaldemokracja lub inny podobny ruch polityczny ucieleśnia przyszłość, której pragnęlibyśmy w doskonałym świecie, jest rzeczą miłą, ale zwodniczą. Byłby to powrót do zdyskredytowanego bajania. Socjaldemokracja nie ucieleśnia doskonałej przyszłości, nie ucieleśnia nawet doskonałej przeszłości. Mimo to pozostaje najlepszym z obecnie dostępnych rozwiązań* – przekonuje Judt.

Czytając „Źle ma się kraj” miałem satysfakcję. Pomijając jednostkowy głos Ryszarda Bugaja, „Nowy Obywatel” jest w Polsce w zasadzie jedynym środowiskiem, które głosi podobne tezy. Pisaliśmy, że lewica „obyczajowa” wspiera dewastację myślenia w kategoriach kolektywnych dokładnie tak samo, jak czynią to ultraliberałowie, a wojny kulturowe nie tylko niszczą spójność społeczną, ale także odwracają uwagę od kwestii publicznych. Mówiliśmy, że choć w dzisiejszym świecie nie ma miejsca na izolacjonizm, to jednak państwo narodowe wciąż pozostaje główną płaszczyzną i instrumentem potencjalnych reform prospołecznych. Krytykowaliśmy lewacki

„radykalny” frazes, przekonując, że zazwyczaj stanowi on wygodnicką pozę, która pod pozorami wielkich obietnic skrywa jeszcze większy brak zainteresowania konkretnymi zmianami na lepsze. Przekonywaliśmy też, że obecnie ów frazes jest odpychający w ogóle, a szczególnie w takim kraju jak Polska (po epoce sowieckich dyktatur Judt radzi definitywnie porzucić słowo *socjalizm*, jako niemożliwe już – mimo szlachetnej przeszłości – do obrony przed negatywnymi skojarzeniami). Wskazywaliśmy, że partnerem dla lewicy powinna być prospołeczna i etatystyczna część prawicy, nie zaś środowiska liberalne gospodarczo, za to zafiksowane na swoich preferencjach seksualnych, nielubieniu biskupów czy zażywaniu zakazanych substancji. Podkreślaliśmy, że współpraca czy solidarność ponadnarodowa stanowią cenne wartości, ale zobowiązania moralne i zadania polityczne mamy przede wszystkim tutaj, w Polsce – nie w Paryżu, Wenezueli czy Palestynie. Nie popadając w typową dla niektórych studencko-inteligenckich grupek chłopomańską fascynację „prawdziwymi robotnikami” i tylko nimi, odcinaliśmy się także od nic nie znaczących mód typu „prawa kobiet”, bo dobrze wiemy, że inne interesy i problemy ma sprzątaczką, a inne madame Kulczykowa. Za to wszystko spotkała nasze niewielkie pismo niewspółmiernie wielka fala ataków ze strony mainstreamu i rozmaitych politycznych sekt, a epitety typu „faszyści”, „narodowi socjaliści” czy „ciemnogród” były w tym szmatławym procederze na porządku dziennym. Dziś ukazują się po polsku książki tak wybitnych umysłów, jak Tony Judt czy Richard Rorty (jego „Spełnianie obietnicy naszego kraju” recenzowałem w nr. 51 „Obywatela”), w których znaleźć można tezy bardzo podobne do tych, jakie propagujemy – zapewne mniej sprawnie – już ponad dekadę. Co prawda, trudno oczekiwać, że autorzy wspomnianych ataków wyciągną z tego jakieś wnioski, bo polska „prawdziwa lewica” jest doskonale bezrefleksyjna i pozbawiona autokrytycyzmu, poza tym nierzadko z głoszenia modnych bzdur czerpie profity, ale lepiej z mądrymi stracić, niż z głupimi zyskać.

Oczywiście, „Źle ma się kraj” warto przeczytać nie ze względu na ten mało ważny kontekst. Po tę książkę sięgnąć trzeba dlatego, że daje nadzieję. Nadzieję niełatwą, pozbawioną błyskotek i tandetnych obietnic, ale przypominającą, że inny kraj jest możliwy – lepszy kraj.

REMIGIUSZ OKRASKA

Tony Judt, *Źle ma się kraj. Rozprawa o naszych współczesnych bolączkach*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011, przełożył Paweł Lipszyc.

Książkę można nabyć u wydawcy: Wydawnictwo Czarne, Dział sprzedaży: Beata Motyl, MTM Firma, ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa, tel./fax 22 632 83 74, e-mail: mtm-motyl@wp.pl, księgarnia internetowa: www.czarne.com.pl

Gar Alperovitz (ur. 1936) – profesor ekonomii politycznej w katedrze im. Lionela R. Baumana na Uniwersytecie Maryland i współzałożyciel organizacji Democracy Collaborative. Członek zarządu New Economics Institute. Autor „America Beyond Capitalism: Reclaiming Our Wealth, Our Liberty, and Our Democracy”, w której porusza temat demokratyzacji własności. Obecnie pracuje nad nową książką poświęconą długofalowym zmianom instytucjonalnym i systemowym.

Rafał Bakalarczyk (ur. 1986) – absolwent polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim i socjologii politycznej w Höskolan Dalarna (Szwecja); od 2010 r. doktorant na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Interesuje się szeroko rozumianą polityką społeczną, zwłaszcza problemami opieki, edukacją, skandynawskim modelem dobrobytu oraz mechanizmami dialogu społecznego. Publikował m.in. w „Głosie Nauczycielskim”, „Dziś” i „Przeglądzie”. Współautor książki „Jaka Polska 2030?”, wydanej przez Ośrodek Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle’a, z którym stale współpracuje. Zwolennik współdziałania i wymiany doświadczeń między różnymi środowiskami prospołecznymi. Bliski jest mu duch książek Żeromskiego, zwłaszcza postać Szymona Gajowca z „Przedwiośnia”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Ks. Edward Brzostowski – urodzony we Francji w 1932 r. w rodzinie polskich emigrantów z Suwalszczyzny. Ukończył polskie gimnazjum w Chevilly, a później Wyższe Seminarium Duchowne w Sens. Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1955, a następnie przez rok przebywał w Instytucie Świeckim Księża PRADO w Lyonie. W latach 1956–1960 był wikariuszem w parafiach w Chablis i Auxerre. W roku 1960 ukończył studia

doktoranckie na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie i otrzymał tytuł doktora teologii. W 1959 r. po raz pierwszy odwiedził Polskę, później odbył jeszcze kilkanaście wizyt, ostatnią w lipcu 2011. Od roku 1963 jest misjonarzem w Japonii, gdzie prowadzi pracę kapłańską, obecnie jako proboszcz parafii Kawasaki, usytuowanej w robotniczej, silnie uprzemysłowionej dzielnicy. Od 1971 r. jest kapłanem Ruchu Robotników Katolickich, który wszedł w skład Międzynarodowego Ruchu Robotników Chrześcijańskich. Uczestniczył w różnych inicjatywach społecznych, o charakterze ekologicznym, pokojowym, związanych z obroną praw pracowników i imigrantów, zarówno w wymiarze lokalnym (parafialnym), jak i ogólnokrajowym i międzynarodowym. Udzielał nie tylko duchowego wsparcia protestującym, ale także sam brał udział w manifestacjach i bardziej radykalnych formach protestu (głódówki). W roku 1996 został laureatem nagrody TAJIRI za działalność na rzecz praw robotników oraz kobiet eksploatowanych seksualnie. W 1995 r. otrzymał od ambasadora RP w Japonii, przyznany przez prezydenta Lecha Wałęsę, Krzyż Oficerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Jest autorem wielu publikacji, w których łączy odwołania do chrześcijaństwa z wieloma akcentami prospołecznymi (często z bardzo konkretnymi analizami i postulatami np. w kwestii prawa pracy, zasad bhp czy warunków panujących w więziennictwie). Mimo podeszłego wieku, do dzisiaj jest aktywny jako działacz społeczny, np. w roku 2010 brał udział w protestach przeciwko wyzyskowi przez koncern Toyota robotników-imigrantów z Filipin. Wywiad z księdzem Brzostowskim publikowaliśmy w „Obywatelu” nr 6(38)/2007 r.

Natalia Ćwik – związana z sektorem pozarządowym, od kilku lat zajmuje się również tematyką odpowiedzialnego biznesu. Publicystka,

wykładowca, posiada kilkuletnie doświadczenie dziennikarskie. Przygotowuje publikacje, artykuły eksperckie oraz badania. Współpracowała z licznymi organizacjami pozarządowymi, aktywnie wspiera rozwój III sektora. Od 2009 r. pracuje jako Menedżerka ds. Zarządzania Wiedzą w Forum Odpowiedzialnego Biznesu – wspiera rozwój pracowników, prowadzi regularny audyt wiedzy, rozwija zasoby i narzędzia umożliwiające efektywne gromadzenie i wykorzystywanie wiedzy. Wcześniej kierownik w Fundacji im. Lesława A. Pagi, działającej w obszarze rynku kapitałowego i edukacji. Realizowała również projekty pomocy rozwojowej w Afryce Wschodniej (m.in. projekty infrastrukturalne, w tym: informatyzacja placówek edukacyjnych) i współtworzyła programy edukacji globalnej. Absolwentka Instytutu Orientalistycznego na Uniwersytecie Warszawskim, Istituto Universitario Orientale w Neapolu oraz studiów menedżerskich w SGH. Członkini Polskiego Stowarzyszenia Fundraisingu oraz Instytutu Odpowiedzialnego Biznesu. Interesuje się szczególnie tematyką odpowiedzialnego/zrównoważonego zarządzania dostawami, ekonomią zrównoważonego rozwoju oraz innowacjami. Fascynują ją nowoczesne techniki i technologie pokojowego aktywizmu.

Marta Gardolińska (ur. 1988) – ukończyła dyrygenturę symfoniczno-operową na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie (studia licencjackie). Naukę kontynuuje na Universität für Musik und darstellende Kunst w Wiedniu. Swoje poglądy umieszcza po prawej stronie sceny politycznej, gdzieś między konserwatyzmem, republikanizmem, endecją a monarchią oświeconą.

Justyna Iwańczuk (ur. 1987) – absolwentka filozofii na Uniwersytecie Gdańskim (licencjat).

Joanna Jurkiewicz (ur. 1986) – absolwentka socjologii w ramach Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, studentka filozofii. Interesuje się prawami pracowniczymi. Zadeklarowana feministka, działa m.in. w kolektywie anarchofeministycznym. W wolnym czasie ogląda seriale. Próbuje wyznawać zasadę Churchilla: *no sports*, ale czasem robi ustępstwa na rzecz biegania.

Jan Krzysztof Kelus (ur. 1942) – w latach 1960–1964 student prawa, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, kierunek socjologia (1966); w 1980 r. obronił doktorat. W 1968 doktorant w Instytucie Filozofii PAN, w obliczu antysemickiej kampanii władz PRL zaangażował się w działalność opozycyjną. Zimą 1968/1969 kilkakrotnie przeszedł nielegalnie przez granicę polsko-czechosłowacką – z Polski przemycał maszynopisy przeznaczone dla Instytutu Literackiego w Paryżu, do Polski zabierał wydawnictwa emigracyjne. W sierpniu 1969 aresztowany w tzw. sprawie tatarników, przetrzymywany w więzieniu, zwolniony w marcu 1970 r. na mocy amnestii, zwolniony z pracy. W latach 1970–1980 asystent w Instytucie Wenerologii Akademii Medycznej w Warszawie, zwolniony z pracy z przyczyn politycznych. Od 1976 r. współorganizator pomocy dla robotników Ursusa i Radomia represjonowanych po wydarzeniach Czerwca, współpracownik KOR. Od 1980 r. na rencie; na Mazurach prowadzi z żoną pasiekę. Współtwórca podziemnego wydawnictwa CDN. Od 13 XII 1981 w ukryciu, zatrzymany w VII 1982, internowany w Białoleścu, zwolniony w XI 1982. Współautor (z Czesławem Bieleckim i żoną) bestsellera podziemia „Mały konspirator”. Znany przede wszystkim jako autor, kompozytor i wykonawca piosenek funkcjonujących w niezależnym obiegu. Po 1989 wycofał się z życia publicznego. Bohater filmu dokumentalnego

„Był raz dobry świat” w reżyserii Jerzego Zalewskiego i Mariusza Kalinowskiego (1997). Wojciechowi Staszewskiemu udzielił wywiadu-rzeki „Był raz dobry świat” (1999). W roku 2006 odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego [biogram na podstawie Encyklopedii Solidarności].

Wiesława Kowalska – prezes Towarzystwa Kulturalnego „Echo Pyzdr”, współautorka publikacji promujących rozwój lokalny i wyrównywanie szans edukacyjnych; absolwentka szkoły liderów Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności 2007; stypendystka Departamentu Stanu USA, za działalność społeczną otrzymała nagrody: Wojewody Konińskiego 1998, List gratulacyjny Ambasadora Ukrainy 2001; Medal Komisji Edukacji Narodowej 2009; tytuł Społecznika Roku 2010 w konkursie tygodnika „Newsweek”.

Piotr Kuligowski (ur. 1990) – ostatni socjalista utopijny, dostrzegający w utopiach czynnik rozsądający rzeczywistość zastaną, zaś w socjalizmie dla tejże rzeczywistości alternatywę. Student na UAM w Poznaniu. Publikował w „Nowym Tygodniku Popularnym”, „Czasie Kultury” oraz na portalach internetowych. Stały współpracownik portalu Lewicowo.pl.

Rafał Łętocha (ur. 1973) – politolog i religioznawca. Doktor habilitowany nauk humanistycznych, zastępca Dyrektora w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor w Instytucie Politologii Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Oświęcimiu. Autor książek „Katolicyzm a idea narodowa. Miejsce religii w myśli obozu narodowego lat okupacji” (2002), „Oporet vos nasci denuo. Myśl społeczno-polityczna Jerzego Brauna” (2006) i „O dobro wspólne.

Szkice z katolicyzmu społecznego” (2010). Publikował m.in. we „Frondzie”, „Glaukopisie”, „Nomosie”, „Nowej Myśli Polskiej”, „Państwie i Społeczeństwie”, „Pro Fide Rege et Lege”, „Studiach Judaica”, „Templum Novum”. Od urodzenia mieszka w Myślenicach i bardzo jest z tego zadowolony. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Cezary Miżejewski (ur. 1964) – działacz państwowy, związkowy i polityczny. W latach 80. związany z opozycją demokratyczną, m.in. członek Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności”, redaktor i drukarz prasy podziemnej, w tym „Robotnika”. W 1987 r. brał udział w reaktywacji Polskiej Partii Socjalistycznej, w okresie 1988–1990 wchodził w skład rady naczelnej PPS-Rewolucja Demokratyczna, po kongresie zjednoczeniowym (1990) wszedł w skład Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS, któremu przewodniczył w latach 1996–2001. Na początku lat 90. pracownik Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” i ekspert Komisji Krajowej związku ds. bezrobocia, w latach 1993–1997 poseł PPS wybrany z listy SLD, w okresie 1997–2000 kierował biurem zespołu posłów i senatorów OPZZ. Współzałożyciel i w latach 1999–2001 przewodniczący związku zawodowego Konfederacja Pracy, zrzeszającego m.in. pracowników supermarketów. Od 2002 r. doradca ministra pracy i polityki społecznej, od 2003 r. dyrektor departamentu rynku pracy w Ministerstwie Gospodarki, Pracy i Polityki Społecznej. W latach 2004–2005 kolejno: podsekretarz stanu we wspomnianym resorcie, następnie w Ministerstwie Polityki Społecznej, wreszcie sekretarz stanu w MPS; był m.in. sekretarzem zespołu przygotowującego Narodową Strategię Integracji Społecznej, koordynował prace nad Krajowym Planem Działań na rzecz Integracji Społecznej oraz Strategią Polityki Społecznej 2007–2013. W latach 2005–2009 radca ministra

w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego, m.in. autor ustawy o zatrudnieniu socjalnym i ustawy o spółdzielniach socjalnych. Członek rady programowej Wspólnoty Roboczej Związków Organizacji Socjalnych WRZOS, członek Rady Ekspertów Społecznych, a następnie członek Komitetu Wykonawczego Polskiego Komitetu Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN). Przedstawiciel strony związkowej Trójkątnej Komisji ds. Społeczno-Gospodarczych w powołanym przez premiera Zespole ds. związków systemowych w zakresie ekonomii społecznej. Od listopada 2010 r. przewodniczy Komisji Polityki Społecznej OPZZ oraz jest prezesem zarządu Ogólnopolskiego Związku Rewizyjnego Spółdzielni Socjalnych. Pracownik spółdzielni socjalnej „Opoka” w Kluczborku.

Kazimierz Mrówka – dr nauk humanistycznych w zakresie filozofii, absolwent Paris IV Sorbonne, adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.

Remigiusz Okraska (ur. 1976) – współzałożyciel i redaktor naczelny „Obywatela”/„Nowego Obywatela”. Twórca koncepcji i redaktor Lewicowo.pl – pierwszego i jedyne go portalu internetowego poświęconego dziejom i dorobkowi polskiej lewicy demokratycznej, patriotycznej i niekomunistycznej. W latach 2001–2005 redaktor naczelny ekologicznego miesięcznika „Dzikie Życie”. Autor ponad 500 artykułów, redaktor kilkunastu książek. Z wykształcenia socjolog. Od 17. roku życia związany z działalnością społeczną.

Maciej Pańków (ur. 1985) – socjolog, absolwent Instytutu Socjologii UW, badacz społeczny, współpracownik The Gallup Organization Poland, stypendysta Instytutu

Spraw Publicznych, korespondent Eurofound. Jego zainteresowania koncentrują się na problematyce zbiorowych stosunków pracy oraz społecznych aspektów Internetu. Miłośnik Tatr, absolwent szkoły muzycznej II st. (flet) oraz pasjonat numizmatyki (mennictwo Wazów i Stanisława Augusta Poniatońskiego).

Janina Petelczyc (ur. 1985) – absolwentka Instytutu Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego, od 2010 r. doktorantka. Interesuje się zabezpieczeniem społecznym, polityką rodzinną i międzynarodową porównawczą polityką społeczną. Pozazawodowo pochłania ją astronomia, podróże i malarstwo holenderskie. Warszawianka od pokoleń, prowadzi bloga o stolicy (mojawarszawa.blox.pl). Współtworzy Fundację Kultury Brazylijskiej Terra Brasilis, współpracuje z Ośrodkiem Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a. Stała współpracowniczką „Nowego Obywatela”.

Kamil Piskala (ur. 1988) – student V roku historii na Uniwersytecie Łódzkim. Interesuje się dziejami polskiej lewicy, międzywojenną Polską i historią myśli politycznej. Swoje najlepsze lata spędza w archiwach i bibliotekach. Socjaldemokrata. Związany z Klubem Krytyki Politycznej w Łodzi.

Jarosław Praszczałek (ur. 1989) – student dyrygentury symfoniczno-operowej na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie (I rok studiów magisterskich – po licencjacie), kompozytor, instrumentalista, prelegent koncertów edukacyjnych Filharmonii Narodowej w Warszawie. Pasjonuje się historią polskiej lewicy niepodległościowej oraz myślą polityczną Adama Ciołkosza i Jana Józefa Lipskiego.

Marcin Rzepa (ur. 1983) – absolwent stosunków międzynarodowych na UMK i Centrum Studium Europejskich im. Jeanne Monnet w Toruniu. Aktualnie studiuje w Centrum Studiów Latinoamerykańskich UW w Warszawie. Obserwator, poszukiwacz, cyklista, weganin.

Bogusław Spodzieja (ur. 1960) – uważa się za ucznia Joanny i Andrzeja; poza tym zadeklarowany przeciwnik mówienia i pisanie o sobie.

Mike Wold – amerykański aktywista społeczny. Od wielu lat angażuje się w rozmaite przedsięwzięcia na rzecz sprawiedliwości społecznej, w szczególności w obronę praw imigrantów. Związany z postępową prasą niezależną, m.in. stały współpracownik tygodnika „Real Change”, sprzedawanego na ulicach Seattle przez osoby bezdomne. Należy do jednej ze wspólnot religijnych Unitarian Uniwersalistów, w ramach której również angażuje się w solidarystyczne przedsięwzięcia społeczne.

Krzysztof Wołodźko (ur. 1977) – na ogół publicysta, bloger (www.consolamentum.salon24.pl). Pisał i/lub pisze m.in. do „Trybuny”, „Pressji”, „Znaku”, portalu ngo.pl. Uczestnik cyklu dokumentalnego „System 09” i „System: rewolucja Solidarności”. Członek redakcji „Nowego Obywatela”.

CZYTELNIKU, ZAPRENUMERUJ NOWEGO OBYWATELA

1. zapłacisz aż 10 zł taniej za kolejne cztery numery - prenumerata roczna to koszt 50 zł, zaś cena 4 numerów pisma wynosi 60 zł
2. wesprzesz finansowo nasze inicjatywy (pośrednicy pobierają nawet do 50% ceny pisma!)
3. będziesz miał pełny dostęp do internetowego archiwum kwartalnika
4. masz szansę na ciekawe i cenne nagrody
5. często dostaniesz drobny upominek dołączony do numeru
6. prenumerata to wygoda - „Nowy Obywatel” w Twojej skrzynce pocztowej

TYLKO
50 zł
ROCZNIE

Opłacić roczną prenumeratę w banku lub na pocztę i czekać, aż „Nowy Obywatel” sam do Ciebie przywędruje :-)
Możesz też skorzystać z naszego sklepu wysyłkowego, dostępnego na stronie nowyobywatel.pl/sklep

Wpłaty w wysokości **50 zł** należy dokonywać na rachunek:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego numeru.

UPOMINKI



Książkę „Kultura a natura” Jana Gwalberta Pawlikowskiego oraz nasze firmowe koszulki otrzymują:

- **Przemysław Bera**, Kobylniki
- **Marcin Markowicz**, Łódź
- **Paweł Pieniążek**, Warszawa
- **Adam Józef Rabęda**, Siemianowice Śląskie
- **Anna Włodarczyk**, Skierniewice

PRENUMERATA NAPRAWDĘ SIĘ OPŁACA

NOWY OBYWATEL

Celem, do którego dążymy, jest państwo, społeczeństwo i kultura zorganizowane wokół idei dobra wspólnego. Przyświecają nam następujące wartości:

Samorządność, czyli faktyczny udział obywateli w procesach decyzyjnych we wszelkich możliwych sferach życia publicznego.

(Re)animacja społeczeństwa. Sprzeciwiając się zarówno omnipotentnemu państwu, jak i liberalnemu egoizmowi, dążymy do odtworzenia tkanki inicjatyw społecznych, kulturalnych, religijnych itp., dzięki którym zamiast biernych konsumentów zyskamy aktywnych obywateli.

„Demokracja przemysłowa”. Dążymy do zwiększenia wpływu obywateli na gospodarkę, poprzez np. akcjonariat pracowniczy, ruch związkowy, rady pracowników. 1/3 życia spędzamy w pracy - to zbyt wiele, aby nie mieć na nią wpływu.

Sprawiedliwe prawo i praktyka jego egzekwowania, aby służyło społeczeństwu, nie zaś interesom najsilniejszych grup.

Media obywatelskie, czyli takie, które w wyborze tematów i sposobów ich prezentowania kierują się interesem społecznym zamiast oczekiwaniami swoich sponsorów.

Wolna kultura. Chcemy takiej ochrony własności intelektualnej, która nie będzie ograniczała dostępu do kultury i dorobku ludzkości.

Rozwój autentyczny, nie pozorny. Kultowi wskaźników ekonomicznych i wzrostu konsumpcji, przeciwstawiamy dążenie do podniesienia jakości życia, na którą składa się m.in. sprawna publiczna służba zdrowia, powszechna edukacja na dobrym poziomie, wartościowa żywność i czyste powietrze.

Ochrona dzikiej przyrody, która obecnie jest niszczone i lekceważona w imię indywidualnych zysków i prymitywnie pojmowanego postępu. Jeśli mamy do wyboru nową autostradę i nowy park narodowy - wybieramy park.

Solidarne społeczeństwo. Egoizmowi i uznaniowej filantropii przeciwstawiamy społeczeństwo gotowe do wyrzeczeń w imię systemowej pomocy słabszym i wykluczonym oraz stwarzania im realnych możliwości poprawy własnego losu.

Sprawiedliwe państwo, czyli takie, w którym zróżnicowanie majątkowe obywateli jest możliwe najmniejsze (m.in. dzięki prospołecznej polityce podatkowej) i wynika z różnicy talentów i pracowitości, skromne dochody nie stanowią bariery w dostępie do edukacji, pomocy prawnej czy opieki zdrowotnej.

Gospodarka trójsektorowa. Mechanizmom rynkowym i własności prywatnej powinna towarzyszyć kontrola państwa nad strategicznymi sektorami gospodarki, sprawna własność publiczna (ogólnokrajowa i komunalna) oraz prężny sektor spółdzielczy. Nie zawsze prywatne jest najlepsze z punktu widzenia kondycji społeczeństwa.

Gospodarka dla człowieka - nie odwrotnie. Zamiast pochwał „globalnego wolnego handlu”, postulujemy dbałość o regionalne i lokalne systemy ekonomiczne oraz domagamy się, by państwo chroniło interesy swoich obywateli, nie zaś ponadnarodowych korporacji i „zagranicznych inwestorów”.

Przeszłość i różnorodność dla przyszłości. Odrzucamy jałowy konserwizm i sentymenty za „starymi dobrymi czasami”, ale wierzymy w mądrość gromadzoną przez pokolenia. Każdy kraj ma swoją specyfikę - mówimy „tak” dla wymiany kulturowej, lecz „nie” dla ślepego naśladownictwa.

CZAS DEMOKRACJI!

Zamiast człowieka o duszy niewolniczej, który ogląda się tylko na cudze rozkazy i cudzą pomoc, wytwarza się w stowarzyszeniu typ człowieka silnego, o niepodległym umyśle i charakterze, który poznał i własną wartość jako człowieka i wartość dobrowolnej solidarności – jako potęgi ludzkiej.

E. Abramowski



Sieć „My Obywatele”

jest dobrowolnym porozumieniem niezależnych i wewnętrznie demokratycznych stowarzyszeń. Wyrażają one wolę, by niezależnie od różnic światopoglądowych wspierać się w szerzeniu kultury aktywności społecznej oraz zabiegach na rzecz systemowego zwiększania wpływu obywateli na decyzje publiczne.

Spotkasz nas:

- na festiwalu **Slot Art**, 10–14 lipca 2012, (Lubiąż koło Wrocławia)
- na **Festiwalu Obywatela**, 19–21 października 2012, (Łódź)

MyObywatele.org

Art. 118 Konstytucji RP:

Inicjatywa ustawodawcza przysługuje również grupie co najmniej 100 000 obywateli mających prawo wybierania do Sejmu.

SIEĆ  **118**
czas
demokracji

Sieć 118 – wspiera Obywatelskie Inicjatywy Ustawodawcze.

Sieć 118 – działamy wspólnie, razem możemy więcej!

Sieć 118 – czeka na Twoje wsparcie.

Dołącz się: www.siec118.pl



**ZAWSZE RAZEM
W SŁUSZNEJ SPRAWIE**

Tygodnik
SOLIDARNOŚĆ

ul. Grójecka 186 lok. 613, 02-398 Warszawa, tel./fax: 22 882 27 96
redakcja@tygodniksolidarnosc.com